

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

DIANA PALMER



Gra o wysoką stawkę

DIANA PALMER
SZCZEŚLIWA
GWIAZDA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ze ścian komendantury Straży Teksasu w San Antonio patrzyli uwiecznieni na czarno - białych fotografiach dawni stróże prawa. Niczym duchy z przeszłości spoglądali na swoich zapracowanych następców oraz na nowoczesne urządzenia - telefony, faksy i komputery, których praca wypełniała całe biuro dziwnie uspokajającym szumem, jakby to była jakaś futurystyczna kołysanka.

Sierżant Marc Brannon siedział odchylony do tyłu na obrotowym krześle przy zavalonym papierami biurku, na którym do kompletu trzymał nogi. Spalone słońcem, lekko falujące brązowe włosy połyskiwały w świetle jarzeniówek, jasnoszare oczy były przymknięte, gdy rozważał niedawne, dość niepokojące zdarzenie.

Jego bliski przyjaciel, również Strażnik, Judd Dunn, kilka tygodni wcześniej omal nie został przejechany przez pędzący z ogromną szybkością samochód. Krążyły pogłoski, że miało to coś - a może nawet wiele - wspólnego z dochodzeniem prowadzonym w San Antonio przez FBI w sprawie nielegalnego

hazardu organizowanego przez Jake'a Marsha, szefa lokalnej mafii. FBI oddelegowało do San Antonio współpracującego z nimi Judda, który miał przyjrzeć się z bliska działalności Marsha, a w rezultacie ledwo uszedł z życiem. Kiedy załatwił sobie przeniesienie do Wiktorii, dalsze śledztwo spadło właśnie na Brannona. Oraz na upiornego faceta nazwiskiem Curtis Russell.

Niežnośny był z niego człowiek, bo jak się do czegoś przyczepił, to już nie puszczał. Nie dalej jak dwa dni wcześniej prokurator generalny Simon Hart rozmawiał z Brannonem przez telefon, mówiąc bez ogródek, co myśli o jego partnerze, który zawitał do Austin, stolicy Teksasu, i niemal zamieszkał w stanowym biurze śledczym, gdzie z maniackim uporem przekopywał się przez akta dwóch niedawnych morderstw, o które podejrzewał właśnie Marsha. Licho wie, może i miał rację, węsząc jakieś powiązania, ale znalezienie haka na lokalnego szefa mafii graniczyło z cudem, chociaż maczał palce w wielu sprawach.

Marsh ciągnął zyski i z nielegalnych zakładów, i z prostytucji, i z szantaży, więc stróżów prawa aż świerzbiała ręce, by wreszcie dobrać mu się do skóry.

Gdyby zdołali udowodnić mu cokolwiek, natychmiast powołaliby się na stanowe prawo, które pozwalało zająć posiadłość stanowiącą miejsce działalności przestępczej i zamknęliby nocny klub Marsha, gdzie kwitła prostytutcja i nielegalny hazard. Niestety, co innego wiedzieć o czyichś ciemnych interesach, a co innego je udowodnić. Szef mafii był szczwanym lisem, który doskonale wiedział, jak nie zostawiać śladów i wyprowadzać w pole tych, którzy próbowali deptać mu po piętach. To, że stróże prawa w odróżnieniu od niego musieli owego prawa przestrzegać, działało na jego korzyść.

Szkoda, że teraz do takich drani nie można już strzelać, pomyślał z nagłym żalem Brannon, zerkając na stuletnie zdjęcie konnego Strażnika, który trzymał na lassie obszarpanego, rannego przestępcę.

Szczupła dłoń Brannona odruchowo powędrowała do kabury na biodrze, z której wystawała ciemna rękojeść kolta kaliber czterdzieści pięć. Ponieważ Strażnicy nie posiadali żadnego określonego przepisami umundurowania oraz uzbrojenia, panowała w tym zakresie dość duża dowolność. Większość preferowała białe koszule z czarnymi krawatami i z przypiętą na

piersi odznaką w kształcie gwiazdy wpisanej w koło. Sporo osób nosiło też jasne kapelusze typu stetson oraz wysokie buty z cholewami, ponieważ był to tradycyjny strój, budzący zaufanie obywateli oraz kojarzony z profesjonalizmem. Brannon próbował dostosować się do tych reguł, ponieważ od jakiegoś czasu miał inny stosunek do pracy niż poprzednio.

Dwa lata wcześniej popełnił błąd swojego życia, źle oceniając kobietę, którą zdążył naprawdę... polubić. Nie winiła go za to, przez co musiała przejść z jego powodu - wiedział o tym od swojej siostry. On jednak miał do siebie taki żal, że rzucił pracę w Straży, wyjechał z Teksasu i zatrudnił się w FBI. Niestety, ucieczka przed problemem wcale go od problemu nie uwolniła, bo poczucie winy wyjechało wraz z nim. Smutek i żal również.

Ciągle ją miał przed oczami - niepokorną trzpiotkę o ciętym języku i wspaniałym poczuciu humoru. Choć los nie szczędził jej razów, Brannon nie znał równie pogodnej i miłej osoby. Tęsknił za nią. Oczywiście ona nie tęskniła za nim, bo i za czym miałyby tęsknić? Za facetem, który ją skrzywdził?

Gorzej. Złamał jej życie.

- Co, nie masz nic do roboty? - rzuciła przechodząca współpracowniczka.

Marc Brannon był naprawdę smacznym kąskem, ponieważ bary miał szerokie, biodra wąskie, a twarz dokładnie w takim typie, jak dawni bohaterowie westernów. Równie podniecająco działały na kobiety jego zmysłowe usta, złamany co najmniej raz nos oraz dość bezczelny sposób bycia. Brannon jednak wydawał się wcale nie korzystać ze swoich atutów i nawet jeśli z kimś się umawiał, czynił to tak dyskretnie, że nawet największe plotkarki w Straży i policji nie miały o niczym pojęcia.

- Przecież ciężko pracuję - odparł z żartobliwym błyskiem w oku. - Właśnie oddziałuję telepatycznie na przestępców. Lada moment w całym kraju kryminaliści powinni zacząć dobrowolnie zgłaszać się na policję.

- Tak? I co jeszcze? - spytała ze śmiechem.

- W porządku. - Westchnął. - Właśnie wróciłem z sądu, gdzie składałem zeznania, a przede mną leżą akta sześciu spraw, którymi mam się zająć. Próbuję ustalić, która jest najważniejsza. - Wycelował długim palcem w

stos teczek na blacie. - Chyba rzucę monetą.

- Nie musisz, kapitan ma dla ciebie pilną robotę.

- Ha, ocaliły mnie nowe rozkazy! - Gwałtownie zdjął nogi z biurka, wstał i przeciągnął się, aż biała koszula z odznaką opięła się na jego muskularnej piersi. - Co to za robota?

Rzuciła na blat zadrukowaną kartkę.

- Morderstwo, boczna uliczka przy Castillo Boulevard, biały, dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. Na miejscu jest dwóch detektywów z wydziału kryminalnego, ekspert od medycyny sądowej, dwóch techników i dwóch policjantów z patrolu. Kapitan każe ci jechać tam natychmiast, zanim wezwą ambulans do przewiezienia ciała.

Ściągnął brwi.

- Hej, przecież ten rejon podlega jurysdykcji... - zaczął.

- Wiem. Ale to śliska sprawa. Znaleźli zwłoki białego mężczyzny z jedną raną postrzałową z tyłu głowy. Ewidentna egzekucja. A co jest na Castillo Boulevard?

- Nie wiem.

Spojrzała na niego triumfalnie.

- Nocny klub Jake'a Marsha. A ciało znaleziono w sąsiedniej alejce, praktycznie dwa domy dalej.

Brannon rozjaśnił się.

- Proszę, proszę! Taka miła niespodzianka, kiedy właśnie zacząłem się nad sobą użalać.

- Zawahał się. - Chwila. Czemu ja dostałem tę sprawę? - spytał podejrzliwie, łypiąc na znajdujące się w pobliżu drzwi gabinetu szefa.

- Wiesz, co ostatnio mi zlecił? Zbadanie tajemniczego zgonu krowy. - Nachylił się i zdradził koleżance na ucho: - Krążyły pogłoski, że to kosmici ją tak zmasakrowali.

- Kto wie? Może faktycznie?

Kiedy posłał jej mordercze spojrzenie, uśmiechnęła się.

- Stary jest wkurzony, bo przyjęto cię do FBI, a jemu już dwa razy odrzucono podanie. Ale powiedział, że możesz dostać to morderstwo, bo w tym miesiącu nie musiał się za ciebie przed nikim tłumaczyć. Jak na razie...

- W takim razie jestem gotów założyć się o

tygodniowe wynagrodzenie, że do wieczora ta sprawa stanie się głośna i rzucą się na nią wszystkie media.

- Nie zakładam się. Aha, tak przy okazji... Kapitan kazał ci powiedzieć, żebyś jako Strażnik nie jeździł do tej nowej stacji benzynowej obsługiwanej przez same dziewczyny.

Uniósł brwi.

- Czemu? Uważa, że te dziewczyny nie znają się na swojej pracy i coś źle robią? - spytał niewinnym tonem, dzięki czemu udało mu się ją podpuścić.

- Nie, podobno wszystko robią świetnie, a najlepiej las... - Zaczerwieniła się, uświadamiając sobie, co powiedziała, wykonała jakiś niezręczny gest i czym prędzej uciekła.

Marc Brannon uśmiechnął się szelmowsko, zabrał z biurka kartkę oraz kremowego stetsona i wyszedł.

W Austin smukła kobieta z rudymi włosami upiętymi w kok i z okularami w złotej oprawce, za którymi widniały piwne oczy, pogodne i błyszczące, próbowała pocieszyć jednego z informatyków pracującego w prokuraturze generalnej.

- On cię naprawdę lubi, Phil - zapewniła Josette

Langley młodego człowieka, który od miesiąca miał pierwszą w życiu pracę. Wyglądał na kompletnie załamane. - Uwierz mi.

Niebieskooki rudzielec spojrział na drzwi gabinetu Simona Harta, prokuratora generalnego stanu Teksas, i zaczerwienił się po same uszy.

- Powiedział, że to moja wina, że jego komputer się zawiesił, kiedy on akurat wymieniał pilne e - maile z wiceprezydentem na temat konferencji, którą ma zwołać gubernator. W którymś momencie wylogowało go i już nie mógł się ponownie połączyć. Rzucił we mnie myszką bezprzewodową!

- I tak ci się upiekło, bo nie rzucił laptopem - skwitowała z łobuzerskim uśmiechem. - Nie przejmuj się, on ciska przedmiotami tylko wtedy, gdy Tira jest na niego wściekła, a to nie trwa długo. W dodatku wiceprezydent jest jego dalekim krewnym. Moim zresztą też... - mruknęła w zamyśleniu. - Nieważne. W każdym razie naucz się nie brać sobie do serca wybuchów Simona. Jest porywczy, łatwo wpada w furię i równie szybko odzyskuje dobry humor.

Phil łypnął na nią ponuro.

- Na ciebie nigdy nie krzyczy - wytknął jej.

- Ponieważ jestem kobietą, a on wyznaje staroświeckie poglądy i nigdy nie podniesie głosu na kobietę. On i jego bracia zostali wychowani według dawnych, surowych zasad. Pod tym względem są zupełnie niedzisiejsi.

- Ma czterech braci i podobno wszyscy są tacy sami jak on. Nie wyobrażam sobie tego.

- Po pierwsze, nie do końca są tacy sami, po drugie dwaj się ożenili i dzięki temu nieco ustatkowali.

Wolała nie myśleć o pozostałych dwóch hartach, Leo i Reyu, oraz ich wybrykach i szaleństwach, które powoli stawały się legendarne.

- Za to ci dwaj pozostali to nieźli furia. Przecież nie dalej jak w zeszłym tygodniu jeden porwał z restauracji kucharkę, normalnie przerzucił ją sobie przez ramię i wyniósł. Ależ krzyczała... Musieli wysłać za nim Strażników!

- Wysłano jednego, zresztą chodziło o rodzaj żartu, a kucharka nie tyle krzyczała, co... Och, nieważne - ucieła, gdyż poczuła, że twarz zaczyna ją zdradliwie palić na samą wzmiankę o Strażnikach Teksasu.

Miała bolesne wspomnienia związane z jednym z nich, w którym zresztą była nieprzytomnie zakochana. Skończyli po przeciwnych stronach sali sądowej podczas głośnego procesu o morderstwo. Wiedziała od jego siostry, że Marc Brannon po zerwaniu narozrabiał po pijanemu, pierwszy i ostatni raz w życiu, potem odszedł ze służby, wstąpił do FBI, a po dwóch latach wrócił do San Antonio, przeprosił się z dawną pracą. Gretchen Brannon powiedziała jeszcze jedną rzecz, bardzo dziwną - otóż podobno Marca zżerały wyrzuty sumienia z powodu tego, co wydarzyło się między nim i Josette, kiedy był policjantem w Jacobsville. Zważywszy wszystkie bolesne słowa, jakie usłyszała przy zerwaniu, nie bardzo potrafiła uwierzyć, by poczuwał się wobec niej do jakiegokolwiek winy.

Ze swej strony Josette zapewniła Gretchen, że nie żywi urazy do Marca. Właściwie powiedziała prawdę, ponieważ postanowiła mu wybaczyć, ale coś w niej miało ochotę powiesić go za ostrogi na suchym dębie za to, że dwa lata wcześniej zmienił jej życie w koszmar. Uparcie nie dawał wiary jej wersji wydarzeń, aż do tej nieszczęsnej ostatniej randki, kiedy to porównał Josette

do prostytutki, a potem zerwał z nią.

Odsunęła od siebie irytujące wspomnienia tamtego wieczoru i skupiła się na problemie biednego Phila Douglasa.

- Wstawię się za tobą u Simona - obiecała.

- Mnie się naprawdę bardzo podoba ta praca - zapewnił gorliwie. - Możesz o tym wspomnieć. I naprawię komputer tak, że już nigdy nic się nie zawiesi. Jestem gotów złożyć w tej sprawie pisemne oświadczenie!

- W porządku, wszystko mu powtórzę, i to zaraz, bo właśnie mam do niego sprawę. Głowa do góry, świat się nie zawalił. Z czasem każde zmartwienie przemija, nawet to najbardziej bolesne.

Coś o tym wiem, pomyślała, lecz zachowała to dla siebie.

Kiedy weszła do gabinetu prokuratora generalnego stanu Teksas, ujrzała, jak siedzący za biurkiem Simon Hart wpatruje się w trzymaną w rękę słuchawkę z wyrazem takiego obrzydzenia na twarzy, jakby ją przed chwilą ugryzł, a ta okazała się zgniłą.

- Coś nie tak? - spytała Josette, stając przed

biurkiem.

Odłożył słuchawkę na aparat. Druga dłoń spoczywała nieruchomo na blacie. Wyglądała bardzo naturalnie. Simon był wysoki, potężny, ciemnowłosa, jasnooki i onieśmielający. Jego wspaniała rudowłosa żona, Tira, oraz ich dwaj synowie uśmiechali się z fotografii ustawionych na stoliku pod ścianą. Na innej widniał Simon otoczony braćmi, którzy popatrywali na niego z trwożliwym szacunkiem. Josette uśmiechnęła się lekko. Nawet pozbawiony jednej ręki wzbudzał strach, gdy wybuchał gniewem.

- Dzwoniła zastępczyni prokuratora okręgowego z San Antonio, właśnie znaleźli zwłoki prawie pod samym nocnym klubem Jake'a Marsha, sprawa wygląda na mafijne porachunki. - Zerknął na nią. - Marsh to gruba ryba w tamtejszym świecie przestępczym. Słyszałaś o nim?

- Nazwisko obilo mi się o uszy, ale nic bliższego nie wiem. Nie rozumiem jednak, czemu miałyby nas interesować morderstwo w San Antonio.

- Wszystko zależy od tego, czy Marsh maczał w nim palce i czy uda się znaleźć na to dowody. Nie muszę

ci chyba mówić, że prokurator okręgowy staje na głowie, żeby wreszcie dopaść drania. W tym roku są wybory do senatu i jak zwykle zwalczanie przestępczości będzie ważnym hasłem kampanii, nie chcę więc, żeby Teksas znowu znalazł się w centrum uwagi jako stan specjalnej troski. Prokuratura okręgowa też tego nie chce, więc naciska na policję o dodatkowych ludzi do pomocy przy śledztwie.

Nie mówił jej wszystkiego, widziała to po sposobie, w jaki na nią patrzył.

- Wiesz, że nie zdołasz niczego przede mną ukryć - rzekła nagle. - Co to za rzecz, której nie chcesz mi zdradzić?

Ze śmiechem pokręcił głową.

- Ciebie rzeczywiście nie da się zwieść, nie mam pojęcia, jak ty to robisz. W porządku, powiem ci. Policja oddelegowuje jednego ze Strażników, Marca Brannona. - Uniósł dłoń, widząc, jak Josette na moment zamiera, a potem otwiera usta. - Tak, pamiętam, jesteście na noże, ale potrzebujemy go. Prokurator okręgowy i ja w pełni popieramy jego udział w śledztwie. Chciałbym wysłać cię do San Antonio, będziesz mnie o wszystkim

informować na bieżąco. Powiem ci, że mam złe przeczucia...

Ledwie go słuchała; serce biło jej jak szalone.

- Jeśli mnie tam wyślesz, to powinienes mieć jeszcze gorsze. Wyobrażasz sobie mnie współpracującą z Brannonem? Najpierw jemu musiano by zarekwirować naboje, a mnie paralizator.

Zachichotał. Mimo tragicznych przeżyć zachowała poczucie humoru, była dzielna, silna i niezależna. Zatrudnił ją przed dwoma laty, gdyż nikt inny nie chciał tego zrobić, zresztą właśnie przez Brannona. Simon nigdy nie żałował swojej decyzji, przeciwnie. Josette ukończyła kryminalistykę i zamierzała pracować jako oficer śledczy, lecz los pokrzyżował jej plany i rzucił ją do urzędu stanowego. Kiedy któryś z prokuratorów okręgowych prosił o pomoc w śledztwie, Simon wypożyczał mu Josette, by przynajmniej przez jakiś czas mogła popracować w terenie.

- To jeszcze nic pewnego - zastrzegł się. Na razie wciąż trwają oględziny miejsca zbrodni. Może w ogóle ta sprawa nie ma nic wspólnego z Marshem, ale dałby Bóg, żeby było inaczej. Na wszelki wypadek chciałem cię

uprzedzić, gdybyś jednak musiała tam jechać.

- Dzięki.

- W końcu jesteśmy rodziną, prawda?

- Zmarszczył brwi. - Czekaj, jak to było? Twój stryjeczno - cioteczny brat był kimś tam dla drugiej żony mojego dziadka, tak?

- Przestań - jęknęła. - Przydałby się spec od genealogii, bo to zbyt dalekie powinowactwo.

- W porządku, nikt nie mógłby oskarżyć mnie o nepotyzm w związku z zatrudnieniem ciebie, ale i tak łączą nas więzy rodzinne.

- Uśmiechnął się ciepło. - My tu w biurze w ogóle jesteśmy jedną wielką rodziną.

- Bardzo się cieszę, że tak myślisz o swoich pracownikach, bo kuzyn Phil przeprosza za zamieszanie z twoim komputerem i ma nadzieję, że nie wylejesz go z roboty, którą bardzo lubi - wyrecytowała z humorem i mrugnęła.

Simonowi aż zabłyśły oczy.

- Kuzyn Phil? - ryknął. - Powiedz kuzynowi Philowi, żeby pocałował mnie w...

- Nie wyrażaj się, bo zadzwonię do Tiry i

naskarzę na ciebie - ostrzegła.

Zgrzytnął zębami.

- Dobrze, już dobrze... Czekaj, co ty właściwie ode mnie chciałaś?

- Podwyżkę - rzuciła natychmiast, po czym zaczęła wyliczać na palcach: - Komputer, który się nie zawiesza przy uruchamianiu. Nowy skaner, bo stary pracuje w żółwym tempie. Nową szafę na dokumenty, bo ta już pęka w szwach. I co byś powiedział na takiego małego pieska - robota? Nauczyłabym go aportować akta...

- Siadaj wreszcie!

Usiadła, nie przestając się uśmiechać i rzeczowo zreferowała problem, jaki przedstawił w przysłanym faksie jeden z prokuratorów okręgowych, prosząc o opinię prokuratora generalnego. Udawała przy tym zupełnie niewzruszoną faktem, że los może postawić na jej drodze Marca Brannona po raz trzeci.

Kiedy wyszła z gabinetu Simona, mało brakowało, by zaczęła się trząść ze zdenerwowania. Modliła się, by to było jakieś łatwe do rozwiązania morderstwo, ponieważ ona za nic nie chciała znowu natrafić na tego

mężczyznę, zwłaszcza teraz, gdy wreszcie dochodziła do siebie po koszmarnych wydarzeniach sprzed dwóch lat i gdy wydawało się, że w końcu wyleczy się z tego nieszczęsnego uczucia do Brannona. Niemniej jednak przez resztę dnia chodziła półprzytomna, dręczona niejasnym przeczuciem, że morderstwo w San Antonio radykalnie wpłynie na jej życie. Chyba znowu odzywały się geny po babci Erin...

Irlandka Erin O'Brien miała niezwykłą zdolność przewidywania przyszłości. Ilekroć rodzina wpadała do niej z niezapowiedzianą wizytą, już czekał kilkudaniowy obiad oraz przygotowany pokój gościnny. Babcia potrafiła przewidzieć nie tylko przyjemne, ale i tragiczne wydarzenia. Kiedy zginął jej brat, ojciec Josette przyjechał ze smutną wiadomością do swej matki i zastał ją ubraną w czarną suknię. Nie dało się oglądać kryminalów w jej towarzystwie, ponieważ pod koniec pierwszej sceny wiedziała, kto jest mordercą. To babcia przepowiedziała ukochanej wnuczce, że spotka wysokiego mężczyznę z odznaką, a jej los będzie odtąd z nim związany.

Kiedy policjant Marc Brannon uratował pięć-

nastoletnią Josette, którą prawie zgwałcono podczas prywatki, Erin czekała na wnuczkę w progu domu jej rodziców i porwała ją w objęcia, ledwie przerażona dziewczyna wysiadła z radiowozu. Babcia zmarła, nim rodzina przeprowadziła się do San Antonio i był to dla Josette równie wielki cios, jak późniejsze zerwanie z ukochanym mężczyzną. Praktycznie do tej pory opłakiwała utratę obojga.

Po powrocie do niewielkiego, funkcjonalnie urządzonego mieszkania, które dzieliła z Barnesem, swoim kotem, Josette po raz pierwszy od dwóch lat wyciągnęła album ze zdjęciami, nagle spragniona widoku tego wysokiego, eleganckiego, robiącego wrażenie mężczyzny z jej przeszłości.

Durzyła się w nim bez pamięci i prawie została jego kochanką - naprawdę brakowało już tyle, co nic - gdy Marc odkrył jej sekret, który nim wstrząsnął. Odepchnął ją od siebie, wyzwiał od najgorszych i zerwał z nią na zawsze. Tydzień później Josette udała się w towarzystwie znajomego, Dale'a Jenningsa, na przyjęcie, na którym nagle zmarł w tajemniczych okolicznościach jeden z najbogatszych ludzi w San Antonio. Josette

podejrzewała o morderstwo spadkobiercę zmarłego, lecz ten miał bardzo silną pozycję i poparcie, ponieważ ubiegał się o fotel wicegubernatora, a w dodatku był najlepszym przyjacielem Brannona, od którego dowiedział się, jak podważyć jej zeznania. Przypomniał dawną sprawę o gwałt, dzięki czemu podczas rozprawy publicznie napiętnowano Josette jako osobę zupełnie pozbawioną wiarygodności, która nie pierwszy raz próbuje oszukać wymiar sprawiedliwości i zaszkodzić niewinnemu człowiekowi. W rezultacie tej kompromitacji straciła część znajomych, nie mogła znaleźć pracy, była wytykana palcami.

Od tej pory ona i Marc nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

Nie winiła go za to, że tak gorliwie bronił przyjaciela, co innego sprawiło jej znacznie większy ból. Gdyby ją kochał, decyzja o zerwaniu nie przy szłaby mu równie łatwo...

Ludzie, którzy znali Brannona, stwierdziliby zapewne, że on w ogóle nie wie, co to miłość i nie rozpoznałby jej, nawet gdyby zderzyła go między oczy. Był skrytym samotnikiem, w dzieciństwie zaznał biedy,

wcześniej stracił ojca, potem matka zmarła na raka, a na koniec siostra została wykorzystana przez pewnego drania, który udawał zakochanego, by w końcu zniknąć bez śladu. W rezultacie tego wszystkiego Brannon stał się twardy i nieufny.

Barnes otarł się o ramię pani, odrywając ją od smutnych myśli. Pogłaskała kota i przytuliła, za co została nagrodzona głośnym mručeniem, od którego aż coś przyjemnie w człowieku wibrowało. Miło też było czuć na rękach ciepły ciężar, gładzić miękkie futro. Josette znalazła go kiedyś na ulicy, głodnego, brudnego i pokaleczonego po jakiejś kociej bójce, a ponieważ nigdy nie potrafiła minąć żadnej istoty znajdującej się w potrzebie, pokochała Barnesa od pierwszego wejrzenia, zabrała go najpierw do weterynarza, a potem do domu, gdzie został nakarmiony i wykąpany. Od tej pory nie wyobrażała sobie życia bez ukochanego kota, gdyż dzięki niemu przestało być aż tak dołująco puste.

- Głodny? - spytała, na co mocniej potarł łebkiem o jej ramię. - W porządku, zaraz dostaniesz kolację.

Postawiła go na podłogę, wstała, przeciągnęła się bez pośpiechu, wyginając szczupłe ciało. Rozpuszczone

gęste włosy sięgały aż do bioder. Przypomniała sobie, jak bardzo Brannon nie lubił, gdy je spinała... Nie, dość tego! Żadnych więcej wspomnień!

- Mamy hamburgera, podzielimy się po połowie - poinformowała Barnes. Naraz skrzywiła się. - A potem będę musiała przekopać się przez tysiąc akt, ściągnąć z tuzin różnych dokumentów z internetu, napisać ze wszystkiego streszczenie, wysłać je do Simona, żeby mógł na jego podstawie wydać opinię, a potem przesłać tę opinię do prokuratora okręgowego, który o nią prosił. - Popatrzyła na stojącego przy jej bosych stopach Barnes i z żalem potrząsnęła głową. - Och, czemu nie urodziłam się kotem? To jest dopiero życie!

ROZDZIAŁ DRUGI

Sprawa się komplikuje, pomyślał, klęcząc przy ciele ofiary. Zabity nie miał jeszcze trzydziestki, był ubrany dość nędznie, jedno nagie ramię zdobił wytatuowany kruk, na nadgarstkach i kostkach widniały sznyty wskazujące na pobyt w więzieniu. Wokół jasnych włosów utworzyła się i zakrzepła kałuża krwi, dziwnie wyblakłe otwarte oczy patrzyły w niebo. Wydawał się kruchy i bezbronny, gdy tak leżał na ulicy wydany na łup spojrzeń ciekawskich przechodniów oraz poddany policyjnym oględzinom. Jeden z techników przeszukał okolicę za pomocą wykrywacza metalu i znalazł łuskę od pocisku, drugi filmował miejsce zbrodni z każdej możliwej strony.

Głęboko osadzone, srebrzystoszare oczy Brannona zwężyły się, gdy rozważał sprawę.

Marsh mógł nie mieć kompletnie nic wspólnego z morderstwem, lecz bliskość jego nocnego klubu nie wydawała się przypadkowa, pewnie coś się za tym kryło. W każdym wypadku na pewno zdoła przedstawić niepodważalne alibi, i to praktycznie na każdą dowolną

chwilę, zgłaszając po kilku świadków. Ten drań pewnie ma gotowe alibi nawet na dziesięć lat naprzód, pomyślał z irytacją.

Brannon najpierw porozmawiał z obecnym na miejscu detektywem z wydziału zabójstw, Budem Garcia, potem z policjantami z patrolu, ponieważ to oni znaleźli zwłoki, a na koniec dołączył do oglądającej je metodycznie specjalistki od medycyny sądowej. Właściwie mógłby razem z innymi badać teren, szukając dowodów i śladów, lecz uznał, że zajmuje się tym wystarczająco dużo osób.

- Cześć, Jones - przywitał się. - Wiadomo już coś o ofierze?

- Pewnie - mruknęła, nie przerywając pracy. Wiem na bank dwie rzeczy.

- No mów - pogonił ją niecierpliwie, gdy zamilkła.

- Jest płci męskiej i nie żyje - odparła Alice Jones z łobuzerskim uśmiechem.

Posłał jej wymowne spojrzenie.

- W porządku, przepraszam. Nie, nie znamy nawet tożsamości, ofiara nie ma przy sobie żadnych

dokumentów. - Podniosła się i wskazała na ciało. - A ty co byś o nim powiedział na podstawie wstępnych oględzin?

- Ma sznyty, więc to pewnie były więzień. Albo zbiegły.

Pokiwała głową.

- Też tak myślę. Na razie nie da się stwierdzić nic więcej, dopiero sekcja dostarczy nam nowych informacji.

- Możesz podać w przybliżeniu czas zgonu?
Popatrzyła na niego, w jej oczach zamigotała przekora.

- Na pewno chcesz, żebym na środku ulicy wpakowała mu termometr w wątrobę?

- Do Ucha, Jones!

- Dobrze, już dobrze... Biorąc pod uwagę stężenie pośmiertne, oceniam, że zgon nastąpił mniej więcej dwadzieścia cztery godziny temu, z tolerancją do dwóch godzin w obie strony. - Wróciła do swojej pracy. - Ale nie traktuj tego jako zupełnie pewnej informacji. Lekarz, który go pokroi, poda ci dokładniejsze dane. Nie spodziewaj się tylko, że to będzie szybko, bo kostnica jest zapchana po sam sufit.

Tak jakby tego nie wiedział. To tylko w tele-

wizyjnych programach kryminalnych wszystko szło szybko, zaś w rzeczywistości ciągnęło się całymi tygodniami. Zaklął pod nosem, wstał.

Jogo odznaka zabłąsła w słońcu. Robiło się coraz cieplej, więc na chwilę zdjął stetsona, odsłaniając falujące gęste włosy, otarł czoło grzbietem dłoni i nasadził kapelusz z powrotem, naciągając go głęboko na oczy.

Kto cię wysłał do tej sprawy? — zagadnęła bez większego zainteresowania, przygotowując zwłoki do transportu.

Mój własny rodzony szef. Liczymy na to, że morderstwo ma związek z facetem, którego od kilku lat bezskutecznie próbujemy przyskrzynieć. Oczywiście szef wybrał najbardziej doświadczonego ze swoich ludzi. I obdarzonego największą inteligencją - dodał z szelmowskim uśmiechem.

Alice uniosła głowę, zlustrowała wzrokiem potężną sylwetkę i aż gwizdnęła. Jestem pod wrażeniem.
- Akurat - wycodził. - Na tobie nic nie robi wrażenia.

Odwrócił się i podszedł do detektywa z wydziału zabójstw, któremu tym razem towarzyszył jakiś policjant

w cywilu, rozmawiający przez komórkę i na bieżąco przekazujący informacje Budowi Garcii.

- Tak, opis się zgadza, łącznie z tym krukiem na ramieniu. To na pewno on. Przekaż naczelnikowi więzienia moje podziękowania.

Policjant powtórzył to do telefonu, rozłączył się i odszedł, zaś wyraźnie zadowolony Garcia odwrócił się do Brannona.

- Nareszcie coś mamy. Zakład karny pod Floresville zgłosił ucieczkę więźnia, którego opis dokładnie pasuje do naszej ofiary. Gość zwiął wczoraj rano podczas prac poza terenem zakładu.

- Podali nazwisko?

- Tak. Dale Jennings.

To nazwisko Brannon pamiętał doskonale, więc nareszcie zrozumiał, czemu od początku twarz denata wydawała mu się dziwnie znajoma - przecież to on został skazany przed dwoma laty za zamordowanie zamożnego biznesmena z San Antonio. Podobno miał powiązania z Jakiem Marshem i światem przestępczym. Podczas głośnego procesu jego zdjęcia pojawiały się na pierwszych stronach zarówno poważnych dzienników,

jak i zwykłych brukowców. Proces przebiegał w atmosferze skandalu.

Owej feralnej nocy towarzyszyła Jenningsowi Josette Langley, która podczas śledztwa próbowała rzucać oskarżenia na cieszącego się powszechnym szacunkiem Biba Webba, obecnego wicegubernatora Teksasu. Rozgłaszała publicznie, że to on najwięcej skorzystał na śmierci znanego biznesmena. Prawnik Webba zdołał przekonać przysięgłych o niewinności swego klienta, wskazując na Jenningsa jako na rzeczywistego sprawcę oraz podważając wiarygodność Josette Langley, która kilka lat wcześniej próbowała oskarżyć kogoś o gwałt, przy czym udowodniono ponad wszelką wątpliwość, że kłamała. To przesądziło sprawę, przyszły wicegubernator został oczyszczony z wszelkich zarzutów, a za morderstwo wysłano do więzienia Dale'a Jenningsa.

Przebieg wypadków tamtej nocy przedstawiał się następująco: w położonej nad jeziorem posiadłości Biba i Silvii Webbów odbywało się przyjęcie pod gołym niebem. Gospodyni nie było na nim przez jakiś czas, ponieważ odwiozła do domu Josette, gdy ta źle się

poczuła. Silvia jako jedna z ostatnich osób widziała przyszłą ofiarę, gdyż po drodze pomachała na pożegnanie Henry'emu Garnerowi, który niedługo miał wracać do siebie, a który - jak się potem okazało w ciągu paru następnych minut zginął na pomoście.

Kiedy pani domu niedługo potem znowu zjawiła się na przyjęciu, ku swemu zaskoczeniu ujrzała stojący dalej na podjeździe samochód Garnera. Podeszła; był pusty. Po drodze mijała wóz Jenningsa, na siedzeniu pasażera ujrzała zakrwawioną pałkę. Coraz bardziej zaniepokojona zaczęła wypytywać o Garnera swoich gości, a gdy okazało się, że nikt go nie widział od jakiegoś czasu, na wszelki wypadek zadzwoniła na policję, która zabroniła komukolwiek opuszczać posiadłość. Przyjechał patrol, przeszukano okolicę i znaleziono ciało w jeziorze. Wezwano posiłki, detektywów, specjalistów od medycyny sądowej, zbadano cały teren, przesłuchano świadków. Na głowie denata znaleziono ślad po uderzeniu, pasował do zakrwawionej pałki wwozie Dale'a Jenningsa, którego od razu zaaresztowano, choć krzyczał na cały głos, że jest niewinny.

W wieczornych wiadomościach prezydent po-

informował, że śmierć nastąpiła zapewne w wyniku przypadkowego utonięcia, ponieważ według zeznań świadków biznesmen znajdował się pod wpływem alkoholu. Prawdopodobnie stracił równowagę, gdy wszedł na pomost i spadł z niego, uderzając się przy tym w głowę. O aresztowaniu podejrzanego nie padło ani słowo.

Być może ostatecznie rzeczywiście uznano by śmierć Garnera za wypadek, gdyby nie zeznania Josette, która od razu po obejrzeniu wiadomości zadzwoniła na policję. Zaprzeczyła, jakoby Garner pił oraz stwierdziła, że z całą pewnością nie było go nigdzie w pobliżu, gdy szły z Silwią do samochodu, więc żadna z nich nie mogła go widzieć. W dodatku zakwestionowała obecność pałki w wozie podejrzanego. Przyjechała z nim na przyjęcie, więc wie, że żadnej pałki ze sobą nie miał. Jako potencjalnego sprawcę wskazała gospodarza.

Tymczasem Bib Webb miał niepodważalne alibi, ponadto poważnie obciążył Jenningsa, zeznając, że Garner okazjonalnie zatrudniał go w charakterze szofera oraz ochroniarza, lecz w którymś momencie odkrył, że w tajemniczy sposób zaczęły mu ginąć różne rzeczy. Dzień

przed tragicznymi wypadkami miało dojść do awantury między ofiarą a podejrzanym. I rzeczywiście podczas rewizji w mieszkaniu Jenningsa policja znalazła parę złotych spinek do mankietów, ozdobioną brylantem szpilkę do krawata oraz sporą sumę pieniędzy. W dodatku krew na znalezionej w jego samochodzie palce była krwią ofiary, potwierdziły to badania DNA.

Wszystko przeczyło wersji Josette, a już gwoździem do trumny okazała się sprawa przypomniana przez adwokata Biba Webba - otóż kilka lat wcześniej piętnastoletnia wówczas Josette Langley wniosła oskarżenie o gwałt przeciw synowi jednego z najbardziej wpływowych obywateli Jacobsville, który na imprezie u siebie w domu miał podać jej w napoju narkotyk, a potem ją zaatakować. Oskarżenie odrzucono na podstawie orzeczenia lekarskiego, ponieważ badanie rzekomej ofiary wykazało, że do żadnego gwałtu nie doszło.

Te rewelacje skompromitowały Josette jako świadka podczas procesu o zamordowanie Henry'ego Garnera.

- Znasz tę Langley, która pracuje w biurze

prokuratora generalnego, prawda? - spytał nieoczekiwanie Garcia, przywracając Brannona do rzeczywistości.

- Tak, oboje pochodzimy z Jacobsville. Potem przeprowadziła się z rodzicami do San Antonio, a dwa lata temu wyjechała do Austin. Od tej pory jej nie widziałem. - Starał się nie myśleć o tym, jak zerwał z nią na tydzień przed śmiercią Garnera. Ponownie spojrzął na zwłoki. - To wygląda na profesjonalną robotę - skomentował, gdy ciało zabitego stopniowo znikало w zamykanym na suwak czarnym worku. - Jeden strzał pod kątem w potylicę, z bardzo małej odległości. Pewnie wtedy klęczał, bo ma ślady błota na kolanach, takiego jak to. - Trącił czubkiem buta grudkę czerwonego błota.

- Tak, zauważyłem. - Detektyw wskazał ruchem głowy wylot zapuszczonej alejki. - Popatrz, jaki ciekawy przypadek, że dwa kroki stąd jest tylne wyjście z nocnego klubu Marsha.

- Jeśli maczał w tym te swoje brudne paluchy, znajdę sposób, żeby to udowodnić - wycedził zimno Brannon. - Od lat uchodzą mu na sucho morderstwa i próby morderstw, handel narkotykami, sutenerstwo i

prowadzenie nielegalnego hazardu. Najwyższa pora dobrać mu się do skóry.

- Pewnie. Niestety, najpierw musimy mieć niezbite dowody, nie możemy tak po prostu wejść i zaarrestować faceta tylko dlatego, że wiemy, kim jest. A szkoda... - westchnął z żalem Garcia.

- No to bierzmy się do roboty. Ja wracam do biura i dzwonię do Simona Harta zdać mu raport z tego, co już wiemy. - Ponuro zacisnął wargi.

Wścieknie się, jak go znam. Chyba wołałbym sprowokować grzechotnika. Detektyw zachichotał.

- Dobrze powiedziane. - Wskazał na czekający na transport worek. - Kiedy usłyszałeś nazwisko, zrobiłeś minę, jakbyś go znał.

- Bo przypomniałem go sobie.

- Nie wiesz, czy ma jakąś rodzinę?

- Chyba matkę - rzekł z roztargnieniem Brannon, zajęty czymś innym. - Znaleźliście łuskę, prawda? Jaki kaliber?

- Na moje oko dziewięć milimetrów, zobaczymy, co powie laboratorium. Słuchaj - rzekł nagle. - Czy ten cały Jennings nie był parę lat temu skazany za

morderstwo?

- Owszem. To była głośna sprawa, próbowano w to wplątać obecnego wicegubernatora. Mało brakowało, a przegrałby w wyborach, ale kontrkandydat wycofał się w ostatnim tygodniu i Bib Webb dostał fotel. I dobrze, bo to bardzo porządny facet. - Naraz westchnął. - Ech... Miałem w perspektywie nudny, miły miesiąc, niewiele do roboty, a tu nagle wdepnąłem w nieboszczyka i kłopoty z prasą, bo przecież media nie przepuszczą okazji i natychmiast odgrzeją tamtą sprawę o morderstwo sprzed dwóch lat. Cholera, trudno o gorszy moment, to może fatalnie zaszkodzić Bibowi. Jego partia właśnie nominowała go do senatu, bo dotychczasowy senator miał zawał i wycofał się z życia publicznego. Jeśli wokół Webba narobi się za dużo szumu, urząd pewnie obejmie kto inny. Garcia uśmiechnął się niewesoło.

- Takie życie... Człowiek zawsze ma inne plany.

- Święte słowa - przyznał Brannon.

Po powrocie do biura zadzwonił z wieściami do Simona Harta, a godzinę później wchodził na pokład samolotu lecącego do Austin.

Simon Hart przyjął Brannona w swoim wielkim

gabinecie i wysłuchał szczegółowego sprawozdania. Potrzebował tego człowieka w śledztwie, ponieważ Marc Brannon miał specjalne uprawnienia, wymagane podczas pracy przy sprawach, które podpadały pod różne jurysdykcje. Taka komplikacja zachodziła właśnie w tym przypadku, ponieważ Jennings został zamordowany w hrabstwie Bexar, zaś zbiegł z więzienia w hrabstwie Wilson. W ogóle cała ta sprawa przysparzała wielu problemów. Od jakiegoś czasu brakowało sensacji, toteż wyposzczone media tylko czyhały na okazję, by rzucić się na coś i rozdmuchać to do monstrualnych rozmiarów, bo przecież musiały czymś zapełnić dwudziestoczterogodzinne kanały informacyjne i wielostronicowe dzienniki. Potrzebowały świeżego mięsa. Lokalne stacje zdążyły nadać sensacyjną informację już w południowych wiadomościach. Ledwie ciało trafiło do kostnicy, agencje prasowe i ogólnokrajowa sieć telewizyjna trąbiły o tym, że ofiara odsiadywała karę za morderstwo popełnione w Austin dwa lata wcześniej, w które był zamieszany wicegubernator Teksasu Bib Webb. Tak, media kochały skandale polityczne wszelkiej maści.

- Rozmawiałem dziś rano z Webbem przez telefon - rzekł Simon, gdy wezwany do Austin Brannon zdał mu już szczegółowo sprawę ze wszystkiego. - Nie tylko stara się o fotel w senacie, ale też jego firma rozpoczęła realizację dużego projektu pod San Antonio, zupełnie unikatowego. Otóż tworzy kompleks nowoczesnych farm z zupełnie samowystarczalnym systemem nawadniania. Wszystkie rozwiązania technologiczne to prototypy, jeśli się sprawdzą, oznacza to koniec problemów z suszą, czyli wybawienie dla farmerów i ranczerów, dotąd zależnych od kaprysów pogody. Bib zainwestował ciężkie miliony w rozwiązanie problemów innych, ale jeśli stanie się obiektem ataków, cały projekt może upaść. Wally się martwi - ciągnął, mówiąc o gubernatorze. - Kampania przed wrześniowymi wyborami już się zaczyna, a Wally popiera Biba.

- Tak, wiem, jadłem z Bibem lunch w zeszłym tygodniu. Zastanawiam się, czy to możliwe, by ktoś zaaranżował całą sytuację specjalnie, starając się mu zaszkodzić w oczach wyborców? Jak myślisz?

- Czy możliwe? - Simon tylko się uśmiechnął. - Jak najbardziej. Wiesz, jak brudna i brutalna potrafi być

polityka. Z drugiej strony żaden zdrowy człowiek nie popełni morderstwa jedynie po to, by wywołać skandal.

- Po świecie chodzi cała masa niezdrowych ludzi
- przypomniał mu Brannon.

Simon usiadł wygodniej, inaczej ułożył protezę lewej ręki, sięgnął po filiżankę z kawą. Zamierzał zmienić temat, by rozluźnić Brannona przed dalszą częścią rozmowy. Mógł porozmawiać o sprawach prywatnych, ponieważ byli spokrewnieni i pochodzili z Jacobsville, gdzie Simon miał czterech braci, a Brannon ranczo, na którym do niedawna mieszkała jego siostra Gretchen, zanim nie wyszła za jednego z szejków z Bliskiego Wschodu, Philippe'a. Urodziła mu wspaniałego syna, obracała się w najlepszych kręgach.

- Miałaś ostatnio wieści od Gretchen?

- Tak, dzwoni co najmniej raz na miesiąc, żeby się upewnić, czy odżywiam się jak należy. Ma bardzo kiepskie zdanie na temat moich talentów kulinarnych - dodał, uśmiechając się z czułością na wspomnienie ukochanej młodszej siostry.

- Nie tęskni za Teksasem?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Syn i mąż zupełnie

przesłonił jej świat.

Rozumiem... - Simon upił łyk kawy. - Powiedz mi, czemu przestałeś pracować w FBI?

- Znudziło mi się to ciągle życie na walizkach - wykręcił się Brannon. - Po dwóch latach miałem dość.

- Nie rozumiem, czemu w ogóle odszedłeś ze Straży. Cieszyłeś się znakomitą opinią, mogłeś liczyć na awans, a ty rzuciłeś to wszystko, żeby jechać do Waszyngtonu, skąd zresztą w sumie szybko wróciłeś.

Brannon odwrócił wzrok.

- Wtedy wydawało mi się to dobrym posunięciem.

- Które nie miało nic wspólnego z procesem Jenningsa ani z osobą Josette Langley?

Tak mocno zacisnął zęby, że aż go zaboląły.

- Nic.

- Skoro już jesteśmy przy Josette... Ty działasz na terenie San Antonio, ona siedzi w Austin.

Właściwie nie musisz jej więcej widywać, jeśli nie masz ochoty. To znaczy, nie po tym śledztwie, bo włączam ją do sprawy.

Zostało to sformułowane cokolwiek dziwnie.

- Potrafię wykonać swoją robotę niezależnie od tego, z kim przychodzi mi współpracować - wycedził Brannon, patrząc z wyzwaniem w oczach na dalekiego kuzyna.

- W porządku. Ale chyba lepiej będzie, jak cię uprzedzę, że jutro wysyłam ją do San Antonio.

- Co?

- Aktualnie nie mam do dyspozycji innej osoby, która tak dobrze orientuje się w całej sprawie.

- Przecież ona była w to zamieszana! - wybuchnął Brannon, zrywając się na równe nogi.

- Dwa lata temu próbowała zrobić Biba w zamordowanie Garnera!

Simon popatrzył na niego chłodno.

- Siadaj.

Brannon posłuchał, choć niechętnie.

- Jej zdaniem to Jennings został wrobiony, przy czym nie tylko ona tak myśli. - Uniósł dłoń, widząc, jak jego gość już otwiera usta, by zaoponować. - Przyjrzyjmy się interesującym faktom. Jennings był nikim, a mimo to został zaproszony na przyjęcie. Poprzedniego dnia w czasie awantury groził Garnerowi.

Miał powiązania z Jakiem Marshem. Na przyjęciu były dostępne miękkie narkotyki, podawano doprawiony poncz, co przyznał sam gospodarz. Gdyby nie zeznania Josette, ta śmierć zostałaby uznana za nieszczęśliwy wypadek pod wpływem alkoholu. Ale według niej Garner był zupełnie trzeźwy i nie mógł sam spaść z pomostu i utonąć.

- Oskarżyła Biba z powodów osobistych. Po pierwsze nie lubi ani jego, ani Silvii, po drugie była zła na mnie, więc odegrała się, szkodząc mojemu przyjacielowi, gdy tylko nadarzyła się okazja.

- Marc, wiesz przecież, z jakiej rodziny ona pochodzi - przypomniał mu Simon. - Ojciec pastor, matka uczyła w szkółce niedzielnej. To byli bardzo pobożni ludzie, wychowali córkę według religijnych zasad. Ona nie kłamie.

- Wiele dziewcząt pokazuje rogi, gdy tylko wyjdzie z takiego domu - stwierdził z uporem Brannon. - Nie zapominaj, że mając piętnaście lat, bez wiedzy i zgody rodziców wymknęła się na tę szaloną imprezę, czego skutki były opłakane - rzekł z trudem, gdyż wolałby w ogóle do tego nie wracać.

- Wiem. Zresztą w tamtej sprawie też jej wierzę. Pamiętam, co mówiło orzeczenie lekarskie, ale to niczego nie przesądza, prawdopodobnie napastnik był zbyt pijany i dlatego nie zdołał jej zgwałcić. - Napięcie malujące się na twarzy gościa skłoniło go do zmiany tematu. - Dla dobra Webba musimy rozwiązać kwestię tego morderstwa szybko i skutecznie. Brannon odetchnął z ulgą.

- Konieczne - przytaknął. - Bib to wyjątkowo porządny człowiek, no i ma przed sobą wielką przyszłość. Sondaże wskazują, że już wyraźnie prowadzi w wyborach do senatu, a przecież jest dopiero wrzesień.

- Chcesz powiedzieć, że Silvia ma przed sobą wielką przyszłość - skorygował nieco cierpko Simon. - Na litość, ona mu nawet mówi, jak ma się ubierać, stać i trzymać ręce! To ona jest motorem jego sukcesu i obaj doskonale o tym wiemy. Swoją drogą, okazała się wyjątkowo przenikliwa, jak na tak młodą kobietę, która w dodatku nie posiada żadnego porządnego wykształcenia.

- Cóż, mój przyjaciel faktycznie sam z siebie nie byłby aż tak zaradny - przyznał Brannon. - Silvia pomaga mu od samego początku.

- Tak, chociaż jest od niego o wiele młodsza... -
Odchylił się na oparcie fotela. - Jak wspominałem, sprawa musi zostać wyjaśniona tak szybko, jak się da, a nawet szybciej, żeby media odczepiły się od nas.

- Zgadzam się. Zrobię wszystko, co będę mógł. Obiecuję.

- Będziesz pracował z Josette - zarządził twardo Simon. - Choćbyście oboje mieli zacisnąć zęby. Oboje znacie tę sprawę od podszewki. Macie szansę ją rozwiązać.

O ile wcześniej się nie pozabijacie, dodał, ale już tylko w myślach.

Brannon czekał w holu na windę, opierając się o ścianę i przyglądając się zrobionemu z jedwabiu ozdobnemu drzewku. Na listkach osiadła warstewka kurzu, jednej z róż wyraźnie brakowało płatków. Nie miał pojęcia, czemu sztuczne rośliny w urzędach państwowych zawsze musiały wyglądać tak, jakby ich nigdy nikt nie czyścił.

Gong windy wyrwał go z zamyślenia. Brannon oderwał się od ściany akurat w momencie, gdy drzwi rozsunęły się i wyszła z nich kobieta w okularach. Długie

włosy nosiła splecione w warkocz, upięty w zgrabny kok na czubku głowy. Na dwudziestoczoletniej, pozbawionej choćby śladu makijażu owalnej twarzy rysowały się już delikatnie pierwsze zmarszczki. Nieco staromodna szara garsonka pasowała do szarych czółek i blad różowej bluzki, na której połyskiwał wiszący na łańcuszku srebrny krzyżyk wysadzany turkusami. Na sam jej widok Brannona coś ścisnęło za serce.

Wielkie piwne oczy jeszcze pociemniały na jego widok, a pełne usta rozchyliły się gwałtownie, jakby nie spodziewała się go zobaczyć. On też wolałby, żeby nie doszło do tego spotkania, miał nadzieję wymknąć się z budynku, nie wpadając na nią przypadkiem.

- Podobno wróciłeś do San Antonio i znów pracujesz w Straży. - Wzrok Josette spoczął na chwilę na odznace Brannona, potem spojrzała mu w twarz, musiała przy tym nieco zadrzeć głowę, ponieważ nie należała do wysokich osób.

Wbił dłonie w kieszenie, by ukryć, jak je zaciska. Popatrzył na jej ręce, również zaciśnięte, w jej przypadku na aktach, które właśnie gdzieś niosła. Paznokcie miała krótkie i niepomalowane. Popatrzył na ściągniętą twarz i

przypomni ł j  sobie roze smian , gdy ta czyli kiedy  razem na zabawie w college'u Josette. Przypomni ł sobie rozchylone usta, rozradowane spojrzenie i s odki dotyk nagiego cia a, kt re znajdowa o si  pewnego wieczoru w jego ramionach. Przypomni ł sobie niewinno c i nami tno c, z jakimi reagowa a na gor ce pieszczoty, kt rymi j  obsypywa .

- Wracam od Simona - rzek  kr tko, surowo zabraniaj c sobie snucia podobnych wspomnie . - Powiedzia ,  e wyznaczy  ci  do  ledztwa.

- Tak, poniewa  du o wiem o Dale'u.

- Pewnie,  e du o... - wycedzi  z jadowitym sarkazmem.

- No tak, znowu si  zaczyna. Prosz  bardzo, wyrzu  wszystko od razu, nie  a uj sobie. Rzucam fa szywe oskar zenia,  ami  kariery... Kto wie, mo e nawet powoduj  zawieszanie si  komputer w, ale w tej kwestii wyrok jeszcze nie zapad .

Czu  si  zbity z tropu, nie poznawa  jej. Powinna zagry c wargi i wygl da  tak rozpaczliwie, jak przed dwoma laty na sali s dowej, kiedy odbywa  si  proces Jenningsa, a Marc mierzy  j  oskar zycielskim wzrokiem.

Uwiodła go i zabawiła się nim bez skrępowań, cały czas wiedząc doskonale, że jest niezdolna do podjęcia normalnego współżycia. Jakby jeszcze tego było jej mało, omal nie doprowadziła swoimi oskarżeniami do zaareztowania porządnego człowieka. Dalej powinna się wstydzić! Ale tym razem patrzył na inną Josette, silną i doskonale opanowaną kobietę, która nie dawała się nikomu onieśmielić.

- Potrzebne mi są wszystkie możliwe informacje na temat Jenningsa - stwierdził sucho.

- Nie ma sprawy. Wyślę je do biura w San Antonio jeszcze dzisiaj wieczorną pocztą. - Wskazała brodą stos akt. - To są zresztą te dokumenty. Właśnie byłam na dole i skopiowałam je w celu wysłania do was. Chyba że wolisz taszczyć je ze sobą?

- Nie wolę. Zrobiłaś się bardzo kompetentna.

- Prawda? - rzuciła nonszalancko. - Uważaj, Brannon, bo któregoś dnia mogę zostać stanowym prokuratorem generalnym, miałbyś się wtedy z pyszna. A teraz przepraszam, ale jestem zajęta.

Odwróciła się i uszła kilka kroków, gdy padło pytanie:

- Czy Jennings miał jakąś rodzinę?

To ją zatrzymało. Przystanąła, obróciła się nieco, spojrzała na Brannona z ukosa.

- Tak, matkę, częściową inwalidkę. Jest na rencie, choruje na serce. Właśnie straciła dom, bo zadłużyła się przez jakiegoś oszusta, który zdołał ją podejść. W tym tygodniu mają ją eksmitować. - Ciemne oczy aż zwięzły się z furii. - Mąż pani Jennings zmarł już dawno, nie mieli więcej dzieci, więc matka i syn byli ogromnie życzliwi. Tymczasem Dale'a wsadzono do więzienia za morderstwo, którego nie popełnił, podczas gdy sprawca został na wolności i zgarnął fortunę, umożliwiającą mu sfinansowanie kampanii wyborczej i walkę o fotel senatora!

- Ani słowa więcej - zagroził cichym głosem, od którego przebiegł ją dreszcz.

- Bo co? - Uniosła brwi i uśmiechnęła się zimno. Kiedy nie odpowiedział, wzruszyła ramionami. - Mam nadzieję, że przynajmniej ktoś pofatyguje się do biednej pani Jennings, żeby nie musiała dowiedzieć się o śmierci jedyne go syna z wieczornych wiadomości, gdzie jeszcze sobie przy okazji obejrzy, jak wiozą go do policyjnej

kostnicy w foliowym worku.

Cholera, nie spytał, czy ktoś powiadomi matkę ofiary, a powinien. Nie okazał się wystarczająco kompetentny. Cokolwiek Dale miał na sumieniu, jego matka nie była przestępczynią i należało jej się godne traktowanie.

- Zajmę się tym - obiecał.

Spojrzenie Josette złagodniało odrobinę, gdy tak patrzyła na tę robiącą wrażenie, trudną do zapomnienia twarz. Ogarnęła ją melancholia, kiedy uświadomiła sobie, że od samego początku musiał mieć o niej złe zdanie. Gdyby czuł do Josette cokolwiek, nie odszedłby bez słowa pożegnania. Cokolwiek oprócz nienawiści. Nienawidził jej tamtego ostatniego wieczoru. Nienawidził jej jeszcze bardziej, gdy rozpętała burzę wokół śmierci Garnera. Prawdopodobnie mimo upływu dwóch lat dalej czuł nienawiść.

Och, wcale o to nie dbała.

- Dziękuję.

Odwróciła się ponownie i ponownie Brannon rzucił w ślad za nią pytanie:

- Znalazłaś w tych papierach coś, co mogłoby

wskazywać na egzekucję?

Zawróciła.

- Twoim zdaniem ktoś wydał na niego wyrok śmierci?

Skinął głową.

- To profesjonalna robota, żadna tam przypadkowa strzelanina czy napad. Uciekł podczas robót poza terenem zakładu karnego, pewnie przy pomocy współnika, potem pojechał do San Antonio, gdzie skończył z kulą w głowie. Przystawiono mu pistolet do potylicy parę kroków od nocnego klubu największego gangstera w tym mieście.

- Ale po co ktoś miałby to robić? Dale siedział przecież w więzieniu, był nieszkodliwy. Zresztą dałoby się go przecież zabić na miejscu, nie trzeba było mu w tym celu organizować ucieczki.

- Na razie nie znam odpowiedzi na te pytania - przyznał niechętnie.

- Biedny Dale... - Westchnęła. - I biedna pani Jennings.

- Co jest w tych aktach? - Celowo zmienił temat.

- Pełna dokumentacja wszystkich osób, które w

jakikolwiek sposób kontaktowały się z nim, gdy odsiadywał wyrok oraz dossier członków mafii, z którymi mógł mieć ewentualnie jakieś powiązania. Oczywiście przesłuchamy każdego.

- Czemu właściwie wybrałaś taki zawód?

- spytał nagle.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Ponieważ zbyt wiele niewinnych osób zostaje skazanych, a zbyt wielu przestępców chodzi na wolności.

Zesztywniał, gdyż insynuacja była aż nazbyt wyraźna.

- Jennings nie był niewinny. Miał związki z mafią i kryminalną przeszłość - przypomniał.

- Miał sprawę o ciężkie pobicie i to tylko raz - skorygowała. - Wielka mi sprawa. Nastolatek upija się, wdaje się w bójkę i zwija go policja. Nawet go nie zamknęli, przez rok był pod nadzorem kuratorskim, to wszystko. Niestety, głupi młodzieńczy wybryk oraz kontakty z Marshem zaszkodziły mu podczas procesu o zamordowanie Garnera.

- Nie tylko, znalazło się jeszcze parę innych czynników obciążających - odparował. - Na przyjęciu był

zupełnie trzeźwy, zbadano go alkomatem, ani kropli nie wypił. Ciekawe. Był trzeźwy, młody i silny, z łatwością mógł ogłuszyć pałą starszego człowieka i wepchnąć do wody, wiedząc, że to załatwi sprawę. Tam jest ponad sześć metrów głębokości, wystarczyło aż nadto.

- Potrzebny jest jeszcze motyw...

- Garner był mu winien pieniądze, a nie chciał wypisać czeku. Sam Jennings tak zeznał - przypomniał z nieprzyjemnym uśmiechem.

- Pokłócili się, Garner wylał go z roboty. Na pomoście mogło dojść do kolejnej kłótni i nie wiesz, czy tak się nie stało, bo znajdowałaś się wtedy gdzie indziej. W dodatku w stanie wskazującym na spożycie, nieprawdaż? - dodał z drwiną.

Josette wciąż wstydziła się, że okazała się na tyle głupia, by pić poncz hojnie zaprawiony wódką. Nie przywykła do mocnych alkoholi więc faktycznie potem trochę kręciło jej się w głowie. Ponieważ kilka lat wcześniej nieświadomie wypła na imprezie sok z dodatkiem LSD i potem omal nie została zgwałcona, to po tych dwóch wypadkach nie piła niczego, co nie pochodziło z absolutnie pewnego źródła.

- Nie byłam, zupełnie trzeźwa. - przyznała z poczuciem winy. - Ale też nie upiłam się kompletnie, chociaż tak twierdziła Silvia, tłumacząc w ten sposób, czemu nie widziałam Garnera, kiedy szliśmy do samochodu. Ona go podobno zobaczyła i pomachała mu. Tylko że nic takiego nie miało miejsca.

- Nie przypominam sobie, żebyś to zeznała podczas procesu.

- W ogóle nie zdążyłam zbyt wiele zeznać, chociaż wezwano mnie na świadka. Starłam się powiedzieć, że Dale nie przywiózł w samochodzie żadnej pałki na przyjęcie. Że nie widziałam nie tylko Dale'a, ale również i pani Webb w chwili, gdy najprawdopodobniej popełniono morderstwo, co nastąpiło, zanim - zanim! - Silvia odwiozła mnie do domu. Ale oskarżyciel rozszarpał mnie na strzępy dzięki twojej jakże pomocnej sugestii, by wywlec na światło dzienne moje zeznania w sprawie o gwałt, gdy miałam piętnaście lat. Myślałam, że jesteś po mojej stronie, że chcesz mi pomóc... - Uśmiechnęła się gorzko. - Przyjaźniłeś się z moim ojcem. Nauczyłeś mnie tańczyć i jeździć konno. Chodziliśmy ze sobą przez kilka miesięcy przed śmiercią

Garnera... - Te wspomnienia nadal ją bolały. Sądziła wtedy naiwnie, że byli w sobie zakochani, ale uczucie okazało się jednostronne. - To wszystko jednak nie miało dla ciebie znaczenia, prawda? Założyłeś, że kłamię, by wrobić Webba. Ani przez chwilę w to nie wątpiłeś.

- Bib Webb jest jednym z najuczciwszych ludzi, jakich znam - wycedził lodowato.

- Nawet uczciwi i porządni ludzie potrafią znaleźć się w sytuacji, która popycha ich do jakiegoś szalonego czynu, zwłaszcza jeśli są zdesperowani lub czymś odurzeni - przekonywała z żarem. Po raz pierwszy rozmawiali o tym, co się stało, w dodatku Marc wydawał się jej słuchać, nawet jeśli jej nie dowierzał. - Ty powinieneś doskonale o tym wiedzieć.

- Daruj sobie, i tak mnie nie przekonasz - uciął niecierpliwie.

Pokiwała głową.

- Tak, spodziewałam się tego. Właściwie nie wiem, czemu zadaję sobie trud. - Odwróciła się i rzuciła już przez ramię: - Jak powiedziałam, akta wyślę wieczorną pocztą, żeby żadne z nas nie musiało ich wozić ze sobą. Jeśli masz jakieś pytania, będę tu w biurze

jutro rano. Do San Antonio przyjadę wieczorem, zatrzymam się w hotelu „Madison”.

- Jeśli będę miał jakieś pytania, to jesteś ostatnią osobą, do której się zwrócę - warknął, wytrącony z równowagi tym spotkaniem i całą rozmową. - Twoje informacje są nic nie warte, bo nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Nic nowego, prawda? - Zaśmiała się. - Ale twoja opinia o mnie niczego nie zmienia. Kompletnie niczego. Jest mi doskonale obojętne, co sobie myślisz na mój temat, Brannon. Spróbuj się do tego przyzwyczaić.

Odeszła korytarzem, odprowadzona spojrzeniem Brannona, który aż gotował się ze złości. Nie miała choćby odrobiny wstydu! Dalej nie chciała się przyznać, że kłamała, że celowo wrabiała jego przyjaciela, by ratować faceta, z którym tamtego wieczoru umówiła się na randkę.

Pomyślał o jej ojcu, pastorze, którego proces o zgwałcenie córki okrył hańbą w ich małym miasteczku. Pomyślał o jej matce, która wylewem i śmiercią przypłaciła skandaliczny udział Josette w procesie Jenningsa. I pomyślał o ich ostatniej randce, kiedy

najpierw doprowadziła go do stanu niewiarygodnego wręcz podniecenia, a potem musiał przestać, bo Josette okazała się niezdolną do współżycia seksualnego dziewicą. Zaaranżowała całą sytuację, by bawić się jego kosztem, by go dręczyć - tak to wtedy odebrał. W miarę upływu czasu jednak stopniowo zmieniał zdanie. Nie, chyba raczej nie zrobiła tego specjalnie, wydawała się równie zaangażowana jak on. Kto wie, czy nawet nie bardziej? Ale tej drugiej rzeczy - wściekłego, mściwego ataku na jego najlepszego przyjaciela - zapomnieć i wybaczyć nie mógł, chociaż się starał.

Z ociąganiem wcisnął guzik od windy, by zjechać na parter. Źle się czuł z tymi wszystkimi niedopowiedzianymi sprawami, które spiętrzyły się między nimi. Chciałby... Westchnął. Może po prostu chciałby posiedzieć i trochę na nią popatrzeć. Sam jej widok odnowił stare rany, lecz także w jakimś stopniu ogrzał jego serce.

Odwrócił się plecami do windy i ruszył w głąb korytarza.

ROZDZIAŁ TRZECI

Simon uważnie przyjrzał się Josette, która położyła na jego biurku plik dokumentów.

- Wiem, że to może być dla ciebie bolesne - odezwał się cicho. - Przecież dwa lata temu spotykałaś się z Jenningsem.

- Łączyła nas tylko czysta sympatia - zapewniła go. - Bardzo mi żal, że zginął, w dodatku w taki sposób. Nigdy go nie podejrzewałam o zamordowanie Garnera.

- I zapłaciłaś wysoką cenę, próbując go bronić - rzekł z powagą.

- Tak, ale zrobiłabym to jeszcze raz. Dale był niewinny, został wrobiony. Nie rozumiem jednak, czemu w ogóle nie walczył o uniewinnienie. Miałam wrażenie, jakby się poddał w momencie, kiedy wszedł na salę sądową...

- powiedziała w zamyśleniu.

- Nie widziałaś może po drodze Brannona? - zagadnął nagle.

Serce podskoczyło jej w piersi.

- Widziałam. - Zmusiła się do beztróskiego

uśmiechu. - Wciąż nie wierzy, by jego przyjaciel mógł być zamieszany w cokolwiek. Właśnie to nas zantagonizowało podczas procesu Dale'a. Marc potrafi być bardzo lojalny wobec przyjaciół, tego nie można mu odmówić.

- Aż za bardzo. Traci obiektywizm.

- Teraz to już bez znaczenia, bo wszyscy, którzy mieli na tym ucierpieć, ucierpieli - stwierdziła filozoficznym tonem. - Aktualnie musimy rozpracować kolejne morderstwo.

Zaprosił gestem, by usiadła.

- Chciałbym poznać twoje zdanie na jego temat.

Josette przysunęła sobie krzesło, usiadła, założyła nogę na nogę, w zamyśleniu ściągnęła brwi. Wciąż wszystko się w niej trzęsło po spotkaniu z Brannonem, ale emocje nie przytępiły jej zdolności analitycznych.

- Z zebranych przeze mnie informacji wynika, że Dale ma owdowiałą i schorowaną matkę, która niedawno padła ofiarą naciągacza. Straciła wszystkie oszczędności i dom, w tym tygodniu nastąpi eksmisja. Dale o tym wiedział, więc może starał się w jakiś dostępny sobie sposób zdobyć pieniądze dla matki?

- Podejrzewasz, że uciekł się do szantażu, a ofiara wynajęła zabójcę, by ten usunął Dale'a?

Skinęła głową.

- Oczywiście to tylko przypuszczenie. Jennings mógł jednak znać fakty obciążające kogoś, na przykład Webba. Gdyby zażądał zapłaty za swoje milczenie, Webb mógłby się przestraszyć, ponieważ ma ogromnie dużo do stracenia, jeśli zostanie zamieszany w kolejny skandal. Fotel senatora zapewne by przepadł.

- Do tego jest wicegubernatorem i odnoszącym sukcesy biznesmenem. Interesy też mogłyby ucierpieć, gdyby coś wyszło na jaw.

- Odniósł sukces w biznesie w dużej mierze dlatego, że zgarnął pieniądze swego partnera - stwierdziła twardo.

- Tak, pamiętam, że Garner był bezdzietnym wdowcem i zapisał wszystko Webbowi.

- Który to wykorzystał... Kupił znakomicie prosperujący koncern rolniczy, a z zysków finansuje sobie kolejne kampanie polityczne. Gdy dwa lata temu został wicegubernatorem, wiele osób twierdziło, że udało mu się, ponieważ opłacił czarny PR, który wywlekał

prawdziwe i rzekome brudy na temat jego kontrkandydata, w końcu zmuszając go do wycofania się z wyborów.

- Nigdy tego nie udowodniono - przypomniał jej Simon.

- Wiem. Ciekawe, że parokrotnie przewinęło się przy tym nazwisko Marsha... A teraz Webb ma wielkie szanse dostać się do senatu. To wschodząca gwiazda.

- Twoja koncepcja ma pewną lukę. Mordercy zazwyczaj nie poprzestają na jednym morderstwie, o ile nie działają w afekcie.

- Webb do tej pory nie miał powodu, by usunąć kolejną osobę, ponieważ nikt nie stał mu na drodze. Jeśli Dale zdobył coś na niego, jakiś dowód na popełnienie przestępstwa, to co uczyniłby człowiek znajdujący się na miejscu Webba?

- Nie wiem, czy od razu by zabijał. Sądzę, że najpierw sprawdziłby, czy taki dowód rzeczywiście istnieje, czy szantażysta nie blefuje.

- Zastanawiam się, co mogłoby być takim obciążającym dowodem. Samego morderstwa nikt nie widział, cała sprawa omal nie uszła za wypadek.

Praktycznie uznano to za morderstwo tylko z powodu tej pałki, którą podrzucono Dale'owi. On jednak przyznał się do niej i nie wskazał innego winnego... - zastanawiała się na głos. - Nie, jeśli rzeczywiście szantażował Webba, nie mogło chodzić o Garnera, lecz o coś innego, co Webb popełnił. Niestety, teraz to my musimy znaleźć ten brakujący dowód, inaczej śmierć Dale'a, i tak niepotrzebna, zupełnie pójdzie na marne.

- No to masz zadanie do wykonania. Będziesz ściśle współpracować z Brannonem.

Żadnych „ale”! - ostrzegł, gdy już otwierała usta, by zgłosić protest. - Wiem, zalazł ci za skórę, w dodatku sam też nerwowo na ciebie reaguje, nie zmienię jednak zdania. Po pierwsze, jesteś uprzedzona do Webba, więc nieobiektywna, a Marc dostarczy potrzebnej przeciwwagi. Po drugie, to jeden z najlepszych oficerów śledczych, jakich znam. Po trzecie, jeśli w sprawę jest zamieszany Jake Marsh, a tak właśnie sądzę, dochodzenie może stać się niebezpieczne. Będę spokojniejszy, gdy będziesz miała przy sobie Brannona, nikt tak szybko nie wyciągnie broni jak on, pobił w tym nawet mojego brata Reya.

- Przecież Rey wygrał w ogólnokrajowych zawodach w strzelaniu do rzutek!

- Dalej wygrywa, teraz nawet i w międzynarodowych. - Simon podniósł się z fotela. - Zachowaj naszą rozmowę dla siebie. Webb przyjaźni się z gubernatorem i ma potężnych popleczników. Nie chcę, żeby ktokolwiek w San Antonio miał kłopoty. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa, o które podejrzewamy znanego gangstera. Kropka.

- Dobrze, zachowam pełną dyskrecję.

- Mam nadzieję, że zdołacie zdobyć coś na Marsha. - Nagle uśmiechnął się krzywo. - Im szybciej, tym lepiej, bo ja tu zwariuję, kiedy Phil Douglas przejmie twoje obowiązki.

- To miły chłopiec i znakomity specjalista od wykrywania przestępstw popełnianych w cyberprzestrzeni - broniła kolegi Josette.

- To maniak komputerowy, który marzy o zostaniu superbohaterem. Doprowadzi mnie do rozstroju nerwowego.

- W końcu jesteś tu szefem - przypomniała mu. - Wyślij go w delegację.

- Świetna myśl. Zawsze byłem ciekaw, jak wygląda system komputerowy na policji w Mała Suerte.

- O ile dobrze pamiętam, Mała Suerte leży przy samej granicy i liczy sobie szesnastu mieszkańców, z których prawie żaden nie mówi po angielsku. Wiesz, Phil nie zna języków obcych.

Simon tylko się uśmiechnął.

- Aha. To ja już sobie pójdę. Będę cię regularnie informować o wszystkim.

- Koniecznie.

Skinęła głową, zabrała swoje akta i wyszła, a za drzwiami uśmiech znikł z jej twarzy niczym zdmuchnięty. Niespodziewana konfrontacja z Brannonem wykończyła ją zupełnie, więc marzyła już tylko o tym, by wrócić do domu, wyciągnąć się na kanapie i w towarzystwie Barnes'a obejrzeć stary, dobry, czarno - biały film. Niestety, zamiast tego trzeba będzie się pakować i zbierać siły na powrót do San Antonio, gdzie nie tylko musiała rozwiązać zagadkę morderstwa, ale też zmierzyć się z przeszłością.

W progu swojego pokoju stanęła jak wryta. Za jej własnym biurkiem, na jej własnym obrotowym fotelu

siedział sobie wygodnie Marc Brannon. Jasny stetson spoczywał na jednym z krzeseł dla gości, a lśniące brązowe buty z cholewami... na blacie biurka Josette. Poczła dziwną słabość drugi raz w ciągu niecałej godziny, ponieważ niezależnie od tego, co się wydarzyło, nadal reagowała na niego jak nastolatka na widok ubóstwianego idola. Rozzłościła się na samą siebie. Jak mogła być tak nieodporna na człowieka, który złamał jej życie? Jego gniewne słowa sprzed dwóch lat wciąż boleśnie raniły dumę Josette.

- Chyba miałeś wyjść? - spytała zimno. - W dodatku nie przypominam sobie, że bym cię zapraszała do mojego biura - dodała, zamykając za sobą drzwi.

- Uznałem, że nie potrzebuję zaproszenia, w końcu jesteśmy partnerami - odparł, przyglądając jej się tymi swoimi szarymi, błyszczącymi oczami.

- Nie ja to wymyśliłam - zareplikowała natychmiast.

Położyła akta na stole obok długich nóg Brannona i popatrzyła na niego z góry. Jego twarz nie zmieniła się, odkąd widzieli się po raz pierwszy dziewięć lat wcześniej, lecz w gęstych włosach pojawiły się pierwsze

srebrne nitki.

- Twoim zdaniem Bib Webb wynajął zabójcę do sprzątnięcia Jenningsa, tak?

- Ktoś wynajął - skorygowała. - Nie mam zwyczaju wyciągać pochopnych wniosków.

- Insynuujesz, że ja mam? - wycodził. Nawet się z tym nie kryjąc, obejrzał ją sobie od stóp do głów i nagle ściągnął brwi, gdyż uświadomił sobie, że zaczęła ubierać się jak stara panna. Co tylko dało się zakryć, zostało zakryte. Różowa bluzka miała wysoką stójkę, żakiet był na tyle luźny, że ledwie dawało się odgadnąć kształty figury. Spódniczka też nie była obcisła, tylko rozkloszowana. Włosy spięte w kok, zero makijażu. Tego ostatniego zresztą nie potrzebowała, gdyż mogła się poszczycić idealną cerą oraz naturalnie różowymi ustami.

- Nie musisz mnie tak oceniać, nie jestem na sprzedaż - zauważyła z kamienną twarzą. - Właśnie byłam u Simona i przedstawiłam mu swoją teorię.

- Chętnie i ja ją usłyszę.

- Najpierw zdejmij swoje brudne bucioro z mojego biurka i zacznij mi okazywać choćby pozory szacunku ze względów zawodowych.

Zaśmiał się cicho, zdjął nogi ze stołu, wstał i szarmanckim gestem wskazał Josette jej własny fotel, a sam usiadł na krześle. Z westchnieniem zajęła miejsce za biurkiem. A tak chciała już iść do domu! Teraz to nieprędko nastąpi.

- Nie krępuj się - rzucił zachęcająco.

- Jak już ci wspominałam, matka Jenningsa znalazła się w poważnych kłopotach. Nie dość, że jest wdową, to jeszcze ma słabe zdrowie i żyje z nędznej renty. A niedawno padła ofiarą sprytnego oszusta, który podał się za agenta federalnego, przekonał ją, że nie zapłaciła kiedyś należnych podatków, od nich narosły odsetki, więc teraz musi wszystko oddać. No to oddała całe oszczędności.

- Co za cholerne draństwo! - wybuchnął. Ten wybuch gniewu poruszył ją. Brannon pomimo całej swojej bezczelności miał bardzo dużo współczucia dla wszystkich, którym się w jakikolwiek sposób nie powiodło. Widziała swego czasu, jak próbował pomagać ludziom żyjącym na ulicy, ba, nawet starał się pomóc chłopakowi, którego sam zaaresztował.

- Kiedy zorientowała się, że tak naprawdę nikt

nie domaga się od niej żadnych zaległych podatków, było za późno - ciągnęła. - Niektórzy ludzie, niestety, tacy są. Wierzą we wszystko, co im się powie.

- A co z jej domem?

- Od lat regularnie spłacała kredyt, za rok zostałyby właścicielką. Kiedy zaczęła zalegać ze spłatami, bank zajął nieruchomość. Pani Jennings musiała się przenieść do przytułku, a w tym tygodniu ma ostatecznie stracić dom. Postaw się w położenie Dale'a - zaproponowała nagle. - Jesteś w więzieniu, twoja matka znajduje się w tragicznej sytuacji, ty nie możesz jej pomóc.

Pomyślał o swojej matce, która również była wątłego zdrowia i zmarła jako inwalidka. Zacisnął wargi w wąską linię.

Josette widziała, że zrozumiał, ponieważ sama też doskonale pamiętała panią Brannon.

- Na razie nie wskazuję nikogo palcem i nie wymieniam żadnych nazwisk - zastrzegła się. - Mówię tylko, że ktoś pomógł Dale'owi w ucieczce. To po pierwsze. Po drugie, musiał istnieć dowód świadczący o przestępstwie jakiejś zamożnej osoby. Dowód na tyle

dobry, że nadający się na narzędzie szantażu.

- W każdym zakładzie karnym są więźniowie, którzy zabijają na zlecenie pomimo obecności strażników - przypomniał jej. - Jenningsa dałoby się uciszyć za kratkami, nie trzeba było wyciągać go na wolność.

- Może ułatwiono mu ucieczkę po to, by zjawił się osobiście i pokazał, że naprawdę ma ten dowód, że to nie blef? - Pochyliła się ku niemu nad biurkiem. - A jeśli Dale nie wziął tego czegoś ze sobą i wynajęty zabójca nie przy nim nie znalazł?

- Tego nie wiemy. Przy zwłokach nie było zupełnie nic, nawet scyzoryka. Gdyby nie informacja o zbiegłym więźniu, moglibyśmy się bujać tygodniami z ustaleniem tożsamości ofiary. Pokiwała głową.

- Czyli albo morderca zabrał dowód ze sobą i pewnie zniszczył, albo to coś ocalało i znajduje się najprawdopodobniej w posiadaniu osoby, która pomogła Dale'owi w ucieczce. Czyli nadal może zostać użyte przeciw przestępcy. A jeśli to Marsh?

- Ktokolwiek to jest, zrobi wszystko, by znaleźć obciążające go materiały.

- To znaczy, że może dojść do kolejnego

morderstwa, jeśli nie zdążymy w porę rozwikłać sprawy.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Wiele się nauczyłaś w ciągu tych paru lat.

- Simon mnie wszystkiego nauczył. Jest naprawdę bardzo dobry.

- Nie wspomniałaś dotąd ani słowem o Webbie - zauważył.

- Ponieważ nie rzucam na nikogo bezpodstawnych oskarżeń, jak już ci mówiłam. Podchodzę do tej sprawy bez żadnych uprzedzeń i koncepcji, z zupełnie otwartym umysłem. Najpierw trzeba przeprowadzić dogłębne dochodzenie. Przekażę wszystkie zebrane przeze mnie informacje prokuratorowi okręgowemu, potem chcę porozmawiać z osobami, które mogą mieć w tej sprawie najwięcej do powiedzenia, czyli z panią Jennings, z technikami, którzy badali miejsce zbrodni, z naczelnikiem zakładu karnego pod Floresville, ze współwięźniami Dale'a oraz ze wszystkimi, którzy do niego telefonowali lub pisali.

Obserwował ją coraz baczniej, mrużąc oczy.

- Czemu ubierasz się, jakbyśmy nadal mieli lata pięćdziesiąte?

- Ubieram się jak specjalistka pracująca w biurze prokuratora generalnego - odparła, zupełnie niespeszona.

- Powiedziałaś ci o moich planach. Co ty zamierzasz zrobić?

- W pierwszej kolejności udam się do pani Jennings, później postaram się dowiedzieć czegoś o tym płatnym zabójcy.

Uniosła brew.

- Rozumiem, że jesteś w świetnej komitywie z Marshem i jego chłopcami?

Wstał.

- Mam swoich informatorów, co pewnie na jedno wychodzi.

- Czy ktoś przesłuchał już Marsha w sprawie ciała znalezionej prawie na progu jego klubu?

- Nie ma go w mieście. Ale dyrektor klubu sprawiał wrażenie wstrząśniętego. - Jego mina wskazywała, że oczywiście w to nie wierzył.

Rozmawiając, myślał jednocześnie o tym impulsie, który kazał mu zawrócić i przyjść do jej biura, chociaż zamierzał udać się prosto na lotnisko. Dwa lata. Dwa lata, a ona wciąż nie dawała mu spokoju... Czy

czułą do niego nienawiść? Gretchen twierdziła, że nie, lecz Josette nauczyła się bardzo dobrze ukrywać swoje uczucia. Chciał ją zaskoczyć i w ten sposób zmusić do tego, by się odkryła, lecz nie doczekał się takiej reakcji, jakiej się spodziewał. Ani takiej, na jaką po cichu miał nadzieję.

Wstała z gracją, którą przejawiała już jako nastolatka. Nie mogła uchodzić za piękność, twarz miała dość zwyczajną, za to jej inteligencja, pogoda, pełna słodczy natura... Pełna słodczy? Przypomniał sobie, jak pod przysięgą mówiła kłamstwa obciążające jego przyjaciela i natychmiast sposepniał.

Nic sobie nie robiąc z tej nieprzystępnej miny, Josette obesza biurko i stanęła przed Brannonem.

- Ja podchodzę do tej sprawy bez żadnych uprzedzeń, więc i ty nie możesz ich mieć. - Wskazała na odznakę Strażnika. - Wiem, ile to dla ciebie znaczy. Moja praca jest dla mnie równie ważna. Skoro mamy działać wspólnie, to musimy zacząć od teraz, więc żadnych więcej kąśliwych komentarzy na temat przeszłości. Próbujemy znaleźć sprawcę odkrytego dziś morderstwa, a nie wracamy do starej sprawy sprzed

dwóch lat. Co było, to było. Kropka.

Szare oczy, i tak już ledwo widoczne spod ronda nasadzonego nieco na bakier kremowego stetsona, jeszcze się zwężyły. Do momentu, gdy ją znów zobaczył, Marc nawet nie był świadomy, jak puste stało się jego życie po ich rozstaniu. To on wszystko zepsuł, ba, robił to dalej, nic więc dziwnego, że jednak żywiła do niego urazę. Trudno ją za to winić...

- W porządku - rzekł wreszcie. Skinęła głową.

- Będę cię na bieżąco informować o wszystkim, czego się dowiem, oczywiście jeśli i ty zrewanżujesz się podobną grzecznością.

- Grzeczność - powtórzył, jakby próbował zrozumieć to słowo. - Jakiś nowy wynalazek.

- Dla ciebie na pewno - zgodziła się z błyskiem w oku. - Zdaje się, że kiedy ostatnim razem odwiedziła cię siostra na ranchu w Jacobsville, poturbowałeś dwóch tajniaków, gdy weszli na twój teren. Chciano cię zaaresztować za napaść i utrudnianie pracy służbom specjalnym.

- Zwykle nieporozumienie. Kiedy wspomniałem, że prokurator generalny jest moim kuzynem, wszystko

się wyjaśniło - rzekł z tym swoim nieco ironicznym poczuciem humoru, które tak kiedyś u niego lubiła.

- Simon postępuje podobnie. Gdy chce kogoś zastraszyć, powołuje się na koneksje z bogatym szejkiem.

Nachylił się.

- Ja też - wyznał konfidencjonalnie z łobuzerskim uśmiechem. - Szwagier okazał się wyjątkowo przydatny.

To był uśmiech dawnego Brannona, tego, którego kochała całym sercem, dlatego sama uśmiechnęła się również, a wtedy jej dość zwyczajna twarz rozpromieniła się i odmieniła w mgnieniu oka. Na ten widok na chwilę zaparło mu dech.

- Gdy się natknę na jakichś nieskorych do współpracy urzędników, też się na niego powołam, przecież to również moja rodzina.

- Faktycznie. Zapomniałem, że jesteśmy spowinowaceni.

- Tak, przez czyjeś małżeństwo, które miało miejsce dawno temu. - Podeszła do drzwi, by je otworzyć. - Przylatuję jutro wieczorem, postaram się umówić z panią Jennings na pojutrze.

Słuchał jednym uchem, przyglądając jej się i jednocześnie widząc ją we wspomnieniach - piętnastoletnią, drżącą pod policyjnym kocem i dwudziestodwuletnią, drżącą z podniecenia w jego ramionach. A potem przypomniał sobie słowa, jakie rzucił jej w twarz. Tego ostatniego wspomnienia nienawidził.

Odwróciła się od drzwi i ujrzała, jak Brannon wpatruje się w nią z bezbrzeżną goryczą.

- Ja też cię nie lubię - wycedziła. Wzruszył ramionami.

- Nie zależy mi - skłamał.

- Tobie w ogóle prawie na niczym nie zależy.

Nie odpowiadając, skinął głową na pożegnanie i wyszedł, zaś Josette została sama w pokoju, słuchając oddalających się kroków. Dopiero wtedy poczuła, jakie dzikie harce wyprawiało jej serce. Starając się uspokoić, zawróciła do biurka i popatrzyła na stos akt. Przynajmniej mogła zająć się pracą i odwrócić uwagę od bolesnych spraw.

Wieczorem zwinęła się na kanapie w towarzystwie Barnes'a, głaszcząc go po gęstym, mięciutkim

futrze, on zaś mrucał z ukontentowaniem. Na czas pobytu w San Antonio musiała zostawić go w pensjonacie dla zwierząt, co wcale jej nie odpowiadało, lecz nie znała w Austin nikogo, kogo mogłaby poprosić o taką przysługę. Włączyła telewizor, by obejrzeć program kryminalny, lecz nie mogła się skupić. Jej myśli pobiegły do tamtego feralnego wieczoru, który kosztował Dale'a utratę wolności.

Poznała Dale'a w swojej ulubionej kawiarence przy kampusie, do której on też często wpadał. Jeździł nowiutkim sportowym samochodem, był towarzyski i czarujący, znał Biba Webba, pomagał mu nawet prowadzić kampanię wyborczą, gdy ten ubiegał się o fotel wicegubernatora. Dotrzymywał Josette towarzystwa, odkąd rozstała się z Brannonem i zaprosił ją na przyjęcie do Webbów do ich rezydencji, która znajdowała się nad prywatnym jeziorem. Po przeciwnej stronie jeziora mieszkał Garner, który ogromnie sobie cenił przyjaźń z Webbami, gdyż dzięki nim mniej dokuczała mu samotność.

Josette zdziwiła się, jak ktoś taki jak Dale mógł zostać zaproszony na przyjęcie w kręgach śmietanki

towarzyskiej i spytała go o to wprost. Odparł ze śmiechem, że chociaż jest zaledwie szoferem i ochroniarzem Garnera, to zaprosiła go sama Silvia Webb, dodając, że może też przywieźć przyjaciółkę, jeśli ma ochotę, Josette łączyła z Silwią luźna znajomość, gdyż tamta parę razy zjawiała się w kawiarni, by zobaczyć się z Dale'em. Spotykał się też tam z nim pewien wysoki, trochę podejrzanie wyglądający człowiek, który jednak nigdy nie został Josette przedstawiony.

Ucieszyło ją to zaproszenie, gdyż liczyła na obecność Brannona na przyjęciu. Zamierzała pokazać mu się w towarzystwie innego mężczyzny i wywołać w nim zazdrość, a gdyby sprawy poszły po jej myśli, to może powiedziała mu nawet... Ale ku swemu wielkiemu rozczarowaniu nie zastała Marca u Webbów.

Na jej widok na pięknej twarzy Silvii najpierw pojawiło się rozbawienie, potem coś w rodzaju zaciekawienia, a na koniec chłodna grzeczność. Przedstawiła gości mężowi, ten zaś zlustrował Josette zaskoczonym spojrzeniem, po czym spytał, czy jest misjonarką. Wszystko dlatego, że jej wieczorowa suknia niewiele odsłaniała, a pod szyją miała wysoką stójkę.

Josette poczuła się dotknięta tą uwagą ewidentnie podpitego pana domu. Nieopodal stała jak trusia drobna brunetka, z uwielbieniem wpatrując się w Webba. Silvia ignorowała ją konsekwentnie.

Dale roześmiał się z dowcipu gospodarza, co wcale nie nastroiło Josette do niego przychylnie. Potem pani domu zaprowadziła ich do siwiejącego mężczyzny o łagodnym spojrzeniu, ubranego w ciemny garnitur. To był Henry Garner. Przedstawiła mu Josette, a gdy ci dwoje się witali, pociągnęła Dale'a gdzieś w tłum gości i znikła.

Pan Garner okazał się przemiłym człowiekiem, posiadającym takie samo poczucie humoru jak Josette. Polubiła go od razu, zwłaszcza gdy zauważyła, że pił słabe piwo imbirowe, a nie żaden mocny alkohol. Gdy zwierzyła mu się z tego, jak surowo została wychowana, z uśmiechem pokiwał głową. Znaleźli sobie ciche i ustronne miejsce, w którym mogli spokojnie pogawędzić, podczas gdy wokół nich przyjęcie rozkręcało się coraz bardziej.

Bib tańczył z drobną brunetką, patrząc na nią z dziwnym skupieniem. Coś powiedział, a na twarzy

dziewczyny odbił się niepokój. Webb rozejrzał się dyskretnie, po czym przyciągnął ją bliżej do siebie. Wyglądała na wniebowziętą, on zaś miał zamknięte oczy i boleśnie ściągnięte brwi.

Pan Garner spostrzegł, jak Josette przygląda się tej parze, więc odwrócił jej uwagę, wspominając o zbliżającej się kampanii wyborczej i pytając, kogo popiera. Potem zaproponował coś do picia. Wyraziła ochotę na poncz, który kusił przepięknym czerwonym kolorem. Henry zachichotał i rzekł, że on ponczu nie tknie, a ona nie spytała, dlaczego, ponieważ cały czas przeżywała ogromne rozczarowanie z powodu nieobecności Brannona, któremu nie mogła udowodnić przy pomocy Dale'a, że wcale nie złamał jej serca.

Chociaż złamał.

Podeszła do stolika, na którym czekała wielka waza z ponczem, tymczasem Garner skinął na Webba i jego partnerkę. Powiedział coś do nich ostro, wyraźnie podnosząc głos. Gospodarz próbował zatuszować zakłopotanie uśmiechem, brunetka oddaliła się natychmiast. Ta mała scena na moment zaintrygowała Josette, lecz po chwili zapomniała o niej. Kelner nalał jej

szklanke ponczu, dodał lodu. Zajęta rozważaniami o Brannonie, z roztargnieniem wypila prawie połowę, nim dotarło do niej, jak mocny trunek jej podano. Z miejsca uderzył jej do głowy, ponieważ nie przywykła do takich alkoholi. Rozejrzała się bezradnie w poszukiwaniu Dale'a, lecz nigdzie go nie dostrzegła, za to zainteresowali się nią dwaj podstarzali mężczyźni. Szukając bezpiecznej przystani, wróciła do pana Garnera, lecz już go nie było.

Zamiast niego natknęła się na gospodarza, który siedział na ogrodowym fotelu w towarzystwie brunetki. Siedziała obok, trzymała dłoń na jego dłoni i mówiła coś z dużym przejęciem. Wyglądał na znacznie bardziej trzeźwego niż przedtem i zdawał się dźwigać na barkach jakiś wielki ciężar, jednak na widok Josette przywołał na twarz uprzejmy uśmiech. Cofnęła się i zaczęła dalej szukać Dale'a lub pana Garnera, ponieważ czuła się coraz gorzej i chciała, by ktoś ją odwiózł do domu.

Weszła na werandę, rozejrzała się. Po jednej stronie miała schody i prowadzącą w głąb ogrodu ścieżkę, kończącą się u brzegu pomostu. Josette nie widziała jego krańca, lecz wiedziała, że pana Garnera

tam nie znajdzie, bo po co miałby podczas przyjęcia schodzić nad jezioro, które miał na co dzień, gdyż połowa należała do niego? Odwróciła się i poszła w przeciwną stronę, idąc alejką wzdłuż domu. Po drodze wpadły na siebie z Silvią.

Piękna blondynka była potargana, a gdy poprawiła włosy, jej ręka zdawała się drżeć.

Spytała, jak długo Josette kręci się po ciemku po okolicy, a kiedy usłyszała o ponczu, kiepskim samopoczuciu i potrzebie powrotu do domu, zaofiarowała się, że sama odwiezie swojego gościa, ponieważ wypila tylko trochę szprycera, więc bez przeszkód może usiąść za kierownicą.

Zaprowadziła Josette do swego nowego srebrnego mercedesa, a kiedy ją wsadziła do środka, pomachała komuś i wyjaśniła, że machała Garnerowi. Josette nie zauważyła nikogo.

Z wieczornych wiadomości dowiedziała się o śmierci znanego filantropa, Henry'ego Garnera, którego ciało znaleziono w jeziorze. Prezenter przedstawił to jako nieszczęśliwy wypadek, ponieważ ofiara znajdowała się pod wpływem alkoholu. Josette wciąż trochę plątały się

nogi, lecz swej pamięci była absolutnie pewna, więc z miejsca zadzwoniła na policję i złożyła zeznania. Właśnie wróciła z przyjęcia u Webbów. Pan Garner nie był pijany, ponieważ nie tknął żadnego mocnego alkoholu, wysączył ledwie pół puszki piwa imbirowego. Zanim znikł, miał jakiś zatarg z gospodarzem. Te informacje wystarczyły, by wszczęto śledztwo.

Policja znalazła zakrwawioną pałkę w wozie Jenningsa i ślad po uderzeniu na głowie ofiary, więc bez dalszej zwłoki zaarrestowano Dale'a, który głośno przeciw temu protestował, za to podczas procesu ani się nie przyznał do popełnienia zbrodni, ani temu nie zaprzeczył. Swoimi zeznaniami obciążła go dodatkowo Silvia, mówiąc, że widziała Jenningsa w pobliżu jeziora tuż przed tym, jak wpadła na pijaną Josette, którą odwiozła do domu, a po powrocie zobaczyła pałkę w jego samochodzie.

Wezwana na świadka Josette podważyła zeznania Silvii. Przyjechała z Jenningsem na przyjęcie i żadnej pałki w jego samochodzie nie widziała. Stwierdziła też, że Webb znacznie więcej skorzystał na śmierci Garnera niż Dale, więc miał dużo lepszy powód, by go zabić. W

dotatku owego feralnego wieczoru między gospodarzem przyjęcia a ofiarą doszło do scysji.

Po jej zeznaniach nastąpiła przerwa w rozprawie, po przerwie zaś oskarżyciel dosłownie rozszarpał ją publicznie na strzępy i rzucił na żer kochającym skandale mediom, ponieważ w trakcie przerwy uzyskał informację od Biba Webba o wydarzeniu z przeszłości świadka, próbującego swoimi zeznaniami ratować Jenningsa. Otóż piętnastoletnia Josette wymknęła się z domu, by pójść na imprezę w domu starszego kolegi, gdzie zażyła narkotyk. Kiedy kolega próbował ją uwieść, przestraszyła się, narobiła krzyku, aż zaalarmowani sąsiedzi wezwali policję. Państwo Langley na podstawie opowieści córki wynajęli prawnika, by skarżyć owego młodego człowieka o gwałt, lecz lekarz, który zbadał rzekomą ofiarę, stwierdził, że do żadnego zbliżenia nie doszło. O całym zdarzeniu mógł poświadczyć dawny policjant z Jacobsville, obecny pracownik FBI, Marc Brannon, który przyjechał z Waszyngtonu na rozprawę o morderstwo.

Oskarżyciel opisał wszystko detalicznie, rozdmuchując to w wielki skandal. Josette Langley już raz próbowała rzucić oskarżenie na niewinnego człowieka i

próbuję uczynić to ponownie, tym razem upatrzawszy sobie na ofiarę powszechnie szanowanego Biba Webba. Jej wiarygodność legła w gruzach, dziennikarze jeździli do Jacobsville, by opisywać dawną sprawę o gwałt, zaś Jennings, na którego korzyść już nikt nie zeznawał, dostał wyrok i trafił do więzienia. Josette trafiła na pierwsze strony gazet i najadła się wstydu, jakby wystarczyło raz popełnić błąd, by ten ciągnął się za człowiekiem do końca życia.

Te doświadczenia zmieniły ją i zahartowały. Josette Langley, ongiś wcielenie słodyczy, stała się twarda, pewna siebie i umiała dać ludziom popalić. Ciągle jednak myślała z żalem o Brannonie, gdyż był to jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała. Westchnęła, wspominając te dwa lata, gdy byli praktycznie nierozłączni. Jeśli nie chodzili razem po mieście, które chcieli poznać od podszewki, wydzwaniali do siebie i wisieli na słuchawkach. Brannon pomagał jej uczyć się do egzaminów końcowych w college'u, zabierał ją na swoje ranczo, by zaczęła jeździć konno. Kiedy okazało się, że dla niego to wszystko zupełnie nic nie znaczyło, myślała, że umrze z rozpaczy. Ale nie umarła.

Wyszła z tego silniejsza.

Niestety, Brannon wrócił, a z nim konieczność konfrontacji z bolesnymi wspomnieniami. No i z nim samym. Cóż, jeśli będzie sobie z nią ostro poczynął, odpłaci mu pięknym za nadobne. Uśmiechnęła się, myśląc, jak da Brannonowi popalić. Ten zadufany w sobie Strażnik zasługiwał na niezłą nauzkę. Josette udowodni niewinność Jenningsa i wbije to Marcowi do głowy tak, że huk będzie się niósł na całą okolicę!

Czule pogładziła jedwabiste futerko Barnes'a.

- Wiesz, gdyby mężczyźni przypominali koty, w ogóle nie byłoby wojen i problemów - stwierdziła. - Wy tylko jecie i śpicie. Nie prowadzicie samochodów, nie nosicie zabłoconych butów ani kowbojskich kapeluszy.

Barnes otworzył jedno zielone ślepie i miauknął, wyraźnie zgadzając się ze swoją panią.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przed powrotem do San Antonio Brannon odwiedził Webbów, którzy mieli w Austin drugi dom. Na weekendy przyjeżdżali do swej rezydencji nad jeziorem.

Silvia rozpromieniła się na widok gościa, gdy kamerdyner wprowadził go do salonu, gdzie gospodarze akurat podejmowali przy koktajlach trzy eleganckie pary.

- Marc, nie wiedziałam, że jesteś w mieście! - wykrzyknęła, podbiegając.

Większość mężczyzn śniła o podobnej kobiecie - olśniewającej, seksownej blondynce z temperamentem, lecz Marc nie gustował w takim typie kobiet. Silvia wydawała mu się zbyt agresywna i bezwzględna, co chyba jednak okazało się dobrodziejstwem dla Biba, niezbyt przebojowego z natury.

- Prowadzę właśnie śledztwo dla Simona Harta - wyjaśnił i ucałował jej nieskazitelny policzek. - Wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle.

- A ty jak zwykle wyglądasz jak model, przystojniaku - zamruczała niczym kotka. - Jakie śledztwo? - spytała kokieteryjnym tonem, biorąc go pod

ramię. W drugiej ręce trzymała kieliszek martini.

- W sprawie morderstwa.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o kogoś, kogo znamy?

- Zabito Dale'a Jenningsa.

Powierzchnia przezroczyściego trunku w kieliszku zdrząła, a Marc pomyślał, że wspomnienie o Jenningsie ma prawo być dla Silvii tak samo traumatyczne jak dla niego.

- Tego koszmarnego człowieka! - zakrzyknęła, puszczać jego ramię i przyciskając dłoń do głęboko wyciętego dekoltu. - Bib, słyszałeś? Ktoś zabił Jenningsa w więzieniu!

- Nie w więzieniu - wyjaśnił Brannon. Ujrzał, jak perfekcyjnie wyregulowane brwi unoszą się.

- Nie rozumiem.

- Uciekł z zakładu. A raczej ktoś pomógł mu uciec.

Silvia zostawiła go i przysiadła na poręczu fotela męża.

- To morderca Henry'ego, więc wcale mi go nie żal - stwierdził zimno Bib.

~ Ale jak zdołał uciec z więzienia? - dociekała Silvia.

- Tego jeszcze nie wiem.

Pani domu otrząsnęła się z pierwszego szoku, wstała i przedstawiła gościom pozostałym osobom. Marc, chociaż ich nie znał, kojarzył jednak nazwiska - wszyscy ci ludzie należeli do najbogatszych osób w Austin.

- Zostaniesz na noc, prawda? - zaprosił przyjaciela Bib.

- Nie mogę, rano muszę być w San Antonio i zabrać się za to śledztwo. Chcę już coś mieć, zanim przyleci oficer śledczy z biura Harta.

- Jak to? - Silvia przyglądała mu się ze zdumieniem. - Przecież Jennings to jakieś kompletne zero, nikt! Czemu miałby się nim interesować prokurator generalny?

- Nie był nikim, przestał być nieważny, kiedy zabił naszego przyjaciela, a jednocześnie bardzo znanego człowieka - przypomniał jej cicho Bib, po czym skierował wzrok na Brannona. - Czy słusznie podejrzewam, że za tym śledztwem kryje się coś więcej niż potrzeba ujęcia mordercy?

- Tak. W całą sprawę może być zamieszany Jake Marsh.

Bib aż zacisnął zęby, na jego przystojnej twarzy odbił się nieskrywany niepokój.

- Marsh... No to koniec! Media pewnie rzucą się rozgrzebywać to zabójstwo sprzed dwóch lat.

- Już się rzuciły - uprzedził Marc. - Ale nie martw się, wrzawa na pewno szybko przycichnie - zapewnił.

- Mam nadzieję. - Bib spuścił wzrok i zaczął się machinalnie bawić guzikiem marynarki.

- Tyle bolesnych wspomnień wiąże się z tą sprawą...

- Och, to już dawno za nami - rzekła szybko Silvia i uśmiechnęła się, lecz wyraz jej oczu pozostał taki sam. - Marc, w takim razie życzę dobrej podróży do San Antonio. Informuj nas, jak ci idzie, dobrze?

- Oczywiście. - Zaciekawilo go, czemu pani domu chciała się go tak szybko pozbyć. - Bib, odprowadzisz mnie?

- Pójdę z wami - zaofiarowała się natychmiast Silvia i przeprosiła gości.

Miała kilka cech, które raziły Brannona, a jedną z nich było nieustanne towarzyszenie mężowi, którego praktycznie nie spuszczała z oka. Robiła tak od samego początku, odkąd jako szesnastolatka uwiodła Biba i nakłoniła go do małżeństwa, ponieważ tylko tak mogła wyrwać się ze straszliwej biedy, w jakiej żyła od najmłodszych lat. Jej ojciec rzucił się do studni po tym, jak brat Silvii zginął w tragicznych okolicznościach, lecz żadna z tych śmierci nie obeszła jej zbyt, z czego zresztą nie zdawano sobie sprawy. Chyba tylko Marc zauważył, że mimo bolesnej przeszłości piękna Josette jest zdumiewająco odporna na takie uczucia jak smutek czy żal.

- Nie powiedziałaś nam jeszcze wszystkiego, prawda? - zagadnął Bib, gdy znaleźli się na werandzie.

Marc wbił ręce w kieszenie.

- Ten śledczy, którego Simon wysłała do San Antonio... - zaczął z ociąganiem. - Pewnie ją pamiętasz. To Josette Langley.

- Ta suka! - Twarz Silvii poczerwieniała gwałtownie.

- Sil, proszę... - rzekł ze znużeniem Bib. - To

było tak dawno...

- Ta kobieta oskarżyła cię o popełnienie morderstwa! Myślisz, że zdołam jej to kiedykolwiek zapomnieć? - wybuchnęła. - Ona znowu zacznie knuć, mącić, rzucać fałszywe oskarżenia, narobi szumu w mediach! - Mówiła coraz głośniej i szybciej, jej głos przeszedł w krzyk, wysoki i histeryczny.

- Uspokój się. - Mąż popatrzył jej w oczy, położył dłoń na karku, zaczął go łagodnie masować. - Oddychaj głęboko. Uspokój się.

Posłuchiwała. Co prawda wciąż miała błędny wzrok i taki odcień cery, jakby miała dostać apopleksji, lecz przynajmniej zamilkła. Bib sięgnął do szklanej misy stojącej na stoliku, jednej z wielu znajdujących się w całym domu, wyjął z niej fantazyjnie opakowany cukierek i podał żonie, która łapczywie rozwinęła miętówkę z kolorowego opakowania i włożyła do ust. Ponieważ słodyczne działały na nią wyraźnie uspokajająco, kiedy miewała te swoje napady, swego czasu podejrzewał, że żona choruje na cukrzycę, lecz badania nie potwierdziły jego diagnozy. Próbował wysłać ją na psychoterapię, jednak uparcie odmawiała, co go

martwiło, gdyż podczas owych nagłych ataków furii potrafiła zachowywać się naprawdę niebezpiecznie. W trakcie jednego z nich zabiła swego ulubionego pieska, od tego momentu zresztą Bib przestał żałować, że nie mają dzieci. Silvia była zbyt nieprzewidywalna.

- Tak, pamiętam pannę Langley - zwrócił się do przyjaciela. - Wydała mi się cichą osobą, która nie gustuje w przyjęciach, więc nie rozumiem, czemu chciała na nie przyjechać ani czemu zadawała się z kimś takim jak Dale, który miał powiązania z Marshem. Ostrzegalem Henry'ego, żeby go nie zatrudniał, nie posłuchał mnie, niestety. Jestem pewien, że to Marsh nasłał Jenningsa na Gamera.

- Nie ma na to żadnych dowodów - wtrąciła Silvia. - Moim zdaniem morderca działał na własną rękę. Bał się, że Henry zadenuncjuje go na policję za te kradzieże, więc go uciszył.

- W takim razie czemu znaleziono ciało Dale'a tuż przy nocnym klubie Marsha? - spytał Brannon.

Lekceważąco machnęła ręką.

- Och, podobna szumowina może skończyć gdziekolwiek. Nie powinno się marnować państwowych

pieniędzy na śledztwo w sprawie takiego zera.

- Jennings miał powiązania z Marshem, jestem pewien - upierał się Bib. - To on, kiedy jeszcze nie wiedziałem, co z niego za typ, podsunął mi do pomocy przy kampanii wyborczej człowieka, który siedział u Marsha w kieszeni. Ten facet za moimi plecami stosował czarny PR, żeby zaszkodzić mojemu kontrkandydatowi. Wygrzebał jakiś skandal, kompromitujący rodzinę tamtego, cichcem podsunął go mediom. Jestem przeciwny takim metodom, ale za późno się zorientowałem. Jenningsa przejrzałem wcześniej niż mojego pracownika, ostrzegałem przed nim Henry'ego, on jednak nie chciał słuchać. Właśnie z tego powodu posprzeczaaliśmy się tamtego wieczoru. Cóż, wiesz przecież, jaki był Henry. - Uśmiechnął się blado. - Zawsze ufał ludziom.

Sihda zaśmiała się nerwowo.

- W dzisiejszych czasach to samobójstwo. Nie można nikomu ufać.

Bib zignorował uwagę żony.

- W jaki sposób zginął Jennings?

- Załatwiono go jednym strzałem w potylicę.

- Wielki Boże!

Tymczasem Silvia zareagowała zupełnie inaczej niż jej mąż.

- A jakie ma znaczenie, jak zginął morderca? - rzuciła z istic królewską wzgardą. - Czy prokurator generalny wtrąca się do sprawy tylko dlatego, że to wygląda na egzekucję?

Marc wahał się przez chwilę, nim odpowiedział.

- Między innymi. Poza tym ma nadzieję wreszcie dobrać się Marshowi do skóry.

- Głupio się do tego zabiera, delegując do śledztwa tę całą Langley!

- Simon wie, co robi. Ona pracuje dla niego od dwóch lat, skończyła kryminalistykę - rzekł Brannon, broniąc Josette niemal wbrew swojej woli.

- Ale jest osobiście zamieszana w sprawę, ty zresztą też. Żadne z was nie powinno brać udziału w tym śledztwie. - Odwróciła się do męża. - Zadzwon do kogoś ważnego i każ, żeby odsunięto ich oboje od tej sprawy.

Tego było Marcowi za wiele.

- Jeśli tak zrobi, zwołam konferencję prasową i oznajmię, w jaki sposób zostałem odsunięty od śledztwa

- uprzedził.

- A ja myślałam, że jesteś naszym oddanym przyjacielem!

- Bo jestem - zapewnił, lecz nie patrzył przy tym na nią, tylko na Biba. - Jednak prawo jest prawem.

Silvia zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, potem cisnęła o podłogę werandy swoim kieliszkiem z martini.

- Ty idioto! - rzuciła mężowi prosto w twarz.

- Ty mięczaku, ty ofermo, ty durniu! Nigdy nie zrobisz niczego jak trzeba!

Obróciła się na pięcie i mamrocząc przekleństwa pod nosem, wpadła z powrotem do domu. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Wariatka, pomyślał Marc. Nie pierwszy raz zresztą.

- Siedem lat czegoś takiego - rzekł ze znużeniem Bib. - Jest świetną żoną dla polityka, potrafi wspaniale zabawiać gości i znakomicie czuje się w świetle reflektorów, ale czasami żałuję, że nie poślubiłem jakiejś spokojniejszej kobiety. Chyba zawiodłem Silvię na całej linii. Gdybym był biedny, pewnie dawno by mnie rzuciła.

- Ona cię kocha - rzekł Marc, chociaż sam w to nie wierzył.

- Ona mną rządzi - skorygował ponuro Bib.

- Lepiej wróć do domu i będę się dalej podlizywał, umizgując się o wsparcie mojej kampanii wyborczej do senatu. - Pytająco uniósł brwi. - Będziesz na mnie głosować?

- Nie - odparł Marc z kamienną twarzą. - Jesteś skorumpowany.

Przyjaciel wybuchnął śmiechem, lecz naraz spoważniał.

- To musi być dla ciebie bolesne, przecież byłeś kiedyś z tą Langley. - Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, wzruszył ramionami.

W porządku, temat nie istnieje. Spędzamy weekend w San Antonio, wpadnij na jednego, jeśli będziesz miał czas. Najlepiej w sobotę przed południem, bo rano Silvia chce lecieć do Dallas na zakupy. Korzystając z jej nieobecności, wyskoczmy na... pączka! - zakończył nieoczekiwanie.

Marc zdumiał się.

- A nie możesz zjeść przy niej?

- Żartujesz? Muszę mieć sylwetkę bez zarzutu, żeby dobrze wychodzić na zdjęciach.

Poklepał się po płaskim brzuchu. - Żadnych słodyczy! Ech, ileż to człowiek się musi wyrzec, kiedy chce piastować urząd publiczny.

- Akurat w twoim przypadku warto, bo dobry z ciebie polityk - stwierdził z przekonaniem Marc. - Masz sumienie. No i serce na właściwym miejscu.

- To są raczej wady, stary. Brak mi tej bezwzględnej determinacji, która pozwala wygrywać kampanie, na szczęście Silvia ją ma. Dobra, nie zatrzymuję cię. Uważaj na siebie.

- Ty też. - Brannon ściszył głos. - Ta cała sprawa może okazać się bardziej niebezpieczna, niż się wydaje. Masz ochroniarza?

Bib skinął głową.

- Tak, nazywa się T.M. Smith, to były komandos, brał udział w operacji Pustynna Burza. Świetny w walce wręcz i wyborowy strzelec.

- Miej go zawsze przy sobie. Tak na wszelki wypadek.

Podali sobie ręce.

- Nie tęsknisz czasem do tych starych, dobrych czasów, kiedy kręciliśmy się przy sklepie z płytami w nadziei na poderwanie jakichś lasek? - spytał z melancholią Bib.

- Raczej tęsknię za tym, żeby wreszcie spokojnie przespać całą noc - odparł cokolwiek zagadkowo Marc. - Cześć.

Wsiadł do wynajętego wozu i odjechał, zaniepokojony gwałtownym wybuchem Silvii, gdy ta usłyszała, że to on i Josette mają prowadzić śledztwo w sprawie śmierci Jenningsa. Dopiero teraz sobie przypomniał, że właśnie zeznania Silvii obciążły Dale'a i doprowadziły do skazania go. W czasie procesu był zbyt wytrącony z równowagi tym, co zaszło między nim a Josette, by zwracać uwagę na cokolwiek innego i wiele rzeczy mu umknęło. Tak naprawdę przeżył kilka tygodni w stanie kompletnego odurzenia.

Odkrycie, jakiego dokonał podczas owej ostatniej randki, wstrząsnęło nim do głębi, również dlatego, że zrozumiał, co się stało, kiedy Josette miała piętnaście lat. Pojął ogrom krzywdy, jaką jej wyrządził i zupełnie nie mógł się z tym uporać. Źle ją ocenił, a przez to

spowodował nieodwracalne szkody, narażając całą rodzinę Langleyów na istną drogę przez mękę. Czuł do siebie obrzydzenie, był wściekły, na co wkrótce nałożył się gniew na Josette za rzucanie szokujących oskarżeń na jego najlepszego przyjaciela. Mimo tej złości chciał ją przeprosić, lecz zrozumiał, że ona nie będzie słuchać żadnych wyjaśnień, gdy na sali sądowej spojrzała na niego tak, jakby go nienawidziła z całego serca. I pewnie tak było, bo co miała czuć do człowieka, który sprawił jej tyle bólu, a na koniec rzucił bez słowa wyjaśnienia?

Na domiar złego był w niej zakochany.

Po rozstaniu z nią upił się, narobił głupot, porzucił pracę w Straży, uciekł z Teksasu i wstąpił do FBI, gdzie spędził dwa beznadziejne lata. Wreszcie wrócił do San Antonio - chyba tylko po to, by niemal na samym początku natknąć się na upiory z przeszłości!

Znowu będzie musiał stanąć po przeciwnej stronie niż Josette, ponieważ ona zrobi wszystko, by wpłatać w morderstwo Biba Webba, zaś Brannon uczyni wszystko, by przyjaciela osłonić. Pomimo upływu czasu nadal byli wrogami.

Przystanął na światłach, po pasach przeszła młoda

dziewczyna w sukience w kwiaty, co przypomniało Brannonowi ostatnią randkę z Josette. Tamtego dnia odbierała dyplom ukończenia college'u, wraz z jej rodzicami brał udział w uroczystości. Wieczorem zabrał ją do eleganckiej restauracji, by godnie uczcić taką okazję. Josette włożyła długą czarną suknię z jedwabiu malowanego w kwiaty, długie lśniące włosy upięła na karku w wytworny kok. Wyglądała zjawiskowo.

Po kolacji zaprosił ją do siebie. Do tej pory ograniczali się do pocałunków i pieszczot, lecz nie zanadto śmiałych. Cały czas nie wierzył w jej wersję wydarzeń, gdy chodziło o tamten rzekomy gwałt, chociaż Josette sprawiała wrażenie osoby bezwzględnie prawdomównej. Widać jednak wrażenie było mylne, gdyż fakty przeczyły jej zeznaniom - badanie lekarskie przesądzało sprawę jednoznacznie. Brannon powtarzał sobie, że wiele dziewcząt udających świętoszki zazwyczaj ma to i owo do ukrycia.

Nabrał jeszcze większych podejrzeń, gdy bez wahania przyjęła zaproszenie i przyszła do jego mieszkania. Nastawił jakąś wolną muzykę, zrzucił marynarkę i w tańcu przyciągnął Josette blisko do siebie.

Gdy poczuł dotyk jej piersi przez cienki materiał koszuli, odgadł, że nie miała na sobie stanika, co podnieciło go natychmiast. Mógł się odsunąć, by nie zdradzić się przed nią ze swoją reakcją, lecz nie zrobił tego. Wciąż pamiętał, jak zadrżała, jak w wielkich piwnych oczach pojawił się lekki szok, jak otworzyła usta, by coś powiedzieć, a wtedy Brannon nachylił się i pocałował ją chciwie.

Przy jego doświadczeniu z kobietami nie miała szans. Minęło ledwie parę chwil, gdy już leżał na kanapie z obnażoną do talii Josette. Całował jej drobne, jędrne piersi, jednocześnie jego dłoń wślizgnęła się pod jedwab sukienki, ściągnęła majteczki, które znalazła pod spodem. Zaraz potem rozebrał ją do końca, zdarł z siebie koszulę, znów namiętnie smakował wrażliwe piersi. Pragnął tej dziewczyny od długich miesięcy, przez ten czas nie spotykał się z nikim innym, więc gdy po tak długim okresie postu wreszcie miał ją w ramionach, było oczywiste, że straci kontrolę nad sobą.

Zaprotestowała tylko raz, i to słabo, gdy zaczął rozpinąć spodnie, lecz on zamknął jej usta pocałunkiem, zsunął spodnie do łydek, wepchnął jedno kolano między

gładkie, miękkie uda, potem drugie. Trochę zeszywniała, gdy poczuła go tak blisko, lecz ona również drżała z podniecenia, wbijając paznokcie w plecy Brannona.

- Chcę ciebie. Potrzebuję cię. Nawet nie wiesz, jak bardzo - wyrzucił z siebie, zaczynając naciskać biodrami. - Nie odmawiaj mi, skarbie. Nie odmawiaj mi!

Jednak to żarliwe błaganie nie zostało wysłuchane, nadal nie dawała mu do siebie dostępu, gdy próbował w nią wejść. Krzyknęła, jakby sprawił jej ból.

- Za szybko? Będę uważał, obiecuję - wyszeptał.
- Pewnie długo nikogo nie miałaś?

- Marc, ja nigdy nikogo nie miałam! - wyznała z płaczem.

W odpowiedzi zaśmiał się cicho. Nie miała, akurat! Przecież już w wieku piętnastu lat składała kolegom propozycje nie do odrzucenia. Mimo to rzeczywiście zamierzał uważać na tyle, na ile był do tego zdolny w takiej sytuacji, również po to, by nie zniechęcić Josette, ponieważ umarłby chyba, gdyby jej nie dostał. Wszystko w nim aż skręcało się z nieznośnego pragnienia.

Ściągnął buty i spodnie, całując przy tym Josette po brzuchu, starając się ją podniecić. Chciał, żeby płonęła tak samo jak on, przestała wreszcie udawać, protestować, kłamać. I udało mu się, bo już niedługo sama błagała, żeby do niej przyszedł, pozwoliła mu się wślizgnąć między drżące długie nogi, wbiła zamglone oczy w przystojną twarz Brannona.

- Wejść w ciebie, Josie - wyszeptał. - Wejść. Wejść głęboko. Teraz!

Silnie pchnął biodrami, raz, drugi, trzeci, czując, że zaraz eksploduje, a mimo to nadal nie mógł w nią wejść. Łkała, trzęsła się, półprzytomnie szeptała mu do ucha żarliwe słowa zachęty, chwyciła go za pośladki.

- Cholera! - wyrwało mu się z tej ogromnej frustracji i pchnął tak mocno, jak zdołał.

Krzyknęła rozpaczliwie i aż wygięła się w łuk, oczy zaszyły jej mgłą, lecz tym razem z bólu. Zaślepiiony pożądaniem Brannon potrzebował kilku chwil, by zrozumieć, co się dzieje, a wtedy wsunął dłoń między jej nogi, chcąc sprawdzić swoje podejrzenia i przeżył szok, gdy jego palce natrafiły na barierę nie do przebicia. Znieruchomiał.

- Jesteś dziewicą - wyszeptał ze zgrozą. Przełknęła ślinę, zaczerwieniła się, spuściła wzrok i naraz gwałtownie wciągnęła powietrze, ujrzawszy erekcję Marca.

- Ty obrzydliwa, wyrachowana kokietko! wybuchnął z furją - Niech cię szlag!

Odsunął się od niej i zaczął się ubierać, w swej ślepej furii nie zauważając prawie, że Josette szlocha i zasłania swoją nagość sukienką.

- Ze wszystkich świństw, które można zrobić mężczyźnie, to jest najbardziej małostkowe! - rzucił oskarżycielskim tonem. - Nie jesteś lepsza od takiej, która puszcza się dla pieniędzy, ale taka przynajmniej nie doprowadza faceta do wrzenia po to, żeby w ostatniej chwili zrobić z niego idiotę. Ubieraj się - rozkazał szorstko i wyszedł z pokoju.

Czekał w kuchni, aż ona się ubierze, tak sfrustrowany z niezaspokojonego pragnienia i z powodu odrzucenia, że nie potrafił myśleć racjonalnie. Podpuściła go celowo, wiedząc, że i tak nie dojdzie do zbliżenia ze względu na jej budowę anatomiczną. Przerwanie takiej błony dziewiczej wymagało zapewne interwencji chi-

rurga, Josette musiała być tego doskonale świadoma.

I nagle coś zrozumiał. Ten chłopak w Jacobsville, przeciw któremu Langleyowie wnieśli oskarżenie i którego uniewinniono dzięki wynikowi badania lekarskiego, kłamał. On rzeczywiście próbował zgwałcić piętnastoletnią Josette, tylko powstrzymało go dokładnie to samo, co właśnie powstrzymało Marca.

Rozległ się niecierpliwy dźwięk klaksonu, przywracając go do rzeczywistości. Światła zmieniły się, a on dalej stał na pasach. Skrzywił się, wcisnął pedał gazu, ruszył.

Wciąż widział przed sobą udręczone rysy Josette. Płakała i płakała, upokorzona, niezaspokojona, zraniona. Unikała spojrzenia Brannona jak ognia, łzy leciały jej po policzkach, nie mogła się uspokoić. Chciał wyjaśnić, czemu zareagował tak agresywnie, lecz czuł, że cokolwiek powie, niczego to nie zmieni, ponieważ słowa, które mu się wyrwały i których nie dało się już cofnąć, zepsuły wszystko.

A jeśli to, co właśnie między nimi zaszło, przypomniało jej tamten nieudany gwałt sprzed kilku lat? Przecież Marc zupełnie stracił głowę, co mu się nigdy

wcześniej nie zdarzyło i zabrał się do Josette z całą determinacją, zdecydowany doprowadzić sprawę do końca. No ale z drugiej strony sama do niego przyszła, pozwoliła się rozebrać i pieścić, i mimo kilku słabych protestów sprawiała wrażenie chętnej, by mu się oddać. Skoro jednak wiedziała, że nie jest zdolna do współżycia, znaczyło to, że uwiodła go z całą premedytacją. Być może w ten sposób chciała się zemścić - w końcu w tamtej sprawie o gwałt Marc wziął stronę oskarżonego chłopaka, pomagając mu oczyścić się z zarzutów, ponieważ nie uwierzył w wersję Josette, uznał, że ona zmyśla.

Kiedy odwoził ją do domu, panowała między nimi napięta, bolesna cisza. Marc chciał przeprosić za wydarzenia sprzed lat, za brak wiary w nią. Została skrzywdzona, a on jeszcze dołożył jej ciężaru. Była niewinna, a on widział w niej osobę, która chce oszukać wymiar sprawiedliwości i swoimi zarzutami zaszkodzić chłopakowi z bogatego domu. Była dziewczicą, a on porównał ją do prostytutki. Zważywszy, jak surowo została wychowana, musiała teraz umierać ze wstydu na myśl o tym, na ile mu pozwoliła.

Zatrzymali się przed jej domem, lecz nim zdążył otworzyć usta, obróciła się ku niemu, przy czym nadal nie patrzyła mu prosto w oczy, tylko gdzieś obok.

- Nigdy więcej do mnie nie dzwoń, nigdy więcej do mnie nie przychodź, nigdy więcej się do mnie nie odzywaj - zażądała łamiącym się głosem. - Chodziło ci tylko o seks. Przez cały ten czas chodziło ci tylko o seks, prawda? Myślałeś, że jestem łatwa, bo miałeś mnie za puszczalską, która już w wieku piętnastu lat biegała na jakieś orgie!

Rozjuszony oskarżeniem o to, że chciał tylko zaciągnąć ją do łóżka, podczas gdy on żył jak asceta, czekając na nią, ponadto wciąż jeszcze obolały fizycznie z powodu tego, do czego doszło - i do czego nie doszło - powiedział coś zupełnie innego, niż zamierzał powiedzieć.

- Celowo wystawiłaś mnie dziś do wiatru, bo doskonale wiedziałaś, że nie mogę cię mieć. W ten sposób odegrałaś się za Jacobsville, za to, że ci wtedy nie uwierzyłem. To była czysta zemsta, przyznaj się.

Na jej twarz aż wystąpiły wypieki.

- Przecież to ty zaczęłaś!

Wolałby o tym nie pamiętać.

- Ale nie broniłaś się specjalnie, prawda? Nie obawiaj się jednak, nie będę dzwonił ani przychodził, ponieważ nie chcę cię więcej widzieć. I tak nigdy mnie nie pociągałaś.

I z tymi zimnymi, okrutnymi słowami ją zostawił. Odjechał, nim zdążyła dojść do drzwi domu. Potem upił się, narozrabiał, rzucił robotę, uciekł do Waszyngtonu. Niedługo później przyjechał na krótko do San Antonio w związku z procesem o zamordowanie Garnera. Nie podsuwał przyjacielowi myśli, żeby zdyskredytować Josette jako świadka za pomocą wyciągnięcia dawnej sprawy o gwałt, Bib sam sobie przypominał, że ona kiedyś złożyła w sądzie fałszywe zeznania, powiadomił o tym swego prawnika, który wykorzystał informację. Josette musiała przypisać winę Brannonowi, gdyż zaczęła patrzeć na niego z bezbrzeżnym potępieniem, którego on nie potrafił znieść, dlatego też nie zdobył się na podejście do niej i porozmawianie. Im dłużej zwlekał, tym trudniej było mu odważyć się na ten krok, a w rezultacie wyjechał z miasta na dobre, nie zamieniając z nią ani słowa.

Wkrótce potem przeprowadziła się do Austin,

starając się uciec przed rozgłosem. Za ledwie dwa miesiące później jej matka zmarła z powodu wylewu, zaraz potem pastor Langley dostał zawału, którego nie przeżył. Josette nie miała rodzeństwa, musiało jej więc być bardzo ciężko, gdy samotnie opłakiwała rodziców, zapewne przepelniona poczuciem winy.

A teraz znów znalazła się w jego życiu, zaś Marc nie zamierzał za nic okazać, że wcale nie jest mu obojętna. Zastanawia! się, czy Jennings budził w niej coś więcej niż sympatię i czy widywała się z kimś w ciągu tych dwóch lat. Trudno było cokolwiek po niej odgadnąć, gdyż zmieniła się - stała się pewna siebie, doskonale opanowana, profesjonalna. Kiedy jednak w pewnym momencie specjalnie stanął bliżej niej, wydało mu się, że zadrżała, a więc wciąż wywierał na niej wrażenie, przynajmniej niewielkie. Ewidentnie sobie tego nie życzyła i twardo trzymała się na dystans. Marc zastanawiał się, czy kiedyś jeszcze uda mu się do niej zbliżyć, zwłaszcza że znowu znajdowali się po przeciwnych stronach barykady.

Mogła sobie mówić, co chciała, lecz on wiedział, po prostu wiedział z całą pewnością, że Bib Webb jest

poza wszelkimi podejrzeniami, gdyż nigdy nie popełniłby morderstwa. Marc niestety nie miał pojęcia, jak przekonać do tego Josette, która definitywnie zraziła się do jego przyjaciela, czemu zresztą trudno się było dziwić, zważywszy, jakie wypowiedzi Webba na jej temat cytowały gazety. W rzeczywistości Bib nigdy nie zarzucał Josette krzywoprzysięstwa ani kierowania się ukrytymi motywami, te słowa pochodziły od Silvii, która rozgłaszała je jako opinie męża.

Kiedy Bib miał się żenić, ponieważ szesnastoletnia Silvia zaszła z nim w ciążę, Marc odradzał mu ten krok. Przyjaciel rad nie posłuchał, ślub wziął, lecz dziecka się nie doczekał, gdyż Silvia poroniła podczas wycieczki do Dallas. Była ambitna i obrotna. To ona namówiła Biba, by został partnerem Garnera, to ona pchnęła go do walki o fotel wicegubernatora, a obecnie chciała go widzieć w senacie, na co sam zainteresowany nie miał większej ochoty, z czego po cichu zwierzył się przyjacielowi. Tak naprawdę Bib byłby szczęśliwy, dalej spokojnie sprzedając maszyny rolnicze i zajmując się końmi na swoim ranchu, ponieważ kochał otwartą przestrzeń i miał duszę kowboja, a nie polityka. Silvia

oczywiście nigdy by się na to nie zgodziła, ona potrzebowała błyszczuć, nosić biżuterię i drogie ubrania, podejmować u siebie osoby z najlepszego towarzystwa francuskim szampanem. Czasami Marc zastanawiał się, jak wyglądałoby życie jego przyjaciela, gdyby poślubił kogoś innego.

Oczywiście podobne rozważania nie miały najmniejszego sensu, ponieważ przeszłości nie dało się cofnąć. Gdyby było to możliwe, Marc nie popełniłby swego największego błędu, za który przyszło mu boleśnie pokutować i nigdy nie próbowałby uwieść Josette Langley.

Zostawił wóz w wypożyczalni samochodów, wszedł na pokład samolotu i korzystając z tego, że nikt koło niego nie siedział, odłożył kapelusz na sąsiedni fotel, a potem zamknął oczy. Natychmiast opadły go wspomnienia.

Poznał pastora Langleya, pracując w policji w Jacobsville. Kiedyś zatrzymał kierowcę, który kolejny raz prowadził po pijanemu i wtedy właśnie zgłosił się do niego pastor z prośbą o pomoc dla owego człowieka, gdyż ten należał do jego kościoła. Brannon wystarał się o

skierowanie na leczenie odwykowe, a z pastorem się zaprzyjaźnił, gdyż mieli wiele wspólnego. Langley też zaczynał w policji, lecz poczuł powołanie, zrezygnował ze służby i poszedł do seminarium. Marc zaczął go odwiedzać w domu, poznał wtedy Josette, wydała mu się uroczym, słodkim urwisem. Myślał o niej jako dziecku do momentu, gdy pewnego wieczoru ujrzał ją nagą w towarzystwie rozebranego do połowy chłopaka.

Chłopak okazał się bardziej przekonujący. Koleżanka przyszła na imprezę, bo miała na niego ochotę, sama mu to powiedziała. Nawet chwaliła się, że wykiwała starych, którzy nie wiedzą, gdzie ona jest. No to co miał nie skorzystać, skoro laska sama mu proponuje? Ale kiedy się zgodził i zamierzał zrobić jej dobrze, jak już się tak na niego napaliła, to ona nagle zmieniła zdanie i zaczęła krzyczeć. Takie są właśnie dziewczyny! I Marc mu uwierzył, ba, nawet mu współczuł mimo swoich związków z rodziną Langleyów. W rezultacie zaangażował się w wyjaśnienie całej sprawy. Ostatecznie o niewinności chłopaka przekonało go orzeczenie lekarskie, stwierdzające, że nie doszło do gwałtu i penetracji - przy czym nie było w nim ani słowa

o fizjologicznej przyczynie, która mogła próbę gwałtu udaremnić.

Marc uznał, że Josette skłamała i próbowała obarczyć winą chłopaka, ponieważ nie chciała, by rodzice się na niej zawiedli. Miał też w pamięci inną niedawną sprawę o gwałt, która okazała się sfabrykowana przez rzekomą ofiarę, a która kosztowała rzekomego sprawcę naprawdę bardzo wiele. W rezultacie Brannon zeznawał w sądzie na korzyść chłopaka, wiernie powtarzając jego wyjaśnienia, które usłyszał na miejscu zajścia, chociaż Josette uparcie obstawała przy swoim, Langleyowie sprawę przegrali i znaleźli się w bardzo upokarzającej sytuacji. W szkole Josette stała się obiektem niewybrednych, czasem nawet okrutnych żartów, więc w końcu pastor wystarał się o jakąś podrzędną pracę w San Antonio, by córka mogła spokojnie skończyć szkołę.

Kontakt Brannona z Langleyami urwał się. Jakiś czas później Marc został przeniesiony z Jacobsville do San Antonio, gdzie dostał się do Straży Teksasu. Wysłano go, by ukończył kursy na kryminalistyce i w rezultacie trafił do grupy, do której uczęszczała

dwudziestoletnia wówczas Josette. Na początku w ogóle nie chciała z nim rozmawiać, ale Brannon z całych sił próbował to zmienić, gdyż zauroczyła go od pierwszego • wejrzenia. Stopniowo, głównie dzięki bardzo podobnemu poczuciu humoru, zdołał ją przekonać do siebie, zdobył jej sympatię, aż wreszcie zaczęli ze sobą chodzić, chociaż rodzice Josette nie aprobowali tej odnowionej znajomości. Owszem, wybaczyli mu, lecz na zawsze stracili do niego zaufanie, a zeznania podczas procesu uznali za zdradę przyjaźni. Oni nigdy nie zwątpili w prawdomówność córki.

Nie zważając na dezaprobatę Langleyów, Marc zabierał Josette na tańce, na pikniki, na przedstawienia, kupował jej różne drobiazgi i wydzwaniał wieczorami, by pogadać. Przyszedł na uroczystość rozdania dyplomów w jej college'u, choć na sali siedział z dala od pastora i jego żony. A potem nastąpiła katastrofa.

Kiedy doszedł do siebie po tej ostatniej randce, napisał list - długi, przegadany, niezbyt zborny, pełen wyjaśnień i przeprosin. Już miał go wysłać, gdy zamordowano Garnera. Skoro Josette umówiła się na randkę z innym, to może wcale nie potrzebowała

żadnych listów i wyjaśnień? Wahał się tak długo, aż zrobiło się za późno, gdyż wybuchł skandal związany z dawnym procesem o gwałt w Jacobsville. Ponieważ Josette właśnie jego winiła o przeciek, pewnie podarłaby ten Ust, nie czytając, sam go więc wyrzucił i wyjechał, kompletnie załamany, z bolesną świadomością, że zrujnował Josette życie.

Młodziutka niewinna dziewczyna, odurzona narkotykiem i niemal zgwałcona została publicznie ośmieszona i napiętnowana jako kłamliwa puszczańska, podczas gdy napastnik chodził w glorii zwycięstwa, a wszystko to przy pomocy Brannona! To przez niego pastor Langley stracił dobrą pracę i cała rodzina została upokorzona. Jakby jeszcze tego nie było dość, po kilku latach Marc znów zjawił się w życiu Josette, zrobił wszystko, by ją w sobie rozkochać, a potem zdradził ją ponownie, jakby ciążyło nad nimi jakieś niepojęte fatum.

Jednej rzeczy nie mógł jednak żałować, mianowicie zdecydowanego opowiedzenia się po stronie przyjaciela. Znał Biba od zawsze, wiedział też, jak bardzo przyjaciel przywiązał się do Garnera, którego pokochał niczym ojca. Nic w tym dziwnego, gdyż stary

Webb zostawił dzieci, ledwie syn skończył siedemnaście lat, bo uznał, że dalej poradzą sobie same. Bib zajął się swoją młodszą siostrą najlepiej jak umiał, a potem katował się wyrzutami sumienia, gdy zmarła w wieku osiemnastu lat po przedawkowaniu narkotyków. Z Silwią ożenił się częściowo dlatego, że przypominała mu siostrę - też była bardzo młoda i ogromnie go potrzebowała. W ciągu siedmiu lat małżeństwa zdążył posiwieć. Wyglądał na znacznie starszego od Marca.

Podeszła stewardessa, proponując mu coś do picia, lecz odmówił. Przez chwilę czuł na sobie jej wzrok. Stłumił uśmiech. Jako nie najgorzej wyglądający facet z odznaką i bronią często robił wrażenie na kobietach, ale od jakiegoś czasu nie reagował na żadne zapraszające spojrzenia. Konkretnie od dwóch lat. Od dwóch lat pod jednym względem czuł się jak sparaliżowany od brody w dół, wystarczyło mu jednak natknąć się w biurze prokuratora generalnego na zapiętą pod samą szyję kobietę w okularach, by odzyskać czucie, i to we wszystkich członkach bez wyjątku...

Nie wolno mu było zapomnieć, w jakim celu spotkali się ponownie. Chodziło o przeprowadzenie

dochodzenia, ujęcie mordercy i znalezienie niezbitych dowodów przeciw Marshowi, jeśli tylko maczał w zabójstwie Jenningsa choćby czubki palców, a znając Marsha, można było przewidzieć, że jeśli już maczał, to całą łapę.

dlatego też Marc musiał skupić się na śledztwie, dawne uczucia do Josette nie mogły go dekoncentrować, miał poważną robotę do wykonania. Zastanawiał się, jak ona będzie znosić konieczność wspólnej pracy, w końcu miała wszelkie prawo go nienawidzić z całego serca. Było mu jej żal. Było mu żal samego siebie. Och, w ogóle był pełen żalu.

Dwa rzędy przed nim młoda kobieta bawiła się z malutkim dzieckiem, które trzymała na kolanach. Chwytało ją za włosy i śmiało się, ona miała się również. Słyszac to, Marc rozpogodził się bezwiednie, gdyż pomyślał o swoim siostrzeńcu. Znał chłopca jedynie ze zdjęć, a bardzo chciałby wziąć smyka na ręce, podrzucić do góry, popatrzeć w oczy, uderzająco podobne do oczu Gretchen. W ogóle chętnie miałby własne dziecko, ale na to się nie zanosilo, więc widział przed sobą długie, samotne, jałowe lata.

Ciekawe, czy Josette tęskniła za posiadaniem dziecka? Jeśli z powodu przeszłych doświadczeń odrzucało ją od samej myśli o zbliżeniu, to pewnie w ogóle nie zastanawiała się nad tym. Szkoda, bo było w niej wyjątkowo dużo ciepła, potrafiła otaczać innych opieką i okazywać życzliwość nawet tym, których zupełnie nie znała. Pamiętał, jak poszli do wesołego miasteczka, gdzie natknęli się na małego chłopca, który się zgubił rodzicom. Malec płakał, miał skaleczone kolano. Josette przewidująco nosiła w torebce plastry, więc zakleiła ranę, wytarła dziecku zapłakaną buzię, kupiła loda. Kiedy rodzice wreszcie odnaleźli synka, śmiał się i trzymał Josette mocno za rękę, jakby to była lina ratunkowa.

Marc nie cierpiał tego wspomnienia, ponieważ poszli na karuzelę na dzień przed ową fatalną randką, więc to był ich ostatni szczęśliwy dzień. Oczywiście nie wiedział o tym do chwili, gdy wszystko przepadło.

Pomyślał o samotnych latach za nim i przed nim i mało brakowało, by głośno jęknął. Dość tego, powinien skupić się na śledztwie, a nie wracać do tego, co wydarzyło się między nimi dwojgiem, chociaż te dwie

sprawy ściśle łączyły się ze sobą. Musieli znaleźć z Josette mordercę, nim ten uderzy ponownie. Musieli się spieszyć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

San Antonio wydało się Josette większe, niż pamiętała. To w tym mieście chodziła do college'u, to w tym mieście poznała smak miłości i to w tym mieście miała rozwiązać zagadkę morderstwa, współpracując z wrogiem, którego kochała niegdyś bez pamięci, nim ją zdradził.

Rozejrzała się po sekretariacie prokuratury okręgowej, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Wszędzie piętrzyły się stosy akt, dokładnie tak samo jak u niej i tak samo jak w każdym biurze tego typu. Otworzyły się drzwi i szczupła młoda brunetka gestem zaprosiła swego gościa do gabinetu, gdzie oczywiście dokumentacja również nie mieściła się w szafach.

- Witam, jestem Linda Harvey, zastępca prokuratora okręgowego. To ja nalegałam, żeby wezwać do tej sprawy właśnie panią.

- Miło mi panią poznać. Josette Langley.

- Uśmiechnęła się. - Widzę, że tu też papiery aż wylewają się na zewnątrz. Czuję się jak u siebie.

Linda Harvey z ubolewaniem pokręciła głową i

westchnęła.

- Złożą mnie do grobu wraz z całą skrzynią nierozwiązanych spraw... Jeśli ma pani ochotę na kawę, automat stoi zaraz przy drzwiach gabinetu prokuratora.

- Chyba nie skorzystam, wypiałam już dzisiaj dwie, żeby się obudzić, po trzeciej chyba zaczęłabym latać.

- Rozumiem. W takim razie proszę się rozgościć.

- Linda usiadła za biurkiem i zagaiła:

- Jak mi wiadomo, jest pani osobiście zaangażowana w tę sprawę...

- I to daleko bardziej, niżbym chciała - wyznała Josette. - Nie dość, że znam ofiarę, czyli Jenningsa, to jeszcze umówiłam się z nim tamtej nocy, kiedy zamordowano Garnera. Nie wiem, co robił w krytycznym momencie, nie mogłam mu dostarczyć alibi, lecz jestem pewna, że nie popełnił zarzucanego mu czynu.

- Wiem, czytałam akta. Pani podejrzewała udział wicegubernatora Webba.

Josette aż się skrzywiła.

- I bardzo źle na tym wyszłam. Zresztą ja tylko raz nadmieniłam, że to on najbardziej skorzystał na

śmierci Garnera. Stwierdziłam prosty fakt, a media z miejsca zrobiły z tego wielką sensację, ponieważ Webb ubiegał się o fotel wicegubernatora. Gdyby nie ten zbieg okoliczności, pewnie moje słowa przeszłyby bez echa.

- W ogóle wtedy nastąpiło dużo zbiegów okoliczności - rzekła w zamyśleniu Linda.

Kontrkandydat Webba niespodziewanie wycofał się w ostatniej chwili, chociaż po procesie Jenningsa miał zdecydowaną przewagę. - Spojrzała na Josette. - Pani próbowała bronić oskarżonego, za co oskarżyciel prawie zjadł panią żywcem.

- Tak, gdyż wypłynęła ta sprawa o gwałt, kiedy miałam piętnaście lat i kiedy uznano moje zeznania za fałszywe - odparła Josette, nie owijając niczego w bawełnę, czym wyraźnie zaskoczyła swoją rozmówczynię. - Tylko że ja nie kłamałam. Tamten chłopak naprawdę próbował zmusić mnie do stosunku, przedtem dodał mi narkotyku do coli, żeby mnie odurzyć. Wtedy jeszcze nie wiedziano o podobnych praktykach i nie ostrzegano dziewczyn, żeby uważały, co piją na młodzieżowych imprezach i randkach.

- Cieszę się, że jest pani ze mną szczerą. Ja z

panią też będę. Słyszałam tak różne rzeczy, że odnalazłam tamtego sędziego i zażądałam wyjaśnień, czemu oczyścił oskarżonego z zarzutów o próbę gwałtu. Bardzo się kajał, tłumaczył się swoim młodym wiekiem i niedoświadczeniem. Przekonała go rodzina i przyjaciele chłopaka. Jest mu przykro.

Josette wzięła głęboki oddech.

- Jak miło z jego strony. I zaledwie dziewięć lat za późno.

- Miło jak miło. Przyznał się do pomyłki, bo nie bardzo miał wybór w świetle późniejszych wydarzeń. Dwa lata temu ten sam człowiek zgwałcił i prawie udusił młodą dziewczynę w Wiktorii. Zginął w wypadku samochodowym, gdy ścigała go policja.

- Wiem - odparła Josette. - Miałam potem wiele telefonów od ludzi z Jacobsville.

- W sumie wygrała pani, choć po tak długim czasie. Odzyskała pani dobre imię i pomimo bolesnych doświadczeń z wymiarem sprawiedliwości sama skończyła pani kryminalistykę i prowadzi śledztwa.

Josette lekko wzruszyła ramionami.

- Miałam motywację. Chciałam pomagać innym

ofiarom przestępstw.

- Proszę wybaczyć, ale właściwie czemu siedzi pani w urzędzie stanowym? To przecież strata czasu, tak do niczego pani nie dojdzie, szlify zdobywa się w boju. Czemu nie zatrudniła się pani na przykład u nas? Nie narzekamy na nadmiar kobiet w tej pracy. Nie chciałaby pani z czasem zostać prokuratorem okręgowym? Nie nęci to pani?

Josette uśmiechnęła się smutno.

- Po procesie Jenningsa byłam świeżo po college'u i nigdzie nie mogłam znaleźć pracy, przecież zostałam kompletnie skompromitowana. Zaryzykował tylko Simon Hart, którego znam od dziecka.

- Przykro mi, nie wiedziałam. W każdym razie, gdyby kiedyś zmieniła pani zdanie, proszę śmiało zgłosić się do nas.

- Dziękuję, będę pamiętać.

- Cieszę się, że będzie pani dla nas pracować przy tej sprawie. Gdyby potrzebowała pani czegokolwiek, proszę mówić.

- Będę potrzebowała więcej, niż mogą państwo zaofiarować, obawiam się - odparła Josette.

- Sprawa jest bardzo ważna, bo Simon Hart Uczy na zdobycie dowodów obciążających Marsha, trudna, bo podlega pod różne jurysdykcje i delikatna, bo pojawia się w niej nazwisko znanego polityka. Niewykluczone, że przyjdzie nam oskarżyć kogoś wysoko postawionego.

- To oskarżymy. My się tu nie boimy nadepnąć nikomu na odcisk - zapewniła Linda i wstała zza biurka. - Będzie pani dzielić pokój z Cashem Grierem, który nie jest aż taki straszny, choć od sierżanta Brannona pewnie usłyszysz pani co innego. Kiedyś pracowali razem.

Do końca dnia Josette zdążyła poznać kilka osób pracujących w biurze prokuratora okręgowego i w miarę wygodnie urządzić się w pokoju, który dzieliła z Grierem. Jego samego nie spotkała, nie natknęła się też na Brannona, co przyjęła z ulgą, gdyż obawiała się, że ze względu na śledztwo będą musieli widywać się codziennie, a nie wiedziała, jak by to zniosła.

Kiedy jednak wróciła do hotelu, czekała na nią niespodzianka w postaci Marca siedzącego na parkingu hotelowym w nowiutkim czarnym dżipie. Josette przycisnęła torebkę do piersi i stała z bijącym sercem przy wypożyczonym samochodzie, patrząc, jak Marc

idzie w jej kierunku. Ignorując reakcję swojego ciała, przybrała spokojny, dość obojętny wyraz twarzy.

Brannon swoim zwyczajem zachował się bezczelnie, oparł się o karoserię wozu, skrzyżował ramiona i z góry popatrzył na Josette. Nie miała wątpliwości, że znowu próbował zrobić na niej wrażenie. Doskonale wiedział, co do niego czuła przed dwoma laty i chciał to wykorzystać, by zyskać nad nią przewagę.

- Straż nie zapewnia wam służbowych samochodów? - zaskoczyła.

- Wolę jeździć własnym - uciął. - Jak minął dzień?

- Zdążyłam się wprowadzić do biura prokuratora okręgowego. Rozumiem, że chociaż oddelegowano cię do śledztwa, będziesz je prowadził z komendantury Straży? Skinął głową.

- Dostałeś kopie dokumentów, które ci przesiałam?

Ponownie pokiwał głową. Josette uniosła brew, w ciemnych oczach błysnęły przekorne ogniki.

- Jeśli nie chcesz gadać, mogę przejść na język migowy.

Zaśmiał się cicho.

- Nie zmieniałaś się.

- Zmieniłam się bardzo, lecz staram się nie pokazywać tego po sobie. - Poprawiła okulary i odwróciła się, rzucając przez ramię: - Jeśli chcesz porozmawiać o sprawie...

- Chcę. Ale nie w twoim pokoju hotelowym - dodał zimno, urażony jej obojętnością.

- W porządku, sprawdzę tylko, czy nie ma dla mnie jakichś wiadomości i zaraz wracam.

Miał nadzieję, że zdoła ją dotknąć swoimi słowami, lecz pozostała doskonale opanowana. Nie do końca rozumiał, czemu chciał ją rozzłościć. Chyba czuł się nieswojo, gdy była taka profesjonalna i pewna siebie.

Nie poświęcając mu więcej uwagi, Josette weszła do hotelu, dowiedziała się w recepcji, że nie zostawiono dla niej żadnych wiadomości, w łazience szybko odświeżyła makijaż i wróciła na parking. Zajęło jej to całe...

- Pięć minut! - Brannon był pod wrażeniem. - Jak na kobietę to rekord świata.

- Mężczyźni zajęłoby to więcej czasu, bo

flirtowałby z recepcjonistką - odcięła się. - Powiedz, gdzie chcesz porozmawiać, podjadę tam.

- Nie bądź śmieszna. - Otworzył drzwi dżipa od strony pasażera.

Josette spojrzała na próg samochodu.

- A masz drabinę?

- Wcale nie jest tak wysoko, nie przesadzaj.

Mimo trudności spowodowanych niewysokim wzrostem postarała się wsiąść do dżipa z gracją. Brannon zamknął za nią drzwi, wskoczył na fotel kierowcy, zapiął pasy, potem sprawdził, czy ona zapięła swoje, i dopiero wtedy ruszył. Wzrok Josette pobiegł ku jego szczupłym dłoniom, spoczywającym lekko i pewnie na kierownicy, przypomniała sobie ich dotyk na swej nagiej skórze...

Odwróciła głowę i zapatrzyła się za okno, za którym uciekały wstecz pożółkłe pastwiska, usiane podobnymi do pasikoników monotennie kiwającymi się urządzeniami pompującymi ropę.

- O czym chciałeś porozmawiać?

- O tym, czemu więzień skazany za morderstwo zostaje wysłany do pracy poza terenem zakładu karnego.

- Słuszna uwaga. Raczej nie praktykuje się

wysyłania morderców do zbierania śmieci przy drodze.

- Właśnie. Jest jeszcze jedna ciekawa rzecz, otóż Jennings miał odsiedzieć wyrok w więzieniu federalnym, tymczasem zakład pod Floresville to więzienie stanowe.

- Interesujące, jak się tam znalazł.

- Prawda? - Zjechał z autostrady na postój dla ciężarówek. - Możemy zjeść tutaj? Dopóki nie dostanę wypłaty, nie stać mnie na nic lepszego.

- Mam zwyczaj płacić za siebie, Strażniku oznajmiła bez cienia zakłopotania. - Rozmawiałeś już z naczelnikiem zakładu?

- Jeszcze nie, lecz łatwo się domyślić, że ktoś musiał użyć swoich wpływów, by przeniesiono Jenningsa właśnie tam.

Gwizdnęła cicho.

- Ten ktoś musi mieć naprawdę niezłe wpływy na górze!

- No, dalej. Czekam.

- Na co?

- Na uwagę, że wicegubernator Teksasu zna osoby, które mogłyby bez trudu załatwić takie przeniesienie.

Spojrzała na niego spokojnie.

- Po co mam mówić oczywiste rzeczy?

- Bib nie zabił Garnera ani Jenningsa stwierdził z całą mocą.

- Twoja lojalność wobec przyjaciela bardzo ci się chwali, ale postarajmy się oboje podejść do tej sprawy bez z góry powziętych założeń. Każde z nas głęboko wierzy w czyjąś niewinność i właśnie z tego powodu powinniśmy zachować szczególną czujność i nie rzucać pochopnych oskarżeń.

- Jesteś bardzo wyrozumiała jak na osobę z twoją przeszłością - ocenił, po czym dodał cicho: - Nie powiedziałem tego w negatywnym sensie. Powiedziałem to, bo zaskakujesz mnie nie potrafię cię do końca rozgryźć.

- Daruj więc sobie dalsze wysiłki, bo w ogóle nie ma takiej potrzeby. Mamy wspólnie wykończyć pewną robotę, to wszystko. Kiedy tylko złapiemy mordercę, wrócę do Austin i zajmę się tym, co umiem robić najlepiej.

- Czyli?

- Czyli pośrednictwem między Simonem a

prokuratorami okręgowymi. Grzebanie w aktach i wydzwanianie po ludziach to moja specjalność.

- Nie po to poszłaś do college'u. Wzruszyła ramionami.

- Niezbyt się nadaję do pracy w terenie - Wykręciła się, ponieważ nie zamierzała rozmawiać z nim na ten temat. - Wybacz, ale czy możemy wreszcie omówić to, co mamy do omówienia? Chciałabym wrócić do hotelu, to był męczący dzień.

Nie odpowiedział. Zatrzymał się na parkingu, zgasił silnik, wysiadł, lecz nie otworzył drzwi od strony pasażera, co było zupełnie nie w jego stylu, gdyż świętej pamięci pani Brannon wpoila synowi, jak powinien zachowywać się dżentelmen, więc Marc, nie bacząc na rozpowszechnioną poprawność polityczną, zawsze przepuszczał kobietę w drzwiach, pomagał jej wysiąść z samochodu, a idąc z nią po chodniku, szedł od strony ulicy. Josette odebrała jego nietypowy brak manier jako celowy afront, lecz powstrzymała się od komentarzy, z obojętną miną sama otworzyła drzwi i wysiadła.

W restauracji Brannon zaprowadził ją do boksu w najdalszym rogu, gdzie mogli swobodnie porozmawiać.

Ledwie usiedli, zjawiała się młodzianka i śliczna kelnerka, a na widok gościa aż oczy jej rozblęły.

- Czym mogę służyć? - spytała z nieskrywanym entuzjazmem.

Posłał jej zabójczy uśmiech, dzięki któremu wyglądał jeszcze przystojniej i jeszcze bardziej zawadiacko niż zazwyczaj. Dwa lata wcześniej uśmiechał się w podobny sposób do Josette.

- Kawę ze śmietanką, średnio wysmażony stek, do tego jakąś sałatkę, najchętniej z sosem Tysiąc Wysp.

- Nie ma sprawy. - Obróciła się ku Josette zdecydowanie mniej ochoczo. - A dla pani?

- Też kawę, ale czarną i sałatkę z sosem ranczerskim.

- Przyjęłam. Zaraz przyniosę kawę. - Posłała Brannonowi jeszcze jeden uśmiech nieśmiałej fanki i pospieszyła do kuchni.

- To ta srebrna gwiazda tak na nie działa - skomentowała Josette, ruchem głowy wskazując odznakę na jego piersi.

Usiadł wygodniej, wyciągając ramię wzdłuż oparcia ławy, a wtedy koszula opięła się na jego mocnej

piersi, przez co Josette znowu opadły bolesne wspomnienia.

- Gdyby nie zostało na świecie choć trochę kobiet, które lubią mężczyzn, populacja ludzkości spadłaby kilkakrotnie. - Uśmiechnął się zimno. - Nie wszystkie słuchacze feministek, które są radykalne, wyzwolone, nie malują się i obchodzą się bez znienawidzonych facetów. Dla mnie to jest owczy pęd - ciągnął, starając się ją sprowokować. - I jak jedna skoczy w przepaść, to za nią wszystkie.

- To nie owce tak robią, tylko lemury - skorygowała. - Nic mi nie wiadomo o nienawiści do mężczyzn. Niektórzy wręcz inspirują kobiety do walki o swoje prawa.

- Ciekawe, czy tacy jak ja? Zaledwie wczoraj zatrzasnąłem kobiecie drzwi przed nosem - odparł i czekał na reakcję.

Josette przyglądała mu się i nagle przypomniał jej się zupełnie inny Marc - rozbawiony, pełen życia, o szelmowskich błyskach w szarych oczach. Na przykład podczas zaimprovizowanego meczu koszykówki, kiedy to ludzie z jej grupy skrzyknęli się naprędce, by trochę

pograć. Na przykład na swoim ranczu, gdy bawił się z psami, rzucając im patyki do aportowania. Jak wielu kowbojów był człowiekiem o wesołym usposobieniu, zawsze chętnym do żartów, zabaw i płatania figli. Obecnie siedział jednak przed nią ktoś obcy, niechętny jej, próbujący ją sprowokować, wbić szpilę, uparcie szukający słabych miejsc. Dlatego też Josette nie zamierzała wdawać się w żadne niepotrzebne słowne utarczki.

- Chcę się przede wszystkim dowiedzieć, jak Jennings trafił z więzienia o zaostrowym rygorze do zakładu stanowego, a nawet został skierowany do prac poza terenem więzienia - odezwała się rzeczowym tonem, pozostawiając jego zaczepki bez odpowiedzi. - Ktokolwiek za tym stał, wymagało to czegoś więcej niż posiadanie wyjątkowo dobrych kontaktów i znajomości. Myślę, że duża suma pieniędzy musiała przejść z rąk do rąk.

- Mnie bardziej interesuje motyw - odparł, ukrywając irytację.

Był na nią zły, ponieważ nawet nie chciała się z nim pokłócić. Nienawidził tego jej opanowania, tego spokojnego głosu. Dwa lata wcześniej była dziewczyną z

charakterem, pełną energii i radości życia. Kiedy patrzyła na niego, jej oczy błyszczały i zdawały się go pieścić samym spojrzeniem. Obecnie były puste jak zamalowane okna opuszczonych domów.

- Jeśli prześledzimy krok po kroku, jak doszło do przeniesienia Dale'a, dotrzemy i do mordercy - przekonywała.

Na chwilę musieli przerwać, gdyż wróciła kelnerka, postawiła przed nimi po kawie, a przed Brannonem jeszcze dodatkowo cztery plastikowe pojemniczki ze śmietanką, posyłając mu kolejny uśmiech. On również uśmiechnął się w odpowiedzi, a do tego mrugnął do dziewczyny, która zarumieniła się i zachichotała cichutko, nim podeszła do sąsiedniego stolika, przy którym właśnie siadała inna para. Josette poczuła, jak obciążone skajem oparcie wybrzusza się nieprzyjemnie, gdy akurat za nią usiadł mężczyzna i oparł się z całym impetem. Przesunęła się nieco, jednocześnie powtarzając sobie w duchu, że wcale nie dba o to, że Marc flirtuje z kelnerką. Wcale a wcale!

Tymczasem on z zadowoloną miną zajął się dolewaniem śmietanki do kawy, słodzeniem,

mieszaniem, przy czym co chwila sprawdzał, czy kawa już jest taka, jak trzeba. Wreszcie odłożył łyżeczkę na spodek, bez pośpiechu podniósł kubek do ust, napił się powoli.

- Motyw jest dla mnie oczywisty - odezwał się w końcu. - Jennings znajdował się w posiadaniu jakiegoś obciążającego dowodu, który mógłby komuś poważnie zaszkodzić.

- Zgadzam się.

Sama napiła się również, stwierdzając ze zdumieniem, że kawa jest mocna, aromatyczna i naprawdę smaczna, co nieczęsto zdarzało się w przydrożnych lokalach dla kierowców ciężarówek. W lepszych miejscach potrafiła okazać się zwykłą lurą, jakby kucharze w pośpiechu wsypywali ją do papierowego filtra lub jakiejś zaparzaczkii i tylko na chwilę zanurzali w gorącej wodzie - hop! - i podróbka kawy gotowa. Uśmiechnęła się bezwiednie, gdy to sobie wyobraziła.

- Co w tym śmiesznego? - spytał. Zapomniała, jak bardzo był spostrzegawczy, nic nie potrafiło umknąć tym bystrym jasnoszarym oczom. W końcu spędził

czternaście lat, pracując w organach ścigania, więc miał znakomity trening.

- Nie rozbawiła mnie nasza rozmowa, przez moment myślałam o czym innym - przyznała, po czym wyjaśniła mu, co sobie wyobraziła chwilę wcześniej.

- Dlatego lubię tu przyjeżdżać - skomentował.

- Jedzenie dają takie sobie, ale do kawy nigdy nie można się przyczepić. - Znowu uniósł kubek do ust. - Widziałem się rano z panią Jennings - oznajmił, bez zbędnych wstępów przechodząc do sedna rzeczy. - Trafiła do prowadzonego przez jakieś zakonnice przytułku dla ubogich, nie ma nawet tyle pieniędzy, żeby do kogokolwiek zadzwonić.

Jego ponura mina wymownie świadczyła o tym, jak bardzo przejął się sytuacją inwalidki. Mimo wszystkich swoich wad miał serce bardzo czule na cudzą krzywdę.

- Nie wiesz, czy Dale dał jej coś na przechowanie?

- Ciekawe pytanie, sam chciałbym znać odpowiedź. Zanim musiała się wyprowadzić, ktoś włamał się do domu pod jej nieobecność i przewrócił wszystko

do góry nogami. Pracownica opieki społecznej, która zabrała ją do przytułku, obiecała, że przed eksmisją odwiezie ją do domu i pomoże pani Jennings spakować rzeczy, które miała prawo zabrać. Niestety, nie było czego zabierać, bo dom spłonął dziś w nocy. Niczego nie uratowano, nawet szczoteczki do zębów.

Josette ściągnęła brwi.

- Czyli na wszelki wypadek zatarli ślady, bojąc się, że mogli coś przeoczyć... Jeśli w domu znajdował się ten poszukiwany przez mordercę dowód przestępstwa, to poszedł z dymem.

- Myślę, że ci, którzy szukają, szukają na ślepo i nie są pewni, gdzie Jennings ukrył tę rzecz. Nawet jeśli nie powierzył jej matce, ona może wiedzieć, gdzie tego czegoś szukać, dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby pożar miał raczej być ostrzeżeniem dla niej i mało subtelną zachętą do współpracy. Rozmawiałem z szefem tamtejszego posterunku, prosiłem, żeby na wszelki wypadek mieli oko na przytułek, ale oczywiście brak im ludzi i środków - rzekł z irytacją. - Ledwo wywiązują się ze swoich podstawowych zadań.

- Wszędzie tak jest, a wystarczyłoby przeznaczyć

na organy ścigania dwa procent tego, co przeznaczamy na pomoc dla innych krajów, żebyśmy przestali mieć problemy z przestępczością.

- A drugie dwa na pomoc społeczną, a wtedy żaden dzieciak nie chodziłby głodny - dodał i popatrzył na nią z powagą. - Oboje dobrze wiemy, co to znaczy, gdy bieda przyciśnie.

- Prawda? - zgodziła się z melancholijnym uśmiechem. - Za to teraz twoja siostra stała się kimś w rodzaju królowej.

- Bogactwo wcale jej nie zmieniło. Gretchen robi naprawdę bardzo dużo dobrego dla wszystkich potrzebujących, ostatnio nawet ONZ poprosiło ją, żeby z ich ramienia organizowała zbiórki pieniędzy.

- Jestem pewna, że Gretchen znakomicie się sprawdzi w zdobywaniu funduszy na dobre cele. Ona ma naturalny wdzięk, przyciąga ludzi do siebie.

Marc przypomniał sobie z pewnym zakłopotaniem, jak wiele Josette wie o jego rodzinie, pewnie nawet nie było dla niej tajemnicą, że jego ojciec pił bez umiaru, a ponieważ zupełnie nie miał głowy do interesów, Brannonom groziła utrata rancza. Zapobiegła

jej śmierć ojca, który zginął po pijanemu, stratowany przez własne konie. W ogóle w takim miasteczku jak Jacobsville praktycznie nie dało się utrzymać niczego w tajemnicy, wszyscy wiedzieli wszystko.

- Co zrobimy z panią Jennings? - spytała nagle. - Będzie nieustannie zagrożona, jeśli morderca nie znalazł tego, czego szukał.

- Gdybym to ja nim był, nie zakładałbym, że udało mi się zniszczyć dowód, tylko znalazłbym sposób, żeby zmusić matkę ofiary do mówienia.

Skrzywiła się boleśnie.

- Nie uspokoileś mnie. Masz jakieś pomysły poza bezskutecznym proszeniem policji o przydzielenie jej ochrony?

- Dobrze, że pytasz. Ty mogłabyś mieć na nią oko, wystarczyłoby przenieść ją do twojego hotelu.

- Pomysł dobry, ale kto za to zapłaci?

- Namów Griera, żeby pogadał o tym w twoim imieniu z prokuratorem okręgowym. Kiedy już zadaje sobie trud, żeby o coś poprosić, zazwyczaj dostaje to szybko i bez zbędnych pytań.

Griera? - powtórzyła, wiedząc, że gdzieś słyszała

to nazwisko.

- Casha Griera, specjalistę od wykrywania przestępstw popełnianych w cyberprzestrzeni. Pracuje w tym samym biurze, co ty. Nie poznałaś go jeszcze?

- Nie, chociaż nawet zakwaterowano mnie w jego pokoju i powiedziano, że w końcu jakoś się do niego przyzwyczaję. Nie mam pojęcia, co to miało znaczyć, nie zjawił się przez cały dzień, oczywiście nie zamierzam się do niego uprzedzać na podstawie czyjejś opinii.

- Och, usłyszysz ich jeszcze dużo. Pracował kiedyś dla nas, ale krótko, bo do tego stopnia nie znosił szefa, że odszedł. Ja też nie mogłem dogadać się z Bullerem i rzuciłem wszystko w diabły. Tępy biurokrata, który potrafił wyliczać nam spinacze, zamiast zajmować się tym, co naprawdę ważne. - Nie zdradził jej prawdziwego powodu, dla którego przestał być Strażnikiem, a z szefem rzeczywiście miał na pieńku.

Stary narobił sobie masę wrogów, więc kiedy niemal jednocześnie stracił nas dwóch i ktoś na górze zainteresował się, co się właściwie dzieje w komendanturze w San Antonio, z miejsca posypały się skargi na niego. Przyjrzano mu się bliżej i nie zwolniono

go, tylko złożono propozycję nie do odrzucenia, mianowicie by sam szybko zrezygnował albo pożałuje.

- Rozumiem, że miał jakieś szkielety poupychane w szafie i zagrożono mu wyciągnięciem ich na światło dzienne?

- To był jedyny Strażnik w całej naszej historii niegodzien nosić odznaki - oznajmił stanowczo. - Zresztą każdy z nas chowa jakieś szkielety w szafie - dodał ciszej, unikając jej wzroku. Dopił swoją kawę.

- Ktoś zebrał ich naprawdę sporo, a jeśli go nie dopadniemy na czas, Dale będzie miał towarzystwo w zaświatach.

Brannon pokiwał głową.

- Dzwoniłem dziś do Jones w sprawie sekcji, ale oni tam mają pełno ciał i chociaż pracują pełną parą, zabiorą się za naszego denata dopiero jutro rano. Musimy czekać.

- Jones... Czy przypadkiem nie chodzi o Alice Mayfield Jones z Floresville?

Uniósł brwi.

- Znasz ją?

- Chodziłyśmy razem do college'u. - Jej poważna

twarz rozpoznała się na moment. - Ależ z niej była śmieszka!

- Nie zmieniła się pod tym względem. Kelnerka przyniosła im jedzenie, więc następnych dziesięć minut upłynęło w ciszy. Kiedy skończyli, zgodnie podziękowali za deser, zamówili po kolejnej kawie i wrócili do przerwanej rozmowy.

- Moim zdaniem śmierć Jenningsa ma związek ze śmiercią Garnera - oznajmiła Josette.

- Czemu tak myślisz?

- Ponieważ w grę wchodzi naprawdę duże pieniądze.

- Nie chcę słyszeć ani słowa na temat Biba Webba - ostrzegł zimno.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Przestań wreszcie! Wszyscy są podejrzani, wszyscy bez wyjątku. Działasz w imieniu prawa i prowadzisz dochodzenie, więc nie możesz sobie pozwalać na kierowanie się jakimiś osobistymi sentymentami. Kropka.

Omam nie zgrzytnął zębami, lecz musiał się z tym zgodzić.

- W porządku.

Jej spojrzenie złagodniało nieco.

- Wiem, że to twój przyjaciel i że nie chcesz mu w żaden sposób zaszkodzić.

- Nie znasz go tak jak ja - rzekł cicho. - On kochał Henry'ego Garnera jak ojca, bo ten okazał mu więcej serca niż jego własny. Stary Webb zostawił rodzinę, gdy Bib był nastolatkiem. Niedługo potem zmarła matka, więc mój przyjaciel musiał sam zarabiać na siebie i młodszą siostrę. Zajmował się nią, a kiedy wydawało się, że wszystko wychodzi na prostą, siostra przedawkowała narkotyki. Henry Garner był jedyną osobą w życiu Biba, która naprawdę coś dla niego zrobiła i zupełnie bezinteresownie mu pomogła. Bib nawet nie zdołał pójść na jego pogrzeb.

Josette skinęła głową na znak, że wie o tym. Zapewne za tą nieobecnością kryły się spóźnione wyrzuty sumienia.

- Musieliśmy posłać po lekarza, żeby dał mu coś naprawdę mocnego na uspokojenie - ciągnął Marc.

- Tak żałował tego, co się stało?

- Tak się wściekł na Jenningsa! Dostał ataku

furii, szalał, chciał zadusić zabójcę gołymi rękami, nigdy nie widziałem go w takim stanie. Jeden zastrzyk valium nie wystarczył, zasnął dopiero do drugim, a kiedy się obudził, płakał przez bite dwa dni.

Pomyślała, że w takim razie Webb miał motyw, by zabić Jenningsa, ale zachowała to dla siebie. Przypomniała sobie pogrzeb Garnera, na którym zabrakło Biba, lecz nie jego żony. Silvia zjawiała się w luksusowym czarnym kostiumie od Versacego i uśmiechała się czarująco do pozostałych żałobników.

- Jego żona chyba bardzo lubi drogie rzeczy - wyrwało jej się.

- Zaznała prawdziwej biedy, więc może tu tkwi przyczyna. Ona ma za sobą bardzo bolesne doświadczenia, w tragicznych okolicznościach straciła ojca i brata, prawie wylądowała na bruku, ale poznała Biba i pobrali się. Miała wtedy szesnaście lat.

- To trochę mało jak na zawarcie małżeństwa zauważyła ostrożnie.

- Mój przyjaciel myślał, że miała dwadzieścia. W każdym razie szesnaście to wystarczająco dużo, żeby zajść w ciążę - dodał z przekąsem.

Josette powstrzymała się od komentarza. Marc ewidentnie nie przepadał za żoną swego przyjaciela.

- Nie wiedziałam, że mają dziecko.

- Bo nie mają. Poroniła w połowie trzeciego miesiąca. Pojechała na zakupy do Dallas, w hotelu poślizgnęła się na schodach i upadła lak nieszczęśliwie, że nie tylko straciła dziecko, lecz także coś sobie uszkodziła i już nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Tak powiedział lekarz.

Pewnie wcale się nie zmartwiła, pomyślała, ponieważ nie wyobrażała sobie egoistycznej Silvii w roli matki. Oczywiście tego też nie powiedziała na głos, spytała za to o co innego.

- Ona jest chyba bardzo zaborcza, prawda? Tamtego wieczora na przyjęciu prawie nie spuszczała męża z oka.

- Owszem, jest. Pewnie nie odkleiła się od niego ani na moment, jak ją znam.

- Muszę cię zaskoczyć. Zabrała gdzieś Dale'a i przez jakiś czas nie widziałam żadnego z nich, potem wrócili na przyjęcie oddzielnie, on jakby czymś zaabsorbowany, ona potargana. W tym czasie twój

przyjaciel zatańczył parę razy z taką zgrabną niedużą brunetką dość tradycyjnie ubraną, a kiedy Silvia zobaczyła ich razem, prawie zrobiła im scenę.

Przypomniawszy sobie asystentkę przyjaciela, zazwyczaj zapraszaną na przyjęcia pomimo obiekcji Silvii.

- Wiem, o kogo chodzi, to Becky Wilson - wyjaśnił. - To działo się przed twoją rozmową z Garnerem czy po?

- Po. Pomyślałam, że napiję się czegoś, podeszłam do stolika, przy którym serwowano poncz, zagadnęła mnie tam jakaś kobieta, porozmawialiśmy przez kilka minut i dopiero kiedy odeszła, zdałam sobie sprawę, że ten poncz jest sporo mocniejszy niż powinien. Zrobiło mi się dziwnie, więc zaczęłam szukać Henry'ego Garnera, lecz on znikł. Było mi coraz gorzej, ale wpadłam na Silvię, a ona odwiozła mnie do domu. - Posmutniała. - Polubiłam pana Garnera, był szczery, taktowny i bardzo miły. Opowiadał mi o twoim przyjacielu, ubolewał, jakie Bib miał ciężkie życie. Naprawdę bardzo się do niego przywiązała.

- Przywiązanie było obustronne - przypomniał jej. - Czemu na przyjęciu rozmawiałaś z Garnerem, skoro

przyjechałaś ze swoim facetem? - spytał szorstko, gdyż ten temat sprawiał mu ból. Nie musiała mu już niczego udowadniać, więc mogła powiedzieć prawdę.

- Przyjechałam ze znajomym - skorygowała. - Dale potrzebował partnerki na przyjęcie, zaprosił mnie, a ja nie odmówiłam, bo wydawał mi się sympatyczny i nie miałam pojęcia o jego powiązaniach z mafią. Dopiero pan Garner mnie oświecił, ponieważ chciał mnie przed nim ustrzec.

Ta wiadomość żywo zainteresowała Brannona.

- A dokładnie co ci powiedział?

- Że przyszedł na przyjęcie, by wyrzucić z pracy Dale'a, który okazał się złodziejem. Pan Garner zamknął pewną rzecz w sejfie, a ona znikła.

Brannonowi na chwilę aż zaparło dech.

- Bingo! - wykrzyknął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie rozumiem - powiedziała Josette, ściągnając brwi.

Pochylił się do przodu, splatając palce obu dłoni na pustym kubku.

- Przemyśl, co powiedziałaś. Garner chciał wylać Jenningsa z roboty w przekonaniu, że ten go okradł. A co, jeśli Garner zginął właśnie dlatego, że znajdował się w posiadaniu czegoś, na przykład dowodu jakiejś przestępczej działalności? Co, jeśli mordercy chodziło o to, by go uciszyć?

- To przerażające. To jest naprawdę przerażające.

- Przede wszystkim rzuca zupełnie nowe światło na całą sprawę. Może tamto śledztwo poszło w złym kierunku.

- Oczywiście, że tak, bo Dale nie zabił Garnera.

- Bib też nie - uciął. Nagle tknęła go jakaś myśl i jego spojrzenie złagodniało. - A jeśli oboje mamy rację?

Powoli skinęła głową, rozważając jego słowa i też się rozpogodziła.

- Może faktycznie mamy! - rzekła z entu-

zjazmem.

Brannon coraz bardziej zapalał się do swojej idei.

- Popatrzmy, jak to mogło wyglądać. Garner zdobywa dowód, że ktoś popełnił przestępstwo i planuje iść z tym na policję. Zostaje uciszony, ale morderca nie znajduje obciążającego go dowodu, bo faktycznie Jennings ukradł tę rzecz, oczywiście nie w celu poinformowania policji, tylko z zamiarem ciągnięcia zysków z szantażu.

- To tylko gdybanie... - Mimo tej obiekcji, jej również ta zagadkowa układanka zaczynała składać się w pewną całość. - Ale faktycznie Dale zaprzeczył, że popełnił morderstwo.

- Owszem, na samym początku, a potem nagle jego adwokat zaczął ubiegać się o zmianę kwalifikacji prawnej czynu z morderstwa z premedytacją na zabójstwo w afekcie i o niższy wyrok ze względu na dobrowolne przyznanie się do winy. Dlaczego?

- Ktoś w zamian coś Dale'owi obiecał - odgąła. - Pieniądze.

- Właśnie. - W zamyśleniu zaczął się bawić kubkiem po kawie. - Tylko czemu zabito go dopiero po

dwóch latach, zamiast sprzątnąć go od razu?

- Pewnie przez tę historię z panią Jennings - rzekła bez namysłu. - Dale mógł na początku domagać się sumy, która dla mordercy nie okazała się duża, więc zapłacił, kupując sobie jego milczenie. A jeśli niedawno Dale zażądał więcej, dużo więcej, żeby ratować matkę przed eksmisją?

- Nieźle. - Spojrzał na nią żartobliwie jak za dawnych dobrych czasów, gdy nie byli jeszcze wrogami.
- Nie myślałaś kiedyś o tym, żeby pracować w policji?

Łypnęła na niego bez rozbawienia i dokończyła swoją kawę.

- Czuję, że chyba wpadliśmy na dobry trop. Od czego zaczynamy?

- Od przesłuchania ludzi, z którymi Jennings kontaktował się w jakikolwiek sposób podczas pobytu w więzieniu.

Wyjęła notes z torebki, przerzuciła kilkanaście stron, wreszcie znalazła, czego szukała.

- Tu jest lista wszystkich osób, z którymi korespondował lub do których dzwonił. Nazwiska, adresy, numery telefonów. - Podała mu otwarty notes.

Zerknął na nią z dezaprobatą.

- Powinnaś być lekarzem z takim pismem. Tego się nie da odczytać!

- Najłatwiej jest krytykować. - Zabrała mu notes sprzed nosa. - Pierwszy na liście to Jack Holliman. Mieszka w hrabstwie Wilson, we Floresville. To wujek Dale'a.

- Proszę, jak blisko więzienia...

- Właśnie, aż za blisko, żeby go naprawdę o coś podejrzewać, ale przecież od kogoś musimy zacząć.

Wstała, Brannon podniósł się również, zapłacili przy ladzie i poszli do samochodu.

Po kwadransie wjechali w pełną dziur boczną drogę, prowadzącą do małego rancza. Ogrodzenie waliło się, ze ścian niewielkiego domku płátami odpadała farba, w balustradzie werandy ziały dziury po brakujących tralkach. Kiedy wysiedli z wozu i ruszyli w stronę wejścia, drzwi uchyliły się, a ze szczeliny wysunęła się lufa strzelby. Usłyszawszy trzask odwodzonego kurka, Josette zawahała się, lecz Brannon twardo maszerował dalej.

- Straż Teksasu! - rzucił. - Tylko do mnie wypal,

a pożałujesz.

Kurek szybko wrócił na miejsce i drzwi otworzyły się, ukazując niewielkiego siwowłosego staruszka, który spojrzał wyblakłymi oczami na pierś Brannona.

- Ano, odznaka jak trzeba - przyznał cienkim, zdartym głosem. - No to wchodźcie, bo wy to raczej nie będziecie chcieli mnie kropnąć - dodał ze śmiechem.

Wnętrze domu okazało się równie mało zachęcające jak otoczenie, było ponure, przesiąknięte zapachem dymu, tytoniu i potu. Staruszek ostrożnie usiadł na bujanym fotelu z haftowaną poduchą i wypłowiałym kocem, gościom wskazał dwa wyplatane, rozchwiane krzesła. Poduszki, które na nich leżały, wyglądały tak, jakby nigdy nie widziały wody i mydła. Pan domu zresztą też.

Brannon usiadł, pochylił się do przodu, wbił szare oczy w gospodarza, zdawał się w ogóle nie mrugać.

- Szukamy Jacka Hollimana.

- To ja. Pewnie przyszliście w sprawie Dale'a? - Jego twarz wykrzywił gorzki grymas.

- Co za cholerna śmierć, nie? Zastrzelili chłopaka

jak psa. Z całej rodziny oprócz siostry już tylko jego miałem.

- Był pańskim jedynym siostrzeńcem? - spytała Josette, by zachęcić go do dalszego mówienia, a nie dlatego, że nie знаła odpowiedzi.

- Ano. Jedyny dzieciak mojej siostry. Szwagier zmarł, jak mały miał dziesięć lat, ale przedtem jeszcze zdążył go nauczyć, jak być na bakier z prawem. Siostra już nie dała rady tego odkręcić.

Tym razem odezwał się Brannon.

- Czy domyśla się pan, komu mogło zależeć na śmierci pańskiego siostrzeńca?

- Nie. I nie wierzę, że zabił tego całego Garnera, chociaż go za to skazali. Sfalszować czek albo ukraść kartę kredytową, żeby dać matce pieniądze, to tak, ale zabić? Nie, Dale nigdy by nikogo nie zabił. To był taki chłopak, że potrafił zabrać z ulicy chorego zwierzaka i dać weterynarzowi wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, żeby ten coś zrobił.

- Wiem - rzekła cicho Josette, nie patrząc na Brannona. - Wiem, bo znaliśmy się z Dale'em. Ja też nigdy nie uwierzyłam w jego winę, a teraz chcę znaleźć

tego, kto go zabił. Będziemy wdzięczni za każdą wskazówkę, która nam pomoże w złapaniu mordercy.

Stary człowiek zacisnął wąskie wargi, potem skinął głową.

- Napisałem do niego do więzienia. Jemu tam pisanie listów nie bardzo szło, ale w zeszłym miesiącu przysłał mi kartkę. Zaraz wam pokażę.

Podniósł się z wyraźnym trudem, pokuśtykał do niewielkiego stolika, wyciągnął szufladę, wyjął z niej zaadresowaną do siebie kopertę i podał Josette. Wyjęła ze środka kartkę pocztową z jakimś pejzażem, na odwrocie zobaczyła nabazgraną krótką notkę. Dale pytał o zdrowie wujka i wspominał ich wspólne konne przejażdżki.

- Lubiliśmy sobie jeździć na pastwiska, zwłaszcza wiosną - rzekł ze smutkiem staruszek. - Nawet przywiózł tu siodło, żebyśmy mogli jeździć razem. Konie miałem dwa, ale siodło jedno, bo odkąd źle chodzę, z pieniędzmi u mnie krucho. - Z powrotem usiadł na fotelu.

- Dalej trzymam to jego siodło. Prawdziwe cacko, ma nawet ręcznie szyte sakwy ze skóry. Piękna robota. - Potrząsnął głową. - No i chłopak już nie

pojeździ... Kochał to miejsce, świeże powietrze, przestrzeń... Siedział wmieście, żeby opiekować się matką, kiedy zachorowała. Święty nie był, przeciwnie, ale o swoją mamę dbał jak mało kto. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, byłbym zapisał mu rancho. W zeszłym tygodniu sprzedałem konie i moje siodło, teraz pewnie sprzedam i siodło Dale'a, bo tu już ono nikomu niepotrzebne...

Brannon obejrzał pocztówkę, nie znalazł nic ciekawego, oddał ją Josette.

- Coś nie mogę się dodzwonić do siostry - ciągnął staruszek - dała znać, że Dale nie żyje, a potem cisza. Chciałem jechać na pogrzeb, ale nie ma mnie kto zawieźć. Obiecała, że zadzwoni po wszystkim i opowie. I nic. Dzwonię, ale linia jakby zerwana. Czy z moją siostrą wszystko dobrze?

Wydawał im się tak kruchego zdrowia, że nie mieli serca powiedzieć mu prawdy.

- Tak - zapewniła Josette. - Co prawda jej dom się spalił, ale ona sama jest cała i zdrowa. Zdobędę jej nowy numer telefonu i wyślę panu.

Westchnął ciężko.

- Dziękuję, dobra z pani dziewczyna. - Jego głos był głosem człowieka przegranego, gdy mówił: - Wszystko mija, wszystko odchodzi... Nigdy nie myślałem, że na starość będę kaleką i nie dam rady zupełnie nic zrobić, nic. - Znowu podniósł wyblakłe oczy na Josette. - Nie myśl, że życie jest na zawsze, młoda damo. Wyciśnij z niego każdą kropelkę, póki jeszcze możesz.

Uśmiechnęła się do niego.

- Staram się.

- Pan pewnie nie znał żadnych przyjaciół Dale'a ani ludzi, z którymi pracował? - spytał Brannon.

- Nie. Zresztą on miał tylko jedną pracę, o której wiem. Tę u tego człowieka, którego zabito. Był z niej bardzo dumny. - Naraz zmarszczył siwe brwi. - Chociaż jak tu przyjechał ostatni raz, powiedział coś dziwnego... Ze zrobił coś, czego wolałby nie robić, ale ma nadzieję, że postąpił dobrze, bo chciał tego Garnera ochronić. - Zerknął na Brannona.

Wicie może, o co mu chodziło?

- Jeszcze nie, lecz się dowiemy. Obiecuję. Wstał.

- Skontaktujemy się w sprawie pańskiej siostry. Nic jej

nie jest.

Holliman powoli dźwignął się z fotela.

- Miło, że wpadliście. A, i przepraszam za tę strzelbę - dodał. - Dale kazał mi zamykać drzwi i uważać na obcych. Właściwie nie wiem, czemu, ale w sumie rada nie jest zła.

- Nic się nie stało. Nie musi nas pan odprowadzać, zamknę drzwi, żeby się zatrzasnęły. Telefon pan ma, jak rozumiem?

- Dużo mi da wzywianie pomocy na tym pustkowiu... Przede wszystkim mam broń.

- A psa?

- Nie, bo nie dam rady się nim opiekować.

- Niech pan trzyma broń pod ręką i zamknięte drzwi. Poproszę szeryfa, żeby patroli częściej kręciły się w tej okolicy.

Holliman uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Dzięki, synu.

Brannon podszedł do drzwi, spojrzął na ścianę i zawahał się z dłonią na gałce.

- Pogrzeb jest jutro o drugiej po południu. Jeśli chce pan na niego iść, proszę powiedzieć, przyjadę po

pana.

Staruszek z trudem przełknął ślinę.

- Zrobiłbyś to dla obcego człowieka?

Brannon dotknął wiszącej na gwoździu zniszczonej kabury, z której wystawała kolba pistoletu. Na tym samym gwoździu wisiała wytarta i matowa odznaka Strażnika.

- Nie jesteśmy sobie obcy - rzekł cicho.

Holliman skinął głową.

- W takim razie chętnie pojedę. Dzięki.

- Nie ma za co. Będę o wpół do drugiej.

- Dziękujemy, że poświęcił nam pan tyle czasu - odezwała się Josette.

- A co lepszego mógłbym z nim zrobić? odparł i uśmiechnął się do niej.

Odwzajemniła uśmiech, wyszła na werandę i poczekała na Brannona, który zatrzasnął drzwi, by zaskoczyła zapadka w zamku.

- Nie zauważyłam tej odznaki - przyznała. Jesteś bardzo spostrzegawczy.

- Pewnie dotąd ci się taki nie wydawałem, zważywszy na błędy, które popełniłem - skwitował

nieoczekiwanie.

Pominęła tę uwagę milczeniem.

- Myślisz, że coś może mu grozić? - spytała, gdy wsiadali do czarnego dżipa.

- Morderca zabił już dwa razy, więc nie zawaha się i trzeci, bo mordując dalej, nie ma nic do stracenia. Nawet jak go złapiemy i dostanie karę śmierci, to nie da się jej przemnożyć przez ilość ofiar. - Uruchomił silnik. - Widzieliśmy już, jak jest zdeterminowany, żeby znaleźć ten dowód. Dlatego każdy, kto miał kontakt z Jenningsem, znajduje się w niebezpieczeństwie.

Josette potarła ramiona dłońmi, gdyż nagle wspomniała biedną panią Jennings i zrobiło jej się zimno.

- Ale matce Dale'a nie powinno już nic grozić. Przeszukano jej dom, potem spalono. Morderca zyskał pewność, że ona nie ma tego czegoś.

- Może jednak sądzić, że ona coś wie, a wtedy nie da jej spokoju. Jeśli to robota Marsha, a obstawiam, że tak, ktoś może złożyć pani Jennings niezapowiedzianą wizytę.

- Boże... - wyszeptała. - To straszne być starym, bezradnym i nic nie mieć.

- I do tego żyć w kraju, gdzie nie szanuje się sędziwego wieku, ba, prawie się za niego karze.

Uśmiechnęła się smutno.

- Masz rację.

- To cholerny wstyd, żeby taki człowiek jak Holliman, który spędził całe życie, chroniąc innych ludzi, musiał wegetować - stwierdził ponuro. - Takich jak on są setki, nie tylko w Teksasie, ale w całym kraju jest pełno ludzi, którzy codziennie narażali się dla dobra ogółu, a w zamian dostają takie świadczenia, że nawet nie stać ich na lekarza.

- To niesprawiedliwe.

- Nie prowokuj mnie, bo i tak szlag mnie trafia - ostrzegł, skręcając w drogę wiodącą z powrotem do San Antonio.

Przez dłuższy czas w samochodzie panowała pełna napięcia cisza. Josette poczuła nagle ogromne zmęczenie, ponieważ miała za sobą dwa ciężkie dni, a w nocy prawie nie spała ze zdenerwowania. Przymknęła oczy, co Marc natychmiast zauważył.

- Chciałaś jeszcze dzisiaj porozmawiać z panią Jennings, ale zrobimy to jutro po pogrzebie -

zdecydował. - Odwiozę cię do hotelu. Rano spotkam się z naczelnikiem więzienia.

- Myślisz, że będzie wiedział, kto pociągnął za sznurki w sprawie przeniesienia Dale'a?

- Raczej nie, ale może uruchomić kontakty, dzięki którym się tego dowiemy. Ta cała sprawa mocno mi śmierdzi. Nie rozumiem, jak więzień osadzony za zabójstwo mógł się prześlizgnąć przez pilnie *strzeżony system* więziennictwa, jakby to była sieć pełna dziur.

- Pieniądze - mruknęła sennie.

Zerknęła na nią, znów zauważając delikatne linie pierwszych zmarszczek na jej młodej twarzy, niechybnie wypisane przez wszystkie traumatyczne przejścia w życiu Josette. Popęłniła jeden błąd, a jego konsekwencje ciągnęły się za nią latami, do czego zresztą Brannon walenie się przyczynił. Nienawidził siebie za to. Owego wieczoru przed dziewięciu laty powinno było mu dać do myślenia, że trzęsąca się i zapłakana nastolatka bełkocze bez ładu i składu.

- Czy wiesz, co tamten chłopak dał ci wtedy w napoju? - wyrwało mu się.

- Tak - odparła, zbyt znużona i senna, by walczyć

z nim, zabraniając mu zadawać podobne pytania. - To, co teraz nazywa się pigułką gwałtu. Wtedy się jeszcze o tym nie mówiło.

- Popeliłem jeden z największych błędów mojego życia, dając wiarę słowom tego chłopaka i jeszcze mu pomagając. Powinienem był wiedzieć lepiej.

- To już przeszłość - stwierdziła beznamiętnym tonem. - Nie da się jej zmienić.

- Bóg mi świadkiem, że bym chciał! Pochopnie cię osądziłem i złamałem ci życie.

- Przy moim sporym współudziale - odparła, cały czas nie patrząc na niego. - Pomimo zakazu wymknęłam się z domu na tę imprezę, bo wiedziałam, że to nie będzie grzeczna prywatka. Po prostu zbuntowałam się przeciwko moim nudnym, zasadniczym rodzicom, którzy, jak się potem okazało, mieli rację, ponieważ wobec doświadczonych chłopaków, alkoholu i narkotyków byłam bez szans. Przez swój głupi wybryk naraziłam ich na ogromny stres, przeze mnie wyprowadzili się z Jacobsville, a tata musiał przyjąć dużo gorzej płatną pracę. I oboje umarli za wcześnie. Gdyby nie moja głupota, pewnie żyliby do tej pory.

Zacisnął zęby, gdyż czuł się równie winny jak ona. Był wtedy świeżo upieczonym policjantem, zabrakło mu doświadczenia. Zacisnął dłonie na kierownicy.

- Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Gdyby chodziło o Gretchen, uwierzyłbym jej, a nie temu chłopakowi.

- Ona w ogóle nie zrobiłaby podobnego głupstwa, gdyż zawsze postępowała dojrzej niż inne dziewczyny w jej wieku. Podejrzewam, że przyczyniła się do tego choroba waszej matki oraz fakt, że wcześniej straciliście ojca, o ile wiem.

- Nie aż tak wcześniej... - odparł dziwnym tonem.
- Gretchen troszczyła się o mamę i to ona opiekowała się nią w ostatnim stadium raka, a ja nawet nie mogłem przyjechać do domu, bo siedziałem wtedy w Waszyngtonie i jako agent FBI po cichu rozpracowywałem pewną sprawę.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, czemu odszedłeś ze Straży, przecież to była twoja wymarzona praca. Dostałeś ją, zacząłeś awansować i nagle wszystko rzuciłeś.

- Z twojego powodu.

Gwałtownie otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Słucham?

- Chociaż wydawałaś się bardzo porządną dziewczyną, cały czas podejrzewałem, że kłamałaś w sprawie tamtego gwałtu, ponieważ próbowałaś się wybielić kosztem kolegi. - Zatrzymał się na czerwonym świetle i korzystając z tego, obrócił się ku Josette. - A potem kochałem się z tobą.

Na samo wspomnienie załała ją fala gorąca. Josette kurczowo zacisnęła palce na aktówce, którą trzymała na kolanach.

- I wtedy przeżyłem objawienie. On nie mógłby cię zgwałcić, co nie znaczy, że nie próbował.

Odwróciła twarz do okna.

- Czy możemy o tym nie rozmawiać? Sprawdził, że światła nadal były czerwone.

- W tamtym momencie zrozumiałem, co się naprawdę stało i co zrobiłem - ciągnął, jakby w ogóle się nie odezwała. - Wziąłem stronę sprawcy, a nie ofiary, pomogłem wbić ostatni gwóźdź do twojej trumny. Byłem winien wszystkiemu, przez co potem przeszłaś, a także

temu, co wycierpieli twoi rodzice. Kiedy to do mnie dotarło, nie potrafiłem udźwignąć tego ciężaru. Musiałem uciec od ciebie jak najdalej.

- Zrobiłeś to bardzo skutecznie - zauważyła zimno. - Najpierw wyzwalesz mnie od najgorszych, potem wyrzuciłeś przed domem i znikłeś bez słowa. Zobaczyłam cię ponownie dopiero na procesie Dale'a, na którym oskarżyciel rozszarpał mnie żywcem, niemal ledwie stanęłam na miejscu dla świadka i złożyłam przysięgę.

- Wiedział o tamtej sprawie od Biba i jego adwokata, nie ode mnie, ja nigdy nie użyłbym jej przeciw tobie, zwłaszcza wiedząc, kto naprawdę był wtedy ofiarą. Nie miałem pojęcia, że Bib rozmawiał o tym ze swoim adwokatem, a kiedy oskarżyciel napadł cię publicznie, było już za późno, nie mogłem niczemu zapobiec. - Światła zmieniły się, więc ruszył powoli. - Potem nawet nie chciałaś na mnie spojrzeć, czemu trudno się dziwić. Miałem kolejny powód do ucieczki z San Antonio.

- Mogłeś zostać, przecież ja i moi rodzice wyprowadziliśmy się.

- Tak, i oboje nie przetrzymali kolejnego

skandalu i kolejnej przeprowadzki... - rzekł głucho.

Takie jest życie - stwierdziła ze znużeniem w głosie. - Tata lubił powtarzać, że Bóg nie czyni niczego bez powodu i że poddaje nas próbom na różne sposoby, czasem używając w tym celu innych ludzi, dlatego też nie powinniśmy żywić do nikogo urazy. Nie winię cię za to, co się stało. - Rozluźniła uścisk palców na aktówce. - Już nie.

Nie zasługiwał na podobną wspaniałomyślność. Josette wybaczyła mu więc, ale czy miał szansę otrzymać od niej coś więcej? Czy nadal jej na nim zależało? Czy to w ogóle było jeszcze możliwe?

Zatrzymał się przed hotelem „Madison”.

- Zamierzasz iść jutro na pogrzeb Jenningsa?

- Tak - odparła bez wahania. - Chcę sprawdzić, kto się tam pojawi. Może kogoś rozpoznam.

- Ja też idę z tego samego powodu.

- Domyśliłam się. To do zoba...

- Wpadnę po ciebie jutro o pierwszej i razem pojedziemy po Hollimana.

Zawahała się, bezwiednie zaczęła rysować coś palcem po gładkiej powierzchni aktówki.

- Tak będzie najlepiej, skoro pracujemy nad tą sprawą razem - przypomniał jej.

- W porządku. - Otworzyła drzwi. - O pierwszej będę czekała w holu.

- Może do tej pory uda mi się zdobyć jakieś nowe informacje. Aha, masz broń?

- Nie i nie chcę mieć. Noszę przy sobie taką małą elektroniczną zabawkę, która potrafi dać niezłego kopa. Dam sobie radę.

- Broń jest bezpieczniejsza.

- Tylko wtedy, gdy nie boisz się jej użyć, a ja bym się bała. Martw się o siebie, ja umiem o siebie zadbać. - Wysiadła.

Zauważył, jak uśmiechnęła się do portiera, który otworzył przed nią drzwi. Zawsze taka była - dobra, otwarta, zauważała innych, myślała o nich, więc Brannona tym bardziej bolało, że skrzywdził tak wspaniałą osobę.

Nie mógł jednak ciągle myśleć o Josette, miał pracę do wykonania. Wyjął telefon komórkowy, w ciągu minuty zdobył numer do naczelnika więzienia i zdołał się z nim umówić jeszcze na to popołudnie. Nie tracąc czasu,

zawrócił w kierunku Floresville.

Josette weszła do pokoju hotelowego i padła na łóżko, kompletnie wyczerpana. Rozpuściła włosy, pozwoliła im opaść swobodnie. Czasem myślała sobie, że gdyby była ładna, to z tak długimi, lekko falującymi włosami przypominałaby syrenę. Brak urody nie martwił jej jednak, ponieważ nie zamierzała nikogo sobą oczarowywać - z wyjątkiem Brannona, zaś jego straciła na zawsze.

Zamknęła oczy, dotknęła dłonią szyi. Minęły dwa lata, a ona wciąż czuła ciepłe usta, przesuwane się po jej skórze coraz niżej i niżej. Starła się odepchnąć od siebie te wspomnienia, lecz okazały się silniejsze, nie chciały dać jej spokoju. Pomyślała, że poradzi sobie z nimi, jeśli się czymś zajmie, wstała więc, zamierzając wziąć prysznic. Kiedy spojrzała w lustro, ujrzała zamglone oczy oraz rozchylone, trochę nabrzmiałe usta. Wyglądała... zmysłowo.

Czym prędzej odwróciła się od lustra, zirytowana swoją reakcją. Wcale nie chciała, by samo myślenie o nim doprowadzało ją do podobnego stanu. Dlaczego nie mogła się wyleczyć ze słabości do człowieka, którego -

jak sam powiedział - nie pociągała i przez którego przyszło jej tyle wycierpieć? W swojej pracy spotykała wielu mężczyzn i nawet czyniła wysiłki, by zainteresować się którymś z nich i zapomnieć o pewnym niezwykłym Strażniku, ale wszystkie te próby spełzały na niczym, gdyż tylko on jeden gościł w jej sercu.

Rozebrała się, wzięła prysznic, a gdy wróciła w szlafroku do pokoju, wycierając mokre włosy ręcznikiem, zobaczyła, że ktoś zostawił dla niej wiadomość na sekretarce. Odsłuchiwała ją i oddzwoniła pod podany numer.

- Dzień dobry, panno Langley ~ odezwał się sympatyczny głos asystentki Lindy Harvey.

- Chciałam pani podać nowy adres pani Jennings. Pracownica opieki społecznej znalazła dla niej nieduże, ale podobno ładne mieszkanie w Pioneer Village w pobliżu Elmendorfu.

- Bardzo miło mi to słyszeć - ucieszyła się Josette. - Martwiłam się, że ona zostanie w przytułku.

- Na szczęście nie. Podobno w nowym mieszkaniu całkiem jej się podoba. Ma pani pod ręką coś do pisania?

- Proszę chwilę poczekać... - Josette wyłowiła z torebki notes i długopis. - Tak, już mam.

- Zapisała podyktowany adres. - A telefon?

- Jeszcze nie został założony, ale sąsiadka chętnie będzie przekazywała wszelkie wiadomości. Nazywa się Danton, już podaję numer...

- Dziękuję - rzekła Josette, zapisawszy informacje. - Zaraz skorzystam z tego numeru i zadzwonię do owej pani Danton, by dowiedzieć się, czy pani Jennings życzy sobie, żeby zawieźć ją jutro na pogrzeb syna. Ja i Marc Brannon wstępujemy po jej brata, więc możemy zabrać również i ją.

- Mówi pani o Hollimanie? Podobno był tu Strażnikiem w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wiem o tym od Griera, to chodząca kartoteka.

Josette uśmiechnęła się.

- Chętnie wypytam go o pana Hollimana i dowiem się czegoś więcej. Dziękuję za wszystkie informacje.

- Miło mi, że mogłam coś dla pani zrobić. Zakończyła rozmowę. Wcale nie chciała iść na pogrzeb Dale'a, gdyż miała świeżo w pamięci pogrzeby obojga

swoich rodziców, podejrzewała więc, że dość ciężko to zniesie. Dla dobra śledztwa jednak musiała przez to przejść.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Don Harris, naczelnik zakładu karnego, okazał się masywnym, małomównym mężczyzną. Wskazał gościowi krzesło, splótł dłonie na blacie biurka i czekał, aż Brannon powie, co go sprowadza. Dowiedziawszy się, w czym rzecz, wcisnął guzik interkomu.

- Jessie, przynieś mi akta Dale'a Jenningsa.

- Panie naczelniku, ma pan wszystko w komputerze... - zaczęła.

- Ach, tak, faktycznie. W takim razie nieważne. - Niechętnie odwrócił się do stojącego na biurku komputera i dwoma palcami wystukał na klawiaturze dane więźnia. - Nie cierpię tych przeklętych wynalazków. Któregoś dnia ktoś wyciągnie wtyczkę i wyłączy całą cywilizację.

Brannon roześmiał się.

- Zgadzam się w zupełności! Ja też nie ufam tym elektronicznym systemom, które mogą paść w każdej chwili i dlatego zawsze mam wszystko również na papierze, niezależnie od tego, co eksperci mówią o robieniu zapasowych kopii na twardych dyskach i nie

wiadomo czym jeszcze. Naczelnik uśmiechnął się, po raz pierwszy okazując jakiegokolwiek ludzkie emocje.

- Bardzo słusznie. - Spojrzał na ekran. — Jest. Dale Jennings został do nas przeniesiony z więzienia stanowego w Austin...

- Stanowego? - Brannon zerwał się na równe nogi, obszedł biurko i zajął naczelnikowi przez ramię, mając jednak na tyle przyzwoitości, by wymamrotać jakieś przeprosiny. Elektroniczna wersja akt sprawy nie wspominała ani słowem o zabójstwie, a jedynie o napadzie z pobiciem, za co skazany miał odsiedzieć rok w więzieniu sianowym. - Ten plik został sfalszowany - poinformował. - Jennings siedział za morderstwo, a za pobicie sądzono go, kiedy miał kilkanaście lat. Trafił wtedy pod nadzór kuratorski.

Naczelnik wyglądał tak, jakby zrobiło mu się niedobrze.

- Chce mi pan powiedzieć, że wysłałem do pracy za murami nie zwykłego rozrabiakę, a mordercę?

- To nie pańska wina - zapewnił Brannon. Ktoś starannie sprokurował wersję elektroniczną, przygotowując ucieczkę więźnia, szukamy więc nie tylko

zabójcy, ale i doświadczonego hakera.

- No to mogę pożegnać się z robotą - rzekł pod nosem naczelnik.

- Nie. Pracuję dla prokuratora generalnego, więc przekażę mu, jak sprawa wygląda. Trudno pana obwiniać, nie może pan szczegółowo znać historii życia każdego z kilkuset więźniów.

- A powinienem - uciął twardo Don Harris. - W końcu to moje więzienie.

- Tak, ale nikt z nas nie posiada nadludzkich zdolności - zauważył Brannon. - Chciałbym dostać kopię tego pliku, jeśli można.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. - Naczelnik wydrukował dokument, włożył kartki do teczki, podał ją gościowi. - Proszę dorwać tego, który to zrobił.

- Widzi pan? - Brannon wskazał odznakę na swojej piersi. - My nigdy nie odpuszczamy pościgu.

Don Harris zdobył się na błądny uśmiech.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Każdy z nas po prostu wykonuje swoją robotę.

Zabrał teczkę z wydrukiem sfalszowanego pliku i

wyszedł.

Dzień pogrzebu Dale'a był ciepły i słoneczny. Josette i Brannon przybyli pod bramę cmentarza w towarzystwie pachnącego kulkami antymolowymi Hollimana. Niewiele osób się zjawilo - szeryf, komendant posterunku policji, dwóch detektywów po cywilnemu oraz przywieziona przez szeryfa pani Jennings w pożyczonej czarnej sukience. Ponieważ matka zabitego nie posiadała zupełnie nic, pogrzeb urządzono na koszt państwa, co oznaczało, że nie było kwiatów ani żadnej porządnej ceremonii, a jedynie prosta sosnowa trumna oraz dziura w ziemi. Josette przypomniała sobie niedawne pogrzeby swoich rodziców, którzy przynajmniej mieli ubezpieczenie, więc mogła opłacić piękne nabożeństwo żałobne, karawan, wieńce *oraz pomnik*. Biednemu Dale'owi musiał wystarczyć kopczyk ziemi z zatkniętą weń metalową ramką, gdzie pod szybką z plastiku znajdowała się zwykła biała kartka z personaliami. Z biegiem czasu napis wyblaknie, nikt już go nie odczyta i będzie tak, jakby Dale Jennings nigdy nie istniał.

Przypomniała go sobie - wysokiego i jasno-

włosego, starszego od niej o cztery lata, może nieco zbyt pewnego siebie. Z powodu swojego tupetu nie miał wielu przyjaciół, lecz Josette odgadła, że arogancja i skłonność do popisywania się stanowiły w gruncie rzeczy postawę obronną i potrafiła docenić zalety Dale'a. Niestety, zachłanność przywiodła go do zguby, pomyślała, patrząc ze smutkiem na skromną trumnę. Szantaż był czymś obrzydliwym, niezależnie od powodów.

- Zabili mi syna, Jack. Zastrzelili go na ulicy jak psa. - Błada siwowłosa kobieta zalała się łzami, gdy podszedł do niej brat, by ją uściskać.

- Wiem. - Jack Holliman niezdarnie głaskał siostrę po plecach. - Wiem. Tak mi przykro.

Przy trumnie stało dwóch mężczyzn, jeden w eleganckim garniturze - zapewne pracownik zakładu pogrzebowego, drugi trzymał w ręku Biblię - zapewne duchowny. Pierwszy zrobił zniecierpliwioną minę, więc Josette podeszła do starszych państwa i podprowadziła ich do grobu. Gdyby to był porządny pogrzeb, mieliby na czym usiąść, gdyż ustawiono by dla nich krzeselka, ponadto mogliby schronić się przed palącymi promieniami słońca, gdyż pomyślano by o rozstawieniu

parasola lub markizy.

Cała ceremonia trwała bardzo krótko. Młody pastor o rzednących włosach miał cichy głos, sprawiał wrażenie nieśmiałego i zakłopotanego, gdy mówił o świętej pamięci Dale'u Jenningsie, którego nie dane mu było nigdy spotkać. Przeczytał parę wersetów z Pisma, potykając się na co trudniejszych słowach, co wydało się Josette w pewien sposób ujmujące. Potem pomodlił się, trochę niewyraźnie, a na koniec podszedł do starszych państwa, by złożyć im kondolencje. Mocno zaciskał dłoń na okładce Biblii, na małym palcu jego prawej dłoni błyszczała w słońcu szeroka złota obrączka.

Dopiero wtedy Josette zauważyła, że jego strój był równie niedrogi i praktyczny jak ubrania pani Jennings i jej brata, co mogło oznaczać, iż jest to ubogi duchowny, który podjął się odprawienia pogrzebu z dobrego serca, nie dbając o żadne wynagrodzenie. Postanowiła zapłacić mu dyskretnie, lecz spóźniła się, gdyż Brannon pierwszy wsunął mu banknot do ręki. odwróciła głowę, by nie zauważył, jak jej oczy zamglily się podejrzenie. Jak mogła go nie kochać, skoro robił takie rzeczy?

Opanowała się jakoś i przyjrzała się baczniej nielicznym uczestnikom pogrzebu, lecz nie zdziwiła się wcale, gdy nie dostrzegła nikogo budzącego podejrzenia. Zabójca nie zdecydował się przyjść, za bardzo rzucałby się w oczy.

- Nie poszczęściło nam się, chyba że to szeryf albo któryś z detektywów - szepnął jej na ucho Brannon.

Pokiwała w zamyśleniu głową, po czym przeniosła spojrzenie na parę starszych, schorowanych ludzi i powiedziała pierwsze, co jej przyszło do głowy.

- Nie chcę być stara i biedna.

- Ja pewnie skończę jak Holliman - odparł Brannon. - Moje najlepsze ubranie będzie śmierdzieć kulkami na mole, będę witać gości wiekową dwururką, a zanim coś zjem, przez godzinę będę się starał sobie przypomnieć, gdzie położyłem sztuczną szczękę.

- Jesteś okropny - odparła, powściągnąwszy chichot, kompletnie przecież niestosowny w takiej sytuacji.

- Zobacz, jak pastor stara się nie stać za blisko niego, chociaż robi to dyskretnie - dodał, a potem spojrzął z troską na Josette i rzekł ciszej: - Wiem, że to dla ciebie trudne.

Zaskoczona, podniosła na niego wzrok, a potem z zakłopotaniem wzruszyła ramionami.

- Ty też straciłeś rodziców.

- Tak, ale w większym odstępie czasu, w dodatku śmierć ojca niewiele mnie obeszła.

Odkąd się znali, po raz pierwszy wspomniał o swoim ojcu. Josette obilo się swego czasu o uszy, że Marc miał ciężkie dzieciństwo, składała to jednak na karb wczesnej śmierci ojca oraz choroby matki. Czyżby chodziło o coś zupełnie innego?

- Nie kochałeś go? - wyrwało jej się.

- Nie.

W tym jednym słowie zawierało się nawet więcej goryczy, niż sam Brannon mógł się spodziewać.

Josette czekała na coś więcej, lecz nie odezwał się już. Pastor odprowadził starszych państwa do bramy, zaś Brannon zaofiarował się odwieźć panią Jennings do domu. Szeryf podziękował za wyręczenie go. Niedługo później dzip Brannona zatrzymał się przed blokiem w Pioneer Village, gdzie pracownica opieki społecznej znalazła zastępcze mieszkanie.

- To nic specjalnego - rzekła ze smutkiem pani

Jennings, wyjmując klucz. - Ale przynajmniej mam dach nad głową. - Otworzyła drzwi. - Zapraszam. Zrobię państwu kawy.

- Chętnie przez chwilę posiedzimy u pani, ale proszę nie robić sobie kłopotu - odparła Josette. Nieznacznie wsunęła Marcowi banknot do ręki. - Czy mógłbyś przywieźć kawę i coś do jedzenia? Na przykład kurczaka z rożna?

Oddał Josette pieniądze, zacisnął jej palce na banknocie.

- Zawsze musisz dbać o wszystkich pokrzywdzonych, prawda? - szepnął. - Ja kupię kurczaka i kawę, a ty tymczasem zobacz, czy nie uda ci się czegoś od niej dowiedzieć. Zaraz wracam z jedzeniem.

Odprowadziła go wzrokiem, boleśnie świadoma faktu, jak bardzo na nią działał, a potem usiadła na kanapie obok pani Jennings i podała jej chusteczkę, gdyż starsza pani, która podczas pogrzebu zachowywała się spokojnie i z godnością, rozplakała się, gdy tylko znalazła się w bezpiecznym otoczeniu i w towarzystwie życzliwych jej osób.

- Był dla mnie taki dobry - szlochała. - Miał to i

owo na sumieniu, ale synem był wspaniałym.

- Na pewno nie miał na sumieniu morderstwa -
orzekła zdecydowanie Josette. - Ani przez moment w to
nie wierzyłam, niestety, nie udało mi się nikogo do tego
przekonać, bo dowody przeciw niemu okazały się
bardziej przekonujące niż moje zeznania.

- Kiedy on nigdy nie miał żadnej pałki! —
zaprotestowała starsza pani. - On nie lubił przemocy, raz
tylko przydarzyła mu się ta głupia bójka.

- To prawda, nie lubił - przyświadczył Holliman.
- Próbowałem nauczyć go strzelać, ale nic z tego.
Chłopak bał się broni.

- Panno Langley, ja wiem, że mój syn robił
rzeczy niezgodne z prawem - ciągnęła pani Jennings,
wycierając zaczerwieniony od płaczu nos. - Ale on nie
skrzywdziłby starego pana Garnera.

- Jestem tego równie pewna jak pani. - Josette
nachyliła się. - Czy Dale nie zostawił u pani kiedyś
jakiejś rzeczy na przechowanie?

Jack Holliman poruszył się na swoim krześle
jakby trochę nerwowo, jego siostra na chwilę przytknęła
dłoń do ust, potem odwróciła wzrok.

- Wspomniał raz, że ma coś, co musi zostawić w bezpiecznym miejscu, ale nie przyniósł tego do mnie.

Josette ożywiła się.

- A czy zdradził pani, gdzie to zostawił?

- Nie. Pamiętam tylko, że ona chciała to wziąć.

- Ona? Jaka ona?

- Niewiele o niej wiem, Dale nigdy jej do mnie nie przyprowadził, chociaż go poprosiłam, kiedy mówił, jaka jest wyjątkowa. Podobno pomogła mu dostać pracę u pana Garnera. Dale chętnie by się z nią ożenił, ale nie miał dość pieniędzy, żeby ją uszczęśliwić. Dokładnie tak powiedział. Chociaż nalegała, nie dał jej tej rzeczy, bo to byłoby niebezpieczne. Spytałam, cóż to takiego, ale się nie dowiedziałam.

- A czy zdradził pani przynajmniej, kim jest ta kobieta, gdzie mieszka, co robi? - spytała podekscytowana Josette.

- Nie. Ale widywał się z nią przed procesem, więc ona chyba jest z San Antonio. Aha, i lubi drogie miętówki, zawsze dla niej kupował takie najbardziej wymyślne w ładnych opakowaniach.

Nie pamięta pani, czy wspominał kiedyś o

człowieku nazwiskiem Jake Marsh? - indagowała Josette.

Rodzeństwo wymieniło ukradkowe spojrzenia, po czym siostra potrząsnęła głową.

Nie. Tylko o tej kobiecie. Nawet nie pytałam, czy ładna, bo Dale nigdy by się nie obejrzał za nieatrakcyjną dziewczyną.

Ta uwaga dała Josette do myślenia. Właściwie czemu Dale umówił się z nią tamtego wieczoru? Owszem, figury nie musiała się wstydzić, lecz rysy miała dość przeciętne, w dodatku nosiła okulary. W żadnym wypadku nie mogła być w typie Jenningsa.

- Znasz tego pastora? - zagadnął nagle Jack Holliman.

- Nie. Zapytałam kierownika zakładu pogrzebowego, czy nie zna jakiegoś duchownego, lecz nawet nie musiał szukać, bo ten młody człowiek sam się zgłosił. Sprawiał bardzo miłe wrażenie, nie sądzisz?

Jej brat już miał odpowiedzieć, gdy wrócił Brannon z jedzeniem i kawą, więc rozmowa została przerwana.

Brannon odwiózł Jacka Hollimana do domu, a potem Josette do hotelu. Po drodze dokładnie powtórzył

jej rozmowę z naczelnikiem więzienia.

- W naszym biurze w Austin pracuje kompletny świr komputerowy, Phil Douglas. Ma sto pomysłów na minutę, więc doprowadza Simona do obłądu, ale wie o komputerach wszystko. Może zdołałby wytropić, jak zmieniono elektroniczną wersję akt Jenningsa? - podsunęła.

- Co prawda pracuje już nad tym parę osób, ale jeśli chcesz, nadaj mu tę sprawę. To musiał być prawdziwy haker, nawet ja ze swoimi uprawnieniami nie mam dostępu do zastrzeżonych plików.

- Ja też nie. Aha, dowiedziałam się czegoś od pani Jennings. Przed śmiercią Garnera Dale spotykał się z jakąś kobietą, zależało mu na niej, chciał się żenić, ale brakowało mu pieniędzy, żeby ją uszczęśliwić. Przechowywał coś dla niej, nie zdradził matce, co to było.

Zatrzymali się na parkingu przed hotelem. Brannon zgasił silnik, skrzyżował ramiona.

- Wiadomo, co to za kobieta i jak wygląda?

- Nie. Pani Jennings domyśla się tylko, że musiała być ładna. Na pewno lubiła cukierki miętowe.

- No to tym tropem daleko nie zajdziemy...

- Też tak pomyślałam. - Zaczęła się bawić paskiem torebki. - To bardzo ładnie z twojej strony, że pomyślałeś o datku dla pastora. Sama zamierzałam to zrobić, ale mnie ubiegłeś. Ujął mnie, był naprawdę uroczy.

- I chyba niedawno wyświęcony - dodał Brannon.

- Miał zupełnie nową Biblię, jeszcze nie zniszczoną.

- Widać było, że odprawił nabożeństwo z sercem, chociaż nie znał Dale'a.

Marc przez chwilę w milczeniu przyglądał się Josette.

- Nienawidzę pogrzebów - rzekł wreszcie.

- Ja również - wyznała. - Szkoda mi jego matki i wujka.

- Dobrzy z nich ludzie. Niestety, czasem i w najlepszej rodzinie ktoś się wyrodzi...

- Coś o tym wiem.

Odgadł, że miała na myśli samą siebie i wołał nie ciągnąć bolesnego tematu.

- Jutro sprawdzę, czy Jennings nie zdeponował w jakimś banku większej sumy. Ty zadzwoń do Austin i

powiedz temu specowi od komputerów, co ma robić.

- Dobrze. Dziękuję, że mnie dziś woziłeś.

Wzruszył ramionami.

- Po pierwsze nie ma sensu jeździć osobno, po drugie wolę kogoś wozić, niż na odwrót.

- Już dawno to zauważyłam. Ty po prostu zawsze musisz mieć całkowitą kontrolę nad sytuacją, prawda?

Jego rysy stwardniały.

- Przez całe lata nie miałem kontroli nad niczym. Ojciec mówił mi, co mam robić, gdzie chodzić, co mówić i jak oddychać! Praktycznie zabraniał nam myśleć, próbował zatruć nam dusze. Staralem się chronić przed nim Gretchen, jak tylko mogłem, ona do tej pory nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo był niebezpieczny.

- Przynajmniej nie rzucił się na nią z batem. Oboje ponuro pokiwali głowami, przypominając sobie, co spotkało przyjaciółkę Josette.

- Tak, pamiętam, że ojciec Christabel omal nie zasiekł jej na śmierć, bo próbowała odciągnąć go od konia, nad którym się znęcał. Skórę na plecach miała dosłownie w strzępach. Nie wiem, do czego jeszcze

mogłoby dojść, gdyby Judd Dunn nie wziął spraw w swoje ręce i nie wsadził jej starego za kratki.

- I gdyby się z nią nie ożenił tylko w tym celu, żeby chronić ją i jej matkę - dodała.

Brannon uśmiechnął się.

- A wiesz, że dalej nie mieszkają razem, chociaż ona ma... Czekaj, pobrali się, kiedy skończyła szesnaście lat, a to już było jakieś cztery, pięć lat temu, prawda?

- Tak, Christabel niedługo będzie obchodzić dwudzieste pierwsze urodziny. Ciekawe, że Judd nie wystąpił o unieważnienie małżeństwa, kiedy jej ojciec wkrótce po wyjściu z więzienia zginął po pijanemu w wypadku samochodowym. Pisała mi o jakimś mężczyźnie, który chce się z nią żenić.

- Judd wspominał mi, że ktoś się koło niej kręci, ale jemu się ten gość nie podoba, więc jak znam mojego kumpla i jego upór, to twoja przyjaciółka na razie nie ma co liczyć na odzyskanie wolności - zawyrokował.

Przemilczała, o czym jeszcze napisała Christabel - mianowicie zamierzała wreszcie uwieść Judda i rozkochać go w sobie do szaleństwa, bo już nie mogła znieść tego, co się między nimi... nie działo. Josette była

bardzo ciekawa, które z nich postawi na swoim, czy trzymający się na dystans Strażnik, czy równie uparta jak on dzielna dziewczyna o złotym sercu. Gdyby miała się o to założyć, postawiłaby na swoją przyjaciółkę.

Spojrzenie Marca przesunęło się po sylwetce Josette od zapiętej pod samą szyją bluzki po sięgającą kostek spódnicy - i z powrotem.

- Zawsze ubierasz się tak, żeby jak najwięcej zasłonić - zauważył nagle. - Od razu widać, że jesteś niedzisiejsza.

- Jak raz próbowałam być „dzisiejsza”, złamałam sobie życie.

- Namawiam cię na zmianę wyglądu na bardziej współczesny, a nie na rezygnowanie z twoich zasad, bo tego wcale nie musisz robić, one wcale nie są aż takie staroświeckie. Seks stał się niebezpieczny, ludzie boją się AIDS. Wiele kobiet woli żyć w celibacie, niż niepotrzebnie ryzykować i wcale nie wstydzą się głośno o tym mówić. Mężczyźni też zastanowią się dwa razy, nim sobie pozwolą na jakąś przygodę.

- A ty? - wyrwało jej się.

Odwróciła głowę do okna, zła na siebie za to

pytanie.

- Ja również. - Spostrzegł, jak się zarumieniła. - Ty pewnie nawet nie umawiasz się na randki, co?

W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, lecz rozmyśliła się.

- Raczej nie - przyznała i spojrzała mu prosto w oczy. - Nie wiem, w jaki sposób mężczyźni odczytują kobiece zachowania, a nie mam ochoty ponownie wyjść na wyrachowaną kokietkę.

Teraz on odwrócił głowę, rozpoznając swoje własne słowa.

- Pamiętasz, prawda? - spytała. - Miałeś całkiem sporo do powiedzenia na temat kobiet, które... jak to było? Doprowadzają faceta do wrzenia, żeby w ostatniej chwili zrobić z niego idiotę.

Skrzywił się boleśnie i z westchnieniem oparł ramię na kierownicy.

- W ogóle za dużo wtedy powiedziałem. Byłem w kompletnym szoku, bo przez te wszystkie lata myślałem, że dobrze zrobiłem, stając po stronie tamtego chłopaka, tymczasem nagle miałem namacalny dowód, kto naprawdę był ofiarą! - Wolną dłonią naciągnął

kapelusz głęboko na oczy, jakby pragnął ukryć się przed wzrokiem Josette. - Niezależnie jednak od tego, jak bardzo byłem wstrząśnięty, nie miałem prawa mówić do ciebie w taki sposób. - Zacisnął zęby. - Nie mogłem znieść, że popełniłem taki błąd!

- Wszyscy je od czasu do czasu popełniamy.

Ty oczywiście jesteś wyjątkiem - dodała ze skrywaną ironią. - Ty się nigdy nie mylisz. Ludzie są albo dobrzy, albo źli, winni albo niewinni, nie ma żadnych niejasnych sytuacji, żadnych pośrednich kolorów między czernią a bielą.

- Dla mnie nie ma, ponieważ od osiemnastego roku życia muszę nieustannie rozstrzygać, kto jest po której stronie - uciał. - Prawo jest prawem. Albo je człowiek złamał, albo nie.

Westchnęła.

- Pewnie masz rację... Lepiej już pójdę. Zadzwoń do ciebie jutro po południu.

- Może mnie nie być - rzucił.

- To zostawię ci wiadomość - odparła słodko. Patrzył, jak ona idzie przez parking, jak portier na jej widok dosłownie rzuca się do drzwi, by otworzyć je

szeroko. Na Brannona nawet się nie obejrzała.

Z mieszanymi uczuciami wyjechał z powrotem na ulicę. Ilekroć przebywał w towarzystwie Josette, wspomnienia tamtego wieczoru, gdy byli ze sobą tak blisko, stawały się jeszcze żywsze. Pamiętał dotyk jej skóry, jej smak, prawdziwą magię owych chwil. Czy ona też tak to odbierała? I czy on kiedykolwiek zdoła się z niej wyleczyć? Nie sądził.

Wracając do domu, zaczął pod wpływem ich rozmowy rozmyślać o ojcu, o tym, jak się nad nimi znęcał nawet na trzeźwo. Można dręczyć bliskich na różne sposoby i niekoniecznie przemoc fizyczna musi być najgorsza ze wszystkich. Chyba najokrutniejsze są słowa, one ranią najdotkliwiej, najgłębiej. Ojciec Marca nieustannie krytykował żonę i dzieci, wytykał im prawdziwe i rzekome niedociągnięcia, pieklił się z najbardziej błahych powodów. Każdą rzecz robili nie lak, jak trzeba. Terroryzował ich, żądając posłuchu, bo przecież tylko Oil miał rację i nigdy się nie mylił. Dla niego wszystko było jasne i oczywiste.

Marc nienawidził apodyktyczności ojca, jego ograniczoności i obsesyjnego perfekcjonizmu, więc

przysięgał sobie, że sam będzie zupełnie inny. Tylko czy mu się to udało? Josette utrafiła w sedno, gdy powiedziała, że dla niego istnieje tylko białe albo czarne. Rzeczywiście nie dostrzegał niczego pomiędzy, bo nie chciał dostrzegać, w sumie prościej było powołać się na prawo i mieć na wszystko jednoznaczną odpowiedź. Brak odpowiedzi lub wątpliwości były nie do przyjęcia dla perfekcjonisty. Perfekcjonista zawsze wiedział lepiej i nigdy się nie mylił - dlatego Marc nie potrafił znieść odkrycia, że popełnił straszliwy błąd, kiedy pracował jako policjant w Jacobsville.

Zaczynał coraz bardziej upodabniać się do swego ojca.

Josette wróciła do pokoju hotelowego, czując się kompletnie wykończona nie tylko tymi dwoma dniami, ale i ostatnią rozmową z Brannonem, która naprawdę wiele ją kosztowała. Zadzwoiła do recepcji, zamówiła kolację do pokoju, a kiedy już zjadła, poszła się wykapać. Wróciła do pokoju ubrana w szlafrok, z głową owiniętą ręcznikiem i przysiadła na łóżku, by dokładnie przejrzeć dossier Dale'a, gdyż pomimo zmęczenia nie zdołałaby zasnąć, więc potrzebowała się czymś zająć.

Kiedy skończyła czytać i schowała wszystkie papiery do teczki, nie bardzo wiedziała, co dalej. W głowie *wirowało* jej *tysiące myśli*, *jedne* związane z tym, co właśnie przeczytała, inne z Brannonem, nie potrafiła się skupić na żadnej konkretnej kwestii, czuła się rozbita. Sięgnęła po pilota, lecz po pięciu minutach z najgłębszym niesmakiem wyłączyła telewizor, w którym nie znalazła nic ciekawego. Co miała robić sama w hotelowym pokoju z dala od domu, pozbawiona swoich książek, normalnych zajęć oraz kota? Bardzo brakowało jej Barnes'a - gdyby miała go przy sobie, zwinąłby się obok na kołdrze i spał, a sama jego obecność poprawiłaby jej nastrój.

Marc też miał kiedyś kota. Właściwie to Gretchen przyniosła do domu starego i wyliniałego płowego kocura, lecz to Marc go karmił, a kiedy nikt nie widział, bawił się z nim. Nadał mu również imię - John Reid - na cześć bohatera legendarnego serialu z lat pięćdziesiątych „Samotny Strażnik”. Josette wiedziała od Gretchen, że jej brat od zawsze marzył o dostaniu się do cieszącej się zasłużoną sławą Straży Teksasu, co wcale nie było takie łatwe. W Kompanii D, operującej z San Antonio, było

jedynie piętnastu sierżantów, którzy działali nie tylko na terenie przyporządkowanych im czterdziestu jeden hrabstw, lecz praktycznie w całym stanie, a nawet poza jego granicami, ponieważ posiadali odpowiednie uprawnienia, z czego zresztą korzystały inne organa ścigania, często prosząc Strażników o współpracę.

Po tej ostatniej rozmowie Josette zaczęła się zastanawiać, czy pociąg Marca do tego typu pracy nie wynikał z tego, że w dzieciństwie i młodości nie miał kontroli nad niczym, nawet nad tym, co robił i jak, ponieważ ojciec bezustannie narzucał mu jedynie słuszne sposoby postępowania. Jak on to powiedział? „Ojciec mówił mi, co mam robić, gdzie chodzić, co mówić i jak oddychać! Praktycznie zabraniał nam myśleć, próbował zatruć nam dusze.” Straszne, jak on to wytrzymał?.

Czy to dlatego Brannon starał się pomagać młodym ludziom, którzy zeszli na złą drogę? Może rozumiał, że za tym często stoją rany z dzieciństwa, rodzic, który nie potrafił kochać?

Naprawdę leżało mu na sercu dobro tych chłopaków. W ogóle troszczył się o ludzi. I lubił koty... Uśmiechnęła się melancholijnie, myśląc o biednym

Barnesie, który siedział w swojej klatce w pensjonacie dla zwierząt, gdy jego pani była tak daleko.

Wróciła myślami do Brannona. Lubił też konie, wspaniale jeździł, również na oklep, znakomicie opanował sztukę rzucania lassem - czyli wszystkie tradycyjne umiejętności Strażników. Pamiętała, jak zabierał ją na swoje ranczo, uczył jeździć i wspominała to jako piękne dni, jako czystą sielankę. Oddala się tym pięknym wspomnieniom i odsunęła od siebie myśl o terażniejszości tak dalece, że wymościła się na łóżku, wciąż z wilgotnym ręcznikiem na mokrych włosach i wyciągnęła rękę, by zgasić lampkę. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi, ostre i zdecydowane.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wstała i bezszelestnie podeszła bosą do drzwi, uświadamiając sobie, że pod szlafrokiem jest zupełnie naga. Zawahała się. Nie miała przy sobie paralizatora, leżał w torebce, a torebka znajdowała się po przeciwnej stronie pokoju, podczas gdy za drzwiami mógł stać równie dobrze ktoś z obsługi hotelowej, jak morderca.

Kiedy zerknęła przez wizjer, ogarnęły ją zarazem ulga i niepokój, gdyż ujrzała potarganego i ubrudzonego Brannona z rozciętą wargą. Czym prędzej wpuściła go do środka.

- Wielkie nieba, co ci się stało? - wykrzyknęła zaniepokojona.

- Czekali pod domem i napadli na mnie, gdy tylko wysiadłem z wozu - wyjaśnił, a brzmienie jego głosu zdradzało, jak bardzo był wściekły. - Nie wiedziałem, czy nie urządzili podwójnej zasadzki, więc natychmiast przyjechałem sprawdzić, co z tobą.

- Mogłeś zadzwonić.

- Jasne, dużo by ci to pomogło, gdyby ktoś właśnie się włamał do twojego pokoju - odparł z

sarkazmem.

To ją przekonało, że naprawdę martwił się o nią, więc poczuła miłe ciepło w sercu. Delikatnie dotknęła skóry w okolicy rozciętej wargi.

- Przynajmniej nie zdołali wyrządzić ci żadnej poważniejszej krzywdy. Ilu ich było?

- Dwóch.

- Rozpoznałbyś ich? Potrząsnął głową.

- Niestety, nie. Po pierwsze, było już ciemno, po drugie, nosili kominiarki.

- Ciekawe, czemu właściwie zaczęli się na ciebie? - zastanowiła się na głos.

- Moim zdaniem to ostrzeżenie, żebym trzymał się z daleka, co z kolei oznacza, że możemy kręcić się całkiem blisko czegoś ciekawego. - Przyjrzał jej się i zmrużył oczy. - Paradujesz z mokrymi włosami?

- Zapomniałam je wysuszyć, bo czytałam akta sprawy - wytłumaczyła, po czym uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem, gdyż przypomniawszy sobie, wokół czego błędziła myślami, gdy miała zgasić światło.

Brannon najpierw starannie zamknął drzwi i założył łańcuch, potem zdjął kapelusz, odkrywając

kolejne skaleczenie, tym razem na czole, wziął Josette za rękę i zaprowadził do łazienki. Nie musiał mówić, po co, ponieważ już kiedyś zdarzyło jej się opatrywać go po jakiejś szamotaninie z podejrzanym. Kiedy skończyła przemywanie skaleczeń i przylepiła mu plaster na czole, bez słowa ściągnęła jej wilgotny ręcznik z włosów.

- Hej, co robisz? - zaprotestowała. Wetknął do gniazdka wtyczkę hotelowej suszarki.

- Proszę, jakie człowiek ma teraz wygody w hotelu... - mruknął. - Stój no spokojnie.

Ponieważ on dał się opatryć, ona pozwoliła wysuszyć sobie włosy. To było dziwne doznanie, intymne, budzące ciepłe uczucia. Dotyk silnych rąk Brannona wydawał się kojący, z kolei bliskość jego ciała - przeciwnie, więc Josette nie mogła nie pomyśleć o tym, że z żadnym innym mężczyzną nie przeżyła tego, co z nim. Znała jego zapach, dotyk jego dłoni na swej nagiej skórze... Zamknęła oczy i oddała się wspomnieniom tamtych pięknych dni, gdy stanowili parę.

Mimo wszystko nadal wierzyła, że wtedy naprawdę zależało mu na niej, ponieważ tylko z nią się widywał. Chociaż robił wrażenie na kobietach, nie

wykorzystywał tego nigdy, do spraw damsko - męskich miał poważne, staroświeckie podejście. Mimo pozornej szorstkości potrafił okazywać czułość, lecz zdradzał się z tym tylko w obecności osób, którym ufał, a nie było ich wiele. Niestety, nie potrafił zaufać Josette, i to okazało się decydujące. Musiała o tym pamiętać, jeśli nie chciała wtulić się w jego ramiona, jakby nigdy nic złego między nimi nie zaszło. Musiała o tym pamiętać, jeśli chciała zachować swoją dumę.

- Wydajesz się coraz mniejsza - stwierdził nagle, zauważając dużą różnicę wzrostu między nimi.

- Bo do pracy noszę obcasy.

- Ja też - odparł z humorem.

Zerknęła w dół i ujrzała ręcznie szyte kowbojskie buty.

- No tak, ale ty nadal jesteś w butach, a ja boso, masz więc odpowiedź.

Uśmiechnął się i tak pokierował suszarką, by jedwabiste pasma włosów Josette zafalowały niczym na wietrze.

- Zawsze lubiłem długie włosy.

- To sobie zapuść - zaproponowała.

- Nie, to nie będzie to samo. - Odwrócił ją plecami do siebie, by wysuszyć jej tył głowy. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. - Pamiętam, jak wyglądałaś w wieku piętnastu lat - rzekł cicho. - Prawie wcale się nie zmieniłaś.

Splonęła rumieńcem i odwróciła wzrok.

- Lepiej nie wracajmy do przeszłości. Takie wspomnienia nie są dla mnie przyjemne.

- Muszę ci o czymś powiedzieć, Josie. Coś, o czym ci dotąd nie mówiłem. Niedługo przed tamtą sprawą poznałem człowieka skazanego za gwałt, którego nie popełnił.

- Co?

- To był miły, porządny młody człowiek. Pracował w biurze i miał nową asystentkę, a ta skakała wokół niego i zdawała się odgadywać wszystkie jego życzenia. Któregoś dnia z płaczem zadzwoniła na policję i zeznała, że szef ją zgwałcił.

- Przecież mówiłeś, że nie.

- Bo nie. Ona chciała zająć jego miejsce.

I dopięła swego. On trafił za kratki, ona awansowała.

- Co za podłość!

- Siedziałby biedak do tej pory, gdyby nie popełniła błędu i nie pochwaliła się przed przyjacielem, jak sobie sprytnie poradziła. Ten, powodowany nie tyle uczciwością, co poczuciem męskiej solidarności, natychmiast poszedł na policję. Zeznawał też na procesie, gdyż sprawę rozpatrywano ponownie, dzięki czemu skazany odzyskał wolność i posadę. Niestety, pewnych szkód nie udało się naprawić, ten młody człowiek już nie był taki, jak dawniej.

Powiedział mi, że nigdy więcej nie zaufa żadnej kobiecie.

~ Nie dziwię mu się. - Westchnęła i ponownie podniosła wzrok, by w lustrze popatrzeć mu w oczy. - Nie dziwię się również temu, że nie uwierzyłeś wtedy w moją wersję wydarzeń. Niektórzy ludzie to źmije w ludzkiej skórze, chyba się z tym zgodzisz, Brannon?

- Czemu przestałaś mówić mi po imieniu? Spojrzała gdzieś w bok.

- Zwracam się do ciebie tak, jak jest przyjęte w naszym zawodzie. Staram się zachowywać profesjonalnie.

~ W dzisiejszych czasach ludzie, którzy blisko ze sobą współpracują, najczęściej mówią sobie po imieniu.

Wyprostowała się sztywno, odsunęła się, nerwowo rozczesując włosy palcami.

- Dziękuję za wysuszenie - rzekła oficjalnie. Wyłączył suszarkę, odłożył i nim Josette, zdołała zaprotestować, już miał obie dłonie pełne jej lśniących włosów, już unosił je do ust i całował, podczas gdy jego brwi ściągnęły się dziwnie boleśnie. Nie wiedziała, co robić. Chwyliła Marca za rękę, pragnąc go zmusić, by puścił jej włosy, lecz wywinął się zręcznie, złapał ją za nadgarstki, przycisnął dłonie Josette do swej piersi.

- Myliłem się co do ciebie. Bardzo się myliłem. Nie wiedziałem nawet, jak cię przeproszać, chyba nie umiałem. - Nachylił się. - Chyba bardziej przypominam mojego ojca, niż sądziłem, Josie...

Ostatnie słowo wypowiedział prosto w jej usta, gdyż w następnej chwili pocałował ją, mocno i zdecydowanie przytulając do siebie jej szczupłe ciało.

Skoro chciała zachować dumę, powinna była go odepchnąć, a nie poddawać się z cichym jękiem tej słodkiej napaści. Zacisnęła palce na jego koszuli i nagle -

nie wiadomo czemu - wyobraziła sobie Brannona leżącego gdzieś na ulicy w kałuży krwi niczym biedny Dale. Przerazona tą wizją, otoczyła go ramionami, bezwiednie pragnąc go uchronić przed niebezpieczeństwem, zatrzymać przy sobie.

Brannon nachylił się bardziej, porwał Josette aa ręce i nie przerywając pocałunku, zaniósł do pokoju, gdzie położył ją na łóżku.

- Nie - wyszeptwała bez tchu.

- Tak. - Pocałował ją ponownie. - Przecież wiem, kim jesteś. Nie zdołałbym cię uwieść, nawet gdybym się starał, więc możesz się o nic nie martwić. Odpręż się.

- Nie powinieneś znać tak... intymnych szczegółów - odparła, ogromnie zmieszana, na co on tylko się uśmiechnął.

- Ale znam. Wiem o tobie wszystko...

- Odgarnął włosy z jej twarzy, oparł się na łokciu i leżał tak na boku, po prostu przyglądając się Josette. - Za to ty nawet nie wiesz, jak nienawidziłem FBI - wyznał.

Uniosła brwi.

- W takim razie czemu spędziłeś w tej pracy dwa

lata?

Delikatnie przesunął opuszkami palców po nabrzmiałych od pocałunków wargach Josette.

- Ponieważ chciałem uciec przed wspomnieniami. Ale ucieczka z Teksasu nic nie pomogła, bo podążyły za mną.

- Tak, one nigdy nie dają się zostawić gdzieś za nami - zgodziła się.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważył.

- Bo też i tak się czuję - odparła, napawając się jego łagodnym, pieścizotliwym dotykiem.

- Ostatnio pracowałam prawie po dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo Simon zażądał, żeby stworzyć pełną elektroniczną bazę wszystkich stanowych przestępców, a potem wprowadzić ją do rejestru centralnego.

- Nie wiedziałem, że z ciebie jest taki dobry informatyk - zdziwił się.

- Bo nie jest, bazę tworzy ten maniak komputerowy, o którym ci wspomniałam, ja tylko wykonuję tę całą niespektakularną i nudną resztę.

- Lubisz swoją pracę, prawda?

- Cóż, właściwie tak. Całkiem przyzwoicie zarabiam.

- Ja też, ale milionerem nigdy nie zostanę. No, chyba że skoczą ceny bydła, za to ceny paszy spadną.

- Na to drugie chyba nie ma co liczyć przy suszy, jaką mamy tego roku.

Skinął głową.

- Wiem, dlatego nie zmartwię się, jeśli wyjdę na zero. Najważniejsze, by udało mi się utrzymać rancho w rodzinie.

- Przecież nie masz dzieci.

- Ale Gretchen ma syna. Niedługo skończy dwa lata.

- Tak, lecz twoja siostra stała się kimś w rodzaju królowej, jej syn odziedziczy tron królewski, więc czy będzie chciał mieszkać na ranchu w Teksasie?

Skrzywił się, gdyż to pytanie wcale nie przypadło mu do gustu.

Któregoś dnia mogę mieć własne dzieci.

- Jak ci je przyniesie dobra wróżka - skwitowała Josette.

- No wiesz! To było zagranie poniżej pasa.

- Przecież sam kiedyś mówiłeś, że nie zamierzasz się nigdy żenić - przypomniała mu.

- Może zaczynam patrzeć na pewne sprawy inaczej, w końcu mam już prawie trzydzieści i cztery lata. Mieszkalibyśmy na ranczu, zajmowałbym się poważniej hodowlą bydła. Mój zarządca nic jest zły, ale wolałbym sam wszystkiego doglądać.

- Rzuciłbyś pracę w Straży? - zdumiała się.

- Nie musiałbym. Mógłbym się przenieść do Wiktorii, to przecież niedaleko Jacobsville, chyba mają tam jeden wakat, w dodatku Judd tam teraz pracuje, więc znowu bylibyśmy razem, jak za dawnych dobrych czasów. - W zamyśleniu powiódł palcem wzdłuż jej brwi. - A ty chciałabyś mieć dzieci?

- Któregoś dnia... tak. Tak sądzę. - Poruszyła się nerwowo.

- W twoim przypadku będzie potrzebny mężczyzna, któremu będziesz umiała bezgranicznie zaufać. Rozumiem, że jeszcze takiego nie znalazłaś. O ile nie poddałaś się pewnemu drobnemu zabiegowi w ciągu tych dwóch lat.

Poczuła gorąco na policzkach. Za nic w świecie

nie zdradziłaby mu, że jest jedynym mężczyzną, z którym pragnęłaby się kochać. Nic miała również ochoty zwierzać się, co zrobiła tuż po ich ostatniej randce.

- Terapeutka, do której chodziłam, twierdziła, że nie zdołałam uporać się wewnątrznie z doświadczeniami z przeszłości - odparła wymijająco.

- Miała rację. Moim zdaniem powinnaś kontynuować terapię, za wcześniej ją przerwałam.

- Przerwałam, bo chciałam wreszcie zapomnieć o tym, co się stało.

- Rozumiem cię, ja też chciałem zapomnieć, ale ucieczka nic nie da, czasem lepiej jest ponownie stawić czoła bolesnym wspomnieniom i dzięki temu w końcu uwolnić się od nich.

- Moje są na tyle bolesne, że w ogóle nie chcę o nich mówić.

- Wiem... - Zaczął się bawić jej włosami. - Powiedz mi, czy czułaś coś do Jenningsa?

- Nie - przyznała otwarcie. - To była dość przypadkowa znajomość, poznaliśmy się dlatego, że lubiliśmy tę samą kawiarnię. Właściwie nie rozumiem, czemu mnie wtedy zaprosił na przyjęcie u Webbów.

- Za to ja doskonale rozumiem, czemu przyjąłś zaproszenie. Miałaś nadzieję, że też się tam zjawię, chciałaś mi się pokazać w towarzystwie innego, udowodnić, jak mało cię obeszło nasze zerwanie.

Najpierw się skrzywiła, a potem roześmiała serdecznie.

- Tak, przyznaję, miałam taką nadzieję. Proszę, jak łatwo mnie przejrzeć!

Wskazał na swoją odznakę.

- Jestem Strażnikiem, dedukcja to moja specjalność.

- Tylko nie próbuj czytać w moich myślach ostrzegła, robiąc groźną minę, lecz zaraz wyraz jej twarzy zmienił się. Ostrożnie dotknęła dłonią jego skaleczonego czoła. - Dzięki Bogu że nic więcej ci się nie stało.

- Za to jeden z napastników od dzisiaj będzie nosił zęby w kieszeni. Skoro już o tym mowa kiedy stąd wyjdę, masz porządnie zamknąć drzwi i pod żadnym pretekstem nie otwierać nikomu, kogo nie znasz. Jasne?

- O, mam do czynienia z prawdziwym mężczyzną, który chce mnie chronić - przekomarzała się. -

Jakie to seksowne!

- Daruj sobie. - Z czułością potargał jej włosy. -
Muszę o ciebie dbać, bo sam nie rozwiążę tej sprawy.

- Czyli jesteś na mnie skazany - stwierdziła
obejmując go za szyję.

Zdumiewające, jak swobodnie się czuła, leżąc
razem z nim na łóżku - ona, chyba najbardziej
nieprzystępna z kobiet.

- A ty na mnie.

- W takim razie ty też na siebie uważa -
przykazała, po czym dodała z uśmiechem.

- Jak widzisz, jako prawdziwa kobieta jestem
opiekuńcza.

Położył jej na ustach pasmo jedwabistych
włosów, po czym pocałował ją przez nie.

- Masz kilka powodów, żeby mnie nienawidzić,
ale tego nie robisz. Nie wiesz, jak bardzo mnie to cieszy.

- Nienawidzić? Nawet bym nie wiedziała, jak się
do tego zabrać.

Powoli odsunął włosy z jej twarzy i zaczął
kusząco chwytać ustami raz górną, raz dolną wargę
Josette, co jakiś czas delikatnie wsuwając czubek języka

po między nie, leciutko naciskając, cofając się, znowu naciskając. Pożałowała, że nie zna się lepiej na mężczyznach, ponieważ nie miała pojęcia, czy Marc tylko tak się bawił, czy miał na celu rozpalenie jej, w każdym razie to drugie udało mu się znakomicie. Uległa, rozchyliła wargi, a wtedy pocałował ją z ogromną czułością i jakby z wahaniem. Jego ciepła dłoń spoczywała na policzku Josette, potem przesunęła się po szyi, dotknęła dekoltu. Usłyszał, jak ona gwałtownie wciąga powietrze, poczuł, jak mocniej splata palce na jego karku, znieruchomiał.

Wiedział, że nie ze strachu napięła wszystkie mięśnie i że nie ze strachu serce biło jej jak szalone. Chociaż tak bardzo ją kiedyś zranił, nadal go pragnęła, co sprawiło mu ogromną radość. Tym razem jednak będzie mądrzejszy, potraktuje ją jak bezcenny dar, zamiast rzucać się na nią bez opamiętania. Tym razem będzie ostrożny, czuły i cierpliwy. Bardzo cierpliwy, choćby przyszło mu zaciskać zęby z bólu. Jak w tym momencie.

Oderwał więc usta od jej ust, odsunął się z westchnieniem i wstał z łóżka. Kiedy na nią popatrzył, poczuł cichą męską satysfakcję, ponieważ Josette

wyglądała na głęboko sfrustrowaną.

- Wychodzisz? - wyrwało jej się. - Wychodzisz...
teraz?!

Wygładził koszulę, poprawił krawat, sięgnął po
kapelusz.

- A w jakim celu miałbym zostawać? - odparł, a
w jego oczach zatańczyły przekorne ogniki. - Nie mam
się jak zabezpieczyć, nie noszę niczego ze sobą. A nawet
gdybym skorzystał z twojego zaproszenia, oboje
skończylibyśmy na ostrym dyżurze. Czekaj, może
zrobmy na odwrót? Skoczmy do szpitala i spytajmy, czy
nie mają na dyżurze jakiegoś ginekologa, który od ręki
wybawi nas z kłopotu... anatomicznego?

Gdy zrozumiała sens tej wypowiedzi, poczerwieniała aż po nasadę włosów, wyskoczyła z łóżka i stanęła przed Markiem, wbijając pięści głęboko w kieszenie szlafroka.

- Słuchaj no, ty seksualny maniaku! Nie sypiam z facetami, ale nie z powodu kłopotów anatomicznych! I nie obchodzi mnie, że nowoczesna kobieta ma mieć swobodne podejście do seksu! W ogóle nie dbam, czy uchodzę w czyichś oczach za nowoczesną, czy nie!

Uśmiechnął się bez śladu kpiny czy przekory.

- Nareszcie zaczynasz przypominać dawną Josie. Zawsze mi się u ciebie podobało, że nie podążałaś ślepo za tłumem.

- Odziedziczyłem to po tacie, on miał zwyczaj mówić wprost, co myśli i nie bać się, co sobie ludzie pomyślą. To on mnie nauczył politycznej... niepoprawności!

Zaśmiał się cicho, przypominając sobie, jakie kazanie - również prywatne - pastor potrafił palnąć.

Przez chwilę panowała cisza.

- Dzięki, że wpadłeś sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku.

Ujął ją palcami pod brodę, gdyż chciał, by na niego spojrzała i dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie miała okularów. Leżały na toaletce.

- Widzisz mnie? - spytał nagle.

- Jesteś trochę zamazany - przyznała.

- Bez okularów czujesz się bezbronna, pamiętam. To była pierwsza rzecz, jaką mi powiedziałaś, kiedy cię znalazłem w pokoju tamtego chłopaka. Właściwie czemu nie nosisz szkieł kontaktowych?

- Próbowałam, nie mogę, wdają mi się infekcje, widać nie umiem o nie stosownie dbać.

Wzruszyła ramionami. - Lepiej mi powiedz, czy zwróciłeś się do policji w Pioneer Village, by próbowali się mieć oko na mieszkanie pani Jennings?

Aż się skrzywił.

- Miałem to zrobić, ale myślałem o zbyt wielu rzeczach naraz i wyleciało mi z głowy. Pamiętałem o Hollimanie, rozmawiałem z szeryfem o częstszych patrolach w jego okolicy, ale o pani Jennings zapomniałem. Zaraz się tym zajmę. - Podeszedł do stojącego na stoliku telefonu, wybrał numer i chwilę potem wyjaśnił sytuację oficerowi dyżurnemu. Na zakończenie rozmowy podziękował i odłożył słuchawkę. - Obiecali pomóc. - Podeszedł do niej. - Wpadnę po ciebie rano, zjemy razem śniadanie, a potem pojedziemy składać wizyty kolejnym korespondentom Jenningsa.

- W porządku. Uważaj na siebie w drodze do domu.

- A ty uważaj na siebie tutaj. I pamiętaj, co ci powiedziałem. - Dotknął palcem czubka jej nosa. - Masz porządnie zamknąć drzwi i pod żadnym pozorem nie

otwierać nieznajomym.

- Tak zrobię.

Wyszedł i poczekał na korytarzu, by upewnić się, że Josette na pewno zamknęła drzwi i założyła łańcuch. Ona z kolei patrzyła za nim przez okno, gdy szedł do samochodu. Bała się o niego, bo skoro nasłano na niego dwóch zbirów, to czemu w następnej kolejności nie miano by nasłać czterech lub nawet więcej, żeby tym razem nie miał szans się obronić? Sytuacja zaczynała się robić coraz poważniejsza - i oby nie zmieniła się w koszmar...

Kiedy czarny dziup zniknął jej z oczu, usiadła na brzegu łóżka i zapatrzyła się na akta, które Brannon zrzucił na podłogę, by im nie przeszkadzały. Wciąż czuła jego pocałunki na wargach i dotyk palców na skórze, wciąż drżała z podniecenia i wciąż była zakochana, spragniona jego widoku, jego bliskości. Zacisnęła powieki. Nie, nie mogła się temu poddać, już raz przez to przeszła, więc wiedziała, czym to grozi. Skoro dwa lata wcześniej potrafił ją rzucić w bezlitosny sposób, nie miała żadnej gwarancji, że teraz nie uczyni tego znowu. Nie zniosłaby ponownego zerwania, dlatego też najlepiej

zrobi, pamiętając o bólu, jaki jej sprawił, ponieważ to ją ochroni przed zaangażowaniem się bez reszty.

Następnego dnia rano zadzwoniła do Simona i zdała mu szczegółowy raport, kładąc szczególny nacisk na włamanie do systemu komputerowego i zmianę danych.

- Nie podoba mi się to - wycedził. - Bardzo mi się to nie podoba.

- Masz w biurze własnego hakera, zapędź go do roboty. Nie zdziwię się, jeśli Phil zdoła rozwiązać sprawę jeszcze przed lunchem.

- Phil? - Simon jęknął. - Nie pamiętasz, że wysłałem go do Mała Suerte?

- To go ściągnij z powrotem. W godzinę czy dwie dojdzie do tego, w jaki sposób zdołano zmienić akta Dale'a.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

- Mam tu innych ludzi od komputerów, bardziej doświadczonych...

- Simon, ewidentnie stosujesz uniki. Odchrząknął.

- W porządku. FBI wypożyczyło go do jakiejś

sprawy.

- Mnie nigdy im nie wypożyczyłeś, chociaż pracuję u ciebie dwa lata! A on jest w biurze dopiero od ośmiu miesięcy.

- Ciebie nie chciałem się pozbywać - rzekł, kładąc nacisk na pierwsze słowo. - Dobrze, zadzwonię do nich i powiem, żeby go odesłali z powrotem.

- Jest naprawdę świetny w tym, co robi - zapewniła go Josette.

- No, nie wiem... W każdym razie wypożyczyłem go z zemsty.

Na moment ją zatkało.

- Co?

- Pamiętasz tego agenta FBI nazwiskiem Russell, który nie dawał nam spokoju w związku z Marshem i próbował nam przewrócić archiwa do góry nogami?

- Czy to ten sam, którego Marc prawie znokautował na swoim ranczu, kiedy Gretchen przyjechała do Teksasu ze swoim mężem, szejkiem Qawi?

- Ten sam. Nie udało mu się znaleźć dowodów obciążających Marsha za dwa niedawne morderstwa w

San Antonio, więc jest wściekły jak diabli.

- My też dotychczas nie znaleźliśmy nic na Marsha. W ogóle nie wiadomo, gdzie się podziewa. Aha, sekcja nic nie wniosła do sprawy, jedyne, co mamy, to łuska od pocisku kaliber dziewięć milimetrów.

Simon westchnął.

- Szkoda, bo gdybyście coś znaleźli, chętnie zwałbym wam Russella na głowę. Upiorny gość. Ostatnio potrzebował specja od komputerów, chce sprawdzać różne bazy danych, więc wypożyczyłem mu Phila. Niech się nawzajem doprowadzą do obłędu i dadzą mi święty spokój.

- Kto wie, czy twoje posunięcie nam się nie opłaci? Rozumiesz, potrzebujemy w tej sprawie tyle pomocy, ile tylko uda się dostać. Koniecznie trzeba się dowiedzieć, kto przeniósł Jenningsa do więzienia stanowego.

- Wobec tego nacisnę FBI, żeby oni też nad tym popracowali, bo skoro mogą pożyczać naszych ludzi, to mamy prawo zażądać rewanżu. W sumie chyba dobrze się złożyło - stwierdził ze śmiechem. - Aha, uruchomię też oddzielne śledztwo w sprawie transferu Jenningsa.

- Dzięki. Odezwę się niebawem.

Kiedy zjawił się Brannon, powtórzyła mu rozmowę z Simonem. Na dźwięk nazwiska Russella oczy mu błysnęły.

- Nadal nie rozumiem, co on robi w tym wszystkim. To tajniak ze służb ochrony.

- Simon mówi, że przysłało go FBI, widać zmienił pracę. W każdym razie on też szuka czegoś na Marsha, ale wciąż bez rezultatu, podobnie jak my.

- Cały czas nie wiemy, czemu Marshowi mogłoby zależeć na zabiciu Jenningsa, który przecież nie raz okazał się dla niego użyteczny.

- A jeśli Dale szantażował właśnie jego? Jeśli miał jakiś niezbity dowód, który mógł Marsha pogrążyć?

- Tak, to byłoby logiczne wyjaśnienie. Wyszli na duży parking na tyłach hotelu, a w drodze do dzipa ujrzeni, że pomiędzy rzędami samochodów błąka się zapłakany chłopczyk o jasnych włosach.

- Hej, stary! - odezwał się przyjaźnie Marc i wziął dziecko na ręce. - Co się dzieje?

- Mama! - szlochał mały, wsadzając piąstki do oczu. - Gdzie moja mama?

- Zaraz ją znajdziemy - obiecał Marc, przytulając chłopca do siebie, żeby dać mu poczucie bezpieczeństwa.

Josette nie pierwszy raz widziała go z dziećmi, więc wiedziała, jak on się przy nich zmienia, dosłownie w oczach przeistaczając się z twardego, aroganckiego stróża prawa w mądrego, wspaniałego opiekuna. Byłby idealnym ojcem, nie miała co do tego wątpliwości. Marzenie każdej kobiety...

- Chyba nie ma jeszcze czterech lat - zauważyła, gładząc chłopczyka po mięciutkich włosach. - Jak masz na imię?

- Jeffrey. - Znowu chlipnął. - Mam trzy lata. - Wyciągnął łapkę i pokazał cztery paluszki.

Marc i Josette wymienili rozbawione spojrzenia.

Boczne wejście do hotelu było otwarte, dobiegały stamtąd podniesione głosy.

- Ale przecież dopiero co tu był - lamentowała kobieta. - Odwróciłam się tylko na chwilę!

- Nigdy nie zwracasz na niego uwagi! - wybuchnął mężczyzna. - Musiałaś akurat teraz dzwonić? Nie możesz nawet przez moment popilnować naszego syna?

Ruszyli w tamtą stronę.

- Halo, czy ktoś zgubił dziecko? - zawołał Brannon.

Z hotelu wypadła para porządnie ubranych ludzi - on wyglądał jak ranczer, ona jak bizneswoman. Brunet i blondynka, on wyraźnie zły, ona cała roztrzęsiona.

- Jeffrey! - podbiegła, wyciągając ramiona.

- Och, dzięki Bogu! Gdyby wyszedł na ulicę...

- Porwała dziecko w objęcia i obsypała pocałunkami.

Mężczyzna stanął obok i z powagą popatrzył na Brannona.

- Dziękuję - rzekł krótko. - Zaraz zabierzemy go do domu.

Marc skinął głową, po czym zwrócił się do kobiety:

- Dzieci potrafią zniknąć bardzo szybko i odejść naprawdę daleko.

- Tak. Rozumiem. Przepraszam, to się nie powtórzy - zapewniła, po czym z niepokojem zerknęła na męża, który wyglądał jak chmura gradowa. - Już wracamy do domu.

Odprowadzili wzrokiem oddalającą się parę.

- Jak pies z kotem - stwierdził Marc. - Czasami ludzie za bardzo się różnią.

- A czasami po prostu za mało ze sobą rozmawiają.

Odwrócił się do niej.

- Właśnie. Nas to też dotyczy, a może nawet zwłaszcza nas. Gdyby od początku każde było bardziej otwarte, teraz łączyłaby nas przyjaźń, a nie tylko sprawy zawodowe.

Popatrzyła mu w oczy.

- Ty chyba bardzo lubisz dzieci, prawda?

- Bardzo - przyznał.

- Ja też.

Sięgnął po jej dłoń, a gdy ich palce splotły się ciasno, Josette zadrżała z podekscytowania.

- Lepiej już chodźmy - zaproponowała.

Poszli więc, lecz Marc nadal trzymał ją za rękę, a Josette wcale nie protestowała, miał więc nadzieję, że tym razem obrał właściwą drogę postępowania. Jeśli będzie wystarczająco cierpliwy, może ona zapomni, jak okrutnie ją niegdyś potraktował. Ta myśl dawała mu

nadzieję, a dzięki tej nadziei znowu czuł, że żyje. I to było wspaniałe uczucie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sandra Gates była mniej więcej w wieku Brannona, miała tlenione włosy, szkarłatne paznokcie i tyle obycia, co kot napłakał. Mieszkała w przyczepie kempingowej, wciśniętej pomiędzy dwie inne na polu kempingowym na przedmieściach Floresville. Wpuściła ich do środka dopiero wtedy, gdy Marc zagroził, że wróci z nakazem rewizji.

Z pewnym ociąganiem usiedli na kanapie, zarzuconej ubraniami i gazetami, wśród których wlały się gdzieniegdzie kolorowe opakowania po cukierkach. Josette nieznacznie schowała jedno do kieszeni.

- Byłam po prostu znajomą Dale'a - oznajmiła zimno Sandra, wykonując lekceważący gest dłonią.

Josette zauważyła na jej serdecznym palcu pierścionek z brylantem. Nie wyglądało to na sztuczną biżuterię.

- Nie mam nic wspólnego z jego śmiercią. Nic!

- O nic też pani nie oskarżamy, panno Gates zapewniła szybko Josette. - Chcemy tylko zapytać, czy pisał coś pani o swoim przeniesieniu do tutejszego

zakładu karnego. Łypnęła na nich podejrzliwie.

- Tak, pisał, że został przeniesiony.

- A czy pisał, jak udało mu się tego dokonać?
spytał Brannon, bacznie obserwując reakcję kobiety.

Spojrzała na niego, wyraźnie zaskoczona, potem odwróciła wzrok.

- Co... co pan ma na myśli?

- Tutejszy zakład jest więzieniem stanowym, zaś Jennings odbywał karę w więzieniu federalnym w Austin. Na tydzień przed śmiercią znalazł się pod Floresville i został wyznaczony do prac porządkowych poza terenem zakładu.

Skrzyżowała ramiona.

- Nic mi o tym nie mówił. Wiem tylko, że dzięki temu było mi go łatwiej widywać. To znaczy, byłoby, gdyby nie zginął.

Brannon popatrzył na nią wymownie.

- Panno Gates, znała go pani przed uwięzieniem i odwiedzała go pani zarówno w Austin, jak i tutaj.

- No odwiedzałam. I co z tego? - spytała z irytacją, założyła nogę na nogę, zaczęła nią niecierpliwie wymachiwać.

Brannon zignorował pytanie. Rozejrzał się dookoła, przenikliwe spojrzenie szarych oczu spoczęło na nowym komputerze z drukarką. Sprzęt był bardzo dobry, musiał dużo kosztować, co wydawało się dziwne, zważywszy, w jakich warunkach żyła Sandra Gates. Równie dziwne jak pierścionek, który tak chętnie pokazywała.

- O, lubi pani komputery? - zagadnął z życzliwym zainteresowaniem. - Ja nie i ledwie się na nich znam, ale w naszej pracy nie da się bez nich obejść.

Rozluźniła się troszeczkę.

- Tak, bardzo lubię. Zrobiłam kursy z programowania. - Wskazała dyplom wiszący nad komputerem.

Brannon wstał i podszedł, by się lepiej przyjrzeć. Nachylił się, jakby próbował czytać z bliska, a w rzeczywistości błyskawicznie omiół wzrokiem całe biurko. Komputer był nowiutki, dookoła niego leżało kilka płyt z oprogramowaniem, w tym program graficzny do obróbki zdjęć oraz zaawansowany program do tworzenia arkuszy kalkulacyjnych.

Wyprostował się, udając, że obejrzał dyplom i nie

interesuje go to, co leży na biurku.

- Jestem pod wrażeniem. - Wrócił na kanapę.

- Ile czasu zajęło pani zrobienie tych kursów?

- Półtora roku. - Jej usta na krótką chwilę rozciągnęły się w uśmiechu. - Opłacałam je z napiwków. Byłam kelnerką w przydrożnym barze pod San Antonio.

- Też pracowałam jako kelner, kiedy miałem kilkanaście lat - przyznał bez zażenowania Brannon. - Bez napiwków wiele się w tej robocie nie zarobi.

- W ogóle się nie zarobi - burknęła. - Miałam tak dość tej choleralnej biedy... - Zaśmiała się nerwowo. - Oczywiście teraz też nie jestem bogata, ale przynajmniej robię coś ciekawego, tworzę gry komputerowe. Najnowsza zdobyła nagrodę znanego pisma komputerowego.

- Z wyraźną dumą wymieniła jego tytuł. - To daleka droga od biegania z talerzami.

- Fakt - przyznał Brannon. - Widzę, że ma pani znakomity sprzęt.

Znowu łypnęła podejrzliwie, znowu miała się na baczności.

- Muszę mieć dobry komputer, inaczej nic nie

stworzę i nie zarobię. To moje narzędzie pracy. - Wstała i spojrzała na zegarek. - Przepraszam, jestem umówiona na lunch.

Podnieśli się również.

- Bardzo nam pani pomogła, panno Gates - rzekł z uprzejmym uśmiechem Brannon.

- Przecież ja nic nie powiedziałam!

- I przykro mi z powodu Jenningsa - ciągnął, - Nie wiem, czy to coś zmienia, ale nie sądzę, by to on zabił Garnera.

Zaczerwieniła się, jej wydatna dolna warga zadrżała. Sandra przygryzła ją zębami.

- Głupi był! - wybuchnęła. - I taki naiwny! Ofiara losu!

- Miał też swoje zalety - podsunęła Josette.

- I co mu teraz po nich? - spytała zimno Sandra. - Świat jest pełen ludzi, którzy wykorzystują innych i nikt im nic za to nigdy nie zrobi.

Josette już otwierała usta, gdy Brannon wziął ją za rękę i wyciągnął z przyczepy, oczywiście uprzednio pożegnawszy się uprzejmie z panną Gates.

Ledwie ruszyli, spytała, czemu tak raptownie

zakończył wizytę.

- Ponieważ zamierzałaś spytać, kogo miała na myśli, mówiąc o wykorzystywaniu ludzi, a to przyniosłoby efekt przeciwny do zamierzonego, bo zaczęłaby bardziej uważać na swoje słowa - wyjaśnił. - Siedzi w tym po uszy. Gdyby tyle zarabiała na pisaniu gier komputerowych, nie mieszkałaby w nędznej przyczepie i nie jeździłaby starym gratem. Nie wierzę też, że zdołała zarobić na pierścionek z dwukaratowym brylantem, znakomity sprzęt i bardzo drogie oprogramowanie.

- Myślisz, że dostała ten pierścionek od Dale'a?

- Tak. I idę o zakład, że to ona włamała się do systemu, zmieniła dane i ściągnęła go tutaj.

- Nie mamy żadnych dowodów.

- Jeszcze. Chociaż niełatwo będzie jej cokolwiek udowodnić, gdyż zapewne potrafi bardzo sprytnie zacierać za sobą wszelkie elektroniczne ślady. Ale może coś znajdziemy, jeśli weźmie się za to i ten wasz Phil, i ktoś od nas, i jeszcze ekspert z biura prokuratora okręgowego.

- Ciekawe, kto jej zapłacił za wyciągnięcie Dale'a

z więzienia? - zastanowiła się na głos Josette. - Na pewno nie zdecydowała się na takie ryzyko tylko dlatego, że była żądna jego towarzystwa.

- Tak, na pewno zrobiła to dla pieniędzy - zgodził się. - Ale raczej nie podejrzewała, że tym samym przykłada rękę do śmierci Jenningsa. Chyba trochę jej na nim zależało. Ona też okazała się w sumie naiwna i została przez kogoś oszukana.

- Pamiętasz, czego dowiedziałam się od pani Jennings o tej kobiecie, z którą Dale się spotykał? Lubiała drogie miętówki. U Sandry Gates wałało się pełno takich wymyślnych opakowań, wzięłam jedno. - Pokazała mu.

- Ciekawe... To nie nasze, tylko sprowadzane z Europy. Dość wyrefinowane zachcianki jak na kobietę, która mieszka w nędznej przyczepie, nie sądzisz?

- Dokładnie. Szkoda, że pani Jennings nie wiedziała nic więcej o tej znajomej syna.

- Każda wskazówka jest pomocna, nawet taka drobna jak uwaga o cukierkach. Chociaż początkowo sądziłem, że to trop wiodący donikąd - przyznał.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Czemu tak ci zależało na tym, żeby Sandra nie

zaczęła się mieć na baczności? Przez całą rozmowę robiłeś wszystko, żeby uśpić jej czujność, chociaż potrafisz z ludźmi rozmawiać ostro.

- Ponieważ zamierzam wystąpić o zezwolenie na podsłuchiwanie jej rozmów telefonicznych, więc nie chcę, żeby cokolwiek podejrzewała. Przyszliśmy, pogadaliśmy, poszliśmy sobie, nie jesteśmy nią dalej zainteresowani. Tylko że jeśli panna Gates jest zamieszana w sprawę, a jest, to morderca może ją uciszyć, bo za dużo wie.

- I już nie jest do niczego potrzebna - dodała Josette.

- Właśnie.

Josette wyciągnęła swój notes i przerzuciła kartki.

- Następny na mojej liście to Johnny York, łączą go z Marshem jakieś ciemne sprawy. Aresztowano go wiele razy, ale potem wypuszczano z braku dowodów, na przykład w zeszłym roku, kiedy zatrzymano go w związku z morderstwem. Tylko raz dostał wyrok, i to w zawieszeniu, za pobicie. Namiętny bilardzista - odczytała. - W takim razie proponuję szukać go w salonie bilardowym przy Mesquite Street.

- O tej porze? Wątpię. - Zaparkował przy krawężniku i wprowadził nazwisko Yorka do komputera pokładowego.

- To nasza stanowa baza przestępców - rozpoznała Josette.

- Tak, bez niej byłbym jak bez ręki.

Na monitorze wyświetlił się potężny plik, znalazło się też zdjęcie zwyczajnie wyglądającego młodego człowieka o rzednących włosach i małych oczach. Wydał im się dziwnie znajomy. Brannon sprawdził adres.

- I czy ta nowoczesna technologia nie jest wspaniała? - spytał z szerokim uśmiechem. - Co za oszczędność czasu! Wystarczy jedno kliknięcie i już wiadomo, że facet mieszka sześć przecznic stąd. Mamy szansę zastać go jeszcze w łóżku.

Dojechali na miejsce w ciągu pięciu minut. Kiedy wysiedli, ktoś uniósł zasłonę w oknie, a potem szybko ją opuścił, zaraz potem trzasnęły jakieś drzwi.

- Będzie próbował uciekać - rzucił krótko Brannon. - Trzymaj się z tyłu, może być uzbrojony.

Nie posłuchała go i gdy ruszył ku wejściu, szybko

obeszła dom od drugiej strony w nadziei, że może uda jej się jakoś spłoszyć Yorka, gdyby ten próbował czmychnąć tylnymi drzwiami - istniała szansa, że on wtedy zawróci ku frontowym i wpadnie prosto w ręce Brannona. Oczywiście, bała się, nie mogła jednak pozwolić, by Marc sam łapał przestępcę, w dodatku nie sądziła, by York bez powodu strzelał do nieuzbrojonej kobiecie...

W tym momencie padł strzał. Serce podskoczyło jej do gardła. Marc! Pobieгла w tamtym kierunku, a gdy minęła narożnik domu, ujrzała, jak człowiek z fotografii obraca się ku niej błyskawicznie, zaraz potem rozległ się huk i poczuła ostry ból w ramieniu, które nagle zrobiło się dziwnie ciężkie.

Trzeci strzał. Mężczyzna zakręcił się wokół własnej osi, upuścił broń, sekundę potem dopadł go Marc, powalił na ziemię, wykręcił mu ręce do tyłu, zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach. Josette przyglądała się temu, przypominając sobie, jak kiedyś równie sprawnie powalił i związał cielaka na rodeo. Nie miała pojęcia, czemu w takiej chwili myśli o podobnych głupstwach. Kręciło jej się w głowie i czuła się

niewyraźnie.

Brannon spojrział w stronę Josette, by upewnić się, czy wszystko w porządku, ujrzał jej bladą twarz i rosnącą czerwoną plamę na rękawie beżowego żakietu. Zaklął, rzucił się ku niej, błyskawicznie chowając pistolet do kabury i wyciągając telefon komórkowy. Złapał ją, gdy zaczęła osuwać się na ziemię, położył ostrożnie, wybrał numer pogotowia, zdarł z siebie krawat, wyjaśnił, kim jest, gdzie jest oraz co się stało, i zażądał przysłania karetki.

Josette zaczęła się trząść. Próbowwała się rozeźmiać.

- Tak mi jakoś dziwnie...

- Leż spokojnie.

Jak zwykle miał przy sobie nóż, rozciął rękaw żakietu i bluzki, by obejrzeć ranę. Kula co prawda nie naruszyła kości, ale przeszła przez biceps i uszkodziła arterię, ponieważ krew płynęła silnym strumieniem. Tuż powyżej rany Brannon zrobił opaskę uciskową z krawata żeby super był ścisły, zawiązał go na długopisie, na nim zrobił jeszcze jeden węzeł i wtedy obrócił długopis, dociskając mocniej opaskę. Wolną dłonią zastosował

ucisk bezpośredni na ranę, a wtedy Josette z bólu omal nie wyskoczyła ze skóry.

- Szybciej, szybciej, do cholery! - Brannon z furią rozejrzał się dookoła, nie widząc śladu karetki. Nawet jeszcze nie było słyhać sygnału.

- Trafił... w arterię... tak? - spytała z trudem, gdyż język odmawiał jej posłuszeństwa, jakby była pijana.

- Tak - odparł, cały czas próbując zatamować krew, lecz minio jego wysiłków płynęła dalej, wsiąkała w ziemię. Oboje czuli jej mdlący, trochę metaliczny zapach. - Nie mogłaś zrobić już naprawdę nic głupszego! - wybuchnął.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, Josie. - Znowu podniósł głowę. - Gdzie ta przeklęta karetka?!

- ryknął, wiedząc, że jeśli tak dalej pójdzie, ranna może wykrwawić się na śmierć.

Josette robiło się coraz bardziej słabo, miała wrażenie, że spogląda na nich dwoje z pewnego oddalenia, a nie leżąc na ziemi.

- Marc... - wyszeptała. - Dlaczego się nie pożegnałeś?

Nareszcie dobiegło go z dala zawroźnienie syreny.

- Co?. - spytał z roztargnieniem, skupiając się na tym, by ucisk nie zależał ani na chwilę.

- Nie napisałeś choćby dwóch słów... Nie zadzwoniłeś. Odszedłeś... nie oglądając się za siebie. Myślałam, że... umrę. - Jęknęła. - Przestań, to boli!

- Lepiej, żeby cię bolało, niż żebyś miała umrzeć - warknął przez zaciśnięte zęby, ze zdenerwowania słuchając jej jednym uchem.

- Mam... inne... zdanie...

Zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć, za to Marc nie był równie powściągliwy i wrzasnął na zbyt powolnych - jego zdaniem - sanitariuszy, używając przy tym wyrażen, których potem bardzo żałował.

Jest taki sam, jak zawsze, przeniknęło Josette przez głowę, a potem nie myślała o niczym, tylko poddała się fali bólu.

Musiano podać jej w kroplówce jakiś bardzo silny lek przeciwbólowy, gdyż zaczął działać naprawdę szybko, przynosząc Josette ulgę. Była słaba, chwilami odpływała dokądś, lecz miała świadomość tego, że znajduje się w szpitalu, że Brannon nie odstępował jej na chwilę, że ktoś coś robi z jej ręką.

- Trafieś go, prawda? - spytała w pewnej chwili półprzytomnie.

- Tak, przywieźli go razem z tobą, ale on znajduje się w gorszym stanie, zapewniam cię.

- Zawsze świetnie strzelałeś. Zignorował jej pochwałę.

- Miałaś więcej szczęścia niż rozumu - stwierdził.

- Zanim się z tego zupełnie wylizesz, dużo się nauczysz o ranach postrzałowych.

- O tak - przyświadczył młody lekarz, który ją opatrywał. - Pierwsze dwie doby będą najgorsze. Czy pacjentka ma kogoś, kto mógłby przy niej posiedzieć dzisiaj w nocy?

- Nie - rzekła Josette.

- Tak - rzekł Brannon.

- Nie ma mowy - upierała się. - To tylko zadrapanie.

- Przestanie pani tak mówić, kiedy anestetyk już nie będzie działał - skwitował lekarz.

- Oczywiście dostanie pani następne, no i receptę. I przez dziesięć dni będzie pani brała antybiotyki. - Zerknął na Brannona. - To rana postrzałowa, musimy

sporządzić raport.

- Ta pani pracuje dla prokuratora generalnego - wyjaśnił Marc. - Prowadzi dochodzenia, ale nigdy nie używa broni, o czym powinna była pamiętać, gdy próbowała mi pomóc w ujęciu podejrzanego. - Przeniósł na nią poważne spojrzenie. - Nigdy więcej nie rób czegoś takiego.

- Nie zrobię, obiecuję. Ale nie musisz przy mnie przesiadywać, jestem twarda, nic mi nie będzie. No i pomyśl, ile na tym zyskają moje pamiętniki!

Nie udało jej się go rozbawić.

- To moja wina, bo wystawiłem cię na niebezpieczeństwo. Dlatego teraz będę się tobą opiekować, dopóki nie wydobrzejesz. - Ponieważ zamierzała oponować, zdecydowanym gestem uniósł dłoń, by uciszyć dalsze protesty.

- Gdybyś była na moim miejscu, zrobiłabyś dokładnie to samo.

Westchnęła, ponieważ na to nie znalazła kontrargumentu.

- Masz rację.

Kiedy rana została oczyszczona, zaszyta i za-

bandażowana, a lekarz wypisywał recepty dla Josette, Brannon poszedł do innego skrzydła budynku, gdzie operowano Yorka. Pod drzwiami trzymał straż młody zastępca szeryfa hrabstwa Bexar. Na widok Marca uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę na powitanie.

- Dobra robota, Brannon. Od kilku miesięcy nie mogliśmy ucapić tej malej gnidy.

- Postrzelił moją partnerkę. - W głosie Marni brzmiał nieskrywany gniew. - Nawet nie była uzbrojona.

- Jego takie drobiazgi nie powstrzymają, za pieniądze zrobi wszystko, z mokrą robotą włącznie. Naszym zdaniem to jeden z płatnych zabójców Marsha, tylko dotąd nie mamy na to żadnych dowodów.

- Wydaje mi się, że ja go już gdzieś widziałem...

- Brannon zamyślił się.

- Mogę ci powiedzieć, gdzie. Wczoraj na pogrzebie Jenningsa. Pamiętasz pastora?

Brannon głośno wciągnął powietrze.

- Niech to szlag! Faktycznie! A ja myślałem, że pastor był świeżo upieczony i dlatego trochę niezdamy. Co on tam robił, do cholery?

- Pewnie przyszedł przyjrzeć się następnej osobie

do odstrzału. Bóg jeden wie, kto to miał być.

Brannon wsadził ręce w kieszenie i zamyślił się głęboko. Jeśli York rzeczywiście zabijał na zlecenie, oznaczało to, że morderca wybrał kolejną ofiarę. Kogo? I z jakiego powodu?

Wciąż nie miał odpowiedzi na dręczące go pytania, gdy wsadzał Josette do dżipa, by zawieźć ją do siebie. Nawet nie mógł z nią porozmawiać, ponieważ była otępiała i senna od środków przeciwbólowych. Leciała z nóg, więc kiedy dojechali na miejsce, wziął ją na ręce, wszedł do bloku i zaniósł do windy, nie zważając na zaintrygowane spojrzenia innych lokatorów.

Idąc korytarzem do swojego mieszkania, napotkał jednego z ochroniarzy.

- Cześć, Bill. Czy mógłbyś wziąć ode mnie klucz i otworzyć mi drzwi?

- Nie ma sprawy - odparł tamten, również przyglądając im się z ciekawością.

- Właśnie wracamy ze szpitala - wyjaśnił Marc.

- Kiepskie miejsce, żeby zarwać dziewczynę, ale jeśli inaczej nie dajesz rady...

- Przymknij się, dobra? - rzucił z humorem

Brannon, bynajmniej nie czując się dotknięty. - Została postrzelona. Nie powinna być teraz sama, a nie ma żadnej rodziny.

- Postrzelona? - Ochroniarz otworzy! mieszkanie.

- To czemu nie leży w szpitalu?

- To tylko zdraśnięcie... - wymamrotała Josette.

Opierała głowę na piersi Brannona, odznaka Strażnika wbijała jej się w policzek.

On wcale nie chciał... Bill zrobił wielkie oczy.

- To ty strzelasz do dziewczyny, kiedy pragniesz ją upolować?

- Nie ja do niej strzelałem, idioto, tylko podejrzany. Wpakowałem mu za to kulkę oznajmił z satysfakcją. - Właśnie próbują go załatać.

- Współczuję ci, mała - powiedział Bill do Josette, która ledwie go widziała, gdyż z trudnością mogła podnieść powieki. - Mam nadzieję, że jak trochę dojdiesz do siebie, to dadzą ci pięć minut z tym draniem sam na sam.

- Ja też... I że włożą mi gnata do każdej ręki...
Och, Brannon, jak mi się chce spać...

- Nie ma sprawy, zaraz będziesz mogła się

wyspać. Dzięki, Bill.

- Zawsze do usług. - Bill włożył Marcowi klucz do ręki. - Jak znowu będziesz w szpitalu, to następną przynieś dla mnie. Widać masz fart, bo mnie łapiduchy nigdy nie dały takiej próbki reklamowej!

Odszedł, nim Brannon zdołał wymyślić równie ciętą ripostę.

Marc zaniósł Josette do pokoju gościnnego i ostrożnie położył ją na łóżku. Zdjął zaplamiony krwią żakiet, bluzkę, spódniczkę oraz pantofle, zostawiając ją tylko w bieliźnie i rajstopach, starał się przy tym zbytnio nie przyglądać zgrabnej figurze. Przykrył potem Josette kołdrą po samą brodę, oparł się dłońmi o poduszkę po obu stronach jej głowy i trwał tak przez chwilę w zapatrzeniu, wdychając delikatny różany zapach i przyglądając się potarganym włosom, które częściowo wysunęły się z koka. Zdjął jej okulary, odłożył na nocną szatkę, przyglądził włosy, a później - pod wpływem impulsu - wyciągnął z nich szpilki, dzięki czemu chwilę później miał ręce pełne jedwabistych loków.

- Zupełnie mi się popłaczą - zaoponowała sennym głosem.

- Niech się płaczą. Masz najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałem. - Z upodobaniem rozłożył je na poduszce wokół delikatnej twarzy Josette i przyjrzał się swemu dziełu. - Zmęczona? - spytał z łagodnym uśmiechem.

- Bardzo. Przepraszam, że sprawiam ci tyle kłopotu.

- Żaden kłopot. Muszę teraz wracać do pracy, ale powinienem być koło wpół do szóstej. Prześpij się w tym czasie. Powinnaś odzyskać trochę sił, zanim jeszcze bardziej zagłębimy się w to śledztwo.

Przyjrzała mu się uważnie i z łatwością odgadła, co go gnębiło.

- To naprawdę nie twoja wina. Spochmurniał.

- Mogłem przewidzieć, że zaczniesz zgrywać bohatera.

- Przestań się wreszcie obwiniać.

- To ja powinienem zarobić kulkę, nie ty. Zmusiła się do uśmiechu.

- Ach, po prostu jesteś zazdrosny, bo raną postrzałową można się pochwalić, a ty nie masz czym.

- Aleś wymyśliła!

- Nic mi nie będzie - zapewniła bardzo już sennym głosem.

- Wiem, potrzebujesz jednak porządnie odpocząć i dojsć do siebie, straciłaś bardzo dużo krwi. - Nachylił się i przesunął wargami po jej ustach. - Wyśpij się, kochanie. Zobaczymy się później. Postawić ci przy łóżku coś do picia?

Powiedział „kochanie”? Niemożliwe, to przez ten otumaniający wpływ leków musiała się przesłyszeć.

- A mógłbyś? Najchętniej coś chłodnego.

- Sok pomarańczowy? - spytał, pamiętając, co najbardziej lubiła, gdy chodzili ze sobą.

- Tak, poproszę - ucieszyła się.

Poszedł po sok do kuchni, a gdy wrócił, Josette spała już kamiennym snem. Stał nad nią przez jakiś czas, przyglądając jej się z dziwnym wyrazem twarzy. Nigdy nie przyprowadził do domu żadnej innej kobiety - nie wyobrażał sobie tego. Właściwie nie wiedział, co kazało mu samozwańczo ogłosić się opiekunem Josette, czuł jednak, że dobrze zrobił, czuł, że znajdowała się we właściwym miejscu. Potrzebowała jego opieki i to go ujmowało, gdyż odkąd mama umarła, a siostra wyszła za

mąż, nikt go nie potrzebował, tymczasem Brannonowi brakowało tego bardzo.

Oczywiście nie zamierzał się z tym zdradzać.

Spała przez kilka godzin, obudził ją pulsujący ból w ramieniu. Z trudem usiadła na łóżku, rozejrzała się, jej wzrok padł na nocną szafkę, na której Brannon przewidująco zostawił nie tylko całą karafkę soku pomarańczowego, ale również środki przeciwbólowe oraz antybiotyki. Nalała sobie soku, popiła tabletki, przycisnęła chłodną szklankę do czoła i posiedziała tak przez chwilę. Widać musiała mieć gorączkę.

Położyła się z powrotem, nie mogła jednak uleżeć spokojnie, zanadto była obolała i wytrącona z równowagi, postanowiła więc wstać i zająć się czymś. Ponieważ jej ubrudzone krwią ubranie nie nadawało się do niczego, pożyczyła sobie z szafy Brannona koszulę w brązowo - białą kratę oraz sprane dżinsy, oczywiście zarówno rękawy jak i nogawki musiała podwinąć trzy razy. Nie mogła znaleźć swoich szpilek do włosów, więc musiała zadowolić się przeczesaniem rozpuszczonych włosów grzebieniem Marca. Wszystko robiła bardzo wolno, gdyż jedną rękę miała na temblaku i starała się jej

nie urazić. Przeszła do kuchni, zajrzała do lodówki i szafek, znalazła tam tyle rzeczy, że bez problemu mogłaby przygotować obiad. Właściwie czemu nie spróbować? Oceeniła swoje aktualne możliwości, po czym wyjęła filety z kurczaka, pomidory, fasolkę oraz pudełko z gotową mieszanką do pieczenia bułeczek. Jakiś czas później bułeczki i kurczak siedziały w piekarniku, a pomidory i fasolka dusiły się w rondelkach.

Bułeczki upiekły się na śliczny złoty kolor. Punktualnie o wpół do szóstej kuchenny stół był zastawiony na dwie osoby. Brannon, który przyniósł pieczone skrzydełka z pobliskiej restauracji typu fast food, aż przystanął w progu i zaczął węszyć.

- Coś tu fantastycznie pachnie! Czy to kurczak? - Wskazał palcem przykryte żaroodporne naczynie.

- Tak. Dodałam rozmarynu - odpowiedziała trochę nieśmiało. - Przykro mi, bo widzę, że się zdublowaliśmy z tym kurczakiem...

- I upiekłaś bułeczki! - Odstawił kartonowy kubek ze skrzydełkami i podszedł do stołu, by przyjrzeć się lepiej, co przygotowała. - Uwielbiam domowe bułeczki, ale nie jadłem ich od dwóch lat.

Czasem zachodzę do takiej jednej kawiarni na śniadanie, bo dają tam rogaliki podobne do tych, które piekłaś co rano.

Posmutniała, gdyż to przypomniało jej o tych cudownych dniach, gdy byli ze sobą i Brannon powtarzał, że muszą zamieszkać razem, żeby miał każdego ranka świeżutkie pieczywo.

- Przepraszam, to była głupia uwaga - zreflektował się. - Nie chciałem przypominać ci o niczym nieprzyjemnym.

- To nie były do końca nieprzyjemne wspomnienia - odparła. - Siadaj i częstuj się, nim wszystko wystygnie.

Marc najpierw odsunął krzesło dla niej, potem sam zajął miejsce za stołem. Zauważył, że ledwie skubnęła kurczaka.

- Nie jesteś głodna?

- Nie. Ciągle tak mi jakoś słabo i niedobrze. Mam nadzieję, że bułki dadzą się zjeść, chociaż nie wyglądają najlepiej. Musiałam je uformować jedną ręką.

- Są przepyszne - zapewnił. Uśmiechnęła się.

- Bardzo się cieszę. Pamiętam, że prawie nie

jadałeś regularnych posiłków, tylko coś w siebie wrzucałeś na szybko, ponieważ goniły cię obowiązki.

- Taka praca. Nie wiem, kiedy ostatni raz jadłem porządny obiad. - Z wyraźną rozkoszą wbił zęby w kawałek świeżo upieczonego kurczaka.

- Jesteś szczęśliwy, że wróciłeś do Straży? zagadnęła.

- Tak. Kocham tę robotę, więc pewnie zostanę w niej do emerytury, chociaż na dobrą sprawę nie muszę. Mam dobrze prosperujące ranczo, zainwestowałem w bydło i maszyny, a resztę w akcje i dobrze na tym wyszedłem. Na tyle dobrze, że mógłbym przestać pracować w dowolnym momencie.

- Już widzę, jak siedzisz z założonymi rękami i patrzysz, jak inni pracują.

- Trafiałaś w sedno - skwitował. - Hej, przynajmniej posiedź trochę i napij się jeszcze zaoponował, gdy zaczęła podnosić się od stołu. I ani mi się waży myśleć o zmywaniu, ja to zrobię. Aha, jutro moja kolej na gotowanie, więc nawet nie próbuj tykać kuchenki.

- A umiesz gotować?

- Żaden ze mnie szef kuchni, ale potrafię

przyrządzić rewelacyjne klopsy.

- Uwielbiam klopsy!

Posłał jej wymowne spojrzenie.

- Tylko dwa razy dałaś się zaprosić do restauracji, w jednej mieli w menu właśnie klopsy, pamiętam doskonale, że jadłaś i uszy ci się trzęsły. I lubisz też naleśniki z francuskiego ciasta, i placek z brzoskwiniami, i koktajle czekoladowe - wyliczał z uśmiechem. Nagle spoważniał. - Chciałbym, żeby dało się cofnąć czas. Popełniłem wiele błędów i nie wydaje mi się, żebym zdołał je kiedykolwiek naprawić. Odwróciła wzrok.

- Zostawmy przeszłość w spokoju. Czy dowiedziałeś się czegoś o Yorku?

Powtórzył jej rozmowę z zastępcą szeryfa, nie kryjąc, że widzieli Yorka dzień wcześniej, kiedy udawał pastora na pogrzebie Jenningsa.

- A ja sądziłam, że jest świeżo wyświęcony i dlatego taki niepewny siebie! - wykrzyknęła. - Ale co on tam w ogóle robił?

- Prawdopodobnie przyglądał się następnej ofierze.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zrobiło jej się ciężko na sercu.

- Czyli to on zabił Dale'a?

- Nie mam pewności, lecz nie da się tego wykluczyć. Pytanie, co łączyło Jenningsa z Yorkiem? I z Marshem? Czy razem szantażowali kogoś? A może byli w zмовie z kimś innym? cały czas nie mamy odpowiedzi na bardzo wiele pytań.

- Wiem. Przynajmniej York nikogo teraz nie skrzywdzi, skoro został zaaresztowany.

- To niewielka pociecha. Ten ktoś, kogo szukamy, jest naprawdę zdeterminowany, bo ma wiele do stracenia, więc jest gotów zabić tyle osób, ile tylko będzie konieczne, żeby jego sekret się nie wydał. - Urwał i popatrzył na nią uważniej. - Chyba za dużo się napracowałaś, powinnaś się położyć.

- Rzeczywiście trochę kręci mi się w głowie - przyznała, uświadamiając sobie poniewczasie, że nie postąpiła zbyt rozsądnie, skacząc przy kuchni. - Ale jutro na pewno będzie lepiej.

- Hm... - mruknął powątpiewającym tonem,

Josette wróciła do pokoju gościnnego i ciężko usiadła na łóżku, ponieważ nogi ugięły się pod nią. Zaraz potem zjawił się Brannon i rzucił jej nowiutką górę od piżamy.

- Nigdy nie używam piżamy, ale mam jedną na wypadek, gdyby ktoś strzelał szybciej ode mnie i musiałbym iść do szpitala. - Kiedy się zarumieniła, dodał: - Podczas twojego pobytu tutaj, będę chodził w spodniach od niej, góra jest dla ciebie. Jutro pojedę do hotelu i zabiorę trochę twoich rzeczy. Powiem też, żeby nadal trzymali twój pokój dla ciebie.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. A teraz postaraj się odpocząć.
Dobranoc.

Ledwie przebrała się w sięgającą jej prawic do kolan górę od piżamy, padła na łóżko i zasnęła, lecz obudziła się w środku nocy, półprzytomna z gorączki, przestraszona. Zawołała Brannona, a on usłyszał to słabe wołanie i zjawił się niemal natychmiast.

- Tak mi gorąco... - wyszeptała chrapliwie, gdyż zupełnie zaschło jej w gardle.

Zapalił lampkę nocną, przysiadł na łóżku, położył dłoń na czole Josette, wstał, przyniósł wilgotny ręcznik,

obmył jej twarz i ręce, potem przyniósł sok oraz lek przeciwwgorączkowy, podtrzymał Josette, by mogła się napić i wziąć tabletki. Ponieważ nie chciał zostawiać jej samej w takim stanie, wsunął się pod kołdrę. Josette trzęsła się z gorączki, więc przytulił ją mocno.

- Och, Marc... - odezwała się, nie bardzo wiedząc, co mówi. - Czemu odszedłeś?

Zacisnął zęby aż do bólu, gdy ona na nowo przeżywała tamten wieczór, który ich rozdzielił. Szlochała i dygotała, aż wreszcie lek zadziałał, zasnęła, cała zapłakana.

Kiedy się obudziła, Brannon już był na nocach, ubrany i ogolony. Nawet nie wiedziała, że czuwał przy niej przez całą noc. Niestety, poranek nie przyniósł poprawy, gdyż gorączka wróciła, a ramię bolało, niezależnie od tego, jaką pozycję Josette próbowała przyjąć. Marc został w domu, by się nią opiekować, niestrudzenie obmywał jej twarz i dłonie wilgotnym ręcznikiem, podawał lekarstwa, a wreszcie wyciągnął się obok niej na kołdrze, przygarnął Josette do siebie i ponownie dał się jej wyplakać. Czuła się tak źle, że bez oporów użyła go jako poduszki, w którą wylała całe

wiadro łez. Trochę pomogło.

- Pewnie też byłeś kiedyś postrzelony - ode zwała się, gdy ból odrobinę zelżał.

- Dwa razy. Raz w nogę, raz w ramię.

- Kto się tobą zajmował? Chwila ciszy.

- Sam się sobą zajmowałem.

- Gretchen wiedziała o tym?

- Nigdy nie mówię mojej siostrze tego, co może ją zasmucić. Przeszła wystarczająco dużo kiedy opiekowała się naszą mamą, umierającą na raka. Tylko dlatego udało mi się ją potem namówić na wakacje za granicą, dzięki którym miała trochę dojść do siebie. No i wtedy poznała Philippe'a..

- Zawsze lubiłam Gretchen - rzekła Josette.

- Ona też cię zawsze lubiła. Znowu milczeli przez chwilę.

- Jak się miewa nasz płatny zabójca? - spytała sennym głosem.

Zaśmiał się cicho.

- Siedzi pod kluczem, a Grier się nad nim znęca. Najgorszemu wrogowi bym nie życzy takiego przesłuchania.

- Grier... Ciągle go jeszcze nie spotkałam.

- Niewiele straciłaś. To jeden z tych, co to mają odznakę przyszytą nawet do gaci, a do tego jeszcze wytatuowaną na tyłku.

- Ale nie odznakę Strażnika... - wymamrotała półprzytomnie. - Jutro będzie mi lepiej zobaczysz...

Pogładził jej splątane włosy. Była ciepła i bezbronna, a on, trzymając ją w ramionach, czuł ogarniający go spokój. Dziwne, przy nikim innym nie miał podobnego wrażenia. Mógłby tak leżeć i leżeć, tuląc ją do siebie, lecz nie zamierzał jej się do tego przyznawać, podobnie jak nie zamierzał zdradzać, co mówiła mu w gorączce poprzedniej nocy.

- Postaraj się zasnąć - powiedział cicho. Ponieważ próbował się odsunąć, zacisnęła palce na jego koszuli, gdyż była zbyt słaba i obolała, by udawać, że równie dobrze może zostać sama.

- Nie odchódź - wyszeptała.

Został więc, a ona zaraz zasnęła ufnie w objęciach Brannona, więc spędził kolejną noc przy Josette, walcząc z pragnieniem, które w ciągu długich dwóch lat nie zmniejszyło się ani odrobinę, kiedy zaczęło świtać, wstał

ostrożnie, nie budząc jej i wrócił do swojego pokoju, gdyż zgadywał, że ona na razie nie powinna o niczym wiedzieć. Ani o tym, że był przy niej, ani o słowach, które jej się wyrwały, ani o tym, jak przez sen pieściła jego tors.

Tego ranka Josette wstała wcześniej od Brannona, ubrała się i zaczęła robić śniadanie. Wszystko było gotowe, gdy pan domu wyszedł ze swojej sypialni tylko w dżinsach, ziewając. Na widok Josette zamarł.

- Hej, miałaś zostać w łóżku!

Dokonała niemal nadludzkiego wysiłku, starając się na niego nie gapić i nie pożerać go wzrokiem. Widok szerokiej nagiej piersi przypomniawszy jej tamten wieczór, gdy miała go dla siebie, mogła go dotykać, smakować... Spłonęła się i odwróciła wzrok.

- Już mi dużo lepiej - zapewniła. - Ręka nadal mnie boli, ale z tym da się jakoś wytrzymać. Najważniejsze, że nie mam gorączki.

- Na pewno? - Podszedł i przyłożył dłoń do jej policzka.

Serce Josette stanęło na moment, potem podrywało się do galopu, zaś Brannon od razu zauważył, jak

żyłka na jej szyi zaczyna szaleńczo pulsować. Rozsunął palce i przejechał kciukiem po nagle nabrzmiąłych wargach Josette. W kuchni zapanowała napięta cisza, którą przerwał dopiero odgłos skwierczenia.

- Bekon! - wydusiła z siebie Josette.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, po czym Brannon zabrał rękę, cofnął się i usiadł za stołem, a półprzytomna z wrażenia Josette drżącymi rękami zestawiała patelnię z ognia, zsunęła usmażony bekon na talerz i postawiła go na stole obok miski z jajecznicą oraz deski ze świeżo upieczonymi bulkami. Nalala kawę do kubków.

- Idę dzisiaj do pracy - zakomunikowała wciąż jeszcze zmienionym głosem.

- Wykluczone.

- Nie płacą mi za wylegiwanie się w łóżku.

- Masz prawo do zwolnienia lekarskiego tak samo jak każdy inny pracownik - stwierdził, smarując bułkę masłem. - Założę się, że odkąd pracujesz u Simona, nie wzięłaś ani jednego wolnego dnia.

- Bo nie było takiej potrzeby. Nie choruję.

- Ja też nie, ale rana postrzałowa to co innego. -

Niecierpliwie odebrał jej bułkę, którą próbowała posmarować, posługując się jedną ręką i zrobił to za nią.

Z buntowniczą miną wzięła od niego posmarowane pieczywo.

- Niech ci będzie, zostanę w łóżku. Ale już tylko ten jeden dzień.

- Zobaczymy...

Brannon jadł śniadanie, obserwując z lekkim i rozbawieniem, jak ona usilnie stara się nie patrzeć na jego obnażony tors.

- Ty też możesz zdjąć górę - zaproponował w pewnym momencie. - Moglibyśmy porównać nasze rany.

- Ty już moją widziałeś - ucięła, starając się ukryć swoją prawdziwą reakcję na tę sugestię.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Widziałem dużo więcej...

- Dosyć tego, Brannon!

- Rozumiem - rzekł ze smutkiem. - Nie czy znamy się na tyle, żebyś mówiła mi po imieniu, tak?

Dość głośno odstawiła kubek, przytknęła serwetkę do ust.

- Skoro nie mogę wyjść, wracam do łóżka.

Wstała, lecz Brannon błyskawicznie zastąpił jej drogę. Ujął w dłonie twarz Josette.

- Przestań to w sobie tłamsić - zażądał. - Ciągłe masz do mnie żal, że wtedy odszedłem bez słowa.

Odniosła wrażenie, że topnieje pod dotykiem tych mocnych, ciepłych rąk.

- Cóż, pewne wspomnienia są żywsze niż pozostałe - przyznała.

- Zeznawałem jako świadek na procesie o próbę gwałtu i moje zeznania przyczyniły się do oczyszczenia oskarżonego z podejrzeń - ciągnął twardo, postanawiając wreszcie postawić sprawę zupełnie jasno. - Czy rozumiesz, jak się czułem, gdy tamta ostatnia randka otworzyła mi oczy i dotarło do mnie, że to ty mówiłaś prawdę?

- Zostawmy, to było tak dawno...

- Nie, Josie. Popełniłem straszliwy błąd, w wyniku którego zamiast spotkać się ze współczuciem, spotkałaś się z potępieniem. To cię zraniło, a takie rany goją się znacznie wolniej niż ta na ramieniu. Ciągłe je nosisz, ciągle są otwarte.

Spuściła wzrok, utkwiała spojrzenie w jego torsie,

lecz tym razem nawet nie była świadoma, na co patrzy.

- Mogę z nimi żyć.

- Ale ja nie mogę! - Jego szare oczy błysnęły. - Nie mogę ich znieść! Ubierasz się jak stara panna lub wdowa, z nikim się nie umawiasz, wiem od Simona, że mrozisz mężczyzn wzrokiem, gdy choćby spróbują się do ciebie uśmiechnąć. Na terapię chodziłaś bardzo krótko, ponieważ twój ojciec wolał wierzyć w siłę modlitwy niż w możliwości psychologii, jakby jedno z drugim się kłóciło. W rezultacie masz dwadzieścia cztery lata i jesteś równie aseksualna jak ten stół. A to wszystko moja wina. Moja!

Zacisnęła powieki. Chciałaby wreszcie przestać myśleć o przeszłości, lecz ona zbyt mocno wiązała się z terażniejszością, więc Josette w żaden sposób nie udawało się wyrwać z tego kręgu.

- Nie potrafiłem sobie z tym poradzić, więc rzuciłem pracę w Straży i uciekłem z Teksasu.

- Myślałam, że może nie byłeś w stanie znieść mojego widoku po tym, jak rzuciłam podejrzenia na twojego przyjaciela, a on miał przez to poważne kłopoty.

- Boże drogi... - Objął ją i przytulił do siebie

ostrożnie, uważając na jej ramię. - Wiecznie ludzie mają w różnych kwestiach inne zdanie niż ja, ale nie rzucam przez to pracy. Wyjechałem, ponieważ zrozumiałem, jak bardzo się pomyliłem co do ciebie. Chociaż chodziliśmy ze sobą, ciągle miałem wątpliwości - wyznał cicho, gładząc ją po włosach. - Bo jeśli byłaś dziewczyną, która potrafi oskarżyć niewinnego człowieka o gwałt... Nie umiałem ci zaufać. Zaśmiała się niewesoło.

- A kiedyś myślałeś, że może zostaniesz obrońcą. Ładnie byś się dogadywał z klientami!

- Zdecydowanie wysunęła się z jego objęć.

- Nie mam powodu, by ufać ludziom. Są mili zazwyczaj tylko wtedy, kiedy czegoś chcą, a ponieważ ty byłaś dobra i pełna życzliwości, chociaż wcześniej zostałaś skrzywdzona, tym bardziej wydawało mi się to udawane. Popełniłem błąd, będąc zanadto ostrożny. A potem, tamtego ostatniego wieczoru, zupełnie straciłem głowę. - Zacisnął powieki.

- Kiedy cię zostawiłem pod domem twoich rodziców, jeździłem przez kilka godzin po całym mieście, starając się uporać z tym, co się stało. Cały czas przypominałem sobie tę rozprawę, widziałem cię, jak

siedzisz wyprostowana, z uniesioną głową, słuchając wyroku uniewinniającego dla napastnika. Nie uroniłaś ani jednej łzy, wyszłaś z taką godnością, jakbyś to ty zwyciężyła, jakby racja była po twojej stronie. I była! Przyłożyłem rękę do twojej krzywdy i nie potrafiłem sobie z tym poradzić.

Popatrzyła na niego bez cienia uśmiechu.

- Cóż, znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady, Brannon. I tak już zostanie stwierdziła. - Nie ufasz ludziom. Ja też im nie ufam Już nie.

- Przynajmniej zostałaś zrehabilitowana, gdy ten chłopak napadł dziewczynę w Wiktorii, a potem zginął w pościgu.

Wzruszyła zdrowym ramieniem.

- To już bez znaczenia. Mam dobrą pracę, sympatycznych współpracowników i w perspektywie zrobienie kariery zawodowej.

- A co z rodziną? Z dziećmi? Odwróciła się do niego plecami.

- Nie chcę wychodzić za mąż - rzuciła gdzieś w przestrzeń.

Naraz zrozumiał, czemu Josette wyrzekła się

posiadania rodziny - również przez niego. Po swoich bolesnych doświadczeniach nie była w stanie umawiać się z nikim i doznawać żadnych intymnych przeżyć, ale z nim się spotykała i pewnej nocy postanowiła mu się oddać, co mogło oznaczać tylko jedno. Kochała go. A on, zszokowany swoim odkryciem, odtrącił ją brutalnie. Nic dziwnego, że po czymś takim zraziła się do mężczyzn na dobre.

Sposępniał jeszcze bardziej, wsadził ręce w kieszenie spodni.

- Mogliśmy sobie wiele zaoszczędzić, gdyby podczas tamtej ostatniej randki któreś z nas szczerze powiedziało, co czuje.

Obróciła się ponownie i spojrzała mu w oczy.

- Powiem ci teraz. Czułam ogromny wstyd.

- Dopiero wtedy, kiedy przestałem.

Zaczerwieniła się aż po nasadę włosów i wypadła z kuchni. Brannon podążył za nią, dogonił ją w sypialni.

- Nie mam siły na podobne dyskusje! - wybuchnęła. - Jestem ranna. Proszę, zostaw mnie w spokoju.

Zauważył podejrzaną wilgoć na jej rzęsach.

Podszedł bliżej.

- Nie, tym razem żadnych uników. Już nigdy więcej.

Uniosła ręce obronnym gestem, na moment zapominając o przestrzelonym ramieniu, które natychmiast przypomniało o sobie przeszywającym bólem. Josette aż jęknęła.

- Ty głuptasie - skwitował Marc, delikatnie przytulając ją do swej nagiej piersi. - Musisz na siebie bardziej uważać.

- Przestali! Nie chcę, żebyś mnie obejmował.

- Tak? To dziwne, bo przecież ostatnie dwie noce spędziłaś w moich ramionach.

- Co takiego?! - wykrzyknęła.

- Gdybym to ja został ranny i majaczył w gorączce, spałabyś sobie smacznie w drugim pokoju, zostawiając mnie samego?

- Oczywiście, że nie - odparła bez zastanowienia.

- No widzisz.

- Ale w moim przypadku nie byłoby w tym nic osobistego - zastrzegła się.

- W moim też nie było. Prawie.

- Prawie?

Odgarnął Josette włosy z policzka, potem lekko przesunął palcami po jej szyi, od czego przebiegł ją dreszcz.

- Trudno zachować zupełną obojętność, gdy pewna część ciała robi się twarda jak stal.

Ciemne oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Nie wierzyła własnym uszom.

- Przyjąłem to jako pokutę - ciągnął, rozbawiony jej zszokowanym wyrazem twarzy.

Jako słuszną karę. Gładziłaś mój tors, całowałaś i powtarzałaś, jak bardzo mnie pragniesz. Jestem tylko człowiekiem, Josie.

- Nigdy! - zawołała, wzburzona do głębi. Ja bym nigdy...!

Pytająco uniósł brew, potem zaś uśmiechnął się powoli, przez co wyglądał jeszcze bardziej zabójczo niż zazwyczaj.

- To prawda, nie zrobiłaś tego - przyznał. - Ale cały czas sobie wyobrażałem, jak byłoby miło, gdyby tak się stało. Trudno się dziwić, w końcu od bardzo dawna nie byłem z kobietą, więc po takim poście mam prawo

silnie reagować.

Wyczytał w piwnych oczach pytanie, którego nie śmiała zadać. Leciutko przesunął wargami po jej ustach.

- Od dwóch lat - wyszeptał. - Nie tknąłem kobiety od tamtej nocy, kiedy przez ciebie zupełnie straciłem głowę.

Kiedy próbowała pozbierać myśli, prawa dłoń Brannona wślizgnęła się pod jej bluzkę, odnalazła nagą pierś, pogłaskała. Marc dalej zachęcał Josette słodkimi, uwodzicielskimi pocałunkami, by uległa, a kiedy rozchyliła usta, poddając się, chwycił dwoma palcami stwardniały sutek i zaczął go pieścić. Zaskoczona, wyprężyła się i jęknęła cichutko.

- Tak - szepnął Brannon i pocałował ją, tym razem chciwie.

Jednocześnie rozpinał guziki jej bluzki, a gdy skończył, odsunął się nieco i odsłonił jędrne, śliczne piersi o stojących ciemnych sutkach. Josette aż zadrżała z pragnienia, a Marc ujął ją obiema dłońmi w talii.

- To jeszcze piękniejsze niż w moich snach. Nachylił głowę. Kiedy Josette poczuła dotyk ust na swojej piersi, drgnęła gwałtownie.

- Nie ugryzę cię - szepnął. - Chcę tylko spróbować, jak smakujesz.

Jej oddech stał się szybszy, głośniejszy. Brannon przesunął językiem po stwardniałym sutku, a wtedy Josette wygięła się do tyłu, drżąc, zacisnęła palce na gęstych, falujących włosach Marca. Poczowała, jak jedna z jego dłoni wędruje ku zapięciu jej spodni, więc chwyciła ją mocno, odciągnęła na bok. Westchnął z żalem, lecz nie nalegał. Uniósł głowę i przytulił do siebie półnągą Josette.

- Zgaduję, że nie poszłaś na ten drobny zabieg chirurgiczny?

Próbowała dojść do siebie, choć nie było to łatwe, gdyż doskonale czuła przez ubranie, jak bardzo był podniecony. Oczy mu płonęły, pulsująca żyłka na szyi zdradzała, że serce biło mu jak szalone.

- Mówiłam ci już kiedyś... - zaczęła, a głos drżał jej wyraźnie - ...że nikogo nie miałam. To jest aktualne. Tak, wiem, wyznaję średniowieczne poglądy - zakpiła, bezskutecznie starając się odsunąć.

- Nie musisz przecież przeproszać za to, że jesteś czysta - rzekł cicho. - Ja to bardzo szanuję.

Zerknęła na swoje nagie piersi przyciśnięte do jego torsu.

- Właśnie widać. Uśmiechnął się.

- To gra wstępna, nic w tym zdrożnego. Nie bacząc na ból w ramieniu, oparła obie dłonie na torsie Brannona, pchnęła.

- Puść mnie!

Uczył to, choć z widocznym ociąganiem, po raz ostatni popatrzył na jej obnażone piersi i zapiął jej bluzkę.

- Masz najpiękniejszy biust, jaki w życiu widziałem.

- Zabraniam ci mówić takie rzeczy.

- Za to ja pozwalam ci mówić mi coś podobnego przez cały czas.

- Przecież ty nie masz biustu!

- Za to mam co innego, co mogłabyś skomplementować.

Aż go trzepnęła zdrową ręką po torsie.

- Przestań!

Wcale się tym nie przejął, roześmiał się tylko, ostrożnie wziął Josette na ręce, położył na łóżku, nachylił

się nad nią.

- Mogłabyś zapytać, czemu przez całe dwa lata ani razu się nie kochałem.

- Czy to ma związek z jakąś wstydliwą chorobą?

- Nie. - Uśmiechnął się.

Spojrzenie Josette powędrowało ku jego ustom, bardzo męskim, zdolnym doprowadzić kobietę do...

- Nie powinnaś mnie kusić, kiedy leżysz na wznak i aż się prosisz. — Pocałował ją z czułością, po czym wstał szybko i odsunął się od łóżka. - Odpocznij. Ja wychodzę na trochę, ale wrócę, zanim zdążysz się stęsknić. Zamknę drzwi na zasuwę, masz nikomu nie otwierać pod żadnym pozorem, jasne? Jasne.

Już był w progu, kiedy gwałtownie usiadła na łóżku.

- Marc? - spytała bez tchu.

Odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

- Czemu przez te dwa lata z nikim się nie Kochałeś?

- Myślę, że wiesz.

I zostawił ją z tą zagadkową odpowiedzią, nad którą potem głowiła się bezskutecznie, aż zapadła w sen.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wrócił, przynosząc jej z hotelu trochę ubrań oraz pełną dokumentację sprawy. Zachowywał się tak, jakby nie zaszło między nimi nic, nieprofesjonalnego. Był bardzo miły i uprzejmy, ale wyraźnie trzymał się na dystans, więc Josette zaczęła się zastanawiać, czy nie żałował teraz tamtych kilku intymnych chwil, lecz nawet nie miała okazji go o to zapytać, ponieważ znowu wyszedł.

Kiedy zjawił się w domu po całym dniu pracy, zastał Josie rozmawiającą przez telefon komórkowy. Siedziała na łóżku, dookoła siebie miała porozkładane kopie dokumentów oraz kartki pełne odręcznie zapisanych notatek. Już nie nosiła rozpuszczonych włosów, znowu spięła je w grzeczny kok, do tego przebrała się w szare spodnie od dresu oraz za duży sweter z golfem.

Zerknęła na Brannona, nie przerywając rozmowy, i zdziwiła się na widok wyrazu jego twarzy. Zaciśnął wargi, odwrócił się i znikł w kuchni. Kiedy Josette skończyła rozmawiać, przyszła do niego, właśnie robił

dla nich kanapki.

- Chcesz z szynką i żółtym serem? A może z salami? - spytał, nie poświęcając jej nawet jednego spojrzenia.

- Tuż przed twoim powrotem zrobiłam sobie sałatkę, to mi zazwyczaj wystarcza na kolację. Za to śniadania jadam porządne.

Bez słowa skinął głową, wyjął z lodówki słoik majonezu.

- Postanowiłam popchnąć parę rzeczy do przodu - poinformowała. - FBI oddało Phila, więc zadzwoniłam do niego, wyjaśniłam sprawę, powiedziałam, żeby przyjrzał się dokładnie Sandrze Gates i jej poczynaniom. Potem zadzwoniłam do prokuratury okręgowej, zdałam sprawę z dotychczasowego przebiegu śledztwa, poprosiłam o dodatkową pomoc, więc ich spec od przestępstw komputerowych skontaktuje się z Philem. Rozumiem, że chodzi o Griera.

Znowu bez słowa skinął głową.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - spytała z irytacją.

Skończył robić kanapki i pochował wszystko do

szafek, nim na nią spojrział. Twardo.

- Próbujesz dać mi w ten sposób coś do zrozumienia? - Wskazał jej ubranie.

Zdumiała się.

- Chyba nie bardzo pojmuję...

- Wyglądasz prawie jak żebraczka. Nie dałoby się ubrać bardziej asekualnie.

- A czego oczekiwałeś? - zdenerwowała się.

- Że będę na ciebie czekać w przejrzystym negliżu? Może jeszcze w dodatku z wywieszonym językiem?

Szare oczy zwęziły się.

- Nie. To ostatnia rzecz, jakiej bym się po tobie spodziewał.

- O co ci więc chodzi?

- Nie możesz zapomnieć przeszłości, prawda? - spytał ze znużeniem. - Dlatego boisz się mnie do czegokolwiek zachęcić, nawet nie rozpuściłaś włosów.

Wbiła wzrok w trzymane w rękę notatki i dopiero po dłuższej chwili odważyła się ponownie podnieść wzrok na Brannon, lecz nadal nie odpowiadała. W jej oczach widniała udręka.

- Cały czas widzisz we mnie mężczyznę, który cię zostawił bez słowa. Nie masz do mnie zaufania.

- To prawda - przyznała z ociąganiem.

- W ogóle niełatwo mi obdarzyć kogoś zaufaniem, ale nie tylko o nie tu chodzi. Pragniesz mnie, lecz na tym koniec, nigdy nic więcej z twojej strony nie było i nie będzie, bo ty nie potrzebujesz kobiety w swoim życiu, świetnie sam sobie radzisz, jesteś urodzonym samotnikiem. - Wzruszyła prawym ramieniem. - Ja zresztą też. Lubię mieć dom dla siebie, przed nikim się nie opowiadać. Przywykłam do tego i nie chcę... Nie chcę niczego zmieniać.

- Co ty w ogóle o mnie wiesz?

Nie bardzo rozumiała, skąd przyszło mu do głowy to dziwne pytanie.

- Dużo. Urodziłeś się w Jacobsville, zostałeś policjantem, od dwudziestego szóstego roku życia pracujesz w Straży Teksasu, z dwuletnią przerwą, kiedy to byłeś w FBI. Masz trzydzieści trzy lata, ranczo, siostrę, która wyszła za głowę obcego państwa.

- W porządku, znasz fakty biograficzne. Zaczął sobie robić kawę. - Ale jaką muzykę lubię? Co czytam

dla przyjemności? Co sprawia mi największą radość? Jak chciałbym spędzić resztę życia?

Znała odpowiedzi na te pytania, lecz nie zdradziła się z tym, gdyż rozmowa zbaczała na niebezpieczne tory, a Josette nie zamierzała narażać się na ponowne odrzucenie ze strony Brannona.

- Nie wiem - rzekła sucho.

- Właśnie. I wcale nie chcesz wiedzieć. Raz się zdradziłem i nie możesz mi tego zapomnieć.

- Dwa - odpała. - Zdradziłeś mnie dwa razy i nie mogę tego zapomnieć.

Uniósł brwi.

- Dwa?

- A od kogo podczas procesu Dale'a oskarżyciel dowiedział się o tamtej sprawie sprzed dziewięciu lat, dzięki czemu wdeptał mnie w ziemię?

- Nie ode mnie, to Bib sobie o niej przypomniał. Przysięgam.

- Ale nie miałby sobie czego przypominać, gdyby wcześniej nie usłyszał tej historii. A od kogo ją usłyszał, jeśli nie od ciebie? - naciskała.

Nie mógł zaprzeczyć.

- Przyznaję, kiedyś opowiedziałem mu o tobie, lecz przecież nie w zamiarze zaszkodzenia ci! Po rozprawie wyjaśniłem Bibowi, że tak naprawdę to ty zostałeś wtedy pokrzywdzona i obaj żalowaliśmy tego, co się stało, lecz było już za późno, żeby cokolwiek naprawić.

Właśnie. Było za późno, żeby cokolwiek naprawić. Jego słowa na nowo otwierały rany, które już - jak sądziła - zaczęły się zasklepiać. Ona nie mogła zapomnieć oskarżeń pod swoim adresem. On nie potrafił zapomnieć oskarżeń pod adresem przyjaciela. Nigdy nie zdołają uwolnić się od przeszłości.

- To już bez znaczenia. - Odwróciła się. - Poprzestańmy na byciu współpracownikami i nie komplikujmy sytuacji. Nie jestem ci potrzebna jako kobieta, bo pewnie możesz mieć ich tyle, ile chcesz.

Usłyszała za plecami głuchy odgłos, jakby Marc walnął pięścią w stół, ale nie odwróciła się, tylko poszła do sypialni, gdzie odłożyła notatki, sięgnęła po telefon i skupiła się na tym, co miała do zrobienia.

I w ten sposób znów stali się wrogami. Starali się być dla siebie uprzejmi i na tym poprzestawali.

Następnego ranka Josette pomimo wciąż bolącego ramienia poszła do pracy, wróciła też do hotelu, dość sztywno podziękowawszy Brannonowi za opiekę, które to podziękowania zignorował.

Przez następne dwa dni próbowała dodzwonić się do pani Jennings, gdyż poinformowano ją, że starsza pani ma już telefon. Niestety, przez cały czas nikt nie odbierał, co gorsza, nie dawało się skontaktować również z człowiekiem przydzielonym jej do ochrony, więc w końcu Josette wsiadła w wypożyczony samochód i pojechała w kierunku Elmendorfu, nie uprzedzając zresztą o tym Brannona, ponieważ pomyślała, że może matka Dale'a okaże się bardziej chętna do zwierzeń, jeśli spotkają się tylko we dwie.

Nikt nie otwierał, choć Josette pukała kilkakrotnie. Udała się do sąsiadki, która na szczęście była w domu.

- Nie, nie widziałam jej od przedwczoraj - odpowiedziała pani Danton na pytanie Josette.

- To wiem, bo akurat miała gości, więc zapamiętałam. I to jakich gości! Mężczyzna i kobieta, bardzo ładnie ubrani, przyjechali wielkim czarnym

samochodem. Kobieta miała piękny kapelusz z woalką, sama bym taki chciała Zawsze do kościoła chodziłam w kapeluszu..

- Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Josette zaczęła mieć złe przeczucia.

- Długo u niej byli?

- Niedługo, tak z godzinkę. To pewnie krew ni, bo dała im jakieś swoje rzeczy.

- Jakie rzeczy? Widziała pani?

- Tak, bo nieśli je w rękach. Jedno to było takie nieduże drewniane pudełko, a drugie to książka. Może Biblia? Mężczyzna trzymał też papierosa, ale wcale się nie zaciągał. Rzucił go na chodnik i przydeptał, zobaczyłam wtedy jakie eleganckie miał lakierki. Białe - czarne, jak z filmu. Zawsze bardzo lubiłam ładnie ubranych mężczyzn.

Josette zaniepokoiła się jeszcze bardziej Wróciła przed frontowe drzwi mieszkania pani Jennings i faktycznie zobaczyła na chodniku niedopałek, który za pomocą długopisu ostrożnie zawinęła w chusteczkę, a tę schowała do aktówki. Aktówkę wraz z torebką zamknęła w samochodzie, zabrała tylko telefon komórkowy, po

czym znowu znalazła się pod zamkniętym domem. Towarzyszyła jej zaintrygowana pani Danton.

Próbowały zajrzeć do salonu, lecz uniemożliwiły im to zaciągnięte zasłony. Obeszły budynek z boku, ale żaluzje w pokoju były opuszczone. Zaszły dom od tyłu, przez tylne drzwi zdołały zobaczyć kuchnię, nikogo w niej jednak nie było. Nie paliły się też światła. Tym niemniej Josette już знаła odpowiedź przynajmniej na jedno ze swoich pytań, ponieważ szyba w kuchennym oknie została wybita i dało się wyczuć płynący z głębi mieszkania charakterystyczny zapach.

Wyjęła z kieszeni żakietu telefon komórkowy, zadzwoniła na policję, prosząc o przysłanie ekipy śledczej oraz stosownej karetki, potem próbowała skontaktować się z Brannonem, nie zastała go w komendanturze, lecz obiecano jej przekazać mu wiadomość jak najszybciej. Nie wdając się w szczegóły, poprosiła, by natychmiast przyjechał do Pioneer Village.

- Myśli pani, że coś jej się stało, tak? - spytała ze smutkiem pani Danton. - Cóż, taki już los nas starych i bezradnych. Człowiek się przewróci i nie może wstać, a potem go znajdują...

- Niech pani wraca do siebie - poradziła łagodnie Josette. - Dziękuję za pomoc, dalej zajmiemy się tym sami.

Staruszka oddaliła się, zaś Josette poczekała na przyjazd policji. Gdy tylko się zjawili, podeszła od razu do młodego zastępcy szeryfa i przedstawiła się.

- Z okna czuć charakterystyczny odór - poinformowała bez bawienia się w subtelności. - Lokatorka najprawdopodobniej nie żyje, a jeśli tak, to nie zmarła z przyczyn naturalnych. Została zamordowana.

- Jest pani tego pewna?

- Absolutnie.

Musieli wyważyć drzwi, a gdy to zrobili, zaduch niemalże zwałił ich z nóg, ponieważ było wyjątkowo gorąco jak na tę porę roku, zaś w mieszkaniu nie zainstalowano klimatyzacji. Pani Jennings leżała na wznak na chodniku w korytarzu. Oczy miała szeroko otwarte, usta również, na jej chudych ramionach i nogach widniały okrągłe ślady po przypalaniu. Inny okrągły ślad pozostał na bawełnianym szlafroku - na wysokości lewej piersi. Broni nie znaleziono, za to znaleziono w zamkniętej szafie skrępowanego i zakneblowanego

ochroniarza. Na szczęście nie był ranny, jego zeznania nie wniosły jednak nic do sprawy, ponieważ został uderzony od tyłu czymś ciężkim i nie widział twarzy napastnika.

Josette usłyszała wizg opon, gdy jakiś samo chód zatrzymał się przed domem, więc wyszła na zewnątrz. Ujrzała, jak Brannon wyskakuje ze swojego dżipa, a zaraz za nim przyjeżdża koroner Alice Jones.

Bawisz się teraz w zabójstwa? - zażartowała Alice na jej widok.

A ty dalej kroisz ludzi? Uściskały się serdecznie.

Muszę mieć za co kupić jedzenie - wyjaśniła ze śmiechem Alice. - Widzę, że Brannon też tu jest. No to zaraz będzie chciał, żebym przy wszystkich wsadziła denatce termometr w...

Jones, daruj sobie, dobrze?

Żadnego poczucia humoru - skwitowała. Nic dziwnego, że tak długo nie chcą cię zrobić kapitanem.

W moim wieku nie zostaje się kapitanem w Straży - uciał.

Eee, wykryły. Weszli do środka. Mieszkanie wyglądało, jakby przeszło przez nie potężne tornado.

Meble zostały wybebeszone, przedmioty porzucane. Ciało pani Jennings leżało pod prześcieradłem, które ktoś przyniósł z sypialni, wystawały spod niego kapcie. Ten widok był przejmująco smutny, chociaż Josette starała się pocieszać myślą, że być może pani Jennings w lepszym świecie spotkała się z synem, którego tak bardzo kochała.

Brannon, Josette oraz zastępca szeryfa stali przed domem, trzymając z dala od pracujących techników rosnący tłumek ciekawskich, kiedy Alice skończyła oględziny i wyszła na zewnątrz.

- Oczywiście pełny raport dostaniecie dopiero po sekcji, ale z marszu mogę wam powiedzieć, że denatka nie żyje od co najmniej dwudziestu czterech godzin, a przed śmiercią była torturowana.

- Te ślady na rękach i nogach to po przypalaniu papierosem? - spytała Josette.

- Tak.

- Poczekaj, pokażę ci coś. - Poszła do samochodu i po chwili wróciła z zawiniętym w chusteczkę niedopałkiem. Wyjaśniła, skąd go ma.

Alice natychmiast zabezpieczyła dowód.

- Niczego nie gwarantuję, ale jest pewna szansa, że wyciągniemy DNA ze śliny. Trzymajcie kciuki, żeby się udało.

- Trzymamy. Dobra robota, Josie - pochwalił Brannon.

- Po prostu miałam szczęście. Gdyby sąsiadka o tym nie wspomniała, przeoczyłabym ten niedopałek. Zauważyliście markę papierosów? Zupełnie niespotykana.

- Tak, zauważyłem. - Twarz Brannona była zacięta. - Chcę dorwać tych drani. Nie rozumiem, jakim trzeba być człowiekiem, żeby torturować schorowaną starszą kobietę!

- Podobno zabrali z mieszkania książkę, może Biblię, oraz nieduże drewniane pudełko - poinformowała Josette.

- Wiadomość za wiadomością - odparł ponuro. - Wczoraj York ogłuszył pilnującego go strażnika i zbiegł ze szpitala.

- Tylko tego nam brakowało! Zabójca na wolności, a my nie wiemy, kogo upatrzył na kolejną ofiarę! - Spojrzała w kierunku wejścia.

Myślisz, że to jego robota? Pokręcił głową.

- Raczej nie, bo jeśli pani Jennings rzeczywiście zginęła przedwczoraj, mieliśmy go wtedy jeszcze pod kluczem. Zresztą według zeznań pani Danton mężczyzna wyglądał bardzo elegancko, co nie pasuje do Yorka. Za to stylowe białe - czarne lakierki nosi zawsze Jake Marsh...

- A czy ma żonę albo kochankę?

- Podobno ma nawet dwie żony.

- Ta kobieta, która tu przyszła, też była bardzo elegancka. Miała kapelusz z woalką.

- Dużo nam to da... Josette westchnęła.

- Faktycznie, niewiele. Czy ktoś już powiedział biednemu panu Hollimanowi, że jego siostra nie żyje?

- Jeszcze nie. Moim zdaniem my powinniśmy to zrobić, skoro go znamy.

- Zauważyłeś, że wyciągnięto wszystkie szuflady, nawet te najmniejsze i wyrzucono z nich całą zawartość? - spytała, kiedy jechali do Jacka Hollimana.

- Owszem.

- Czyli przedmiot, którego szuka morderca, jest nieduży.

- Dobrze kombinujesz.

- W końcu jestem śledczym - przypomniała z lekkim przekąsem.

- No tak, prawda, to szczyt twoich marzeń i cel twojego życia - rzucił. - Praca w organach ścigania, a potem emerytura.

Zmarszczyła brwi.

- I co w tym złego?

- A dzieci? Przecież bardzo je lubiłaś. Pamiętam, jak czasami chodziliśmy do parku karmić gołębie i przychodzili tam też rodzice z dziećmi, a ty uśmiechałaś się z rozmarzeniem na ich widok.

- Żeby mieć dzieci, trzeba najpierw uprawiać seks.

- Odkąd jesteś taka dosłowna?

- Przecież tylko tak można do ciebie mówić, żebyś zrozumiał - odcięła się i skrzyżowała ramiona.

- Właściwie czemu seks budzi w tobie aż taki opór?

Zadrzała, przypominając sobie te wszystkie szokujące rzeczy, które robił z nią Brannon. Szokujące i cudowne.

- Wiem, że twoi rodzice byli bardzo religijni, ale przecież seks jest ogromnie ważną częścią życia - ciągnął. - To piękne doświadczenie między dwojgiem ludzi, którym na sobie zależy.

- Pod warunkiem, że są małżeństwem. Zaśmiał się cicho.

- Nie znam żadnej innej kobiety, która uparłaby się czekać z tym aż do ślubu.

- A ja nie mam zwyczaju ślepo podążać za większością - skwitowała zimno.

- Naprawdę nie chciałybyś? - nie dawał za wygraną. - Gdyby nie to, że nie poddałaś się drobnemu zabiegowi, mogłabyś kochać się ze mną.

Ze znużeniem odchyliła głowę.

- Tak, a potem ruszyłybyś na nowy podbój. Pragniesz mnie tylko dlatego, że nie możesz mnie mieć.

Roześmiał się.

- To naprawdę zabawne!

- Niby czemu?

Skręcił w boczną drogę, wiodącą do rancza Hollimana i zerknął na Josette.

- Bo dwa lata temu mogłem cię mieć.

- Wcale nie...

- Daruj sobie. To ja się wtedy wycofałem przypomniawszy jej twardo. - Ty błagałaś, żebym nie przestawał.

- Dosyć! - jęknęła przez zaciśnięte zęby.

- Czemu tak się wstydzisz? Przecież oboje jesteśmy dorośli, a ty reagujesz tak, jakby to była jakaś perwersja.

Josette zacisnęła powieki.

- Podobało ci się, mnie również. Nigdy wcześniej niewinne igraszki nie doprowadziły mnie do takiego stanu.

- Niewinne?! - wykrzyknęła.

- Niewinne - powtórzył. - Nie powiesz mi chyba, że wcześniej nie... - Ujrzał wyraz jej twarzy i naraz zrozumiał. - Naprawdę nie robiłaś wcześniej nic podobnego? Zupełnie nic?! Ale dlaczego?

- Po tamtej rozprawie całe Jacobsville trzymało się ode mnie z daleka, bo kto chciałby się zadawać z dziewczyną, która próbuje wrabiać niewinnych chłopaków? Przenosiny do San Antonio niewiele mi pomogły, bo jedna z koleżanek miała rodzinę w

Jacobsville, dowiedziała się o tej sprawie i wszystkim powtórzyła.

- Boże! Nie wiedziałem...

- Przez całą szkołę średnią nie chodziłam na żadne imprezy, bo albo się ze mnie nabijano, albo padały różne niedwuznaczne uwagi. Myślałam, że w collegu to się nareszcie zmieni, ale tam też było parę osób z mojej szkoły średniej, więc pocztą pantoflową ostrzeżono przede mną wszystkich. Nikt się ze mną nigdy nie umówił. Nigdy. Dopiero ty.

Brannon poczuł się tak, jakby powaliła go na deski, ponieważ dotarło do niego, że tamtego wieczoru praktycznie rzucił się jak zwierzę na dziewczynę, która nie miała żadnego, ale to żadnego doświadczenia! Gdyby nie jej budowa anatomiczna, doprowadziłby sprawę do końca, nie bacząc na nic. Pragnął Josette od dawna i od dawna był przygotowany na taką randkę, podczas której musiałby się zabezpieczyć.

- Nie miałem o niczym pojęcia. - Westchnął głęboko. - Teraz jest już dużo za późno, żeby ci powiedzieć, jak bardzo mi przykro, ale i tak to powiem. Naprawdę ogromnie mi przykro.

- Skoro nie wiedziałeś, nie ma za co przepraszać. Po prostu nastąpiło jedno wielkie nieporozumienie. - Nerwowo zaczęła skubać skórkę przy kciuku. - Brannon, czy wtedy... czy zamierzałeś zatrzymać się w którymś momencie?

- Nie - odparł bez namysłu i usłyszał, jak Josette gwałtownie wciąga powietrze. - Przepraszam, jeśli to zabrzmiało zbyt mocno. Wcale nie planowałem cię uwieść, ale pragnąłem cię od bardzo dawna, więc kiedy znaleźliśmy się sami w moim mieszkaniu, a ty okazałaś się chętna, zapomniałem się zupełnie, straciłem kontrolę nad sobą. Po raz pierwszy w życiu.

- Och...

- Zresztą nie tylko ja - dodał. - Ty też się zapomniałaś i właśnie dlatego nie masz odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Pragnęłaś mnie tak bardzo, że aż szlochałaś z pożądania i prosiłaś, żebym to zrobił. Tylko że wtedy wszystko się wydało, zrozumiałem, przez co musiałaś przejść z mojego powodu i chciałem już tylko uciec od ciebie jak najdalej, zniknąć sprzed twoich oczu, zapaść się pod ziemię.

Zatrzymał samochód na środku pustej drogi i

obrócił się do Josette.

- Na domiar złego jeszcze pogorszyłem sprawę, nie wyjaśniając, czemu od ciebie odchodzę. Zżerał mnie żal i wstyd, nie tylko z powodu krzywdy, jaką ci wyrządziłem w przeszłości, ale również dlatego, że nie zważając na twoje doświadczenia w tej materii, dobrałem się do ciebie w tak gwałtowny sposób. Powinno się mnie obić kijami!

- To nie do końca twoja wina. Ja... - Spuściła wzrok, kurczowo zacisnęła palce na aktówce. - Ja...

- Pożądałaś mnie. Nie ma się czego wstydzić. Bóg stworzył pożądanie, żeby gatunek nic wyginął, więc ono służy dobremu celowi. Nic jest niczym złym.

- Jest! - wybuchnęła. - Jest ohydne i powoduje, że kobiety zachowują się jak prostytutki!

- Mylisz pojęcia, skarbie. prostytutki sprzedają swoje ciała, a to nie ma zupełnie nic wspólnego z tym, o czym mówimy. - Wziął ją za rękę. - Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałem się z tobą kochać tamtego wieczoru, ale wcale nie chodziło mi o jedną noc ani nawet o przelotny romans. - Uśmiechnął się lekko. - I nie wiesz, jak trudno było mi za każdym razem rozstawać się z tobą przez te

dwa lata. Wynajdowałem preteksty, żeby jak najczęściej wpadać na kampus i zobaczyć się z tobą. Nawet zacząłem chodzić do kościoła, bo chciałem cię widywać również w niedziele.

Oczy zrobiły jej się wielkie ze zdziwienia.

- Czyli nie zorientowałaś się, czemu ciągle jestem w pobliżu... Z kolei twój ojciec zauważył, że kręcę się koło ciebie, nie pochwalał tego, ale chyba zrozumiał w końcu, że nie chodzi mi tylko o seks.

Na twarzy Josette odbiła się niepewność.

- Nie?

Marc mocniej uściśnął jej dłoń.

- Josie, nie znam drugiej osoby tak pełnej zalet. Masz wielkie serce, jesteś szlachetna, czasem chyba aż za bardzo, prawdopodobna i ogromnie życzliwa ludziom. Do tego nie boisz się ani trudności, ani ciężkiej pracy, ani niebezpieczeństwa. W niczym towarzystwie nie czułem się tak dobrze jak w twoim, dlatego z tobą mogłem chodzić choćby i do parku, czego nie znoszę, bo wtedy mogłem patrzeć, jak ty z uśmiechem przyglądasz się innym ludziom. Nie sądzisz, że to coś więcej niż pożądanie?

- Więcej? - spytała zmienionym głosem.

- Tak, i myślę, że wiesz o tym. Niestety, ciągle obawiasz się mi zaufać, ponieważ zostałam zdradzona i skrzywdzona. Ale dopóki żyjesz przeszłością, nie mamy szansy na zbudowanie nowej relacji.

Usiadła inaczej, uważając, by nie urazić ręki na temblaku.

- O jakim rodzaju relacji mówisz? Pieszczotliwie zaczął gładzić kciukiem jej dłoń.

- Ty zdecydujesz, jaka ona będzie - zadeklarował. - Chciałbym, żebyśmy zostali kochankami, ale zadowolę się wszystkim, co zechcesz mi zaofiarować, nawet gdyby nie wykroczyło to poza czystą przyjaźń.

Podniosła na Brannona zdumiony wzrok.

- Nie mam zamiaru wywierać na ciebie żadnego nacisku, sama określisz granice. Ale chciałbym znowu być z tobą.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Ale ty mieszkasz w San Antonio, a ja w Austin.

- Mogłabyś przeprowadzić się z powrotem, w naszej prokuraturze okręgowej są wolne miejsca. Albo zgłosiłabyś się do prokuratury w hrabstwie Jacobs, też

brak im ludzi, wtedy ja przeniósłbym się do Wiktorii i pracował z Juddem.

- To by już było... wiążące.

- Tak. Westchnęła.

- A czego byś oczekiwał?

- Na razie czy w ogóle?

- Na razie.

- Miłego towarzystwa, żebym znowu miał kim chodzić na przedstawienia i koncerty.

Kiedys to była nasza wspólna pasja.

- Bardzo lubiłam te wspólne wyjścia.

- Ja również. - Uniósł jej dłoń do ust, pocałował gorąco. - Obiecuję, że nie będę próbował cię uwieść.

Serce biło jej mocno, czuła podekscytowanie i nadzieję.

- Zastanowię się.

Ujrzał wyraz ciemnych oczu i w jego serce również wstąpiła nadzieja.

- Nie musisz się spieszyć. Zastanawiaj się tak długo, jak tylko zechcesz.

Puścił jej dłoń i ruszył w stronę domu Hollimana, czując, że naprawdę zaczynają na nowo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jack Holliman czekał na nich na werandzie, uśmiechając się na powitanie, lecz spoważniał, gdy przyjrzał im się uważniej.

- Coś się stało, prawda? - spytał, w jego głosie brzmiało napięcie.

- Tak. Ogromnie mi przykro, że muszę panu o tym powiedzieć, ale pańska siostra została zabita - rzekł Brannon bez żadnych wstępów.

- Zabita?! - Stary człowiek przez dobrą minutę stał i po prostu patrzył na nich. - Jak? - wydusił wreszcie z siebie.

- Zastrzelono ją. - Marc nie zamierzał wdawać się w szczegóły morderstwa. - Sprawca dokładnie przeszukał całe mieszkanie, wiemy, że zabrał dwa przedmioty. Mogły należeć do Dale'a, ponieważ morderca szuka pewnej rzeczy, którą posiadał pański siostrzeniec i którą mógł oddać na przechowanie swojej matce. Prowadzimy dochodzenie w tej sprawie.

Jack Holliman ciężko usiadł na wyplatanym fotelu.

- Będę musiał się zająć... Gdzie ona jest? W szpitalu?

- Tak, trzeba zrobić sekcję, wyniki zostaną przesłane do stanowego laboratorium kryminalistycznego. Potem będzie można przenieść ją do domu pogrzebowego. Zostawimy panu numer do koronera Alice Jones, otrzyma pan od niej wszystkie potrzebne informacje.

- Dwa pogrzeby w jednym tygodniu to trochę za dużo jak dla mnie. - Stary człowiek westchnął.

W ten sposób zostałem ostatni z rodziny...

- Czy możemy coś dla pana zrobić? - spytała łagodnie Josette.

- Tak. - Oczy byłego Strażnika błysnęły.

Dopadnijcie tego, kto ją zamordował i dopilnujcie, żeby spotkała go zasłużona kara. Stawiam dziesięć do jednego, że to ten sam łajdak, który zabił mojego siostrzeńca!

Brannon podwiózł Josette do prokuratury okręgowej. W połowie wysiadania zawahała się, po czym spojrzała na niego i odezwała po raz pierwszy, odkąd wyjechali od Hollimana.

- Tak się zastanawiałam... A jeśli Dale miał skrytkę bankową?

Za namysłem skinął głową.

- Niewykluczone, sprawdzę to. Zadzwonię do ciebie. Aha, jeszcze jedno - dodał, kiedy już miała wysiąść.

- Tak?

- Ciągłe jeszcze nie odzyskałaś sił, więc gdybyś poczuła się słabo, natychmiast dzwoń po mnie, a gdybym ja nie mógł się wyrwać, niech ktoś inny odwiezie cię do mnie do domu. I pod żadnym pozorem nie wychodź stąd sama, bo nasz zabójca wciąż jest na wolności.

Popatrzyła na niego z dziwnym uśmiechem. Ta jego opiekuńczość nie powinna była sprawiać jej aż takiej przyjemności - nie powinna, a jednak sprawiała.

- Dobrze.

- I nie porywaj się znowu na jakieś bohaterskie wyczyny.

Ostrożnie poruszyła zranioną ręką. Zabolało.

- Na to na razie za wcześnie. Cześć.

Wysiadła, odprowadziła wzrokiem oddalającego się dżipa i weszła do budynku prokuratury, gdzie

wreszcie poznała legendarnego Casha Griera. Był wysoki, przystojny, miał trzydzieści osiem lat, pociągłą twarz, czarne oczy i równie czarne długie włosy, które związywał w kucyk. Do tego nosił zwykłą dżinsową kurtkę i czarny T - shirt, więc z wyglądu stanowił zupełne przeciwieństwo Strażników, którzy strzygli się krótko, nosili jasne kapelusze oraz koszule.

Zachowywał się profesjonalnie i rzeczowo, w ciągu dwóch minut rozmowy Josette zrozumiała, że ma do czynienia z równie dobrym specjalistą jak Phil.

- To Sandra Gates włamała się do systemu, dzięki czemu przeniesiono Jenningsa do więzienia stanowego i wyznaczono go do prac poza terenem zakładu - poinformował. - Sprawdziłem wszystkie połączenia do sieci z jej komputera w ciągu ostatnich trzech miesięcy oraz przyjrzałem się jej kontu bankowemu. Za swoje programy dostaje po jakieś pięć tysięcy, ale ostatnio na jej rachunek wpłynęło jednorazowo okrągłe pięćdziesiąt. To było w dniu ucieczki Jenningsa.

- Bingo! - ucieszyła się Josette. - Możesz to udowodnić?

- Owszem, zebrałem dość dowodów, żeby wystąpić o nakaz aresztowania. Jest tylko jeden mały szkopuł.

- Mianowicie?

- Związała nam. Zjawiła się w banku, podjęła wszystko co do centa, pojechała taksówką na lotnisko i poleciała do Argentyny. Ten twój Phil Douglas zdołał ją tam namierzyć, ale to nam nic nie da, bo nie możemy wystąpić o ekstradycję.

- Przynajmniej wiemy, jaką rolę odegrała w całej sprawie.

- Lecz nie zaprowadzi nas to ani do mordercy, ani do Jake'a Marsha. Korespondowała przez e - mail tylko z Jenningsem i łączyła się wyłącznie z tymi komputerami, do których się włamała, zmieniając dane w aktach. Miała zresztą ułatwioną sprawę, bo tuż przedtem w więzieniu w Austin padł system komputerowy i część plików znikła. Gates wstrzeliła się w moment, gdy jeszcze nie zdążono wprowadzić ponownie wszystkich danych.

- To wiele wyjaśnia.

- Ale nie podnosi liczby ujętych przestępców -

uciął. - Najchętniej poleciałbym do Argentyny, porwał Gates i przywiózł tutaj, żeby ją przesłuchać.

- Poproś Lindę Harvey, żeby ci dała na bilet - rzuciła z humorem Josette.

- Poprosiłem. - Na jego twarzy odbił się najgłębszy niesmak. - Wezwała księgowego, a ten mi powiedział, że mogę stanąć na ulicy i zbierać pieniądze do puszek, aż sobie uskładam na bilet.

Zaśmiała się.

- Czyli z porwania nici. Niestety, nie tylko od Sandry Gates niczego się nie dowiemy, od Yorka też nie. Uciekł ze szpitala.

- Tak, słyszałem o tym. Typowa policyjna nieudolność - skomentował.

- Jesteś niesprawiedliwy. Kto by się spodziewał, że ranny będzie na tyle sprawny, żeby ogłuszyć strażnika?

- Na przykład ja. - Wskazał na jej lewą rękę. Ciebie rana postrzałowa nie powstrzymuje od działania, czemu miałyby powstrzymać Yorka?

- Słuszna uwaga. W każdym razie znów jest na wolności, a my nie wiemy, kogo sobie upatrzył na

następną ofiarę. Panią Jennings prawdopodobnie zabił kto inny, opis sąsiadki wskazywałby na Marsha, bo to on nosi białe - czarne lakierki.

- I garnitury za dwa tysiące... - dodał. Wyjął z szuflady biurka służbowy pistolet, sprawdził, czy jest zabezpieczony i wsadził go do kabury na biodrze, a wtedy Josette zauważyła, że na klamrze szerokiego skózanego paska miał wygrawerowaną odznakę. - Dobra, pójde zamienić dwa słowa z moim informatorem. To płotka w tutejszej mafii, ale zazwyczaj całkiem dobrze się orientuje w sprawach podziemnego świata.

- Mogę iść z tobą? Zmarszczył brwi.

- Po co?

- Siedzę w tej sprawie głębiej od ciebie. Kto wie, czy nie przyjdą mi do głowy jakieś ciekawe pytania, o których nikt inny by nie pomyślał?

Łypnął na nią.

- Nie zacznę mu wymachiwać przed nosem moją legitymacją, pójde jako osoba towarzysząca - nalegała.

- Ciekawe, co na to Brannon...

- Nie muszę się przed nim opowiadać - stwierdziła stanowczo. - Zresztą nie będzie miał nic

przeciwno temu.

Zmrużył oczy, zlustrował ją od stóp do głów.

- No nie wiem, słyszałem, jak o tobie mówił...

Wchodzenie na cudzy teren nie jest w moim stylu.

- Zabieranie ze szpitala półprzytomnych kobiet, kiedy chcesz sobie którąś sprowadzić do mieszkania, pewnie też nie - zażartowała i dodała konfidencjonalnie:

- To metoda Brannona.

- Ja w ogóle nie sprowadzam kobiet do mieszkania - uciał zimno.

Przypomniała sobie, co o nim mówił Brannon - odznaka przyszyta nawet na gaciach. Zaczynała rozumieć...

- Przecież nie wychodzimy razem prywatnie, tylko służbowo, w końcu pracujemy w jednym biurze. To co? Idziemy?

Wzruszył ramionami i zaprosił gestem, by wyszła pierwsza. Zaprowadził ją do nieoznakowanego policyjnego wozu i zawiózł do niewielkiego salonu bilardowego, gdzie dwóch mężczyzn właśnie rozgrywało partię.

- Cześć, Bartlett. - Grier wyciągnął rękę do

starszego i niższego z nich. - Jak leci?

- W porządku. - Zerknął na towarzyszącą detektywowi Josette. - Co, wzięłeś się za strzelanie do kobiet? To już po dobroci nie chcą?

- Nie ja tak ją urządziłem - wycedził Grier. Bartlett zachichotał i wrócił do gry.

- Ładny strzał - skomentowała po chwili Josette. Mężczyzna zerknął na nią z zaciekawieniem.

- Znasz się na bilardzie? - Miał zdarty głos nałogowego palacza.

- Trochę. Nauczyłam się w college'u.

- Teraz to byś sobie raczej nie pograła. - Wskazał na temblak.

- Pewnie nie. Chyba żebym zdołała przytrzymać kij nogą.

Bartlett zaśmiał się znowu i spojrzał na Giera.

- Twoja znajoma jest w porządku. - Posłał kolejną bilę do luzu. - Po co przyszedłeś?

- Chcieliśmy zamienić z tobą słówko na osobności.

- Nie ma sprawy.

Odstawił kij na stojak i zaprowadził ich do

znajdującej się tuż obok zupełnie pustej kawiarni.

- Czy nikt nie wspominał o tym, że Marsh kazał kogoś sprzątać? - spytał Grier.

Bartlett uniósł brwi.

- Skąd wiesz?

- Nieważne. Obiło ci się może coś o uszy?

- Podobno ktoś go szantażował, więc go uciszył, tyle że tamten nie miał przy sobie tego czegoś na Marsha. No i Jake teraz szaleje, próbując to znaleźć i sprzątnie każdego, kto mu wejdzie w drogę. Podobno trzęsie się, żeby nie dostać wyroku za egzekucję Jenningsa i samemu nie powiększyć grona aniołków. Oczywiście wcale nie on go kropnął.

- A kto? York?

- Tak bym obstawiał. Wygląda jak niewinny młodzieniaszek, a za byle dziesiątaka zrobi wszystko. Marsh zatrudnia go do naprawę brudnej roboty.

Grier powtórzył opis zabójcy pani Jennings, uzyskany od pani Danton.

- To nie York, ale torturowanie staruszki nie pasuje mi do Marsha. On by czegoś takiego nie zrobił. Zabija bez mrugnięcia okiem, ale nigdy się nie zęca.

- Mężczyźnie towarzyszyła też kobieta - dodała Josette. - Nosiła elegancki kapelusz z woalką. Czy Marsh ma przyjaciółkę?

- Tak, ale nigdy jej nie widziałem - zastrzegł się natychmiast Bartlett. - Podobno to żona jakiegoś nadzianego faceta, ale nie wiadomo, czy lala nie wystawi męża do wiatru, bo tam się chyba coś szykuje.

- Ciekawe, co - zamyślił się na głos Grier. - Może jakiś szantaż?

Bartlett uśmiechnął się.

- Kombinuj, przecież jesteś detektywem, prawda?

W drodze powrotnej do biura Josette milczała, pogrążona w myślach. Głównie zastanawiała się nad obecnością owej tajemniczej kobiety w mieszkaniu pani Jennings - czy możliwe, by to właśnie ona torturowała staruszkę, skoro informator Griera w tej jednej kwestii z całym przekonaniem bronił Marsha? Sytuacja była więc znacznie bardziej skomplikowana, niż im się początkowo wydawało: tajemnicza żona bogacza, w związku z którym „coś się szykowało”, szantaż, dwa morderstwa, tortury, zbiegły płatny zabójca, który miał na oku kolejną

ofiarę, tajemniczy dowód czyjejś winy ukryty nie wiadomo gdzie przez Dale'a Jenningsa, a w środku tego wszystkiego szef lokalnej mafii.

- Komuś naprawdę bardzo zależy na zdobyciu narzędzia szantażu - odezwała się wreszcie.

Zastanawia mnie ta przyjaciółka Marsha, o której wspomniał twój informator. Czy to możliwe, żeby ona torturowała panią Jennings?

- Nie takie rzeczy widziałem.

- Niektóre kobiety potrafią być daleko okrutniejsze od mężczyzn.

Zacisnął zęby.

- Święte słowa.

Zabrzmiało to, jakby mówił z własnego doświadczenia, lecz Josette nie mogła go o nic wypytywać, w końcu był tylko kolegą z pracy.

Przyjechali na parking przed prokuraturą akurat w momencie, gdy Brannon wyskakiwał ze swojego dżipa. Na ich widok coś mu błysnęło w oczach. Stanął, wziął się pod boki, poczekał aż podejdą.

- Do diabła ciężkiego, gdzieś ty była? - wybuchnął, a temperatura tego wybuchu była taka że gdyby

w pobliżu znajdowało się drewno choćby i wilgotne, chyba zajęłoby się ogniem.

Grier posłał jej wymowne spojrzenie, w którym dało się wyczytać: „A nie mówiłem, że tak będzie?”, bez słowa skinął głową Brannonowi i wszedł do budynku.

- Pojechałam z Grierem zasięgnąć języki u jednego z jego informatorów - wyjaśnili bardzo spokojnie, chociaż wcale się tak nie czuła, gdy wściekle spojrzenie srebrnoszarych oczu praktycznie wwiercało się w nią. Brannon naprawdę potrafił sprawić, że człowieka prze chodziły ciarki.

- Opowiesz mi wszystko podczas lunchu - zarządził.

- Ale...

- Nie jesteś głodna?

- Nie. - W tym momencie donośnie zaburczało jej w brzuchu, więc poprawiła się: - Tak.

- Czyli jedziemy.

Uznała, że lepiej będzie ulec, niż się sprzeczać, bo przecież w końcu i tak musiała mu przekazać uzyskane informacje, wsiadła więc do dżipa, a Brannon zawiózł ją do sympatycznego zajazdu, przed którym - ku

zaskoczeniu Josette parkowało sporo samochodów, chociaż jeszcze nie było południa.

- Często tu jadasz?

- Wszyscy się tu stołujemy, bo jest niedrogo i zawsze mają świeże ryby, niezależnie od pory roku.

Kiedy usiedli przy stoliku i zjawiała się kelnerka, Josette najpierw zaznaczyła, że poproszą o oddzielne rachunki, a dopiero potem złożyła zamówienie.

- I czego się dowiedziałaś? - spytał Brannon, gdy tylko przyniesiono im jedzenie i zostali sami.

Powtórzyła mu dokładnie, co usłyszała od Bartletta, podzieliła się też swoim podejrzeniem, że to kochanka Marsha wykazała się okrucieństwem, a nie on sam.

- Ten informator nie wiedział o niej nic więcej? - rzucił z udawaną obojętnością.

- Tylko tyle, że dzięki mężowi jest bogata.

- Czy Grier poprosił cię, żebyś z nim pojechała? - indagował dalej. - On zna różnych niebezpiecznych ludzi, nie jest rozsądnie się z nim włączyć.

- Czemu nie? On się ich nie boi.

- Ponieważ jest bardziej niebezpieczny od nich. -

Zmrużył oczy, spojrzął na nią przenikliwie. - Nic o nim nie wiesz, prawda?

- Wiem. Jest specem od komputerów. Brannon wybuchnął śmiechem, ale nic nie powiedział, tylko dokończył swoją rybę, otarł usta serwetką i sięgnął po mrożoną herbatę.

- Czyli nie zamierzasz mi wyjaśnić, co w tym takiego śmiesznego? - odezwała się Josette.

Oparł się wygodniej i przyjrzał się jej z lekkim rozbawieniem.

- A czy on ci wygląda na maniaka komputerowego?

Przypomniała sobie Phila Douglasa i kilku innych mężczyzn jego pokroju.

- Nie bardzo - przyznała.

- Właśnie. Nie próbuj się do niego zbytnio przywiązywać.

Uniosła brwi, słysząc to żądanie.

- A niby czemu nie?

Nachylił się gwałtownie, aż jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy.

- Bo jesteś moja - oznajmił twardo.

Nim zdążyła wymyślić jakąś ciętą odpowiedź, wstał i chwycił ze stołu oba rachunki. Josette zaczęła szukać w portmonetce drobnych na napiwek, a kiedy wsunęła je pod swój spodek, Brannon wziął ją pod ramię, zaprowadził do kasy, gdzie szybko zapłacił za nich oboje, nic słuchając żadnych protestów. Dosłownie wyciągnął Josette na opustoszały parking, puścił dopiero przy drzwiach od strony pasażera, stanął tuż przed nią i oparł dłonie o samochód po obu stronach jej głowy.

- Brannon... - zaproponowała zmienionym głosem i zupełnie wbrew swojej woli położyła dłonie na torsie Marca. Właściwie same tam zawędrowały.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Josette czuła gorące wypieki na policzkach, oddychała szybko, bezwiednie rozchyliła wargi.

Chcicie popatrzeć na jej miękkie usta.

- Dobrze, zrobimy to po twojemu - oświadczył. - Kwiaty. Czekoladki. Bilety na koncerty symfoniczne.

- C - co? - Aż się zająknęła z zaskoczenia. Pochylił głowę, pocałował ją lekko.

- Uwielbiam cię całować, Tosie - wyznał. - Zawsze lubilem.

I jak ona miała się oprzeć komuś, kto miał tak duże doświadczenie w tych sprawach, a w dodatku potrafił być też nieskończenie czuły? Zamknęła oczy, z błogością przesunęła dłońmi po umięśnionym torsie.

- Zostaniemy zaarrestowani za obrazę moralności w miejscu publicznym - jęknęła cichutko.

- Prawo nie zakazuje pocałunków.

To powiedziawszy, przylgnął do niej całym ciałem, więc mogła poczuć, jak bardzo jej pragnął. Naprawdę bardzo. Z trudem uniosła powieki, a wtedy ujrzała ściągnięte brwi Brannona oraz wyraz jego twarzy, świadczący o tym, że naprawdę nie zmyślał, mówiąc o tym, jak lubi się z nią całować.

- Marc - szepnęła. - Ktoś przyjechał i zaparkował obok.

Popatrzył na nią półprzytomnie zupełnie zamglonymi oczami, a potem zamrugał, starając się oprzytomnieć. Kiedy uniósł głowę, z przeciwnej strony dzipa dobiegło rozbawione:

- A ona powiedziała, że nie będziesz miał nic przeciw temu, że ze mną pójdzie. Ha! - Grier obrócił się na pięcie i pomaszerował do zajazdu, nim którekolwiek z

nich zdążyło odpowiedzieć.

- Naprawdę tak mu powiedziałaś? - spytał cicho.

- Tak - przyznała. - Ale... ale tobie rzeczywiście to przeszkadza! - wykrzyknęła w nagłym olśnieniu.

Pogładził ją po włosach.

- Spędziłem pół życia w organach ścigania, lecz muszę przyznać, że Grier robił rzeczy, o których nawet mnie się nie śniło. - Wzruszył ramionami. - Nie cierpi kobiet, a jednak ono ciągną za nim, tak zafascynowane jak kurczęta zafascynowane spojrzeniem węża.

On był zazdrosny! Czemu wcześniej nie zdała sobie z tego sprawy?

Spiorunował ją wzrokiem.

- Nie jestem zazdrosny - zapewnił dobitnie, trafnie odczytawszy jej spojrzenie. - Po prostu uważam, że nie powinnaś chodzić w różne dziwne miejsca w towarzystwie Griera, bo to zbyt niebezpieczne.

Przyjrzała mu się bardzo uważnie, bez pośpiechu - od falujących jasnobrązowych włosów, malowniczo spalonych słońcem, przez pociągłą, smagłą twarz, po szalenie męskie usta, które potrafiły doprowadzić kobietę do szaleństwa - i aż się roześmiała.

- Moim zdaniem jesteś bardzo przystojny
wyznała. - Ale ty tak o sobie nie myślisz, prawda?

Przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie zażenowany.

- Wygląd nie jest najważniejszy.

- Byłbyś seksowny i atrakcyjny nawet wtedy,
gdybyś miał wielki nochal i uszy jak patelnie.

Uniósł brwi.

- Naprawdę?

Ponieważ nie powiedział tego kpiąco, lecz z
prawdziwą niepewnością, Josette postanowiła mu
udowodnić, jak bardzo jej się podobał, więc impulsywnie
otoczyła go zdrowym ramieniem, przyciągnęła do siebie
i pocałowała czule. Wydawał się zaskoczony, lecz
odpowiedział równie słodko.

- Jedyne problem z tobą to ta porywczność. Przy
tobie Grier wydaje się łagodny jak baranek.

Zaśmiał się cicho.

- Za kilka lat złagodnieję.

- Skąd wiesz?

- Podobno dzieci bardzo człowieka zmieniają pod
tym względem.

- Dzieci? - powtórzyła ze zdziwieniem.

Spojrzenie szarych oczu spoczęło na jej płaskim brzuchu.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej, razie spytam cię o co innego. Chcesz iść w sobotę wieczorem na koncert do filharmonii?

Zawahała się.

- Prowadzimy poważne śledztwo...

- Świetnie. Przesłuchamy dyrygenta i pierwszego skrzypka. To główni podejrzani. Osobiście sporządzę raport.

- Brannon!

- Detektywi od czasu do czasu też mają prawo zrobić sobie wolne. Zarezerwuj dla mnie sobotę wieczorem. - Pocałował ją po raz ostatni otworzył drzwi dzipa i pomógł jej wsiąść.

Dopiero wtedy zauważył, że nieopodal stoi przyczepa kempingowa, z której obserwują ich z wielkim zainteresowaniem uśmiechnięte nastoletnie dziewczyny. Kiedy obszedł samochód zauważyły jego kapelusz i odznakę, a wtedy ich uśmiechy stały się jeszcze szersze i jeszcze bardziej wymowne. Prawie się zaczerwienił a obserwująca to wszystko Josette zaśmiała się cicho, ale przy tym sama spłonęła rumieńcem. Marc wsiadł do

samochodu i zerknął na nią.

- Rumienisz się? W twoim wieku?

- I co z tego? Ty też.

- Ja? Ja nigdy się nie rumienię - skwitował i zapuścił silnik.

Gdy przejeżdżali obok zaparkowanej przed zajazdem przyczepy, jedna z dziewczyn zagwizdała niedwuznacznie, wbijając wzrok w Brannona. Usłyszał chichot Josette, lecz nie spojrzał w lusterko wsteczne. Nie, nie zaczerwienił się. Nigdy się nie czerwienił. Nigdy.

Co ze skrytką bankową Dale'a? - zagadnęła, kiedy znaleźli się z powrotem pod budynkiem prokuratury. - Sprawdziłeś ten trop?

Tak, ale prowadzi donikąd. Żaden bank w całym mieście nie ma skrytki na nazwisko Jennings. Zastanowiła się nad tym.

A jeśli skrytka została założona na nazwisko tej kobiety, która była dla niego ważna?

Niewykluczone, lecz to nam niewiele da, gdyż wciąż nic o niej nie wiemy oprócz tego, że raczej nie chodzi o Sandrę Gates.

Grier mógłby się dowiedzieć, na kim tak bardzo zależało Dale'owi - rzekła impulsywnie. On chyba ma niezłe doświadczenia do tego podziemnego świata.

- W takim razie niech sobie do niego chodzi i niech się dowiaduje. Sam. - Podchwycił jej spojrzenie. - Mówię poważnie, Tosie. Nie zgadzam się absolutnie, żebyś ryzykowała w jakikolwiek sposób.

- Co ty o nim takiego wiesz, skoro tak mnie ostrzegasz?

- Coś, czego nie mogę ci powtórzyć.

- Czemu? - nalegała.

Zawahał się, a potem westchnął ciężko.

- Ponieważ to ściśle tajne.

Ze zdumieniem uniosła brwi, gdyż mogło to oznaczać naprawdę wszystko.

- Słuchaj, czy możesz zrobić mi przyjemność i uwierzyć mi na słowo? - spytał z pewną desperacją. - I czy nie wystarczy, że raz cię postrzelono? Mnie wystarczyło aż nadto. Nic chcę drugi raz ryzykować utratą siebie.

Rozjaśniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Nie?

Dotknął jasnego pasma włosów, które wymknęło się pod koka.

- Josie, a jak ty byś się czuła, gdyby to do mnie strzelano?

Okrzyk, który jej się wyrwał, mówił wszystko. Wydawało się, jakby z twarzy Josette wreszcie opadła maska - wszystkie maski, pieczołowicie nakładane przez lata. W ciemnych oczach dało się wyczytać, co skrywała w głębi serca, więc Brannon położył dłoń na jej policzku i czule przesunął kciukiem po miękkich wargach.

- Czyli jednak nie jestem ci obojętny - stwierdził cicho.

Chciała zaprotestować, lecz on przycisnął kciuk do jej ust.

- Nie rozwiewaj moich złudzeń - szepnął, a potem nachylił się i pocałował ją.

Musiał użyć całej siły woli, by się od niej oderwać, a kiedy to w końcu zrobił i wyprostował się, ujrzał w oknie dżipa czarne oczy kumpla.

- Powiedziała, że nie będziesz miał nic przeciw temu, że ze mną pójdzie - powtórzył Grier z kamienną

twarzą.

- Myliła się - odpalił zimno Brannon, a w jego spojrzeniu pojawiła się groźba i wyzwanie.

Cash Grier zacisnął usta, lecz widać było, że w rzeczywistości nieźle się bawił.

- Wyluzuj, Brannon. Jestem tylko specem od komputerów.

- Tak, a Putin był tylko dyplomatą - odparł z kpina.

Grier wybuchnął śmiechem, odwrócił się i wszedł do gmachu.

- Putin? - powtórzyła Josette, nie bardzo rozumiejąc.

Wystarczyło jedno wymowne spojrzenie Brannona, by w jej głowie otworzyły się właściwe klapki. Ach, prezydent! Były oficer KGB.

- A, ten Putin! Już rozumiem.

- Dobra, wracaj do pracy, ale nie do Grier'a. Mówię poważnie.

- Nie jestem kelnerką.

- Słucham?

- Polecenia to możesz wydawać kelnerce -

wyjaśniła z uśmiechem, po czym wysiadł z dżipa.

Brannon nachylił się w stronę otwartego okna od strony pasażera.

- Chcę mieć dzieci.

Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- A co to ma do rzeczy?

- To, że musisz uważać na siebie i robić to, o co cię poprosiłem.

Odjechał, nim zdążyła zażądać, by wyjaśnił, co właściwie miał na myśli, wygłaszając podobne stwierdzenia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy po pracy wyszła z gmachu prokuratury okręgowej, ku swemu zdumieniu ujrzała Brannona. Stał przy samochodzie, opierając się o maskę, a na widok Josette otworzył na oścież drzwi od strony pasażera.

- Wskakuj. Zawiozę cię do hotelu. Poczula się jak za dawnych, dobrych czasów, kiedy przyjeżdżał po nią na kampus po ostatnich zajęciach albo kiedy odbierał ją w niedzielę późnym wieczorem z czytelnicy, w której ślęczała nad swoją pracą dyplomową. Zrobiło jej się miło, że nadal tak o nią dbał.

- Dzięki! - Nawet nie kryła, jak bardzo się ucieszyła. - Ale co tu właściwie robisz?

Popatrzył na nią bez słowa, a potem westchnął i wzruszył ramionami, jakby mówił: „Trudno, to już się przyznam”.

- Myślałem, że może Grier będzie chciał ci odwieźć - zdradził z ociąganiem.

Zaśmiała się cicho, usłyszawszy, jak bezwiednie odkrył się ze swoją zazdrością.

- Wszedł niedługo po lunchu i już nie wrócił. W

ogóle z nim nie rozmawiałam.

- No i dobrze - stwierdził z uśmiechem.

- Sprawdziłam wszystkie zeznania dotyczące Marsha - odezwała się, gdy ruszyli. - Trafiłam na raport sporządzony przez oficera, który go przesłuchiwał w związku z morderstwem Garnera. Marsh powiedział, że korzystał z usług Jenningsa, zatrudniając go jako kogoś w rodzaju posłańca i kuriera, ale przestał, kiedy ten zaczął się zanadto kręcić wokół domu Webba.

Brannon zmarszczył brwi.

- Nie Webba, tylko Garnera - skorygował - Jennings wykonywał różne zlecenia dla Henry'ego Garnera.

- Powtarzam ci, co wyczytałam w raporcie.

- Jeśli Bib przyjedzie na weekend do miasta spytam go o to.

- Dobry pomysł.

- Czy Jennings umawiał się z tobą przed przyjęciem u Biba i Silvii?

Łypnęła na niego, ponieważ wkraczał na niebezpieczny teren.

- Nie. Przedtem widywałam go wyłącznie w

takiej kawiarence przy kampusie. To nie był żaden podejrzany lokal, w którym kręciły się nieciekawe typy, nic z tych rzeczy. Na przykład Silvia też tam zachodziła, ona wtedy robiła u nas jakiś kurs.

Ta wiadomość zaintrygowała go. Nie pamiętał, by przyjaciel kiedykolwiek wspominał, że jego żona uzupełnia wykształcenie. Zresztą jak mogłaby uczyć się w college'u, skoro nawet nie ukończyła szkoły średniej?

- Silvia? - upewnił się.

- Tak, ale nieczęsto. Widziałam ją tam ze dwa lub trzy razy.

- Rozmawiała z kimś?

- Nie zwróciłam uwagi - przyznała szczerze. Albo siedziałam z nosem w notatkach, albo wpadałam w pośpiechu na kawę, bo parzyli wyjątkowo dobrą. Kiedyś przy ladzie zgadało mi się o tej dobrej kawie z jednym człowiekiem, to był właśnie Dale i tak zawarliśmy znajomość. Miłą, lecz dość luźną, więc byłam bardzo zaskoczona, kiedy zaprosił mnie na przyjęcie do Webbów.

- Narzucał ci się?

- W ogóle - odparła, uśmiechając się lekko. Nie interesowałam go pod tym względem, on tylko mnie

lubił. Po prostu potrzebował partnerki na tamten wieczór.

Ciekawe, czemu - pomyślał ponuro Brannon. Czy planował zamordowanie Garnera i Josette miała mu dostarczyć alibi? A może kierowały nim jeszcze niższe pobudki?

- Zastanawiasz się, czemu mnie zaprosił, prawda? Sama próbowałam sobie odpowiedzieć na to pytanie, zwłaszcza że zostawił mnie, ledwie przyjechaliśmy na miejsce.

- A co wtedy robili Webbowie? - spytał, coraz mocniej ściągając brwi.

- Twój przyjaciel tańczył z taką nieśmiałą drobną brunetką, wiem od ciebie, że to jego asystentka. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej i zakłopotanej, może to dlatego wydawał się tak o nią troszczyć. Silvia gdzieś znikła na jakiś czas, a kiedy wróciła na przyjęcie, zrobiła im scenę za to, że tańczyli razem. To było tuż przed tym, jak odwiozła mnie do domu.

- Silvia zawsze się wściekała na Becky, która jest bezgranicznie oddana Bibowi. Teraz też mu pomaga przy kampanii do senatu. Chyba zrobiłaby dla niego wszystko, oczywiście z wyjątkiem popełnienia morderstwa.

- Tak, też mi się wydawało, że ona świata poza nim nie widzi. Ale oprócz Henry'ego Garnera była jedyną osobą na tym przyjęciu, która z miejsca zdobyła moją sympatię.

- A Silvia? Lubisz ją? Skrzywiła się.

- Nie. Dale twierdził, że to ona mnie zaprosiła, ale nie bardzo wierzę, ponieważ ignorowała mnie aż do momentu, kiedy wpadłam na nią, chorą po tym nieszczęsnym ponczu. Z kolei ona była kompletnie trzeźwa... W odróżnieniu od swojego męża. Ile razy na nią spojrzał, tyle razy pociągał z kieliszka. Próbował też częstować tym ponczem Becky, ale okazała się mądrzejsza ode mnie, bo odmówiła, kiedy tylko powąchała.

Brannon słuchał jej uważnie, jednocześnie próbując sobie coś przypomnieć, coś ważnego, Już, już to miał w zasięgu ręki...

Zadzwoił jego telefon, więc Brannon wdusił przycisk, przełączając na tryb głośnomówiący.

- Cześć, Brannon, tu Alice Jones. Mam dla ciebie ciekawą informację.

- Wal.

- Raczej to denatkę walnięto jakimś twardym i tępy m narzędziem w tył głowy. Uderzenie zostawiło taki dziwny ślad, jednocześnie podłużny i owalny.

- Jak od pałki? - podsunął.

Alice zastanawiała się przez chwilę.

- Hm, mogłoby pasować.

- Jones, sprawdź wyniki pewnej sekcji z czerwca sprzed dwóch lat. Facet nazywał się Henry Garner. Porównaj, czy tamten ślad nie wyglądał podobnie. - Przeliterował nazwisko, żeby mogła zapisać. - A potem daj mi znać, co znalazłaś, dobra?

- Dobra. Tylko ty się nie przyzwyczajaj za nadt do telefonów ode mnie. Owszem, nic prezentujesz się najgorzej, masz tę seksowną odznakę Strażnika i szeroki pas z kłmram, ale musisz też pamiętać, że do mnie czekają w kolejce największe przystojniaki z Hollywood, żeby chociaż usłyszeć mój zmysłowy głos, kiedy mówię „Halooo?”

Brannon rozłączył się i dostał ataku śmiechu.

- Alice Jones jest jedyna w swoim rodzaju - podsumowała Josette. - Odkąd przeprowadziłam się do Austin, brakuje mi jej.

- Wymienię cię w testamencie, jeśli zdołasz ją namówić, żeby i ona się tam przeprowadziła.

Zachichotała.

- Dzięki, ale nie skorzystam z oferty, wystarczy mi, że mam w biurze Phila Douglasa. Chyba dostałabym kota, gdyby przyszło mi współpracować jeszcze z Alice.

- A jak ci się pracuje tutaj? - zagadnął.

- Chyba całkiem się zdomowiłaś w naszej prokuraturze okręgowej.

- Ja prawie wszędzie potrafię się zdomować, w dodatku tutaj znalazłam naprawdę świetnych ludzi. Ale podoba mi się w Austin.

- Czemu? Dlatego, że mnie tam nie ma?

Zacisnęła palce na aktówce.

- Tutaj też cię nie było przez jakiś czas.

- I dobrze wiesz, dlaczego. - Zerknął na nią i dodał ciszej: - Mogłabyś zaryzykować i spytać, czemu wróciłem.

To nie moja sprawa - ucięła, ponieważ nie zamierzała znowu rozgrzebywać nieprzyjemnych tematów.

Nieoczekiwanie Brannon skręcił w stronę

swojego domu.

- Chcęjechać do siebie - zaproponowała Josette.

- A ja chcę porozmawiać.

- Istnieje coś takiego jak telefon. Zignorował tę uwagę. Kiedy zaparkował na swoim miejscu w podziemnym garażu, wyłączył silnik i obrócił się ku Josette.

Czy nie jesteś już trochę zmęczona tym ciągłym uciekaniem przed przeszłością?

A czy musisz ciągle do niej nawiązywać? Przyjechałam tu tylko w celu przeprowadzenia śledztwa, potem wracam do swojego życia w Austin.

Do pustego mieszkania, w którym musisz włączyć telewizor, kiedy chcesz usłyszeć czyjś głos. W dzień będziesz spotykać wiele osób, ale to będą wyłącznie kontakty zawodowe, wieczory będziesz spędzać sama, oglądając filmy albo pracując na komputerze. Potem będziesz szła spać, a koło ciebie nie będzie nikogo. I tak codziennie, i tak latami. Co to za życie?

Dokładnie takie samo jak twoje - odcięła się z miejsca.

Jego twarz najpierw stężała, potem złagodniała nieco. Wzruszył ramionami.

- Cóż, celna uwaga.

- Tobie z tym całkiem dobrze - dodała.

- Naprawdę tak myślisz? Od czternastu lat mam tylko pracę, do tego przydarzyło mi się kilka znajomości, które nawet nie zasługują na miano romansów. Z wyjątkiem tych dwóch lat, kiedy widywałem się z tobą, żyłem jak pustelnik. A z ciebie to już w ogóle jakaś zakonnica, ale właściwie dlaczego? Tylko nie wciskaj mi znowu tej starej gadki o tym, że masz zasady - uprzedził, nim zdążyła się odezwać. - Przecież mnie chcesz, oboje o tym wiemy.

- Każdy z nas ma jakieś drobne, irytujące słabości, których nie potrafi się pozbyć - odcięła się, urażona w swej dumie.

- Cieszę się, że masz do mnie słabość. Tylko po co się jej pozbywać?

- Ponieważ nie piszę się na żaden romans. Wzruszył ramionami.

- Ja też nie.

- To tylko pogarsza sprawę, bo tym bardziej nie

popieram przygód, które trwają jedną noc.

- Ja również. Popatrzyła na niego, zupełnie nie rozumiejąc, co próbował powiedzieć. Westchnął.

- Sama zachowujesz abstynencję seksualną, ale nie przychodzi ci do głowy, że ktoś inny może postępować podobnie jak ty. Zwłaszcza mężczyzna. Czy to nie jest trochę seksistowskie podejście?

Uniosła wysoko brwi.

- No chyba mi nie powiesz, że jesteś czysty i dziewiczy - zakpiła. - Nigdy w to nie uwierzę.

- Nie, tego nie powiem - odparł z powagą. Ale rozwiązy również nie jestem. I, jak już ci wspominałem, przez ostatnie dwa lata nawet nie tknąłem kobiety.

- Dlaczego? - wyrwało jej się. Wpatrywała się w napięciu w jego pociągłą twarz, szukając w niej odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

- A dlaczego ty nie wylądowałaś w łóżku jakiegoś innego faceta? - zareplikował. - Nie miałem nikogo, bo nie chcę nikogo poza tobą. I ty też chcesz tylko mnie, chociaż za nic się nie przyznasz.

Aż zeszywniała, słysząc podobną insynuację. A nawet jeśli w jego słowach tkwiło ziarno prawdy i tak nie

zamierzała mu tego mówić, ponieważ miała z Brannonem już wystarczająco dużo kłopotów, zaś po takim wyznaniu stałby się zupełnie nieznośny. Woląa zmienić temat.

- Po co mnie tu przywiozłeś?

W jego oczach zamigotało rozbawienie.

- Ponieważ oprócz twoich ulubionych klopsów umiem też zrobić naleśniki na ostro z kurczakiem i brokułami.

To była ostatnia odpowiedź, jakiej mogła się spodziewać.

- Słucham?!

- Kiedy chodziliśmy ze sobą, zabrałem cię raz do francuskiej restauracji i strasznie zasmakowały ci tradycyjne francuskie *crepes*. Lokal, niestety, splajtował, ale zdołałem odnaleźć kucharza i wydębić od niego przepis.

- Ale... w jakim celu? - wykrzyknęła.

- No wiesz... Komplementy, dobre jedzenie, nastrojowa muzyka... - nachylił się ku niej z sugestywnym uśmiechem - ...mały zabieg chirurgiczny?

Zaczerwieniła się po same uszy i trzepnęła go

gazetą.

- Cóż, może jutro będę miał więcej szczęścia - stwierdził filozoficznym tonem.

Wysiadł, obszedł dżipa dookoła i otworzył drzwi od strony pasażera, zabrał aktówkę z kolan Josie, rzucił na tylne siedzenie.

- To możesz tutaj zostawić. Nie będziemy rozmawiać o sprawach zawodowych przy moich naleśnikach, bo szkoda naleśników.

Kiedy Josette wysiadła, wziął ją za rękę, zaprowadził do windy, a potem do swojego mieszkania. Ledwie weszli do środka, obrócił się zwinnie, przyparł ją plecami do zamkniętych drzwi, ujął jej twarz w dłonie i zapatrzył się w wielkie ciemne oczy.

- To miłe... - odezwał się po długiej chwili.

- Minęły całe dwa lata, a ty wciąż drżysz, kiedy jestem blisko ciebie. Tak jak teraz. - Przysunął się, aż ich ciała stykały się od bioder po piersi. Usłyszał, jak Josette gwałtownie wciąga oddech.

- Czuję, jak ci serce bije - szepnął, a potem zaczął powoli poruszać biodrami, podniecając się w jednej chwili.

- Marc! - wykrzyknęła, głęboko zawstydzona jego reakcją.

Pocałował ją, przymykając oczy.

- Smakujesz kawą - wymruczał. - Ty zawsze smakujesz kawą i pachniesz różami.

Teraz i jemu serce biło jak szalone, gdy wsuwał kolano między jej nogi. Tym razem nie protestowała, bezradnie wbiła paznokcie w jego tors, rozchyliła wargi.

- Do licha, przestań się bawić. Dotknij mnie zażądał, sięgając po jej dłoń, którą nakierował na metalowe zatrzaski swojej kremowej koszuli. Nie potrzebowała dalszej zachęty, błyskawicznie uporała się z zatrzaskami, rozpinając mu koszulę aż do samych spodni i z lubością zanurzyła palce we włosach porastających jego tors. Jednocześnie pocałowała go chciwie.

- Kobiety lecą do Griera jak muchy do miodu, ale przy tobie czuję się tak, jakbym to ja był najlepszy ze wszystkich - wyszeptał. - Rozchyl usta, Josie...

Zaczął sugestywnie poruszać nogą wsuniętą między jej uda, a wtedy Josette zadrżała i z cichym jękiem rozkoszy przyłgnęła do niego mocniej, zarazem

otaczając jego szyję zdrowym ramieniem.

- Zaraz... Poczekaj... - Odsunął się nieco, rozpiął guziki jej bluzki i chwilę potem mógł napawać wzrok widokiem dwóch ślicznych piersi o stojących, twardych, ciemnych sutkach. Pogładził je obiema dłońmi, a wtedy Josette znów jęknęła bezradnie.

- Tak! - rzekł chrapliwym głosem, przygarniając ją mocno do siebie, by poczuć jej nagość na swojej skórze. - Och, tak...

- Tyle czasu... Tak dawno... - szeptała bez tchu pomiędzy pocałunkami, a brzmiało to jak skarga.

- Zbyt dawno - zgodził się z żarem. - Chodź bliżej, skarbie. Bliżej... Jeszcze bliżej!

Chwycił ją oburącz za biodra i gwałtownie przyciągnął, by uderzyła łonem o jego twarde penis, napierający na materiał spodni. Wstrząsnął nim dreszcz, przeszywając go od stóp do głów rozkoszną, niezdolną torturą.

Do oczu napłynęły jej gorące łzy. Nie dbając o ból w lewym ramieniu, uniosła obie ręce, zanurzyła je w brązowych włosach Brannona, zrzucając mu kapelusz i przyciągnęła jego głowę do swych piersi. Wygięła się do

tyłu, szepcząc coś błagalnie.

Nie mógł się oprzeć takiej prośbie, więc chciwie przywarł ustami do wyprężonego sutka i zaczął go ssać, a Josette drżała, prawie umierając z pragnienia. Minęły całe dwa lata, odkąd dotykał jej w ten sposób, odkąd leżała naga w jego ramionach na kanapie w jego poprzednim mieszkaniu i błagała, by nie przestawał.

Musiał pomyśleć o tym samym, gdyż uniósł głowę i zatopił spojrzenie w szeroko otwartych, pełnych pożądania oczach Josette.

- Rozebrałem cię wtedy... - rzekł cicho. - Zdjąłem z ciebie wszystko, pamiętasz? Ściągnąłem koszulę, pomogłaś mi w tym. Potem leżałem na tobie, całowałem cię, rozsunęłaś nogi... - Pocałował ją mocno. - Dygotałaś, szlochałaś... Ja też dygotałem, prawie nie mogłem oddychać. Nie masz pojęcia, jak bardzo tego chciałem. Ale nie mogłem w ciebie wejść, nie mogłem! Przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje, a ty tak krzyknęłaś z bólu... To było jak kubeł zimnej wody.

Josette z jękiem wtuliła twarz w jego pierś, ponownie przeżywając tamte chwile.

- Kiedy się odsunąłem, zrobiłaś się cała czerwona

ze wstydu i nie potrzebowałem już więcej dowodów na to, że nigdy wcześniej nie byłaś z mężczyzną. Chciałem się zapaść pod ziemię, czułem taki wstyd, że nie mogłem z siebie słowa wydusić.

- Przeciwnie. - przypomniała mu z bólem -
Miałeś aż za dużo do powiedzenia!

- Josie, naprawdę mam nadzieję, że od tamtego czasu obejrzałaś chociaż jeden film tylko dla dorosłych, więc może przynajmniej zacznasz rozumieć, czemu byłem wtedy aż tak sfrustrowany.

Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- W pewnym sensie rozumiem.

Aż się roześmiał, po czym kilkoma szybkimi ruchami wyciągnął jej szpilki z koka, by jedwabiste włosy Josette rozsypały się kaskadą po jej ramionach.

- Nie, nadal nic nie rozumiesz - zawyrokował. -
Dotąd jednak pamiętam, jak bolesne było to doświadczenie, więc nie zamierzam go powtarzać. Dlatego na tym zakończymy. Na razie.

Zdecydowanie odsunął się o pół kroku do tyłu, ale nadal trzymał ją mocno w talii i stał tak, drżąc, oddychając ciężko i walcząc z pożądaniem, które

próbowało ovladnąć nim bez reszty.

- Wybacz, wcale tego nie planowałem - wyznał i uśmiechnął się z trudem. - Nie chciałem znowu stracić głowy.

Nie spodziewała się przeprosin, podobnie jak nie spodziewała się aż takiego wybuchu pasji z jego strony. Powoli zaczynało do niej docierać, że on niczego nie udawał, przeżywał ich pieszczoty równie mocno jak ona i wcale nie zmyślał, kiedy mówił, że ma za sobą dwa lata kompletnej abstynencji. Walczył ze sobą na jej oczach, widziała, ile wysiłku potrzebował w to włożyć. Zawsze wydawał się taki arogancki i pewny siebie, a tu nagle okazało się, że pragnienie miało nad nim taką samą władzę jak nad nią. I ten Brannon, który nie był doskonały, miał swoje słabości, ulegał im, a potem potrafił przeprosić, podobał jej się jeszcze bardziej. I przy takim Brannonie nie musiała się aż tak bardzo wstydzić, że się zapomniała.

Tymczasem Marc ujrzał, w jaki sposób Josette na niego patrzy i pomyślał, że nie jest odosobniony w swojej słabości. Nie chciał się zapominać, nie chciał popełniać błędów, lecz przy niej stawał się prawdziwym

niewolnikiem namiętności. Ona jednak przeżywała dokładnie to samo - ona, taka opanowana i profesjonalna, potrafiąca zmrozić mężczyznę jednym spojrzeniem. Przy takiej Josette nie musiał się aż tak bardzo denerwować, że się zapomniał.

- Pewnie czujesz się jak główne danie, ale naprawdę mówiłem szczerze, kiedy zapraszałem cię na naleśniki.

- Wszystko w porządku - zapewniła z łagodnym uśmiechem i tajemniczym wyrazem oczu.

Wzrok Brannona przesunął się na jej nagie piersi, więc Josette zakłopotana się nieco, zaśmiała się trochę nerwowo - ale tylko trochę - po czym zapięła bluzkę. Marc również powoli zapiął swoją koszulę, przyglądając się nabrzmałym od pocałunków ustom Josette, jej rozpuszczonym włosom oraz spłonionej twarzy. Sprawiała wrażenie wytrąconej z równowagi i... szczęśliwej. Na ten widok i on się uśmiechnął. Kto wie, pomyślał. Kto wie...?

Brannon zrobił naleśniki z francuskiego ciasta, a Josette sałatkę. Zgodnie krzatali się po kuchni, jakby robili to od lat. Ona chodziła w rajstopach, on w

skarpetkach. Ona zostawiła włosy rozpuszczone. On okazał się świetnym kucharzem.

Potem w równie zgodnym milczeniu siedzieli przy stole i delektowali się jedzeniem. Josette skończyła pierwsza i nie mogąc się powstrzymać, zapatrzyła się chciwym wzrokiem w ostatni kawałek naleśnika na talerzu Marca. Brannon zauważył to, ze śmiechem nabił ten kawałek na widelec i podał jej prosto do ust.

- Nie musisz mi dziękować, twoje łakomstwo to najlepszy komplement.

- Bo są naprawdę przepyszne - przyznała po chwili.

- Wiesz, gdybyśmy mieszkali razem, mógłbym ci codziennie robić takie naleśniki.

Właśnie miała napić się kawy, ale zamarła w pół gestu, ręka z kubkiem zawisła w powietrzu. Josette niepewnie spojrzała na Brannona, próbując odgadnąć znaczenie tej ostatniej uwagi. Żartował? Raczej nie, gdyż patrzył na nią z powagą, w srebrnoszarych oczach lśniła determinacja oraz coś jeszcze. Coś znacznie bardziej...

Zadzwoił telefon i ta chwila umknęła bezpowrotnie. Brannon podniósł się od stołu, przeprosiwszy, i

odebrał telefon. Słuchał przez chwilę tego, co rozmówca miał do powiedzenia i coraz mocniej ściągał brwi.

- Dlaczego teraz? - odezwał się wreszcie. - Czy to nie może poczekać do rana? - spytał z niecierpliwością. Kiedy wysłuchał odpowiedzi, westchnął głęboko. - W porządku, skoro to takie istotne... Daj mi dwadzieścia minut.

Odłożył słuchawkę, wpatrywał się w nią przez kilka sekund, po czym odwrócił się ku Josette.

- To Bib. Jest w swoim domu w San Antonio i koniecznie chce, żebym przyjechał. Jakiś pomysłowy dziennikarz próbuje rzucić nowe światło na morderstwo Garnera, a Bib prawie dostał zawału, kiedy usłyszał jego rewelacje.

- Po co cię wzywa? Oczekuje, że zaaresztujesz dziennikarza?

- Nie, potrzebuje zasięgnąć rady. Zważywszy na sytuację, proponuję, żebyś jechała ze mną. Zgoda?

- Dlaczego?

- Według dziennikarza ktoś z podziemnego świata znalazł dowód obciążający Biba i zamierza go szantażować.

Jej oczy rozjaśniły się.

- Nareszcie jakiś przełom w śledztwie! Może nie tylko dowiemy się, co to za dowód, ale i kto zabił Garnera.

- Może. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia. Chodź.

Na widok rezydencji Webba Josette nie po raz pierwszy pomyślała o tym, ile przyjaciel Brannona zyskał na śmierci Henry'ego Garnera. Na podjeździe parkowały dwa samochody — nieduży szary volkswagen, nowoczesna wersja tradycyjnego „garbusa” oraz najnowszy model lincolna.

- Czy Silvia też jest w domu? - spytała Josette, wskazując volkswagena.

- Ona jeździ ferrari, w życiu by nie wsiadła do czegoś takiego. To wóz Becky.

- Czyżby szykował się skandal?

- Myślę, że szybko się zorientujesz, jak Bib jest zmęczony swoim życiem - odparł zagadkowo. - Skandal związany z Becky byłby najmnijszym z jego zmartwień.

Pan domu osobiście otworzył im drzwi. Wyglądał niczym własny cień - pod oczami rysowały się wyraźnie

wielkie sine podkówki, koszula była rozpięta, nie nosił krawata ani marynarki, włosy miał zmierzwione, jakby nerwowo wzburzył je ręką, i to ładnych parę razy.

- Wejdźcie. - Ze względu na Josette postarał się uśmiechnąć. - Miło mi, że pani przyszła, panno Langley, zważywszy na wszystko, co się wydarzyło.

- Miło mi, że nie ma pan nic przeciw mojej obecności - odparła równie uprzejmie.

Weszli do salonu, na którego środku stała zdenerwowana Becky Wilson. Stanowiła zupełne przeciwieństwo pewnej siebie, oszłamiającej i seksownej Silvii, ponieważ spinała ciemne włosy w porządną kok, nosiła okulary oraz sukienkę do kostek z grzecznym białym kołnierzykiem i długimi rękawami. Bib uśmiechnął się do niej.

- Znacie Becky, więc nie muszę was przedstawiać.

- Zrzuńmy go, skompromitujmy! - wybuchnęła, nie bawiąc się w powitania i wymianę grzeczności. - Co robić? Co robić?

Bib wykonał uspokajający gest.

- Przede wszystkim nie należy się poddawać

przed czasem. Najpierw rozważmy wszystkie opcje.

- A mamy jakieś?
- Zawsze jakieś są - odparł łagodnie.
- Usiądź, proszę.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Brannon od razu przeszedł do rzeczy.

- Czego dowiedziałeś się od tego dziennikarza?
- Dotarł do złożonych pod przysięgą zeznań jednego z dobrych znajomych Jake'a Marsha.

Ów człowiek słyszał, jak Marsh mówił o księdze głównej, dzięki której da się udowodnić, że płaciłem mafii, oczywiście po to, żeby sfałszować wyniki wyborów i brudnymi metodami zmusić mojego przeciwnika do wycofania się. W zamian mafia zyskała powolnego im człowieka na stanowisku wicegubernatora. Marsh nie ma tej księgi, ale wie, u kogo ona jest.

- Księga główna! - Marc i Josette wymienili wymowne spojrzenia. To tłumaczyło ową „Biblię” zabraną z mieszkania pani Jennings. Brannon z powrotem skierował wzrok na przyjaciela.

- A jak było naprawdę? Masz coś na sumieniu?

Mina Biba mówiła sama za siebie.

- Znasz mnie od lat. Czyja należę do ludzi, którzy próbują zdobyć głosy za wszelką cenę?

Brannon aż się roześmiał, tak absurdalnie to zabrzmiało.

- Oczywiście, że nie.

- Za to przyznaję się do nieopatrznego zatrudnienia człowieka, który faktycznie brał pieniądze od mafii za pogrążenie mojego przeciwnika. Zwolniłem go, kiedy tylko się o tym dowiedziałem. Może jakiś tydzień przed tym nieszczęsnym przyjęciem... To był znajomy Jenningsa, więc rozumiecie, jak się zdenerwowałem, gdy nagle okazało się, że Jennings podprowadził coś z sejfu Henry'ego. Z tego powodu pokłóciłem się z Henrym podczas przyjęcia, bo uważałem, że powinien natychmiast odprawić nieuczciwego pracownika, on zaś chciał czekać i zmusić go do oddania tej rzeczy. - Potrząsnął głową. - Głupia, niepotrzebna kłótnia... Dałbym wszystko, żeby cofnąć czas, żeby jej nie było.

Przez chwilę panowała cisza.

- Czy wiesz, że zamordowano również matkę Jenningsa?

Pan domu był w szoku.

- Przecież to była schorowana starsza kobieta!
Czemu ktoś miałby ją krzywdzić?

- Najpierw podstępnie wyłudzone od niej wszystkie oszczędności i doprowadzono do eksmisji, potem spalono jej dom, a na koniec torturowano ją, by wydobyć informacje.

Bib ukrył twarz w dłoniach.

- Wielki Boże!

- Dwa dni przed znalezieniem ciała mieszkanie pani Jennings odwiedzili mężczyzna i kobieta, mężczyznę prawdopodobnie był Jaki Marsh - poinformowała Josette. - Znamy też tożsamość płatnego zabójcy, który zastrzeli Dale'a Jenningsa oraz hakerki, która włamała się do systemu komputerowego więzienia w Austii i zdołała zmienić dane więźnia, by umożliwić mu ucieczkę.

Bib uniósł głowę z nagłym ożywieniem.

- Znacie mordercę? Kto to?

- Niejaki Johnny York, wynajmowany przez Marsha do mokrej roboty. Namierzeliśmy go ale zdążył postrzelić Josie, zanim został ujęty. Potem udało mu się

uciec ze szpitala. Wszystko wskazuje na to, że planuje zabić kolejną ofiarę ale nie wiemy, kto ma nią być.

Bib zaczął nerwowo bawić się obrączką.

- To może być każdy, kto wie o księdze głównej... - Z nagłym niepokojem spojrzął ni Becky. - Czyli nie tylko ja, ale i ty. No i Silvia - dodał, ale już obojętnie.

- Tak a propos, gdzie ona jest? - zainteresował się Brannon.

- Pojechała na zakupy, bo potrzebuje odświeżyć garderobę, skoro ma zostać żoną senatora. - Zaśmiał się głucho. - To jej pomysł, żebym się ubiegał o ten fotel, bo ona potrzebuje upajać się tym miłym poczuciem władzy, jakie daje jej obracanie się wśród ważnych ludzi. Oraz noszenie ubrań, na widok których inne kobiety zielenieją z zazdrości - dodał i potrząsnął głową.

Powiedziałem, że wystarczy mi posada wicegubernatora, ale ona się uparła. Nie chciałem jechać do Waszyngtonu, dalej nie chcę, lecz w końcu uległem dla świętego spokoju. A teraz wygląda na to, że nie tylko nie zostanę senatorem, ale i obecnej posady nie utrzymam.

Becky westchnęła.

- Ten reporter obiecał nie publikować niczego, dopóki nie zdobędzie niepodważalnych dowodów. Szczęście w nieszczęściu, że najpierw zgłosił się do mnie, chociaż mógł zrobić wielką aferę, bazując jedynie na zeznaniach tamtego człowieka. To jednak uczciwy dziennikarz i nie chce sobie wyrabiać nazwiska, łamiąc innym kariery. W dodatku tak się dobrze składa, że on lubi Biba - dodała z uśmiechem.

- Nikt nie będzie mnie lubił, gdy ta cała sprawa zostanie nagłośniona. Nie żałuję, że moja kariera polityczna dobiegnie końca, bo mam dość polityki, najchętniej bym się z niej wycofał, kiedy tylko kadencja wicegubernatora dobiegnie końca, i wrócił do tego, co mnie najbardziej zajmuje, czyli do projektowania i unowocześniania urzędów rolniczych. Ale nie chcę odchodzić z życia publicznego w atmosferze podejrzeń i niedomówień. - Popatrzył z powagą na przyjaciela. - Nie brałem żadnych łapówek. Nigdy. Pomóż mi udowodnić, że mam czyste ręce, niezależnie od tego, co napiszą w gazetach.

- Może być bardzo ciężko - uprzedził lojalnie

Brannon.

- I tak przy tym pracujesz, bo przecież wszystko w jakiś sposób łączy się z osobą Jenningsa. No i dałbym głowę, że Marsh mocno maczał w tym palce, chociaż nie potrafiłbym tego udowodnić.

- My też tak uważamy i też jeszcze nie mamy dowodów, chociaż śledztwo czyni postępy.

W tym momencie Josette zauważyła coś, co przykuło jej uwagę. Podniosła się i podeszła do stolika, na którym stała niewielka ozdobna patera z cukierkami w wyjątkowo wymyślnych opakowaniach.

- To miętówki, poczęstuj się - rzekł Bib. - Ja sam ich nie znoszę, ale podobno są dobre. Becky zamawia je specjalnie gdzieś we Francji.

Josette i Brannon wymienili błyskawiczne spojrzenia, myśląc o tym samym - o przyjaciółce Dale'a, lubiącej luksusowe miętówki. Brannon dał niemal niedostrzegalny znak, więc Josette zrozumiała, że ma zachowywać się, jakby nigdy nic. Wzięła cukierek, rozwinęła z opakowania, włożyła do ust, uśmiechnęła się.

- Naprawdę znakomite - przyświadczyła,

dyskretnie wsuwając opakowanie do kieszeni żakietu.

- Owszem - odparła z roztargnieniem Becky, oderwała rozkochany wzrok od Biba i z niepokojem spojrzała na Brannona. - Jak pan myśli, na kogo teraz poluje morderca? Chyba nie na Biba, prawda?

- Raczej nie, bo na zabiciu wicegubernatora prędzej straci niż zyska - ocenił Brannon.

- Księga główna musi zawierać informacje, które po ujawnieniu zaprowadzą mordercę do więzienia, inaczej nie byłby tak zdeterminowany, by ją odnaleźć. Wiadomo, że Bib jej nie ma, zresztą idę o zakład, że akurat jego zapisy w księdze oczyszczą z wszelkich możliwych zarzutów. Za to kogo innego pogrążą...

- Pewnie to któryś z moich własnych ludzi - domyślił się Bib, coraz bardziej zgnębiony.

- Ale kto z mojego otoczenia jest zdolny posunąć się aż do morderstwa?

Brannon już miał na to odpowiedź, musiał ją jednak zachować dla siebie. Jeszcze przez jakiś czas. Wstał.

- Jeśli tylko dowiemy się czegoś nowego w tej sprawie, damy ci znać. Rozwiążemy tę zagadkę,

obiecuję.

Bib podniósł się również, uśmiechając się melancholijnie.

- Zawsze stajesz po mojej stronie. O cokolwiek mnie do tej pory oskarżano, ani razu w to nie uwierzyłeś.

- Ponieważ cię dobrze znam - odparł krótko Brannon.

- A ja znam ciebie. - Bib wyciągnął rękę.

- Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego miałem. Zanim to wszystko się skończy, będę potrzebował twojej przyjaźni bardziej niż kiedykolwiek.

- Spokojna głowa, nie opuszczę cię w trudnych chwilach - zapewnił Brannon z szerokim uśmiechem.

- Ani ja - dodała stanowczo Becky. - I nie obchodzi mnie, czy pani Webb to się spodoba czy nie! Sama powinna ci towarzyszyć w takich momentach, a nie jeździć sobie na zakupy. Nigdy jej nie ma, kiedy potrzebujesz wsparcia! Ani tu, ani w Austin!

- Becky, zostawmy ten temat - poprosił Bib.

- Oboje doskonale wiemy, że Silvia zupełnie nie dba o to, co się ze mną stanie. Jej zależy tylko na bogactwie i na prestiżu, nic więcej jej nie obchodzi.

- Poza nią samą - mruknęła Becky. - O własną wygodę potrafi zadbać. Powinieneś mieć dom pełen dzieci...

- Bardzo bym chciał... - odparł Bib równie zamyślonym tonem, po czym spojrzał na Becky i uśmiechnął się w taki sposób, że zarumieniała się i odwróciła wzrok.

- Musimy już iść - oznajmiła Josette, by zaoszczędzić Becky zakłopotania.

- Tak, czas na nas — poparł ją Brannon. - Bib, nic martw się o nic i przede wszystkim niczego nie podpisuj.

- Stary, skończyłem prawo - przypomniał mu przyjaciel.

- Dobra rada nigdy nie zaszkodzi, nawet prawnikowi.

Bib skinął głową i odprowadził ich do drzwi.

- Uważajcie na siebie - poprosił. - Dwie osoby już nie żyją. Trzy, jeśli doliczyć Henry'ego. Ktokolwiek za tym stoi, nie zawaha się zabić każdego, kto mu w jakiś sposób zagrozi.

- Wiem. - Brannon uśmiechnął się zagadkowo. -

Szczerze powiedziawszy, właśnie na to Uczę. Cześć. Będziemy w kontakcie. - Zawahał się. - Aha, jeszcze jedno. Czy Silvia robiła kiedyś jakieś kursy w college'u?

Bib tylko parsknął śmiechem.

- Silvia? Dobry Boże, przecież ona skończyła edukację w wieku piętnastu lat i żadna siła nie byłaby w stanie zmusić jej do dalszej nauki, ho przecież przez to miałyby mniej czasu na zakupy!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ledwie wsiedli do dżipa, podekscytowana Josette obróciła się do Brannona.

- Czyli Silvia nie robiła żadnych kursów! Czemu w takim razie kręciła się po kampusie i w jego okolicach?

- Też chciałbym to wiedzieć.

- A co powiesz na temat tych miętówek na stoliku? - Wyciągnęła z kieszeni opakowanie po cukierku. - Wiemy od pani Jennings, że przyjaciółka Dale'a właśnie takie lubiła. Ponadto ta przyjaciółka wiedziała, co Dale przechowuje. Becky sprowadza z Francji luksusowe cukierki. Ty sam powiedziałeś, że dla Biba zrobiłaby wszystko. Wniosek?

- Wszystko z wyjątkiem morderstwa - poprawił, zapuszczając silnik. - W dodatku pani Danton przypomniała sobie jeszcze jeden szczegół. Według niej ta kobieta, która przyjechała z Marshem do pani Jennings, była blondynką.

- Mogła nosić perukę.

- Naprawdę potrafisz sobie wyobrazić Becky, jak

z zimną krwią przypala papierosem schorowaną staruszkę?

Josette zawahała się.

- Rzeczywiście trudno to sobie wyobrazić przyznała. - Ale od razu widać, co ona czuje do twojego przyjaciela. Zresztą on do niej też. A zakochani potrafią robić rzeczy, których normalnie by nie zrobili. Westchnął.

- Ona go kocha od lat. Silvia koniecznie chciała, żeby Bib ją zwolnił, ale w tej jednej kwestii on nie zamierza ustąpić, co zresztą stało się kolejną kością niezgody między nimi. Trudno o dwie bardziej różne kobiety. Silvia jest bardzo ambitna, Becky wcale.

- Becky chciałaby mieć dzieci - zauważyła Josette, przypominając sobie tęsknotę w oczach ciemnowłosej asystentki, gdy ta patrzyła na swojego pracodawcę.

- Bib również, ale Silvia jest bezpłodna po tamtym upadku ze schodów.

- Wierzysz w to?

- Myślę, że kiedy jej na czymś naprawdę zależy, to nic nie zdoła jej powstrzymać. Jest twarda i przebiegła,

obejdzie każdą przeszkodę, byleby tylko osiągnąć, co sobie zamierzyła.

- W każdym razie na pewno nie kręciła się w okolicach kampusu bez powodu. Sądzisz, że zdradza męża?

- Możliwe.

Wyjechali na główną drogę, Josette popadła w zamyślenie.

- Czytałam dossier Marsha i widziałam jego zdjęcia - odezwała się po jakimś czasie. - Jest bardzo przystojny, zawsze ubiera się elegancka i wydaje się mieć nieskazitelne maniery, czyli, krótko mówiąc, gangster z klasą. Podobno zaczyna się robić naprawdę bogaty, ponieważ dobrze zainwestował nielegalnie zdobyte pieniądze. A jeśli Silvia przestała kochać męża i przeniosła uczucie na Marsha?

Brannon ściągnął brwi, gdyż nigdy nie rozważał podobnej ewentualności, wiedząc o tym, jak wysoko Silvia ceni sobie swój zdobyty przez małżeństwo status społeczny.

- To zagroziłoby jej pozycji, a ta jest dla Silvii najważniejsza. Czy zaryzykowałaby utratę wszystkiego,

co zdołała zdobyć, dla romansu z innym mężczyzną?
Zwłaszcza z gangsterem?

- Kobiety lubią niebezpiecznych mężczyzn. Lecą do nich jak ćmy do światła.

Posłał jej iście diaboliczne spojrzenie.

- Doprawdy? No to zaraz sprawdzimy twoją teorię w praktyce. Co powiesz na partyjkę bilardu?

- O nie! - jęknęła teatralnie. - Kolejna wyprawa do podziemnego świata? Tylko nie to!

- Z Grierem pojechałaś - wytknął jej. - Czemu nie miałabyś jechać ze mną? Jestem równie wredny jak on i też potrafię zmuszać ludzi do mówienia.

- I tak z was dwóch wolę ciebie. Popatrzył na nią przenikliwie.

- O, a to czemu?

- Bo umiesz świetnie gotować. Brannon wybuchnął śmiechem.

Chociaż zaczynało robić się późno, w salonie bilardowym wciąż było pełno ludzi. Brannon i Josette odnaleźli Bartletta, który właśnie składał się do skomplikowanego strzału. Kiedy mu się udało dokonać zamierzonej sztuki, wyprostował się z triumfalnym

uśmiechem, a jego spojrzenie padło prosto na Brannona. Natychmiast odłożył kij i unióś obie ręce.

- Nigdy nie powiedziałem złego słowa na żadnego Strażnika - zapewnił z naciskiem.

I nie mam nic, ale to zupełnie nic wspólnego z próbą zabicia Judda Dunna w zeszłym miesiącu. I nie mam bladego pojęcia, kto za tym stał!

Josette zerknęła kątem oka na Brannona i ciarki ją przeszły na widok wyrazu jego twarzy. Przy niej nigdy nie wyglądał równie groźnie. Podszedł bliżej do Bartletta, a nieduży człowieczek aż się skurczył.

- Naprawdę nie byłem w to zamieszany, Brannon. Przysięgam!

- A czy ja powiedziałem, że byłeś? - spytał, postępując jeszcze o krok bliżej. - Chciałem tylko zabrać cię na mały spacer.

- Najpierw dasz mi słowo przy świadkach... - wskazał stojących dookoła stołu ludzi - ...że zdołam potem wrócić o własnych siłach. Słyszałem o tobie wystarczająco dużo i nie zamierzam ryzykować.

Josette była zaintrygowana i postanowiła, że postara się dowiedzieć, co też mówiły opowieści o

Brannonie.

- Masz na to moje słowo - zapewnił solennie Brannon. - Żaden Strażnik nie jest oprychem i nie poturbuje świadka. W końcu musimy dbać o swoją reputację.

- W takim razie chodźmy.

- A co z naszą partią? - spytał z niezadowoleniem przysadzisty mężczyzna, który grał z Bartlettem w bilard.

- Zaczniemy od nowa, kiedy wrócę. Wyszli z salonu, Brannon skierował się w stronę słabo oświetlonej bocznej alejki.

- Czego chcesz? - odezwał się nerwowo informator.

- Żebyś mi opowiedział wszystko, co wiesz o przyjaciółce Marsha.

- Dopiero co Grier zadał mi to samo pytanie...

- ...i nie jest ani trochę mądrzejszy niż przedtem. Ale mnie wszystko ładnie wyśpiewasz, bo nie chcesz skończyć zamieszany w trzy morderstwa. - Stał przed niedużym, niemłodym mężczyzną, wbijając w niego zimne spojrzenie. Wydawał się w ogóle nie mrugać.

Minęła jakaś minuta.

- Nie, nie chcę. I nie zamierzam nadstawiać karku za Marsha. Tylko że on ma coś na mnie...

- Dużo mu z tego przyjdzie, kiedy dostanie dożywocie albo i gorzej. A teraz gadaj.

Bartlett odetchnął głęboko.

- Dobra. On ma haka na jakąś bogatą kobitkę, która musi mu pomóc w odnalezieniu tego czegoś, na czym położył łapę Dale, bo ta rzecz to prawdziwa bomba, która wybuchnie, jeśli najpierw dorwą ją gliny. Babka ma tyle samo do stracenia, co Marsh, a może nawet i więcej. Pożegna się z całym swoim bogactwem, kiedy sprawa się rypnie.

- Widziałeś ją?

- Widziałem, chociaż niedokładnie, bo spryciula nosi taką firankę przy kapeluszu, która zasłania twarz. Ale i tak widać, że laska pierwsza klasa. Prawdziwa blondyna, wystrojona jak jaka modelka.

Josette ściągnęła brwi, ponieważ opis zupełnie nie pasował do Becky. Czyżby chodziło o Sandrę Gates? Była naturalną blondynką, na jej kanapie walały się opakowania po francuskich miętówkach, eleganckie ubrania mogła mieć pochowane w szafie...

- Czy Marsh ją posuwa? - spytał bez ogródek Brannon.

- Tego nie wiem na pewno, może chodzić tylko o kasę. Za to mogę ci powiedzieć, że ta lalka jest równie niebezpieczna jak Marsh. Gadają, że ona przypalała tę staruszkę, którą wysłali na tamten świat.

Brzmiało to strasznie. Josette przypomniała sobie zdeterminowaną, zimną blondynkę, mieszkającą w obskurnej przyczepie. Czy przebiegła hakerka, która złamała prawo i pomogła uciec z więzienia człowiekowi skazanemu za morderstwo, byłaby zdolna do zadawania tortur? Niewykluczone. Sandra zaszyła się jednak gdzieś w Argentynie i nie dało się wystąpić o jej ekstradycję.

- Czy obilo ci się o uszy nazwisko Sandra Gates?
- spytała Bartletta.

- Tak, podobno potrafi się włamać do każdego komputera. Czasem zbiera dla Marsha informacje, kiedy on chce o kimś coś wiedzieć, najlepiej coś trefnego. Mówią, że diabelnie twarda z niej sztuka. - Na twarzy informatora pojawił się niepokój. - Brannon, jeśli Marsh się dowie, co ode mnie usłyszałeś, wyśle za mną Yorka...

- Nigdy nie zdradzam moich informatorów.

Jeszcze jedno pytanie i dam ci spokój. Co łączyło Jenningsa z Marshem i blondynką?

Bartlett zapalił papierosa, widać było w nikłym świetle zapalniczki, jak drżą mu ręce.

- To jest właśnie najciekawsze ze wszystkiego. Dale miał romans z tą lalą, Marsh to wyniuchał i zlecił komuś zrobienie im pamiątkowych fotek do rodzinnego albumu - zachichotał. - Kobiątka zrobiła się blada jak śmierć, kiedy je zobaczyła, bo to nie ona jest bogata, tylko mąż, a jak zobaczyłby te zdjęcia, rozwód murowany. A przy takich dowodach nie zdoła z mężulka złamanego centa przy rozwodzie wydusić...

Josette znów zaczęła się gubić, gdyż - o ile było jej wiadomo - Sandra Gates nie posiadała bogatego męża.

- To już wszystko, co chciałem wiedzieć - rzekł Brannon. - Dzięki, Bartlett, nie zapomnę ci tej przysługi.

- Jeśli Marsh się kiedykolwiek dowie... Josette nawet nie zauważyła, kiedy pięść Brannona wystrzeliła do przodu. Informator zatoczył się i z grymasem złapał się za szczękę.

- Pokaż to tamtym. - Brannon wykonał broda gest w stronę salonu bilardowego. - I powiedz, że jestem

wściekły, bo koniecznie chcę dorwać drania, który próbował zabić mojego kumpla Dunna.

Bartlett zdołał się uśmiechnąć mimo bólu.

- Dzięki. Jesteś w porządku, Brannon; A swoją drogą, czy wiesz, kto próbował sprzątnąć Dunna?

- Nie, ale Judd mówi, że na nieszczęście dla sprawcy on wie. - Zachichotał. - Dzięki za pogawędkę.

- Nie ma sprawy. - Bartlett ostrożnie wyminął Brannona i pomknął z powrotem do salonu.

- Sandra Gates mogłaby pasować - zauważyła Josette, gdy tylko zostali sami. - Naturalna blondynka, zdeterminowana i twarda, znalazłam u niej opakowania po miętówkach, zna Marsha, wydostała z więzienia Dale'a, mogła być przedtem jego kochanką.

- Ale jeśli ma męża, to go dobrze ukrywa. No i nie sprawiała wrażenia bogatej, zważywszy na to, jak mieszkała. W dodatku coś mi tu jeszcze nie pasuje...

- Co?

Z irytacją wsadził ręce w kieszenie.

- No właśnie nie wiem. Jestem zmęczony. - Popatrzył na nią i uśmiechnął się. - Ty zresztą też. Odwiozę cię do twojego hotelu.

- A nie do ciebie? - podsunęła.

Popatrzył na nią wymownie.

- Nie zniżaj się. Tortury są prawnie *zakazane* w tym kraju.

Josette zastanowiła się, jak mu powiedzieć o pewnej bardzo istotnej rzeczy, o której dotąd nie miał pojęcia, lecz po chwili wahania doszła do wniosku, że może lepiej zrobi, jeśli jeszcze trochę poczeka. Oczywiście nie za długo. Dzień lub dwa...

- W porządku, jedźmy. O ile na dziś już skończyłeś z dawaniem ludziom w zęby - dodała z przekornym uśmiechem.

Pomógł Josette wsiąść do dżipa i odwiózł ją do hotelu.

- Zauważyłem, że dziś zdjęłaś temblak. Nie za wcześnie?

- Nie, rana goi się nadszpiewanie szybko, a temblak tylko mi przeszkadzał.

- Gdybyś zauważyła jakieś zaczerwienienie albo poczuła gorąco w tym ramieniu...

- Mam głowę na karku i umiem jej używać - przerwała mu.

Brannon odpowiedział jedynie przeciągłym spojrzeniem.

- Dobrze, będę uważać na tę rękę, obiecuję - rzekła z westchnieniem. - Dziękuję za naleśniki.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Położył dłoń na jej karku. - Chodź no tu i pocałuj mnie na dobranoc - zaproponował zmysłowym głosem, od którego aż przebiegł ją dreszcz. Nachyliła się ku niemu z uśmiechem.

- Może jeszcze mam ci poczytać do snu?

- szepnęła.

- Pewnie. Najchętniej jakiś kryminał Agaty Christie.

- Nie za dużo tego dobrego? W końcu mamy własne zagadkowe morderstwa do rozwikłania.

Zaczął pieszczotliwie całować Josette, nakłaniając ją bez słów, by rozchyliła wargi, co tym razem uczyniła bardzo szybko.

- Chyba zacznie nam to wchodzić w nawyk...

- zamruczał.

- Tak myślisz?

Przyciągnął ją bliżej do siebie, otoczył ramio-

nami.

- Na pewno chcesz wracać do Austin? - spytał, a potem pocałował Josie tak, że w mgnieniu oka cała stanęła w płomieniach. - Zobacz, ile przyjemności czeka na ciebie w San Antonio...

- wyszeptał jakiś czas później. - Filharmonia, balet, opera...

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, co myśleć. Gdy się spotkali w Austin, Marc zachowywał się wrogo, tymczasem tutaj gotował dla niej, obsypywał ją najczulszymi pieszczotami. Miałaby się tego wyrzec, rozstać się z nim po zakończeniu śledztwa? Ta myśl okazała się tak przerażająca, że Josette rozpaczliwie przyłgnęła do Brannona, jakby widzieli się po raz ostatni i musieli pożegnać się na zawsze. Zaczęli się żarliwie całować, dłoń Brannona odnalazła guziki bluzki Josette, uporała się z nimi błyskawicznie, chciwie zamknęła się na jędrnej piersi.

Oderwali się od siebie dopiero na dźwięk silnika zbliżającego się samochodu, oboje równie nieprzytomni. Brannon popatrzył zamglonymi oczami na obnażony biust Josette, zacisnął zęby i z powrotem zaczął zapinać

guziki.

- A niech to! - wykrzyknęła z takim żalem, że Brannon nie wytrzymał i parsknął cichym śmiechem.

- Może i dobrze się stało, zważywszy wszystkie okoliczności - stwierdził z rezygnacją.

Josette nerwowo przełknęła ślinę.

- Wiesz... właściwie mógłbyś... iść ze mną na górę - zaproponowała zduszonym głosem.

- I co dalej? - spytał, a w jego oczach pojawiła się udręka. - Przecież wiemy, że do niczego nie dojdzie, bo nie może dojść.

- Ja... Ja to zrobiłam dwa lata temu. Zmarszczył brwi.

- Co zrobiłaś?

Spuściła wzrok i ujrzała, jak mocno bije mu serce. Przcisnęła dłonie do cienkiej koszuli Brannona, poczuła ciepło jego ciała.

- No, poddałam się temu... niewielkiemu zabiegowi - wyznała.

Zamarł. Miał kompletną pustkę w głowie, więc tylko siedział i patrzył na Josette, starając się dojść do siebie.

- Dwa lata temu? - powtórzył mechanicznie.
Skinęła głową.

- Myślałam, że mnie zostawiłeś, bo ja... nie mogłam - zdradziła z trudem. - Poszłam więc do lekarza... - Zaciśnęła powieki. - Ale ty nie wróciłeś. Nie dzwoniłeś, nie pisałeś. Pojechałam na przyjęcie do Webbów tylko dlatego, że miałam nadzieję cię tam spotkać i powiedzieć ci, że... —Umilkła.

- Och, dziecinko! - wyszeptał i przycisnął ją do siebie mocno, mocno. - Dziecinko, wybacz mi! Nie wróciłem, bo wstyd mi nie pozwalał. To dlatego próbowałem uciec od ciebie jak najdalej, próbowałem zapomnieć. Pamiętam, jak na mnie patrzyłaś podczas procesu Jenningsa... Byłem przekonany, że mnie nienawidzisz, przecież tak bardzo cię skrzywdziłem.

- Marc, nigdy nie obwiniałam cię tak, jak ty obwiniałeś sam siebie. Wiele lat temu w Jacobsville popełniłeś błąd, ale wszyscy je popełniamy. Nie znałeś całej prawdy. Jesteś człowiekiem, miałeś prawo się pomylić w swojej ocenie.

Jeszcze bardziej zacieśnił uścisk, niemal zadając jej ból.

- Nie powinienem był od ciebie odchodzić -
wyznał z żalem. - Nigdy!

Aż się uśmiechnęła do siebie, gdy zaczął ją całować bez opamiętania, ewidentnie tracąc głowę i płonąc z pożądania. Och, oddałaby wszystko za to, by czuł coś więcej, ale postanowiła zadowolić się tym, co miał do zaofiarowania, gdyż z dwojga złego wolała żyć z Markiem, który jej nie kochał, niż bez niego. Przedtem broniła się przed romanssem, lecz po ostatnich namiętnych pieszczotach w mieszkaniu Brannona prawie nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Kiedy odsunął się na moment, by złapać oddech, szepnęła mu do ucha:

- Chodźmy do mojego pokoju.

Nie odpowiedział od razu, powoli przesunął dłońmi po plecach Josette, napawając się jej dotykiem, ciepłem, zapachem.

- Nie - odrzekł w końcu.

Takiej odpowiedzi w ogóle nie wzięła pod uwagę.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie zamierzam sprowadzać tego, co się między nami dzieje, do dwóch kwadransów w łóżku.

Była absolutnie przekonana, że Brannon bez namysłu wykorzysta okazję, a tymczasem... Odchyliła głowę i spojrzała mu w twarz, próbując z niej wyczytać, co on myśli.

- I ty też nie - oznajmił z przekonaniem, ujął dłoń Josette i ucałował. - Zrozum, gdyby chodziło mi tylko o to, żeby cię uwieść, nie uczyłbym się, jak zrobić prawdziwe francuskie naleśniki. - Znowu uniósł jej dłoń do ust. - Nawet nie potrafisz odgadnąć, co czułem, kiedy zobaczyłem cię w biurze Simona w Austin. Udałem obojętność, ale była to najtrudniejsza rzecz, jaką musiałem zrobić w życiu.

- Myślałam, że mnie nienawidzisz!

- Nienawidziłem samego siebie, do pewnego stopnia nadal tak jest. - Czułem ucałował jej zamknięte powieki, potem pieścizotliwie powiódł koniuszkiem języka po długich rzęsach. - Nie mogę znieść, że dzielisz pokój z Grierem...

- Czemu?

- Bo on szuka właśnie kogoś takiego. Kobiety wrażliwej, pełnej czułości, wyjątkowej. Rzadko spotyka się podobne osoby, a ty do nich należysz.

Delikatnie dotknęła palcami ust Brannona.

- Ty też jesteś wrażliwy, czuły i wyjątkowy. Odetchnął głęboko, ogarnął ją spojrzeniem, a wtedy jego wzrok padł na rysujący się pod rękawem bandaż.

- Szkoda tylko, że nie umiem o ciebie do statecznie dbać.

- Zazwyczaj potrafię dbać sama o siebie, ale jeśli ty chcesz się tym zająć, to nie mam nic przeciw temu. Pod warunkiem, że ja zadbam o ciebie.

Zapatrzył się na nią w milczeniu, wyobrażając sobie, jak wyglądałoby ich wspólne życie. Zamieszkaliby na jego ranczu. Budziłby się co rano, mając ją przy sobie. Wieczorami zanosiłby ją do łóżka. Przestałby być taki wybuchowy, zaczęłyby dobrze sypiać, zamiast zrywać się, dręczony koszmarami. Miałby wreszcie kogoś swojego i sam też by do kogoś należał. Razem jeździliby konno, dzieliliby codzienne obowiązki, troski i radości, chwile dobre i złe, wspierali się wzajemnie, rozmawialiby... I kochaliby się do woli.

Aż go ścisnęło w dołku.

- Chyba pograżyłeś się w głębokich rozmyślniach - zauważyła, wygładzając palcami jego brwi.

- Mhm... - Ściągnął brwi jeszcze mocniej. Kiedy jesteś przy mnie, zdejmujesz okulary.

czemu? Aż tak przykro na mnie patrzeć? - zażartował.

- Ciebie widzę dobrze, zwłaszcza kiedy jesteś tak blisko...

- Ale możesz nie dostrzec zagrożenia, a teraz oboje musimy być na nie szczególnie wyczuleni. Masz nosić okulary cały czas, jasne?

Westchnęła.

Dobrze, będę nosić. Zdejmuję je, bo bez nich wyglądam lepiej.

- Mylisz się. W okularach wyglądasz jeszcze ładniej. I seksowniej, jeśli chcesz wiedzieć.

- O! W takim razie jutro kupuj ę trzy nowe pary.

Marc przesunął palcem wzdłuż jej nosa, czując w sobie jakąś dziwną błogość i zadowolenie. Nie do końca wiedział, czemu je przypisać.

- I dokładnie zamknij drzwi, pamiętaj.

- A co? Chcesz je spektakularnie wyważyć i dobrać się do mnie?

- Lepiej nie podsuwaj mi takich pomysłów, bo

ciągle jestem nieźle nakręcony - ostrzegł.

- Proszę, proszę... - wyszeptała i przysunęła się bliżej.

Powstrzymał ją gestem.

- Dżip zacznie się bujać - ostrzegł z kamiennym wyrazem twarzy. - Ludzie zauważą, wezwą policję. Policja pewnie zadzwoni po Griera a nie wiesz, do czego on jest zdolny. Wyobraź sobie telewizyjne kamery dookoła, światła, reporterów, ciekawską gawiedź...

Wybuchnęła śmiechem i odsunęła się.

- Bardzo obrazowo to opisałeś. Niech ci będzie, poddaję się.

Pocałował ją po raz ostatni.

- Naprawdę upewnij się, że dobrze zamknęłaś za sobą drzwi.

- Ty też. - Już wysiadła, kiedy nagle zawahała się. - Już raz cię zaatakowano. A jeśli tamci ludzie wrócą?

- Widzisz to? - Położył dłoń na rękojści kolta.

- W porządku, ale uważaj na siebie. Widzisz to? - Wskazała na swoje serce. - Jeśli spotka cię coś złego, ono przestanie bić.

Uśmiechnął się z niewyobrażalną czułością.

- Domyślałem się, ale dobrze jest to usłyszeć na własne uszy. Zrobię wszystko, żeby mi się nic nie stało. Dobranoc, kochanie, śpij dobrze - rzekł cicho. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Dobranoc, Marc - odparła równie cicho, wysiadła, przesłała mu pocałunek i poszła w stronę hotelu. Stała w drzwiach i odprowadziła wzrokiem odjeżdżającego dżipa, widząc, jak Marc parokrotnie obraca głowę w jej stronę, by jeszcze raz na nią spojrzeć.

Po tym wszystkim ledwo weszła na schody, ponieważ miała wrażenie, że umiera z każdym krokiem, który oddala ją od ukochanego mężczyzny.

Ledwie znalazła się w pokoju, zadzwonił telefon.

- Panna Langley? Tu Jack Holliman. Zastanawiałem się nad tym, co państwo mówiliście o tej rzeczy, którą przechowywał mój siostrzeniec i coś mi przyszło do głowy. Czy możecie jutro oboje przyjechać? Nie mam nic konkretnego do powiedzenia, najwyżej coś wam podsunę. Ale nie przez telefon, bo ostatnio zaczął jakoś tak dziwnie trzeszczeć.

- Przyjedziemy do pana z samego rana, panie

Holliman. Dziękuję za telefon. - Odłożyła słuchawkę.

Dziwne trzaski? Wcale nie dziwiła się byłemu Strażnikowi, że obawiał się podsłuchu. Kto wie, czy Marsh nie wpadł na ten pomysł?

Wyglądało na to, że śledztwo naprawdę rusza z martwego punktu. Jej prywatne życie też.. Była tym wszystkim ogromnie podekscytowana, w rezultacie spała więc bardzo niespokojnie, budząc się co chwilę. Kiedy wreszcie nad ranem zdołała porządnie zasnąć, obudził ją telefon.

- Halo? - powiedziała półprzytomnie do słuchawki.

- Tu biuro prokuratury okręgowej w San Antonio
- odezwał się męski głos. - Pani Langley, jakie są pani plany na dzisiaj?

- Czemu pan pyta?

- Ponieważ otrzymaliśmy przełomową informację w sprawie Jenningsa i wygląda na to, że prawdopodobnie uda się zamknąć śledztwo. Dlatego pytam, co pani zamierzała dziś robić, bo może niektóre z tych rzeczy w ogóle nie będą już potrzebne.

To ją zaalarmowało. Po pierwsze nie kojarzyła

tego głosu, chociaż poznała już wszystkich pracowników prokuratury okręgowej, a po drugie podczas żadnego śledztwa nie postępowano w podobny sposób. Praktycznie nie istniały „niepotrzebne” działania, właśnie sprawdzanie wszystkiego po kilka razy przynosiło lepsze rezultaty.

- W takim razie już mówię. - Udała, że ziewa, choć była już zupełnie rozbudzona. - Przede wszystkim zamierzam spać co najmniej do wpół do dziewiątej. Potem wpadnie po mnie Brannon i pojedziemy po świadka, którego przywieziemy do prokuratury. Chcemy pokazać tej kobiecie pewne zdjęcia z waszej kartoteki.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- W jakim celu?

Josette postanowiła sprowokować rozmówcę.

- Wydaje nam się, że mamy coś na szefa lokalnej mafii - rzuciła, żalując, że nie widzi wyrazu twarzy tego mężczyzny.

Ktoś z miejsca odłożył słuchawkę, zaś Josette wybrała numer Brannona.

- Jest piąta rano - warknął, nawet nie pytając, kto dzwoni. - Jeśli to ty, Grier, to zrobię sobie z ciebie worek

treningowy.

- To nie Grier... - wymruczała. - Cześć.

- Josie? - zabrzmiało to tak, jakby gwałtownie usiadł na łóżku. - Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Poczuła miłe ciepło w sercu, gdy usłyszała niekłamana troskę w jego głosie.

- Nic mi nie jest, za to właśnie odebrałam bardzo interesujący telefon od kogoś, kto się podszywał pod pracownika prokuratury okręgowej i chciał znać moje dzisiejsze plany. Mam wrażenie, że zaczynamy komuś deptać po piętach, a ten ktoś robi się nerwowo... Wcale bym się nie dziwiła, gdyby nas śledzono.

- Ja również. Może wyjdziemy i pobawimy się z nimi w berka?

Roześmiała się.

- Chętnie, tylko musiałbyś mnie najpierw nakarmić, bo umieram z głodu. I koniecznie muszę napić się kawy.

- Koło mnie jest sympatyczna całodobowa kafejka. Przyjadę po ciebie za dziesięć minut. - Rozłączył się, nim zdążyła powiedzieć, że potrzebuje co najmniej dwudziestu.

Ubrała się w dziesięć, ale nie zdążyła już upiąć włosów, co zresztą spotkało się z wielką aprobatą Brannona.

- Wyglądasz bardzo seksownie - stwierdził, obejmując spojrzeniem rozpuszczone włosy, kremową bluzkę oraz kostium w ciepłym brzoskwiowym odcieniu. - Cieszę się, że nie jemy śniadania z Grierem.

- A co, nie tylko ja jestem w jego typie, ale i takie ubrania również? Myślisz, że próbowałby je ze mnie ściągnąć? - spytała z przekornym błyskiem w oku. - Ale moim zdaniem... - rozłożyła ramiona i popatrzyła po sobie - ...w tym odcieniu nie byłoby mu do twarzy. Wybuchnął śmiechem.

- Tęskniłem za tobą.

- To dobrze. Popatrzył na nią.

- Nie wrócisz do Austin - oświadczył. Uniosła brwi.

- Mam tam pracę.

- Tutaj też ją znajdziesz bez problemu. Możemy się podzielić gotowaniem, praniem i sprzątaniem. W weekendy będziemy chodzić do kina, oczywiście tylko w te miesiące, które mają pięć tygodni. - Westchnął. -

Czasem brakuje pieniędzy, zwłaszcza gdy zimą trzeba płacić za ogrzewanie. - Posłał jej wymowny uśmiech. - Oczywiście moglibyśmy na nim zaoszczędzić, sypiając razem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Miałabym z tobą sypiać? - spytała nieswoim głosem.

- Oczywiście w najzupełniej platoniczny sposób. Ty będziesz nosić koszule do pięt, a ja flanelowe pizamy. W ogóle cię nie tknę. Będziemy mieszkali razem jak para dobrych przyjaciół - przekonywał z powagą. - Daję ci na to słowo... skauta.

Do tego momentu Josette patrzyła na niego, jakby doznał pomieszania zmysłów, dopiero ostatnie słowo uświadomiło jej, że nie musi martwić się, czy z Brannonem wszystko w porządku. Wybuchnęła śmiechem.

- Żarty żartami, ale nie myśl, że łatwo ustąpię - ostrzegł. - Jeśli zechcesz wrócić do Austin, będziesz miała ze mną do czynienia. Jestem gotów cię porwać i trzymać na moim ranczu tak długo, aż się zgodzisz.

Pojechali na śniadanie, a gdy byli przy drugiej kawie, Brannon otrzymał wiadomość z komendantury Straży, że dzwonił Jack Holliman i prosił, by sierżant Brannon oraz panna Langley przyjechali do niego jak

najszybciej. Zerwali się od stolika.

Dojechali na miejsce w ciągu niecałych dwudziestu minut, chociaż Brannon kluczył i czasami zatrzymywał się gwałtownie, by sprawdzić, czy nikt za nimi nie jedzie.

- Dziwne - zauważył, gdy stanęli przed zaniedbanym domem Hollimana. - Na pewno morderca śledzi nasze kroki, a przecież nie mieliśmy żadnego ogona... - Wyjął broń z kabury, odbezpieczył. - Kiedy wysiądziemy, trzymaj się blisko mnie. Idziemy prosto do wejścia. Nie wykluczam zasadzki, ci ludzie są naprawdę zdesperowani.

- W porządku - zgodziła się bez zbędnych dyskusji.

Wysiedli, szybko podeszli do drzwi, gospodarz otworzył im natychmiast, wpuścił ich do środka i równie szybko zamknął je za nimi. Ścisnął w dłoni swoją starą dwururkę, wyglądał, jakby nie zmrużył oka przez całą noc.

- Nie chciałem nikomu o tym mówić - rzekł z nieszczęśliwą miną. - Miałem nadzieję, że wszyscy zapomną o tym, co schował Dale i że cała sprawa

rozejdzie się po kościach. Ale nie zapomną, prawda?

- Nie - uciął szorstko Brannon. - Ta rzecz to beczka prochu. Zginęły przez nią już trzy osoby, więc jeśli pan coś wie, musi nam pan powiedzieć, inaczej może pan być następny.

- Milczałem, ponieważ wydawało mi się, że w ten sposób ochronię moją siostrę. Myliłem się... - Potrząsnął głową. - Pracowałem w Straży przez dwadzieścia pięć lat i nigdy nie spotkałem nikogo, kto posunąłby się do torturowania bezbronnej starszej kobiety. - Na chwilę zacisnął powieki, potem otworzył oczy i z determinacją popatrzył na Brannona. - Dale miał księgę główną, dzięki której da się udowodnić, że ktoś z biura obecnego wicegubernatora opłacał Jake'a Marsha, żeby ten zadbał o fałszowanie głosów. Wiem też od siostrzeńca, że Marsh miał coś na Silwię Webb, czym mógł ją znakomicie szantażować.

Brannon i Josette jednocześnie wstrzymali oddech i spojrzeli po sobie.

- Silvia!

- Nie mam pojęcia, co na nią znaleźli, więc tego wam nie powiem. Z księgi wynika ponadto, że został

opłacony nie tylko Marsh, ale też jakiś spec od czarnego PR, który zdołał skompromitować kontrkandydata Webba. Wygrzebał spod ziemi jakiś dawny rodzinny skandal, zagroził ujawnieniem go, więc tamten człowiek wycofał się prawie w ostatniej chwili i Webb wygrał walkowerem. Zapisy w księdze stanowią wystarczający dowód.

- Powinien był nam pan powiedzieć o tym wszystkim wcześniej - rzekł Brannon.

- Być może, ale co się stało, to się nie odstanie. Nie wiem, gdzie ta księga jest, Dale nie zdradził mi, gdzie ją schował. Próbowałem go namówić, żeby oddał ją policji, ale on powtarzał, że to polisa ubezpieczeniowa i dla jego matki, i dla niego samego. Nawet kiedy go zaaresztowali, niczego nie ujawnił, bo powiedział mi, że zna ludzi, którzy wyciągną go z więzienia w ciągu dwóch lat. No i wyciągnęli go, tylko winnym celu, niż myślał...

- Czy wspominał kiedyś o Sandrze Gates lub Becky Wilson? - zagadnęła Josette.

- Nie, jedyna kobieta, o jakiej mówił, to Silvia Webb. A mówił o niej z takim... Jakby to rzec? No z takim prawie nabożeństwem, jakby...

Szyba w oknie, przy którym stał Brannon, z głośnym brzękiem posypała się na podłogę, kula trafiła w przeciwległą ścianę. Marc w ułamku sekundy odciągnął Josette od okna, a Hollimana od drzwi.

- Na ziemię!

Przykucnął przy oknie i ostrożnie odsunął spłowiała zasłonkę, by móc zerknąć na zewnątrz. Nie dostrzegł żywej duszy.

- Kiepsko chodzę, ale dalej celnie strzelam - odezwał się Holliman. - Co chcesz, żebym zrobił?

- Pilnuj drzwi. - Brannon popatrzył na byłego Strażnika. - Nie pozwól im wejść i zabrać Josie.

- Nie zabiorą jej - zapewnił Jack Holliman.

- Dokąd idziesz? - zaniepokoiła się Josette, kiedy Marc ruszył ku drzwiom.

- Rozejrzę się. Nie ruszaj się stąd i nie podnoś się z podłogi.

Wymknął się z domu, przekradł się wzdłuż ściany, trzymając kolta oburącz, a kiedy dotarł do rogu, zatrzymał się, wstrzymał oddech i nastawił uszu. W ciągu lat służby nauczył się, że najważniejsze jest zachowanie czujności, a najbardziej temu sprzyja

wyczulony słuch. Zwłaszcza w miejscach oddalonych od miejskiego ruchu.

Usłyszał odgłos kroków, trzasnęła sucha gałązka. Nie mogło to być zwierzę, nawet duże, ponieważ zwierzę przystawałoby i nasłuchiwało lub węszyło, tylko człowiek miał zwyczaj po prostu iść tam, dokąd zamierzał. No i żadne zwierzę nie używało perfum...

Brannon wycofał się bezszelestnie i wślizgnął się do stodoły stojącej za domem, w której ujrzał bele słomy oraz samotną krowę. Niestety, krowa zaczęła przeciągle muczeć na jego widok, Ucząc na to, że zostanie nakarmiona. Brannon usłyszał, jak lekkie kroki zbliżają się szybko i ledwie zdążył się skryć za belą słomy, gdy do środka wpadła kobieta w czarnej kominiarce, czarnej bluzce z długimi rękawami oraz czarnych spodniach. Miała również czarne rękawiczki, a w dłoni ścisnęła pistolet z rękojeścią wykładaną masą perłową. Mimo zamaskowania Brannon natychmiast rozpoznał ją po figurze i po zapachu perfum. Zresztą od jakiegoś czasu i tak wiedział, czym tropem idą.

- Wyłaź! - wrzasnęła, obracając się wokół własnej osi z bronią gotową do strzału. - Wyłaź

natychmiast!

Brannon ostrożnie schował kolta do kabury, zdjął z beli słomy grudę zaschniętego błota, która do niej przywarła, odczekał nieco, licząc powoli do dwudziestu, po czym z całej siły cisnął grudą tak, by uderzyła o drewnianą ścianę za Silvią. Kobieta wykonała błyskawiczny obrót, a wtedy Brannon rzucił się szczupakiem niczym bramkarz na piłkę i ściął Silvię z nóg. Runęła na ziemię, pistolet wyleciał jej z dłoni, zaparło jej dech w piersi. Brannon przeokoziółkował zwinnie, podniósł się jednym płynnym ruchem i nim zdążyła ponownie złapać oddech, zobaczyła wycelowanego w siebie odbezpieczonego kolta. Wstała niezdarnie, wciąż z trudem chwytając powietrze.

- A więc to ty, Silvio. Czy sama zabiłaś Garnera, czy kazałaś Jenningsowi odwalić za ciebie brudną robotę?

Widoczne w szczelinie kominiarki piękne oczy zaiskrzyły.

- Nie wiem, o czym mówisz - oznajmiła wyniośle.

- Daruj sobie - uciął zimno. - Nie zdołasz się z

tego wywinąć.

- Na pistolecie nie ma moich odcisków palców -
skwitowała równie lodowatym tonem.

- Nie możesz mi niczego udowodnić.

- Mogę udowodnić wszystko, wystarczy, że
zabiorę stąd księgę główną.

Zamarła.

- Skąd wiesz, że jest tutaj?

- A w jakim innym celu miałabyś się tu zjawić?

Zawahała się, potem ściągnęła kominiarkę, uśmiechnęła
się.

- Marc, jesteśmy po tej samej stronie, po stronie
Biba. Nie chcesz przecież, żeby twój przyjaciel poszedł
do więzienia?

- On nie pójdzie - oświadczył z całym
przekonaniem.

- Owszem, pójdzie, jeśli księga główna wpadnie
w niepowołane ręce. - Postąpiła o krok bliżej.

- Słuchaj, nikt nie musi o tym wiedzieć. Po
prostu wezmę ją i pójdę. Powiesz, że nie udało się jej
znaleźć. Nikt nie będzie wiedział.

- Ja będę wiedział.

- Jeśli wyda się, co tam jest, Bib zgnije za kratkami jak najgorszy kryminalista!

- Wyda się, że podczas kampanii wyborczej pracownik Biba szantażował jego kontrkandydata, ale to ty opłacałaś tego człowieka, a nie Bib, który go zresztą szybko zwolnił. Znam nazwisko, więc dotrę do owego specy i wydobęde z niego zeznania. Wyśpiewa wszystko, zapewniam cię. Potrafię zachęcić ludzi do mówienia.

Nie spodziewała się podobnego obrotu sprawy, więc przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nawet jeśli tak, to w ten sposób zaszкодzisz przyjacielowi, bo straci posadę i zostanie skompromitowany.

I wtedy Brannon wyciągnął asa z rękawa.

- Widziano cię, jak wchodziłaś z Jakiem Marshem do mieszkania pani Jennings. Jest świadek.

Zatkało ją na moment.

- Nie! Nie mógł mnie rozpoznać, miałam kapelusz z woalką!

- Doprawdy? - natychmiast zdziwił się uprzejmie Brannon.

Silvia zrozumiała, że dała się podejść. Zacisnęła

dłonie w pięści, przeszła Brannona morderczym spojrzeniem.

- Ciebie też zabiję! - Jej oczy zaszkliły się, pojawiło się w nich szaleństwo. - Ciebie i tę sukę Langley, i tego głupiego starucha też! Wszyscy zginiecie. Jake was zwiąże, a wtedy ja wyciągnę nóż. O, dobrze wiem, jak używać noża, widziałam, jak tata obcina mojemu bratu rękę, kiedy byłam mała. Mój brat był niegrzeczny i tata obciął mu rękę. Powiedział, że mi też obetnie, jak nie będę robić, co mi każe.

Brannonowi zrobiło się gorąco, gdy tego słuchał. Wolałby, żeby nie opowiadała mu takich rzeczy, ponieważ po tym wszystkim, co uczyniła, doprawdy nie chciał jej współczuć.

- Nauczył mnie, że ból czyni silniejszym - ciągnęła, coraz bardziej pograżając się w swoim wewnętrznym świecie. - Pokazał mi, jak używać noża. Nauczyłam się, że to przyjemne... Mówił, że jestem taka jak on, silna, a nie słaba i beznadziejna jak mój brat. Mówił, że jestem ładna i że mężczyźni zrobią dla mnie wszystko. Jeździliśmy razem do miasta, zwabiałam do nas mężczyzn i... - Spojrzała z ukosa na Brannona.

- Zabiłam go, wiesz? Mojego ojca. Powiedziałam już Bibowi, że jestem z nim w ciąży i wiedziałam, że się ze mną ożeni. Pracował dla starego Garnera, który miał miliony. Tata powiedział, że będziemy bardzo, bardzo bogaci, ale był chciwy, chciałby wszystko dla siebie, więc wepchnęłam go do studni. Przez kilka dni nikt nie wiedział, gdzie on jest. Mówiłam, że pojechał w odwiedziny do kuzyna. Kiedy go w końcu znaleźli, strasznie płakałam i wszystkim było mnie żal, i nikt nie pomyślał, że ja to zrobiłam.

W stodole rozległ się śmiech Silvii, śmiech kobiety szalonej.

- Tata byłby ze mnie dumny, prawda, Marc? Przecież to on mnie wszystkiego nauczył. - Zamrugła powiekami, gdy jej myśli przeskoczyły na inny tor. - Bib nie ma pojęcia, gdzie jestem. Powiedziałam, że jadę na zakupy, a on zawsze mi wierzy. Jake mówi, że nie wiem, co robię, ale to bzdura. Ja zawsze wiem. Zabiłam Garnera, bo zgadł, że Dale wziął te rachunki. Uderzyłam go pałką i podrzuciłam ją do samochodu Dale'a, musiałam się go pozbyć, bo miałam z nim romans, więc Bib mógłby żądać rozwodu. Ale Jennings powiedział, że

może iść do więzienia, jeśli mu zapłacę. Potrzebowałam go uciszyć, więc wzięłam pieniądze z konta Biba. - Na jej twarzy odbiła się furia. - Nic nie wiedziałam o tych zdjęciach! Wszystko było dobrze, ale nagle Dale stał się okropnie chciwy i zagroził, że ujawni to, co ma na mnie i Biba. Kazałam Sandrze przenieść go do innego więzienia, opłaciłam ludzi, którzy umożliwili mu ucieczkę. Obiecał przynieść księgę i zdjęcia. - Potrząsnęła głową. - Musiałam go zabić, żeby ochronić siebie, to oczywiste, nie? Ale on mnie oszukał, przyniósł inną księgę, pustą i dwie odbitki, żadnego negatywu! Musiałam to znaleźć! Ta stara kobieta nie chciała mi nic powiedzieć, chociaż robiłam, co mogłam. Jake szukał księgi w sypialni, kiedy wrócił, zobaczył, co zrobiłam i uderzył mnie. Nigdy przedtem mnie nie uderzył. Powiedział, że to koniec, że on dalej w to nie wchodzi i że odwołuje Yorka. Wynajął Yorka do zabicia Dale'a, ale ja nie potrzebuję, żeby ktoś mnie wyręczał, sama potrafię odwalić mokrą robotę, tak samo jak mój tata. Dlatego zabiję tego starego durnia Hollimana i znajdę księgę. Ona musi być tutaj!

Brannon słuchał tego z rosnącym przerażeniem.

Jak to możliwe, że nikt wcześniej nie zorientował się, że ta kobieta jest szalona i potrzebuje pomocy psychiatrycznej? Usłyszał zbliżające się kroki, więc podszedł do Silvii, odczepił kajdanki od swojego skórzanego pasa i zatrzasnął je na jej nadgarstkach. Nawet nie próbowała z nim walczyć.

- Dzięki Bogu! - wyrwało się Josette, gdy ujrzała, że Marc jest cały i zdrowy. Potem przeniosła spojrzenie na drugą osobę i aż zamrugowała gwałtownie ze zdziwienia.
- Silvia?! - wykrzyknęła.

Blondynka odwróciła się i posłała jej miażdżące spojrzenie.

- Jestem żoną wicegubernatora - oznajmiła wyniosłym tonem. - Nie życzę sobie podobnych poufałości.

Brannon dał Josette znak wzrokiem, więc powiedziała natychmiast:

- Oczywiście, pani Webb.

- Księga... - mruknął i rozejrzał się dookoła, a potem zerknął na aresztantkę. - Silvio, ona tu jest?

- Nie wiem, Dale nie chciał mi powiedzieć. Poszłam z nim do łóżka, ale i tak nie zdołałam nic z

niego wyciągnąć. A potem jakiś fotograf zrobił nam zdjęcia, Dale je zdobył i powiedział, że daje do prasy, jak nie dostanie pieniędzy. I że ujawni księgę, ale wtedy Bib byłby skończony w polityce i przestałabym mieć pozycję. Rozumiesz, prawda? - spytała z powagą. - Musiałam chronić dobre imię rodziny. Babcia zawsze powtarzała, że nie ma nic ważniejszego. Bardzo płakała po śmierci mojego brata. To tata go zabił, wiesz? Za mocno dał mu lanie. Wcale nie chciał zabić, tak wyszło. Musieliśmy to ukryć, żeby chronić dobre imię rodziny. Wrzuciliśmy ciało do zagrody i powiedzieliśmy, że to konie go stratowały. - Uśmiechnęła się do Brannona.

Bardzo lubię jeździć konno. Dale przywoził mnie tutaj, kiedy ten stary odwiedzał jego matkę i jeździliśmy razem. Miał takie ładne siodło, ręcznie robione. - Naraz zmarszczyła brwi.

- Nie pójdę w tym roku na bal u gubernatora - rzekła nagle, smutniejąc.

Josette i Brannon wymienili spojrzenia, tknięci tą samą myślą. Marc podszedł do ściany, pod którą leżało fantazyjnie zdobione srebrem siodło i zajrzał do pierwszej z przytroczonych do niego skórzanych sakw.

Pusta. Rozpiął drugą i wyciągnął z niej gruby pakiet w saszetce z grubego plastiku, zamykanej na suwak. Popatrzył na Josie. Kiedy podeszła, otworzył saszetkę, wyjął z niej kopertę, a z niej plik kolorowych zdjęć, ukazujących Silvię Webb i Dale'a Jenningsa w jednoznacznych sytuacjach. Szybko schował je z powrotem. W saszetce znajdowała się również księga główna, w którą wetknięto pokwitowania, w tym jedno podpisane przez Jake'a Marsha, kopie czterech czeków wypisanych przez Silvię, a ponadto pełną listę osób opłaconych przez owego specjalistę od czarnego PR, nim Bib go zwolnił - widniały na niej nazwiska i adresy wraz z adnotacjami, kto za co wziął łapówkę. Te zapiski to był prawdziwy materiał wybuchowy. Wiele osób mogło przez nie trafić do więzienia.

- Bib straci przez to posadę - rzekła Silvia.

- Nie wydaje mi się - odparł zimno Brannon.

- Jake myśli tak samo jak ja. Prawda, mój drogi?

- Silvia patrzyła na wejście do stodoły.

- Tak. Brannon, wielkie dzięki za znalezienie tego, czego szukałem - odezwał się niski głos.

Josie i Marc obrócili się i ujrzeli przystojnego

trzydziestoparoletniego mężczyznę, który trzymaj pistolet maszynowy.

— A teraz daj mi to. - Gangster wyciągnął dłoń w rękawiczce.

Brannon upuścił wszystko na ziemię, swobodnie zwiesił ręce wzdłuż boków.

— Chodź i weź sobie.

— To ja trzymam palec na spuście, Brannon - przypomniał Marsh.

— Odsuń się - warknął Marc samym kącikiem ust, kierując te słowa do Josette.

Posłuchała natychmiast, chociaż umierała ze strachu o niego. Odeszła kilka kroków w bok i zatrzymała się nieopodal Silvii. Serce w niej zamarło, gdy ujrzała, jak Brannon niemal niedostrzegalnie zmienia postawę. Boże jedyny, chyba nie zamierzał zaatakować człowieka, który trzymał broń gotową do strzału?

Brannon nie spuszczał wzroku z przeciwnika, prawie nie mrugał oczami. W odróżnieniu od Josette nie miał złudzeń co do tego, że spełnianie rozkazów Marsha w czymkolwiek im pomoże. Nawet gdyby mu potulnie podali wszystko na srebrnej tacy, i tak zamierzał ich

wykończyć, ponieważ miał za wiele do stracenia. Podobnie jak Silvia bez wahania zabijał każdego, kto mógł mu zagrozić, a świadkowie - żywi świadkowie - zdecydowanie stanowili jedno z największych zagrożeń dla takich ludzi.

Marc zgadywał również, że to zapewne jego ostatni pojedynek, ponieważ szansa na wyciągnięcie kolta szybciej, niż Marsh naciśnie spust, była znikoma. I wiedział jeszcze jedną rzecz - nie zamierzał owej szansy zmarnować.

- Poddaj się! - wrzasnął Holliman, który wślizgnął się do stodoły, ściskając w garści swoją dubeltówkę.

Zaskoczony Marsh drgnął i ten moment jego nieuwagi wystarczył. Kolt pojawił się w dłoni Brannona jak za pomocą magicznej sztuczki, kula przeszła udo gangstera, nim ten zdołał wystrzelić. Rozległ się zduszony okrzyk Josette, potem zapadła cisza. Gangster zgiął się wpół i runął na klepisko, zaś Brannon, nie rozglądając się na boki, podszedł szybko do powalonego przeciwnika i podniósł z ziemi jego automat.

- Jak... to... zrobiłeś? - wystękał gangster z

niedowierzaniem, jednocześnie rozpaczliwie przyciskając obie dłonie do uda, z którego lała się krew.

- Jestem mistrzem południowego Teksasu w strzelaniu błyskawicznym - poinformował spokojnie Brannon. - Zawsze zajmuję pierwsze miejsce, nikt mnie jeszcze nigdy nie pobił w tej konkurencji. To dobra umiejętność, zważywszy na okoliczności - dodał, mierząc tamtego zimnym spojrzeniem.

- Strzeliłeś do Jake'a - odezwała się Silvia takim tonem, jakby rozmawiali o pogodzie.

- Ale ja jestem lepsza. Załatwiłam Dale'a jednym strzałem. Szantażował mnie tymi zdjęciami. Parę tygodni temu skontaktował się ze mną i powiedział, że mi je odda, księgę też, jeśli tylko szybko załatwię dla niego pieniądze, żeby mógł pomóc matce.

- Przestańcie gadać i wezwijcie karetkę!

- jęknął Marsh, zwinięty z bólu w kłębek.

Brannon sięgnął do kieszeni, wyjął telefon komórkowy i zadzwonił po pogotowie, a potem po policję. Jednocześnie nie spuszczał baczno spojrzenia z Jacka Hollimana, który patrzył na Silvię z dziką furią w oczach. Były Strażnik podszedł do skutej kajdankami

blondynki, podniósł strzelbę.

- Zanim tu przyjadą, będą potrzebne dwie karetki! - Głos trząsł mu się z emocji.

- Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię unieszkodliwił - uprzedził twardo Brannon, kładąc dłoń na rękojeści kolta, którego wsunął już do kabury. Widać było, jak minimalnie zmienia pozycję, jak mięśnie mu się napinają, jak srebrnoszare oczy zwężają się i przestają mrugać.

Holliman zawahał się, chociaż to on trzymał odbezpieczoną broń. Przeszył Brannona wściekłym spojrzeniem, potem westchnął z rezygnacją i opuścił strzelbę.

- W porządku, ale przyznam, że kusiło mnie jak diabli. - Ponownie przyjrzał się młodszemu koledze po fachu, po czym rzucił w przestrzeń, nie zwracając się konkretnie do nikogo z obecnych: - Czy on wam nie przypomina grzechotnika gotowego do ataku? - Rozejrzał się, omiótł wzrokiem leżącego gangstera, po czym jego uwagę znów przykuła Sihda, która po prostu stała sobie spokojnie z pustymi oczami i dziwnym uśmiechem. - Coś z nią nie tak?

- Wszystko jest z nią... nie tak! - stęknął Marsh. -
To kompletna... wariatka! Żałuję, że ją w ogóle
spotkałem!

- Jak możesz tak mówić o kobiecie, która jest
miłością twego życia? - Sihda westchnęła, jakby spotkała
ją niezasłużona krzywda. - Po tym wszystkim, co dla
ciebie zrobiłam?

- A co takiego dla mnie zrobiłaś? Przez ciebie
jestem ranny i trafię do więzienia.

- Ja wiem, czy trafi? Dużo krwi traci - zauważył
bez śladu współczucia Holliman.

- Na to wygląda - zgodził się równie beztrosko
Brannon.

- Na litość Boską, któryś z was mógłby mu
założyć opaskę uciskową, zanim wykrwawi się na śmierć
- zirytowała się Josette, po czym przyklękła obok coraz
bardziej blednącego Marsha. - Potrzebna mi chustka i
jakiś patyk albo długopis.

- Pani ma prawdziwą klasę - uznał gangster.

- Nie dotykaj go! - wrzasnęła Silvia. - On jest
mój!

- Już nie. Właśnie jestem z powrotem do więzienia.

- Marsh skrzywił się z bólu, gdy Josette założyła mu opaskę sprokurowaną naprędcie z dwóch chusteczek do nosa oraz długopisu. Krew płynęła nadal, ale już nie tak obficie.

- A ja bym tego nie robił, panno Langley - wtrącił Holliman. - To prędczej zaszkodzi, niż pomoże.

Podniosła na niego zaskoczony wzrok.

- Czemu?

- Bo ten drań jeszcze przeżyje! Brannon zachichotał.

- Ale jeśli umrze, to nie będziemy mogli iść na jego proces - zauważył. - A będzie na co popatrzeć i czego posłuchać!

Jack Holliman rozpogodził się.

- Faktycznie, nie pomyślałem o tym. W takim razie na wszelki wypadek zadzwońmy jeszcze raz po chłopaków, żeby na pewno... O, już są.

Nadjechała karetka, sanitariusze od razu zajęli się Marshem, tuż za nią zjawił się wóz z gwiazdą szeryfa, lecz ku zaskoczeniu Josette miał oznaczenia z hrabstwa Bexar, podczas gdy Floresville oraz leżące nieopodal niego ranczo Hollimana należały już do hrabstwa

Wilson. Z samochodu wysiadł młody zastępca szeryfa, którego Josette poznała, gdy została zamordowana pani Jennings.

- Witam! - zawołał wesoło, wchodząc do stodoły.

- W biurze szeryfa w hrabstwie Wilson mają urwanie głowy, więc zaproponowałem, że ja przyjmę to zgłoszenie w ramach kooperacji między jednostkami organów ścigania - wyjaśnił z szerokim uśmiechem. - No dobra, co my tu mamy?

- Panie oficerze, proszę aresztować tych ludzi - odezwała się Silvia. - Jestem żoną wicegubernatora, a ci dwoje... - wskazała skutymi rękami Josette i Brannona - ...właśnie zabrali moją własność. Żądam jej zwrotu!

Zastępca szeryfa popatrzył na srebrną gwiazdę na piersi Brannona, na wystającą z kabury rękojeść kolta, na zatknięty za jego pasek automat, a wreszcie na opatrywanego Marsha.

- Znowu była drobna strzelanina i dałeś komuś nauczkę?

- Znowu? - spytała Josette.

- Tak, co najmniej raz do roku trafia się jakiś idiota, któremu się wydaje, że zdoła wystrzelić, nim

sierżant Brannon wyciągnie tę swoją armatę. - Z uznaniem pokiwał głową. - Miło pracować razem z człowiekiem, który jest prawdziwą chodzącą legendą. Mam nadzieję, że będę taki sam, gdy dorosnę.

Marc wybuchnął śmiechem, ponieważ zastępca szeryfa musiał mieć koło trzydziestki.

- Ostrzysz sobie zęby na moje miejsce, co?

- zażartował. - Nic z tego, nie zamierzam prędko odchodzić z roboty.

- No i zostałem przejrany! - Zastępca szeryfa westchnął ciężko. - Na każde wolne miejsce w Straży zgłasza się stu chętnych, a miejsca zwalniają się rzadko, bo w całym stanie jest tylko trochę ponad stu Strażników. No cóż... Pewnie przyjdzie mi spędzić całe życie jako zastępca szeryfa. Ale nie powinienem narzekać. Dobre godziny pracy, miłe towarzystwo... - zerknął na Marsha i aż się skrzywił - ...dodatek do emerytury, jeśli zdołam jej dożyć. — Przeniósł spojrzenie na Silwię. - Mam zabrać tę panią?

- Tak. My zabezpieczymy dowód przestępstwa i pojedziemy za tobą. - Marc podniósł z ziemi saszetkę, zamknął ją starannie na suwak.

— Będziesz świadkiem, jak upada tutejsze imperium zła. - Wskazał na kładzionego na noszach Marsha. - Pozwól, że ci przedstawię... Jake Marsh, szef mafii w San Antonio, ostatnio nieuchwytny. Będzie mu do twarzy w gustownym pasiastym ubranku.

- Nie pójde... dowiezienia! - zaprotestował gangster resztką sił.

- Ani ja - oznajmiła wyniośle Silvia. - Jestem niewinna. Jestem...

- Powie to pani sędziemu. A teraz idziemy.

- Złożę na pana skargę! Wniosę sprawę o bezprawne aresztowanie! - wrzasnęła. - Zniszczę pana!

- Specjalnie na tę okazję włożę moje najlepsze ubranie - zapewnił zastępca szeryfa, zaprowadził Silwię do wozu i posadził ją z tyłu, trzymając jej rękę na głowie, by się nie uderzyła przy wsiadaniu.

Brannon zaśmiał się ponuro, słysząc tę ostatnią uwagę, a Josette już miała coś powiedzieć, gdy powstrzymał ją gestem.

- Zostaw. On szybko się zorientuje, że ma do czynienia z osobą szaloną i natychmiast przestanie się zgrywać.

Wzięła go za rękę i mocno uścisnęła.

- Cieszę się, że nic ci się nie stało. Przez kilka chwil obawiałam się, że zamierzasz popełnić samobójstwo na moich oczach. - Wciąż jeszcze drżała ze zdenerwowania, głos miała zmieniony.

Marc obrócił się przodem do niej, otoczył ją ramieniem.

- Nie da się zabić Strażnika, chyba że mu się przebiję serce kołkiem.

- Kochanie, to wampiry tak mają - poprawiła Marca.

Uniósł brwi.

- Nie żartuj! Naprawdę?

- Czy ktoś mnie wreszcie zabierze do szpitala? - jęknął Marsh.

- Natychmiast po operacji musi znaleźć się pod silną strażą - rzekł Brannon do sanitariuszy.

- Zaraz powiadomię, kogo trzeba, na miejscu będą czekali uzbrojeni ludzie.

Sanitariusze, obaj bardzo młodzi, skinęli głowami.

- Chwilowo to on i tak nie jest w stanie narobić

większego kłopotu - stwierdził jeden z nich.

- Gdyby próbował, pokażcie mu, w którą stronę do Floresville i wypchnijcie go z karetki - doradził Brannon.

Usłyszawszy tę radę, gangster jęknął jeszcze głośniej.

Po przyjeździe do prokuratury okręgowej w San Antonio spisali raport, przekazali dowody oraz spotkali się w niewielkim gronie z zastępczynią prokuratora, która miała dalej prowadzić tę sprawę.

- To najgorsza historia, jaką w życiu słyszałem - oświadczył Grier, wysłuchawszy pełnej relacji. - Od kilku lat próbujemy dopaść Marsha. Od kilku lat próbuje go dopaść FBI. Od kilku lat próbuje go dopaść prokurator generalny... A wam dwojgu sam wszedł prosto w ręce. I czy to jest sprawiedliwe?

- Mieliliśmy szczęście - rzucił nonszalancko Brannon.

- A co z tym zabójcą? - spytała z niepokojem Josette. - Johnny York wciąż jest na wolności, prawda?

Młody zastępca szeryfa z hrabstwa Bexar, który brał udział w aresztowaniu Silvii i Marsha, odchylił się

na oparcie swojego krzesła z szelmowskim uśmiechem.

- O Yorka nie musimy się już martwić. Wczoraj jechałem sobie trasą 410, nie wadząc nikomu, a tu nagle śmignął koło mnie jeden gruchot z taką prędkością, że w porównaniu z nim pełzłem jak żółw. Chociaż akurat nie byłem na służbie, ruszyłem za tym rajdowcem, zatrzymałem go i kogo moje oczy widzą? Naszego drogiego Yorka! Tak więc, gdy my tu sobie rozmawiamy, on siedzi w areszcie. Jeśli Marsh wszystko pięknie wyśpiewa, a przewiduję, że tak, Johnny York wreszcie trafi tam, gdzie jest jego miejsce.

- Ale on przecież nikogo nie zabił - - zauważyła Josette. - To Silvia zamordowała Garnera i Jenningsa.

- Zgadza się, lecz Marsh wynajął go do zabicia tego drugiego, tylko Silvia Webb okazała się szybsza, w dodatku to on próbował ponad miesiąc temu przejechać Judda Dunna, kiedy ten zaczął prowadzić śledztwo w sprawie dwóch morderstw, o które podejrzewamy Marsha. To od Judda wiedziałem, jaki jest kolor i marka wozu Yorka, rozglądałem się za nim od tygodnia, wczoraj mi się poszczęściło. Myślę, że Yorkowi spodoba się w więzieniu. Będzie miał miłych kolegów, na pewno

go polubią...

Brannon nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się od ucha do ucha.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jednak najgorsze dopiero ich czekało, ponieważ musieli poinformować Biba, co znaleźli i co zrobiła jego żona. Brannon nie pojechał do przyjaciela sam, zabrał ze sobą Josie, zadzwonił też do Becky Wilson i poprosił, by jak najszybciej udała się do rezydencji Webbów.

Usłyszawszy wieści, Bib zmienił się na twarzy, zbladł, wstał i wyszedł na patio, gdzie zatrzymał się i stał tak z rękami w kieszeniach, patrząc gdzieś w dal.

- Pozwól, że najpierw ja z nim porozmawiam przez chwilę - rzekł Brannon do Becky, która już - już miała wyjść za Bibem.

- Dobrze. - Z westchnieniem usiadła z powrotem na kanapie i nieco nieśmiało uśmiechnęła się do Josette. - Może poczęstuje się pani miętówką?

Zdziwiła się, gdy w odpowiedzi usłyszała wybuch śmiechu. Nie miała pojęcia, że właśnie francuskie miętówki pomogły rozwikłać zagadkę trzech morderstw.

Bib usłyszał zbliżające się kroki.

- Najciemniej zawsze pod latarnią... - zacytował z grymasem, po czym z ukosa zerknął na przyjaciela. -

Podjejrzałaś ją?

- Nie - przyznał Brannon. - Byłem gotów się założyć, że to ta hakerka. Ale w pewnym momencie dowiedzieliśmy się, że przyjaciółka Marsha jest zamężna i lubi luksusowe miętówki.

Bib wyjął dłonie z kieszeni i z uwagą przyjrzał się swojej obrączce.

- Odkąd Silvia skończyła siedemnaście lat, żyję jak kawaler. Na początku lubiła kochać się ze mną, ale szybko ją znudziłem, bo okazałem się za mało brutalny i dziki jak na jej potrzeby. Zaczęła wynajdywać sobie coraz to nowych „przyjaciół”, a ja zacząłem popijać. Co to za życie? Ale ludzie przywykają do rutyny i już tak chodzą jak w kieracie...

Przez długą chwilę panowało milczenie.

- To będzie cholernie nieprzyjemny proces - uprzedził Brannon. - Nie postawiłbym złamanego centa na to, że po wszystkim będziesz miał jakiegokolwiek szanse na fotel senatora.

- Nie dbam o to. - Bib obrócił się do przyjaciela.
- Mogę też stracić posadę wicegubernatora, to również mnie nie obchodzi. Mam swoją firmę, mam dobrych

pracowników, weźmiemy się wreszcie za ten wielki eksperymentalny projekt, dzięki któremu może uda się kiedyś pomóc milionom ludzi w krajach trzeciego świata, jeśli zdołamy rozwiązać problem nawadniania w czasie suszy. Powiedz mi, czym w porównaniu z tym jest polityka? Niczym!

- Cały ty.

Bib uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Tak, cały ja. A to... - zatoczył krąg ręką, wskazując basen oraz widoczny za wielkimi oknami przepyszny salon urządzony najdroższymi meblami, kryształami i tkaninami - ...to cała Sihda. - Wzruszył ramionami. - Nie czuję potrzeby wyrównywania rachunków z nikim, może tylko z Marshem.

- Nie obawiaj się, Marsh dostanie wysoki wyrok niezależnie od tego, jak drogich prawników sobie załatwi. Niestety, Sihda również, o ile nie uznają jej za niepoczytalną - dodał cicho. - Przygotuj się na taką ewentualność. Sihda powiedziała szokujące rzeczy o swojej przeszłości, będę musiał wszystko zeznać.

- Co ci takiego powiedziała? - spytał ze zgrozą Bib, błędąc ponownie.

Brannon pomyślał, że lepiej będzie, jeśli przyjaciel trochę dojdzie do siebie, nim opadną go żądni sensacji dziennikarze.

- Później ci powtórzę, teraz to nie jest dobry moment.

Bib wzburzył włosy dłonią.

- W takim razie zadzwonię do mojego prawnika i spytam, co mógłby zrobić dla Silvii. Może uda mu się doprowadzić do tego, by uznali ją za niepoczytalną i zamknęli w zakładzie, a nie w więzieniu. Tak naprawdę od dawna dawało się dostrzec niepokojące oznaki, ale tłumaczyłem sobie, że to niemożliwe, żeby moja żona była chora. Wolałem myśleć, że to skrajny egoizm połączony z wybuchowym temperamentem. - Westchnął ciężko. - Nie da się dłużej udawać, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

- Postaram się pomóc ci, jak tylko będę mógł.

- Wiem o tym. I naprawdę doceniam. Jesteś jedyną osobą oprócz Becky, która zawsze wierzyła, że mam czyste ręce i nie biorę, ani nie daję żadnych łapówek.

- Wierzę, ponieważ cię znam. I nigdy nie

odwracam się od przyjaciół - zapewnił. - A teraz pójde i przyśle ci Becky. Niedługo będziesz tu miał najazd dziennikarzy, ona będzie umiała cię przed nimi ochronić.

- To prawda - Bib uśmiechnął się. - Ożenię się z nią, kiedy już będzie po wszystkim.

- Wcale się nie dziwię. Nie mógłbyś znaleźć lepszej żony.

Brannon wrócił do salonu i zamienił parę słów z Becky, która zaraz potem dołączyła do Biba na patio.

- Co teraz? - spytała Josette.

- Teraz? - Na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Teraz wreszcie zjemy kolację. A potem zaczniemy robić plany...

Nie bardzo wiedziała, czego owe plany miałyby dotyczyć, ale powstrzymała się od pytań, ponieważ umierała z głodu. Pojechali więc na kolację, a potem Marc odwiózł Josie pod jej hotel.

- Jeśli mnie oczy nie mylą, to wóz Griera - zauważył, gasząc silnik. - Ciekawe, co on tu robi?

- Skąd mam wiedzieć? - Obróciła się ku niemu. - Wspomniałeś o robieniu planów. O jakie plany ci chodziło?

Delikatnie dotknął palcami jej ust.

- Dla mnie poszłaś na zabieg, więc coś ci się za to należy.

Josette zaczerwieniła się.

- Chcesz powiedzieć, że pójdziemy do łóżka i...

Uśmiechnął się szeroko.

- Och, ty bezwstydnico! - zażartował. - Widzisz to? - Wskazał srebrną gwiazdę na swojej piersi. - Złożyłem ślub czystości. Nie zadaję się z kobietami — oświadczył z godnością.

- Każdy, kto cię zna, z pewnością to potwierdzi - skwitowała kpiąco.

- Nie zadaję się z kobietami, które nie mają na imię Josette - doprecyzował. - Zresztą zamierzam być przykładnym mężem i ojcem.

Jej oczy zrobiły się wielkie, pojawiła się w nich niepewność.

Marc spowaźniał. Ujął dłoń Josette, podniósł do ust, ucałował.

- Kocham cię. Nigdy nie przestałem cię kochać, ani na moment. Próbuję żyć bez ciebie, ale jestem już tym bardzo zmęczony.

Wpatrywała się w niego dalej niczym zahipnotyzowana.

- Wiem, że mam niebezpieczny zawód, ale obiecuję nie ryzykować bez potrzeby. Mogę pracować w Wiktorii i codziennie dojeżdżać, to nie jest daleko. Dwie pensje i dochód z rancza wystarczą nam w zupełności. Doskonale znamy wzajemnie swoje wady i zalety. Uda nam się. Wiem, że nam się uda.

Josette przypomniała sobie wreszcie, że człowiek musi oddychać, więc głęboko wciągnęła powietrze w płuca.

- To dość nieoczekiwane... - zaczęła.

- Zdaję sobie z tego sprawę, dlatego nie proponuję, żebyśmy dziś wieczorem poszli do łóżka, a rano wzięli ślub - mówił z powagą. - Proszę, żebyś rzuciła tę robotę u Simona i na próbę zamieszkała ze mną na trzy tygodnie na moim ranczu. - Uniósł dłoń, jakby chciał zawczasu uciąć wszelkie możliwe protesty.

- Mieszka tam mój zarządca ze swoją żoną, więc posłużą nam za przyzwoitki. Proponuję, żebyś porozmawiała o pracy z naszym prokuratorem okręgowym w Jacobsville, myślę, że chętnie cię

przyjmie, nie narzeka na nadmiar wykwalifikowanych pracowników. Ja poproszę o przeniesienie do Wiktorii, już się dowiadywałem, jakie są możliwości i znalazłem człowieka, który z kolei chciałby się przenieść do San Antonio, żeby się opiekować rodzicami. Bardzo się ucieszył, że mógłby się ze mną zamienić na miejsca.

Josette aż potrząsnęła głową.

- Ty masz już wszystko zaplanowane! Musiałeś o tym sporo myśleć.

- Nie myślę prawie o niczym innym, odkąd tu przyjechałaś prowadzić śledztwo. - Zajął jej głęboko w oczy. - Powodzenie moich planów zależy od tego, czy potrafisz mi wybaczyć przeszłość. Wiem, że proszę cię o wiele. Popełniłem błędy, bardzo poważne błędy...

- Ja również. Powinnam była z tobą porozmawiać, gdy się zobaczyliśmy podczas procesu Jenningsa. Mogłam przynajmniej spróbować, aleja...

- Ja także mogłem spróbować - uciał. - Zresztą nawet nie dałem ci szansy, bo od razu wyjechałem.

- Ale teraz już wiem, czemu wyjechałeś.

- Położyła dłoń na jego ustach i uśmiechnęła się, gdy czule ucałował jej palce. - Och, Marc, bez ciebie nie

nie miało sensu... - Zamilkła, gdyż zaczęło dławić ją w gardle.

Porwał ją w objęcia, przycisnął do siebie z całej siły, omal nie łamiąc jej żeber i pocałował tak, że aż zaboląło. Potem wtulił twarz w jej szyję i przygarnął Josette jeszcze mocniej. Drżał.

- Marc! - wykrzyknęła, zaskoczona tak gwałtowną reakcją na swoje ciche wyznanie.

- Nienawidziłem... samego siebie - wyznał chrapliwym szeptem. - Nie mogłem żyć ze świadomością, że cię skrzywdziłem. Boże jak ja cię kocham, Josie! Kocham cię całym sobą i zawsze będę kochał. A gdy będą mieli mnie składać do grobu, to ostatnim słowem, jakie powiem, będzie twoje imię!

Pocałowała Marca żarliwie, przekazując mu bez słów, że nigdy go nie zostawi i nigdy nie przestanie kochać. Po policzkach zaczęły jej płynąć gorące łzy, lecz całowała go dalej, nie mogąc, nie chcąc przestać. Żadne z nich nie zauważyło, że okna wozu zupełnie zaparowały, zdradzając, co może dzieć się w środku. Do rzeczywistości przywołało ich dopiero zdecydowane pukanie w okno od strony kierowcy.

Brannon, choć oszołomiony, miał dość przytomności, by najpierw wypuścić Josie z objęć i pozwolić jej odsunąć się w głąb samochodu.

Dopiero potem opuścił szybę i ujrzał nachylnego Griera, który przyglądał mu się z wyraźną dezaprobatą.

- Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję dnia, w którym Strażnik Teksasu zostanie przyłapany na igraszkach w samochodzie zaparkowanym przed takim miłym hotelem...

- A niby gdzie mieliśmy pójść? - huknął na niego mocno wytrącony z równowagi Brannon. - Nie mogę jej zabrać do siebie, ani tym bardziej iść z nią na górę do pokoju. Właśnie się zaręczyliśmy!

Grier zrobił wielkie oczy.

- Naprawdę?

Brannon znieruchomiał, ponieważ uświadomił sobie, co narobił.

- Słuchaj no...

- Zaręczyliście się. Aha. - Kumpel skinął głową, zachichotał szatańsko, odwrócił się na pięcie i zaczął się oddalać od samochodu.

- Nie jesteś zaproszony! Jak się pokażesz na

naszym weselu, to lepiej miej na sobie kamizelkę kuloodporną! - wrzasnął za nim Brannon.

Grier nawet się nie odwrócił. Marc z jękiem rozpaczy zamknął okno i odwrócił się ku Josette.

- O co chodzi? - spytała.

Zapatrzył się na nią chciwie, gdyż wyglądała cudownie z rozpuszczonymi włosami, ustami nabrzmiałymi od pocałunków i bluzką rozpiętą do połowy. Aż się uśmiechnął na ten widok.

- Mmm? - mruknął z roztargnieniem, przypominając sobie, że chyba o coś pytała.

- O co wam chodziło? - powtórzyła.

- Grier nie cieszy się dobrą reputacją, jeśli chodzi o przyjęcia weselne - zdradził wreszcie z ociąganiem.

- Nie rozumiem. Odchrząknął.

- Nic się nie martw, bo na naszym weselu nie pojawi się na pewno. Masz moje słowo.

- W porządku.

Otworzyła ramiona, a Brannon zatonął w nich bez chwili zwłoki i znów zaczął ją całować, zapominając o Grierze, jego reputacji i wszystkim innym. W ostatnim przeblysku świadomości zdążył jednak na wszelki

wypadek zablokować drzwi...

Kilka tygodni później Josette stała u boku Marca w niedużym, lecz ślicznym kościółku w Jacobsville. Właśnie podpisała stosowne dokumenty oraz złożyła przysięgę, co uczyniło z niej panią Josette Annę Langley Brannon.

Ubrała się skromnie w prostą, uroczą sukienkę z dopasowaną górą i szeroką spódnicą. Za welon posłużyła biała gipiura narzucona na głowę jak mantyla. Marc znalazł w sklepie jubilerskim dwie unikatowe obrączki, które teraz połyskiwały na ich palcach. Popatrzyli na siebie rozkochanym wzrokiem.

- To była bardzo piękna ceremonia - rzekła Josette do pastora oraz jego żony i córki, które poprosili na świadków. - Dziękujemy.

Pastor uściskał dłonie im obojgu.

- To dla mnie wielka radość, że mogłem państwu udzielić ślubu. Trochę tylko żałuję, że nalegaliście państwo na bardzo skromną i cichą uroczystość. Jesteście oboje znani i szanowani w mieście, pańska matka została ochrzczona w naszej świątyni - przypomniał Brannonowi.

- Wiem, ale moja siostra jest żoną głowi państwa, więc woleliśmy uniknąć zainteresowania mediów, które zrobiłyby z tego widowisko!

- Słusznie, słusznie... Przyjmijcie więc moje najserdeczniejsze życzenia. Mam nadzieję, że ujrzymy was tutaj znowu, może zechcecie przyjść do kościoła w którąś niedzielę?

Josette podniosła wzrok na swego męża, a potem odpowiedziała za nich oboje.

- Myślę, że przyjdziemy.

Kiedy wracali na rancho, Marc przez całą drogę trzymał Josie za rękę. Spędzili ze sobą trzy cudowne tygodnie narzeczeństwa, jeżdżąc razem konno, odwiedzając znajomych, poznając się na nowo. Podczas mieszkania pod jednym dachem odkryli, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż mogli przypuszczać, więc wzięcie ślubu wydało im się nagle najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Nawet poglądy polityczne mieli takie same.

Przez te trzy tygodnie wszystko robili razem i tylko sypiali oddzielnie, na co nalegał głównie Brannon, który oświadczył, że chce mieć prawdziwą noc poślubną. Uśmiechnął się, gdy na te słowa jego narzeczoną

splonęła rumieńcem, po czym dodał, że Josette nie pożałuje, że musiała czekać, już on się o to postara. Oczywiście zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

W drodze powrotnej z kościoła zerkał na nią co chwilę i uśmiechał się, widząc, w jaki sposób Josie mu się przygląda. Oboje wzięli tydzień wolnego, zarządca i jego żona przeprowadzili się do niedużego domku, który Marc dla nich wynajął, więc nowożeńcy mieli przed sobą miodowy tydzień oraz cały dom tylko dla siebie. A przynajmniej tak im się wydawało...

Kiedy przyjechali na miejsce, ujrzeli czekający na nich tłum ludzi. Marc aż jęknął.

- O nie! Grier, przy wiążę cię do końskiego ogona i pognam przez skupisko kaktusów, przysięgam!

Josette wybuchnęła śmiechem.

- Czyli o to chodziło! Dlatego nie chciałeś go zaprosić!

- Budowi Handleyowi wywinął ten sam numer. Panna młoda tak się wściekła, że aż chwyciła broń Buda i strzeliła do Griera. Chybiła, niestety...

- Daj spokój, oni tylko przyszli złożyć nam gratulacje - mitygowała go Josette. - Na pewno niedługo

sobie pójdą.

- To ci się tylko tak wydaje - mruknął ponuro, zwalniając. - Jeśli zobaczę chociaż jedną kamerę telewizyjną, niech niebiosa czuwają nade mną, bo...

- Czy to nie Judd Dunn stoi obok Griera na werandzie? - Z zaskoczeniem wskazała na wysokiego szczupłego bruneta ze srebrną gwiazdą Strażnika na piersi. - Ale kim są ci wszyscy inni ludzie? - spytała, patrząc na pozostałych mężczyzn i parę kobiet. Niektórzy nosili mundury i odznaki.

- Już ci mówię... Strażnicy, policjanci, ludzie szeryfa, dwóch gości z Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami... - wyliczał przez zaciśnięte zęby. - Wygląda na to, że zwalili nam się na głowę prawie wszyscy stróże prawa z całej okolicy!

- Czyli przyszli przywitać cię znowu w lokalnej społeczności! - wykrzyknęła z entuzjazmem. - Jakie to słodkie!

Słodkie? Jasne. Cholernie słodkie. Brannon wciąż pamiętał szatański uśmiech Griera i zastanawiał się, czy kumpel nie zgotował im więcej niespodzianek. Jedną właśnie zobaczył i aż jęknął. Curtis Russell! I co jeszcze?

Owszem, pochlebiało mu, że tyle osób go witało, ale przecież mogli zadzwonić. Wysłać e - mail. Kartkę. Cokolwiek. Ale żeby urządzić najazd, gdy on potrafił myśleć już tylko o nocy poślubnej?

- Bądź dla nich miły - Josette zbesztala męża, widząc jego minę. - Przecież chcą dobrze.

Popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby nagle porosła zielonym pierzem.

- Zaproponujemy im kawę i ciasto, i sobie pójda - przekonywała.

- Niby czemu mieliby sobie pójść? Zachichotała i łobuzersko poruszyła brwiami.

- Bo nie mamy kawy i ciasta.

- No to powiedzą, że pojada i przywiozą wybuchnął.

Wzruszyła ramionami.

- Zamkniemy się na klucz, zanim wrócą. Brannon zaczął się śmiać.

- Jesteś najprawdziwszym skarbem.

- Ty też. - Oparła głowę na jego ramieniu. - Pamiętałeś, żeby zawiadomić Gretchen?

- Tak, dzwoniłem do niej, kiedy ty się

szykowałaś. Odebrała jej sekretarka i obiecała przekazać wiadomość jak najszybciej.

- Hm, to mi przypomina, że teraz jestem spowinowacona z głową państwa. Może powinnam wstać i zasalutować, albo co?

- Skoro już mowa o staniu i salutowaniu...

- mruknął, zatrzymując dżipa przed tłumem szeroko uśmiechniętych ludzi.

- Gratulacje! - Judd Dunn odsunął się na bok, odsłaniając dwa duże kubelki na lód. Gdy otworzył pierwszy z nich, ukazały się dwie wielkie butle najlepszego szampana.

- Nie zapomnij o zagryrze! - krzyknął któryś ze Strażników.

- Ja nigdy o niczym nie zapominam. - Judd podniósł pokrywę z drugiego kubła, w którym były krewetki na zimno oraz miska z sosem koktajlowym.

- Moje ulubione danie! - zawołała zachwycona Josette. - Kochane z was chłopaki!

- I dziewczyny! - dodała rezolutnie nieduża brunetka, wyglądając spomiędzy dwóch rosnących kolegów.

- I dziewczyny - poprawiła się ze śmiechem.

- Dziękujemy z całego serca!

- Nie wiedziałem, że tak lubisz krewetki - zdumiał się Brannon.

- Bo nie przeprowadziłeś dochodzenia, a my tak - skwitowała jedna z kobiet. - Twoja żona uwielbia też klopsy i naleśniki z francuskiego ciasta.

- Akurat o tych dwóch rzeczach wiem, nawet nauczyłem się je robić.

Strażnicy wymienili szelmowskie spojrzenia i kpiące uśmiešky, a Brannon zdjął kapelusz i trzepnął nim Judda.

- Dzięki za szampana. A teraz spadajcie.

- Marc! - wykrzyknęła Josette, wstrząśnięta takim brakiem manier.

Łypnął na nią, po czym ponownie trzepnął przyjaciela stetsonem.

- Dość! - odezwał się Grier nieznoszącym sprzeciwu tonem przedstawiciela prawa, po czym wystąpił przed wszystkich, dzierząc w dłoni kilka kartek papieru. - Szanowana damo i szanowny panie! - przeczytał z namaszczeniem. - My, wasi przyjaciele z

organów ścigania, życzymy wam wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Gdybyście kiedykolwiek potrzebowali naszej pomocy, wystarczy nas wezwać...

- To ja was wzywam do rozejścia się - wtrącił uprzejmie Brannon. - Brama jest tam - wskazał palcem.

- Mam jeszcze sześć stron do przeczytania - oświadczył wojowniczo Grier.

- A ja mam śrutówkę za drzwiami. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- W porządku, Grier, zrobiłeś swoje, a teraz idziemy. I tak nie zamierzaliśmy dłużej zostawać - Judd poinformował Brannona ze śmiechem. — Koleżanki i koledzy, zbieramy się! Mamy przestępców do łapania.

Wszyscy ustawili się w kolejce do państwa młodych, każdy uścisnął im dłoń i złożył życzenia. Josette była głęboko wzruszona ciepłem, jakie jej okazano. I zaskoczona tym, jak dobrym przyjacielem okazał się Grier, który pomyślał o zrobieniu im takiej niespodzianki. Goście odjeżdżali kolejno, a kiedy Josette pomachała za ostatnim samochodem, odwróciła się do swego męża i spojrzała na niego z czułością.

- Wygląda na to, że będziemy żyli w bardzo miłym miejscu.

Skinął głową i zatopił wzrok w jej delikatnej twarzy, otulonej lśnjącymi włosami i gipiurową mantylą.

- Jest pani przepiękną panną młodą, pani Brannon.

- A ty jesteś bardzo przystojnym panem młodym.

Wskazał na otwarte kubelki z lodem.

- Co chcesz najpierw skosztować? Szampana czy krewetki?

Nałożyła pokrywy na oba kubelki i wzięła męża za rękę.

- To może poczekać - odparła i spojrzała mu prosto w oczy.

Na zewnątrz wciąż było jasno, lecz w sypialni okna zostały zasłonięte i panował w niej półmrok. Mimo to Josette nagle poczuła się niepewnie, gdyż niezależnie od tego, jak uwielbiała pieścizoty Marca, bolesne wspomnienia związane z seksem napęłniły ją strachem. Co innego gra wstępna, a co innego...

Przyciągnął ją do siebie, popatrzył w pełne łęku ciemne oczy i delikatnie przesunął opuszkami palców po

wargach Josette.

- Mężczyzna godzien tego miana nie zniszczy pączka róży - szepnął. - Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Chyba tak.

- Czekałem na panią bardzo, bardzo długo, pani Brannon - rzekł cicho. - Obiecuję postarać się, żeby to czekanie było tego warte. I dla ciebie, i dla mnie. Dlatego przestań się niepokoić. Pomyśl sobie, że jesteśmy parą nastolatków, którzy oddają się igraszkom w zaparkowanym samochodzie. Co ty na to?

Zaskoczył ją. Nie przypuszczała, że można podejść do tego tak, jakby to była jakaś wesoła, trochę niegrzeczna przygoda. Czyli pierwszy raz nie musiał być wcale krępujący? Mogli się po prostu... dobrze bawić?

Rozejrzała się po pokoju.

- W zaparkowanym samochodzie?

- Wszystkie szyby są zamknięte... - wymruczał. -

I postaramy się je zaparować.

Przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy całowali się w dziupie zaparkowanym pod hotelem i zachichotała cichutko.

- Ale ten pokój jest znacznie większy niż wnętrze samochodu.

- Mhm... - zgodził się. - Ale tym razem wspólnymi siłami wygenerujemy więcej gorąca.

Przesunął dłońmi po jej ramionach w górę i w dół, nie próbując dotykać żadnych intymnych miejsc, i zaczął ją bardzo leciuteńko całować, uśmiechając się przy tym do samego siebie, gdy poczuł, jak Josette odpręża się i przytula do niego.

Przez długi, długi czas nie robił nic innego, tylko ją całował. Przestała się bać, gdyż nie było czego, delikatne pocałunki nie niosły ze sobą żadnej groźby, przypominały pierwsze randki z Brannonem, gdy poznawali się nieśmiało, powoli odkrywając nowe terytoria. Tym razem jednak było to daleko cudowniejsze, gdyż wiedziała, że kocha tego mężczyznę całym sercem, chce być z nim i dać mu dzieci.

Czule skubnął ustami jej dolną wargę, jakby się bawił.

- Widzisz? - szepnął. - Nie musimy się z niczym spieszyć. Mamy tyle czasu, ile dusza zapagnie.

Westchnęła.

- Bałam się tego - wyznała.

- Ja też.

Aż się odsunęła, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Przecież nie jesteś nowicjuszem.

- Przy tobie jestem - odparł z powagą.

- W przeszłości szukałem tylko zaspokojenia. Z tobą to akt miłości.

Na jej twarzy odbił się zachwyt.

- Nigdy nie kochałam nikogo innego. Dla mnie zawsze byłeś tylko ty.

- Dla mnie też byłaś tylko ty. - Nachylił się.

- Przez dwa lata chodziłem głodny. Będziesz najpyszniejszym posiłkiem w moim życiu. Moją prywatną uczcią.

Uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Zaraz potem Marc przyciągnął ją mocno do siebie, by poczuła, jak ogromnie zgłodniał. Przez moment wahała się, ale tylko przez moment, potem uległa, rozchyliła usta, pozwoliła mu wsunąć dłoń pod sukienkę. Czowała, jak jego palce suną powolutku do góry wzdłuż jej uda, jak odnajdują skąpą koronkę bielizny. Marc pocałował Josette namiętniej, jego palce wślizgnęły się pod materiał, dotknęły ciała.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, a on wykorzystał okazję i szybko wsunął język w jej usta. Josette zabrakło tchu, zaczęła drżeć. Tylko raz jej tak dotykał, lecz tym razem nie cofnął się, nie przeraził się tego, co odkrył, gdyż była gotowa na przyjęcie go, otwarta, a nie zamknięta i niedostępna. Aż jęknęła, gdy zaczął pieścić ją śmieiej, poczuła coś dziwnego, elektryzującego, bezradnie wygięła ciało w łuk.

Zrozumiał, że fizyczna przyjemność jest jej obca, że nigdy nie zaznała erotycznego zaspokojenia. Przywarła do niego, wbiła mu paznokcie w ramiona, jakby się bała, że on przestanie robić to, co robił.

- Spokojnie - wyszeptał, gdy zaczęła się wić w jego ramionach. - To dopiero początek.

- Marc! - jęknęła półprzytomnie, zamykając oczy, żeby lepiej odczuwać.

Po raz pierwszy odkrywała taką przyjemność, która zarazem wydawała się torturą. Josette nie wiedziała, co się z nią dzieje, miała wrażenie, że gdzieś spada, leci, potem pod jej plecami znalazło się coś chłodnego. Pościel. Ledwie zwróciła na to uwagę, gdyż ta przyjemność... nieprzyzwoita, cudowna, udręczająca

przyjemność stała się jeszcze bardziej intensywna.

- Za silnie reagujesz - szepnęła. - Rozładuję to napięcie, a potem zaczniemy od nowa.

Nie rozumiała, o co mu chodziło. Chciała spytać, ale nagle przeszły ją coś takiego, że aż wyprężyła się na łóżku i gwałtownie otworzyła oczy, lecz nic nie widziała, owładnięta rozkoszą, która narastała z każdym ruchem palców Brannona.

- Niecee...! - zawołała z przestrawieniem.

Ucałował jej oczy, by zamknęła je z powrotem.

- Kocham cię ponad wszystko. Pozwól mi. Parę sekund później poczuła falę gorącej, pulsującej rozkoszy, jej ciałem wstrząsnął spazm, kurczowo chwyciła koszulę Brannona, wtuliła w nią twarz, gdyż bała się, że zacznie krzyczeć.

A potem popłakała się ze wstydu.

Marc zaśmiał się z ogromną czułością i zaczął całować jej twarz, bardzo delikatnie, chociaż sam był cały napięty i aż drżał z wysiłku, by w pełni panować nad sobą.

- A teraz, kiedy już miałas przedsmak tego, czego możesz się spodziewać, nauczysz się, jak przeżyć to

razem.

- Razem?

- Aha...

Zdjął z niej sukienkę, a potem bieliznę, nachylił się, całował jej płaski brzuch, posuwając się ku górze, ku jędrnym piersiom.

- Uwielbiam smak twojej skóry... Nawet nie wiesz, jak trudno mi się powstrzymać... To najtrudniejsza rzecz w moim życiu. Ale ten raz musi być idealny. Absolutnie idealny.

Wstał i zaczął się rozbierać. Okulary Josette leżały na stoliku przy łóżku, lecz Marc znajdował się blisko, więc widziała go dobrze. Gdy został tylko w czarnych bokserkach, z zażenowaniem odwróciła wzrok.

- Żadne takie - zaprotestował łagodnie, lecz stanowczo. - Popatrz na mnie.

Zmusiła się, by na niego popatrzeć i gdy ujrzała, jak bardzo był podniecony, oblała się szkarłatnym rumieńcem, lecz ku swemu zdumieniu zaraz potem przestała się wstydzić, a zamiast tego poczuła pragnienie. Jej oczy zamglily się z pożądania, ciało wyprężyło się samo.

- Nie rozumiem... co się ze mną dzieje - ledwie
zdołała wyjąkać.

Marc uśmiechnął się.

- Zaraz zrozumiesz - obiecał, kładąc się obok
niej.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W ciągu następnych minut dowiedziała się więcej o swoim ciele niż przez poprzednie dwadzieścia cztery lata. Marc doprowadzał ją swoimi pieściami już - już na samą krawędź rozkoszy, a w ostatniej chwili wycofywał się, uspokajał ją i zaczynał wszystko od nowa.

- Zabijesz mnie! - zaprotestowała z żarem, gdy znowu przestał i przeturlał się z nią po łóżku, wsuwając nogę między jej uda.

Nachylił głowę ku jej piersiom, zaczął je ssać. Jednocześnie mocno chwycił ją za biodra i zaczął zmysłowo pocierać nogą o wewnętrzną stronę jej ud.

- Na tym to polega - wymruczał ze śmiechem.

- Co takiego? Najpierw czule ugryzł ją w ramię, potem jego usta odnalazły nabrzmiące od pocałunków wargi Josette.

- Francuzi nazywają to małą śmiercią.

Gdy pocałował ją chciwie, bezradnie zanurzyła palce w jego falujących włosach i z powrotem zaczęła drżeć. On również drżał, a Josette mogła tylko podziwiać

jego siłę i wytrzymałość, gdyż miała wrażenie, że rozebrał ją już całe wieki temu. Cały czas był podniecony, ale ilekroć unosiła biodra, próbując go skusić, odsuwał się, a ona przeżywała kolejną agonię.

Ponownie zaczął jej dotykać, więc nastawiła się na to, że znów będzie ją tylko słodko torturował, lecz tym razem Marc nie wycofał się, wszedł w nią, napelniając ją błogością i zachwytem. Jej ciało protestowało jedynie przez moment, zaskoczone tą nieoczekiwaną inwazją.

Podniósł głowę i spojrzał w szeroko otwarte oczy Josette. Zobaczyła ściągniętą twarz męża, poczuła, jak on dygocze coraz mocniej wraz z każdym ruchem bioder i wreszcie dotarło do niej, że osiągnął kres swojej wytrzymałości.

- Pomóż mi - wyszeptał chrapliwie. - Nie mogę już dłużej.

- Kiedy nie wiem, co mam...

- Znajdź pozycję, w której poczujesz, że ci dobrze... Porusz biodrami, poszukaj... Gdzie ci najbardziej przyjemnie? Tu?

- Tu! - Jej ciało samo wygięło się w łuk. - Och,

tak! Tu!

Czuł, jak ona poddaje się rytmowi, jak stara się przycisnąć do niego jak najmocniej, by wziąć go w siebie jak najgłębiej, jak zaczyna się napinać wokół niego, pulsować, tak samo jak czuł pulsowanie w sobie, gorąco, napór...

Wyrwał mu się zdławiony okrzyk, gdy eksplozja uwolniła go od morderczego napięcia i przeszła jego ciało niewyobrażalną rozkoszą. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie zostawił Josie, że zdołał i ją porwać ze sobą, gdyż zupełnie stracił kontrolę. Wstrząsnął nim kolejny spazm, kolejny, i jeszcze kolejny... Prawie nieprzytomny z ekstazy, bezwiednie zawołał Josie po imieniu.

Wyczuwała, co się z nim dzieje, chociaż ją samą zagarnęła rozdzierająca przyjemność. Josette z całej siły wbiła paznokcie w plecy Marca, przywarła otwartymi ustami do jego nagiego ramienia i trzęsła się z błogości i zachwytu. Spełnienie okazało się piękne, takie piękne... Czyli o to chodzi, pomyślała w oszołomieniu i nareszcie zrozumiała, że ta pierwsza doświadczona rozkosz rzeczywiście stanowiła zaledwie nikły przedsmak tego,

czego właśnie doznawała. Nie istniały słowa, za pomocą których dałoby się to opisać. Chciwie ucałowała ramię Marca i opadła na poduszki, wyprężając się w ostatnim spazmie.

Z trudem łapała powietrze. Cała się trzęsła. Była obolała, a jednocześnie nigdy nie czuła się cudowniej. Skórę i włosy miała mokre od potu, kiedy przeciągnęła dłońmi po plecach Brannona, odkryła z zachwytem, że on też był cały mokry. Poruszyła się lekko, poczuła go głęboko w sobie i zaśmiała się cichutko sama do siebie.

- Jak na zdenerwowaną nowicjuszkę całkiem szybko się uczysz - zauważył.

Roześmiała się głośniejszym i mocniej przytuliła go do siebie.

- Och, ty draniu! - wyszeptała czule. - Ty cudowny, kochany draniu!

Zaśmiał się również, kompletnie wykończony, ale odprężony po raz pierwszy od lat. Obrócił się na plecy, nie wychodząc z niej i przytrzymał ją na sobie.

- Dwa lata ścisłego celibatu. Boże, jak się cieszę, że czekałem!

- Ja też. - Ucałowała jego tors, porośnięty

ciemnymi włosami, które polaskotały ją w nos. -
Zapomnieliśmy o czymś.

- O czym? - spytał z doskonałą obojętnością.

Dała mu kuksańca.

- Dobrze wiesz, o czym. Westchnął.

- Są w szufladzie nocnej szafki.

- I bardzo są tam skuteczne!

- Wiem. - Pocałował ją w brodę. - Dzieci to coś wspaniałego, mogę je mieć nawet i tak szybko. Ale następnym razem powinniśmy zachować się trochę rozsądniej.

- Mhm... - zamruczała, potem zaśmiała się, wreszcie ziewnęła. - Spać mi się chce.

- Mnie też.

- No to może... - Poruszyła się lekko.

Przytrzymał ją.

- Zostań tak, jak jesteś - szepnął. - Nie życzę sobie, żebyś była ode mnie choć milimetr dalej niż teraz.

Przytuliła się do niego z błogim westchnieniem.

- Ja też sobie nie życzę... Marc?

- Mhm?

- Małżeństwo to coś wspaniałego.

Kiedy się zaśmiał, poczuła pod sobą drzenie jego muskularnego ciała.

- Też tak myślę.

A potem już nic nie mówili.

Oficjalnie miodowy miesiąc dobiegł końca, lecz mieszkańcom Jacobsville wydawało się, że w przypadku Brannonów tak naprawdę nie skończy się nigdy. Josie i Marc byli praktycznie nierozłączni, rozstawali się jedynie na czas pracy - on przeniósł się do filii Straży w Wiktorii, ona dostała posadę w prokuraturze okręgowej.

Parę miesięcy później, gdy Josette zamiatła werandę w sobotni rano, zaś Marc rozdelał zadania ludziom wynajętym do pracy na ranczu, na podwórze wjechały dwie długie, czarne limuzyny z oznaczeniami korpusu dyplomatycznego.

Josie popatrzyła po sobie. Dżinsy, sportowa bluza, nieco przybrudzona podczas porannych porządków, stare mokasyny. W dodatku była nieumalowana i nieuczesana. No to piękne wrażenie zrobi na swoim nowym powinowatym, szejku Phillipie Sabon! Ona i Marc chcieli lecieć do Qawi, by zobaczyć się z Gretchen, jej mężem i ich synkiem, lecz najpierw

żadne z nich dwojga nie mogło wziąć urlopu, a potem w Qawi próbowano przejąć władzę i szejk musiał uporać się z sytuacją w kraju. Wreszcie Sabonowie wzięli sprawy w swoje ręce i postanowili zrobić rodzinie niespodziankę. Josette aż jęknęła na myśl o tym, jaki moment sobie wybrali. Powita głowę państwa, trzymając miotłę w garści!

Marc wyszedł ze stodoły i uśmiechnął się szeroko na widok wysokiego ochroniarza, którego pamiętał ze ślubu siostry, a który teraz pomachał do niego i otworzył tylne drzwi limuzyny. Wsiadła z niej Gretchen - młoda, promieniejąca szczęściem, niezmiernie elegancka - i wpadła prosto w ramiona brata.

- Witaj, braciszku! Przyjechaliśmy powitać Josie w rodzinie. Mam nadzieję, że pamiętasz Philippe'a.

Szejk dołączył do żony, wysoki, smagły, bardzo przystojny pomimo szramy przecinającej mu twarz. Uścisnął dłoń szwagra.

- Witaj wśród żonatych mężczyzn.

- Cały czas nie mogę się nacieszyć, że się wreszcie ożeniłeś - wtrąciła Gretchen z radosnym uśmiechem. - I to z kimś, kogo tak bardzo lubię.

- Spojrzała w kierunku werandy. - Witaj, Josie!
Josette odstawiła miotłę, wytarła dłonie o dzinsy i zesłała ze schodów, zdenerwowana i onieśmielona. Gretchen w mig odgadła powód i pospieszyła jej z pomocą.

- Ja po pałacu zawsze chodzę w dzinsach i bluzie - zapewniła. - I nigdy się nie maluję przy moim mężu. - Posłała szelmowskie spojrzenie Philippe'owi, który patrzył na żonę z uśmiechem.

- Bo to strata czasu - skwitował i skierował spojrzenie na Brannona. - Ty też coś o tym wiesz, prawda?

- Prawda. - Marc otoczył Josie ramieniem.

- Poznaj twojego szwagra, Philippe'a Sabon, szejka Qawi.

- Jestem zaszczycona... - zaczęła Josette. Szejk ujął jej dłoń i ucałował.

- Miło mi poznać. Pomyśleliśmy, że chcielibyście może zobaczyć jeszcze kogoś oprócz nas.

- Powiedział coś po arabsku i z limuzyny wysiadła kobieta w hidżabie, trzymająca dwuletniego chłopczyka. - Oto nasz syn Raszid - oznajmił z uśmiechem.

Dziecko wyciągnęło ręce do ojca i z wyraźną radością wtuliło się w jego ramiona.

- Widzicie? - Gretchen westchnęła i potrząsnęła głową. - Jego pierwsze słowo brzmiało „ta - ta”. Wieczorem nie zaśnie, dopóki Philippe mu nie przeczyta bajeczki na dobranoc. Kiedy wstaje, od razu biegnie do taty. - Rozłożyła ręce.

- Ja jestem tylko inkubatorem!

- Nieprawda - stwierdził z uśmiechem szejk.

- Jesteś chodzącym komitetem wdrażania reform.

- Poczytałam tylko kilka drobnych zmian - sprostowała.

Szejk pocałował synka w policzek i spojrzał na szwagierkę.

- Czy moglibyśmy dostać kawy? Jechaliśmy tu z lotniska dość długo.

- Ależ oczywiście! Parzę wyśmienitą kawę, ponieważ pracuję w prokuraturze okręgowej, gdzie kawę się pije litrami - stwierdziła Josette.

Gretchen wzięła ją pod rękę.

- Właśnie, skoro już mowa o twojej pracy, to chciałam z tobą skonsultować pewne kwestie prawne...

- O nie! - jęknął Philippe.

Marc poklepał szwagra po ramieniu.

- Nie przejmuj się, na pewno chodzi o takie drobiazgi jak zatrucie środowiska i globalne ocieplenie.

Panie ruszyły w stronę domu, nie zwracając uwagi na panów, których jeszcze dobiegły słowa Gretchen:

- W Qawi przydałaby się reforma więzienia...

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- W swoim gabinecie mam świetną szkocką whisky — podsunął Marc.

- I duże szklanki, mam nadzieję - odparł żartobliwym tonem szejk.

- Eee, Wasza Wysokość?

Obrócili się i ujrzeli stojącego przy limuzynie Curtisa Russella. Oprócz niego był jeszcze jeden agent ze służb specjalnych oraz dwóch osobistych ochroniarzy szejka.

- Tak?

- Czy Wasza Wysokość pamięta o tej sprawie, o której rozmawialiśmy?

Philippe westchnął.

- Wiecznie jakieś komplikacje... - Zerknął na szwagra. - Twój były szef z FBI jest gotów zatrudnić Russella, jeśli ty go polecisz.

Marc miał taką minę, jakby poproszono go o zjedzenie beczki dziegciu.

- Bez rekomendacji się nie uda, gdyż ostatnio Russell miał pewien niefart - ciągnął Philippe.

- Ostatnio to wsadzał nos w śledztwo, którym nie powinien się zajmować, ponieważ nie ma takich uprawnień - wytknął Marc.

Curtis Russell nerwowo przełknął ślinę.

- Chciałem tylko udowodnić, że byłbym dobrym agentem FBI. No i wykazałem się, przecież pomogłem Philowi Douglasowi wytropić tę Gates w Argentynie, została zaaresztowana i czeka ją proces.

- To prawda - zgodził się z ociąganiem Marc. Szejk pokiwał głową.

- Niestety, Russell podawał się przy tym za agenta FBI.

- Przecież nim nie jesteś! - wybuchnął Marc.

- Jesteś tajnym agentem ze służb ochrony.

Russell aż się skrzywił.

- W sensie technicznym tak... - Zakasłał.

- Ale akurat miałem urlop. No i kiedyś przez rok rzeczywiście pracowałem dla FBI. - Zmarszczył brwi. - Z całym szacunkiem, ale szkoda mnie do ochraniania dyplomatów. Można mnie skierować do rozwiązywania trudnych spraw, okażę się dobrym agentem, powinienem tylko dostać szansę!

Philippe pytająco uniósł brwi, zaś Marc wzruszył ramionami.

- W porządku, wstawię się za tobą, Russell. Ale pod jednym warunkiem - dodał z naciskiem.

- Z góry zgadzam się na wszystko! - wykrzyknął uradowany Russell.

Szare oczy Brannona zwęziły się.

- Będiesz pracować w którymkolwiek z innych stanów. - Położył akcent na przedostatnie słowo.

Russell zasalutował.

- Tak jest. Myślałem o Florydzie. Uwielbiam plażę - zdradził i uśmiechnął się szeroko.

Marc podniósł ręce w geście poddania się i wszedł do domu.

Tej nocy, gdy goście spali w swoim pokoju, a ochrona czuwała dookoła domu, Josie i Marc leżeli spleceni w czułym uścisku, patrząc, jak księżyc świeci przez żaluzje, rysując wzory na kołdrze.

- Gwiazdka jest już w przyszłym miesiącu - wymruczała Josette, z uśmiechem przytulając się mocniej do męża. - Chciałabym mieć prawdziwą choinkę, którą potem da się zasadzić w ogrodzie.

- Dobrze.

- I coś ładnego do dekoracji.

- Lasso i ostrogi. Możesz ich nawieszać, ile zechcesz.

Zachichotała.

- I chciałabym taką specjalną ozdobę.

- Mim?

- Wiesz, taką dużą bombkę z naszymi imionami i datą ślubu.

- Mmm... miły pomysł.

- W przyszłym roku możemy do niej dodać inne.

- Inne... - powtórzył coraz bardziej zaspanym tonem. - Mmm...

- Na przykład z napisem „Pierwsza Gwiazdka

Dzidziusia”.

- Pierwsza Gwiazdka... Bardzo ład... Co?!
Gwałtownie usiadł na łóżku i popatrzył na nią z otwartymi ustami.

- Czy właśnie powiedziałaś to, co myślę, że powiedziałaś?

- Ani razu nie otworzyliśmy szuflady w nocnej szafce - przypomniała mu.

Nie słuchał wyjaśnień, położył dłoń na płaskim brzuchu Josie i popatrzył na żonę takim wzrokiem, jakby rozwiązał zagadkę sensu życia.

- Mój własny mały Strażnik Teksasu. Albo Strażniczka. - Zaśmiał się cicho. ~ Co za prezent pod choinkę! Ja to mam szczęście!

- O nie! To ja mam szczęście!

Na zewnątrz robiło się coraz zimniej i wiał wiatr, lecz w ich sypialni płonęło ciepło, którego nawet cały śnieg Alaski nie zdołałby wyziębic. Josette pomyślała sobie, że to będą najpiękniejsze święta w ich życiu.

I rzeczywiście.

Diana Palmer

**Niebezpieczna
pomyłka**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ta kobieta musi być kompletnie szalona. Nie mogła wybrać bardziej widocznego punktu na hodowlę marihuany, jej dom znajdował się przecież przy głównej ulicy niewielkiego miasteczka na północy stanu Georgia.

Oczywiście nie mogła wiedzieć, że agent FBI Curtis Russell był właśnie w odwiedzinach u matki, która mieszkała po drugiej stronie ulicy. To, że przebywał na urlopie, nie zwalniało go jednak z czujności, dlatego nie mógł udawać, iż nie zauważa tak ewidentnego i bezczelnego łamania prawa, zwłaszcza, że działa się to tuż pod jego nosem.

Stał w szerokim oknie domu matki, przyglądając się z niesmakiem, jak Marihuanowa Mary troskliwie pielęgnuje zakazane roślinki.

Owszem, doskonale wyglądała w beżowych szortach i kremowej koszulce na ramiączkach. Istotnie, miała śliczną, gładką, lekko opaloną skórę, no i te cudowne kobiece kształty... Wynajmowała nieduży dom, jeździła absurdalnie drogim volkswagenem w kolorze groszku, z miękkim, składanym dachem. Zastanawiał się, kim też może być z zawodu. Z tego, co się dowiedział od matki, mieszkała tam zaledwie od trzech miesięcy. W sam raz, by posadzić flance marihuany i doczekać się zbioru. Ze też nie zadała sobie nawet trudu, by je schować za rządkiem tych ładnych krwistoczerwonych kwiatów.

Curtis nie interesował się nigdy ogrodnictwem, więc nie miał pojęcia, co też jeszcze rośnie w ogródku vis-a-vis, jednak konopie indyjskie rozpoznał na pierwszy rzut oka. W końcu w pracy widział je wiele razy na zdjęciach

i rysunkach.

- Curt, gotowa jestem pomyśleć, że zakochałeś się w tej dziewczynie z naprzeciwka - stwierdziła matka, tłukąc gotowane kartofle na obiad. - Czemu tak sądzisz?

- Bo od trzech dni gapisz się na nią z okna.

- Nie zakochałem się. - Podniósł się z krzesła i przeciągnął. - Wiesz może, jak ona ma na nazwisko?

- Ryan. Mary Ryan. Niestety, nic więcej o niej nie wiem.

- A do kogo należy ten dom?

- Do Grega Henry'ego. Czemu pytasz?

- Tak sobie.

Przeczesał palcami niesforne czarne włosy i uśmiechnął się do matki. Od chwili przedwczesnej śmierci ojca, kiedy to Curt był zaledwie sześciolatkiem, byli tylko we dwoje. Aby mieli co jeść i gdzie mieszkać, Matilda pracowała na

dwóch etatach, jako reporterka w lokalnym dzienniku oraz felietonistka w regionalnym magazynie. Kiedy Curt miał dziesięć lat, podjął pierwszą pracę, czyli roznosił gazety, a w wieku szesnastu lat zatrudnił się na pełnym etacie, by wesprzeć domowy budżet. Tak więc można by powiedzieć, że jego przeznaczeniem była praca, praca i jeszcze raz praca.

Jedynym minusem stanowiska, jakie do niedawna zajmował w służbach specjalnych, a obecnie w FBI, była rozłąka z matką. Na szczęście Matilda nie przesiadywała samotnie w domu, tylko z zapałem uczestniczyła w parafialnych akcjach charytatywnych, a także spotykała się z przyjaciółmi. Od czasu do czasu pisywała też do gazet, i choć nie zajmowała się już sprawami bieżącymi, miała nadal wiele kontaktów w przeróżnych kręgach, włączając w to środowiska, o których Curtis wolał

zapomnieć.

- Ciągłe się spotykasz z tym handlarzem bro-
nią? - zapytał ni z tego, ni z owego.

Drobna, siwowłosa Matilda o szelmowskim
spojrzeniu uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nigdy mu nie udowodniono jakiegokolwiek
związku z tą sprawą. Zresztą od tamtej pory się
zmienił, bardzo się wyciszył. Teraz nawet wy-
kłada w college'u.

- Niesamowite! A czego konkretnie uczy?

- Etyki.

Curtis wybuchnął gromkim śmiechem.

- Żartowałam. - Postawiła na stole półmisek z
gorącym daniem. - Wykłada prawo karne.

- Jeszcze lepiej.

- Wielu młodych ludzi ma na pewnym etapie
swego życia kłopoty z prawem. - Spojrzała na
syna wymownie.

- Ja przynajmniej byłem na tyle przyzwoity, że

zdemolowałem własny dom, a nie cudzy.

- I dość rozsądku, by przewidzieć, że bliższe kontakty z osobami nie stroniącymi od narkotyków mogą cię wpędzić w kłopoty - zgodziła się.

- Ale chyba nigdy przedtem i nigdy potem aż tak się o ciebie nie bałam jak wtedy, gdy znalazłeś się w sądzie. Jako dziennikarka od dziesięciu lat zajmowałam się takimi sprawami, więc dobrze wiedziałam, czym to pachnie.

- Ale potem zachowywałem się już wzorowo. - Uścisnął ją serdecznie. - A teraz ścigam takich gagatków.

- Teraz ścigasz znacznie poważniejszych przestępców. Jestem z ciebie dumna. Doskonale sobie poradziłeś z tym hakerem z Teksasu. Sama słyszałam, jak prokurator generalny cię chwalił.

- Tak, to było coś. - Pokiwał z zadowoleniem głową.

- Tylko błagam, uważaj na siebie. - Usiadła do

stołu. - Dość się nadenerwowałam, gdy pracowałam przy ochronie zagranicznych dygnitarzy. Na samą myśl, że będziesz się zajmował tropieniem morderców, dostaję gęziej skórki.

- Spójrz na to z drugiej strony. Dzięki temu mogłabyś wrócić do gazety i pisać o aktualnych wydarzeniach, bo zapewniłbym ci stały dopływ rzetelnych, choć nieoficjalnych informacji. Przyznasz, że to ciekawsze niż zachwywanie się gigantyczną dynią, która urosła na grządce miejscowego ogrodnika.

- Dziękuję bardzo, wolę spać spokojnie. -
Nalała kawy do dwóch filiżanek. - Bardzo mi się podoba, że już nie muszę przerywać odpoczynku, żeby pędzić na miejsce zbrodni ani wnikliwie wsłuchiwać się w przemowy polityków, którzy próbują wszystkim wmówić, że nowa ustawa, tak naprawdę kompletnie bezsensowna, w praktyce się sprawdzi. Tematy

ogrodnicze są znacznie przyjemniejsze, a nie wymagają takiego zachodu.

- Słuszna uwaga.

- Poza tym zarabiam teraz więcej niż przed odejściem na emeryturę. To chyba najpoważniejszy argument.

Curtis skinął głową. Z tym nie dało się dyskutować, więc zabrał się do jedzenia.

- A tak naprawdę, to czemu przyglądasz się tej Mary Ryan? - zagadnęła po chwili Matilda. - Czyżbyś wiedział coś, czego nie wiem ja?

- Jeszcze nie. Ale mam przeczucie, że to tylko kwestia czasu.

Następnego dnia poszedł się zobaczyć z Gregiem Henrym, który prowadził agencję nieruchomości.

Bez zbędnych wstępów zapytał go o nową sąsiadkę matki.

- Czyżby miała jakieś kłopoty z prawem? - zaniepokoił się Greg, jako że dla nikogo z tych stron nie było tajemnicą, czym zajmuje się Curtis.

- A skąd niby mam to wiedzieć? - Wzruszył ramionami. - Dlatego właśnie pytam.

Greg otworzył teczkę Mary Ryan.

- Pochodzi z Ashton, małego miasteczka na południe od Atlanty. Nie figuruje na liście dłużników. Ma doskonałe referencje, choć od dziwnych ludzi.

- Dziwnych? To znaczy?

- Były rewolucjonista z Ameryki Południowej, nawiedzony kaznodzieja, znany z niedzielnego programu w telewizji, kontrowersyjny pisarz, który do niedawna miał swoją kolumnę w jednym z nowojorskich dzienników.

Curta zaintrygowały te informacje. Kim była kobieta, która ma takich przyjaciół? Niestety

Greg nie wiedział, jaki zawód wykonuje Mary Ryan, uśmiechnął się tylko dziwnie. Curtisowi nie pozostało więc nic innego, jak przespacerować się na posterunek policji, którym dowodził jego dawny kolega ze szkolnej ławy.

Jack Mallory nie krył rozbawienia, słysząc, gdzie dawno niewidziany kolega znalazł zatrudnienie.

- FBI? - powtórzył ze śmiechem. - Nigdy bym nie pomyślał, że tam trafisz. Zawsze wydawało mi się, że przyjmują tylko rozsądnych, dobrze ułożonych, przewidywalnych ludzi.

- Może rozsądnych i dobrze ułożonych tak, ale z moich obserwacji wynika, że zdecydowanie preferują tych nieprzewidywalnych.

- A nie pracowałeś jeszcze do niedawna w służbach specjalnych? Doszły mnie słuchy o jakimś skandalu, w który byłeś zamieszany. Za karę wysłali cię chyba na bagna Okefenokee,

żebyś tam ochraniał wiceprezydenta, prawda?

- To bzdurne plotki. Zgłosiłem się na ochotnika. Uwielbiam bagna.

- Naprawdę? - Jack spojrział na niego z lekkim uśmiechem.

- Nieważne. Słuchaj, naprzeciwko mojej matki mieszka kobieta, która hoduje zakazane rośliny. Na domiar złego przy samej drodze.

- Zakazane, czyli jakie?

- Takie, którymi można się solidnie odurzyć.

- Więc przyjrzyjmy się tym roślinkom.

Pojechali nieoznaczonym policyjnym samochodem, ale gdy zaparkowali przed bramą, Mary Ryan przywitała ich wesołym uśmiechem.

- Dzień dobry, policjo! - Podniosła się z kolan i otrzepała ręce, bo właśnie pieliała grządki. - Spóźniliście się. W zeszłym tygodniu sama przyznałam się do przekroczenia prędkości, ale skończyło się tylko na ostrzeżeniu. Nie można

dwa razy karać za to samo.

- Nie chodzi o wykroczenie drogowe. - Jack zerknął na grządkę i posłał Mary Ryan wymowne spojrzenie. - Czy naprawdę muszę ci tłumaczyć, dlaczego powinnaś je jak najszybciej wyrwać i zniszczyć?

- Nie to tylko ... ! - zaprotestowała.

- Są zakazane i wiesz o tym doskonale - przerwał jej stanowczo.

- Ale takie ładne ... - westchnęła.

- Prawo jest prawem. Naprawdę chcesz, żebym przysłał moich ludzi, by je wyrwali?

- Obejdzie się, dziękuję. Jak widzisz, nie boję się brudnej roboty. Nie, i tak bym nie wiedziała, co z nimi dalej zrobić.

- Ja też, ale to nie zmienia postaci rzeczy, że są nielegalne. Nie dalej jak tydzień temu kazaliśmy Jeanette, to dwa domy dalej, zlikwidować całą grządkę. Nie mogę dla ciebie zrobić wyjątku.

- Dobrze już, dobrze - ustąpiła z ciężkim sercem. - To on cię na mnie nasłał, prawda? - Posłała Curtisowi wściekłe spojrzenie. - Widziałam, jak się gapił z okna matki. To jakiś ogródkowy kapuś czy co?

Jack zakrył usta dłonią, choć Curtowi wcale nie było do śmiechu.

- Pani złamała prawo - stwierdził oschłym tonem. - Z tego co widzę, robiła to jak najbardziej świadomie. Jestem agentem specjalnym FBI.

- Nie wiedziałam, że w nazwie pana firmy zaszła zmiana i Federalne zmienili na Florys-tyczne Biuro Śledcze.

Curt zarumienił się po same uszy i zły jak diabli wrócił do policyjnego wozu, trzaskając za sobą drzwiami, i spojrzał z wyrzutem na Jacka, który wciąż dławił się ze śmiechu.

Było to małe miasteczko, więc informacja o

tym niefortunnym spotkaniu szybko dotarła do jego matki. Jeszcze tego samego wieczoru, gdy oglądał telewizję, przyszła do jego pokoju i usiadła na kanapie.

- A więc teraz pracujesz dla Wydziału Narkotykowego? - zagadnęła.

- Słucham?

- Wiesz, nigdy bym nie pomyślała, że będziesz zmuszał niewinne kobiety do wrywania kwiatków w swoich ogródkach.

- To nie były żadne kwiatki, tylko marihuana.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście. Wiele razy widziałem te rośliny na zdjęciach.

- Julie Smith ma w ogródku przed domem nieduży klon japoński. Teraz jest prawie łyśy, bo jakiś głupiec powiedział koledze, że to marihuana, więc nastolatki zakradają się nocą do jej ogrodu i zrywają liście, żeby zrobić z nich

skręty. Bardzo jestem ciekawa, jaki wpływ na ludzkie zachowanie może mieć palenie liści miniaturowych klonów japońskich.

- Owszem, pomyłki się zdarzają, ale nie zaprzeczyła, a do tego Jack od razu się poznał na tych jej kwiatuśkach. Powiedział, że to zabroniona roślina i ma wyrwać te wszystkie konopie.

- Naprawdę nie wiem, jak ja jej teraz spojrzę w oczy ...

- Przecież nie ty u niej byłaś, tylko ja. Zresztą twoja reputacja nie powinna na tym ucierpieć, wszyscy cię bardzo lubią.

- To dlatego, że mam poczucie humoru.

- Ja też mam poczucie humoru - oburzył się.

- Jasne.

Wstała i wyszła, zostawiając go samego z telewizorem.

Następnego dnia po śniadaniu podszedł boso,

w dzinsach i podkoszulce do drzwi po gazetę. Odruchowo zerknął na drugą stronę ulicy i aż się zagotował ze złości. Te przeklęte krzaki marihuany wciąż tam rosły! Niewiele myśląc, przebiegł przez ulicę, wszedł do ogródka sąsiadki i wyrwał jedną roślinę, chwycił następną

- Proszę przestać! Natychmiast!

Z drzwi domku wybiegła bosa blond furia, ubrana w biały frotowy szlafrok, dopadła do Curta, wyrwała mu z ręki roślinkę i zaczęła go okładać pięściami. Zaskoczony tym niespodziewanym atakiem, zachwiał się i oboje runęli na ziemię.

- Zostaw ... ty ... wandalu! - Zadała mu cios w brzuch.

Szarpnął ją za ramię tak mocno, że przekręciła się plecami do ziemi, i przycisnął, by nie mogła się poruszyć. Nie wpadł jednak na to, że

powinien również unieruchomić jej nogi. Przyszło mu to do głowy zbyt późno, gdy wymierzyła mu silnego kopniaka, podniosła się błyskawicznie i stanęła kilka kroków od niego, tuląc do piersi nieszczęsną roślinę.

- To jest naruszenie prywatnej własności! Wandalizm! Brutalny atak na biedne pomidory. Odpowie pan za to przed sądem!

- Z przyjemnością - mruknął, bezskutecznie próbując obciągnąć jeszcze przed chwilą nieskazitelnie białą koszulkę.

- Naprawdę?! Skoro tak, to chętnie to panu umożliwię. - Wyciągnęła z kieszeni szlafroka telefon komórkowi i wystukała numer. - Dzień dobry, tu Mary Ryan z Cherry Boulevard numer 123. Złapałam na gorącym uczynku chuligana. Zastosowałam areszt obywatelski. Proszę jak najszybciej przysłać radiowóz.

- A drugi dla niej, bo hoduje w ogrodzie

marihuanę! - krzyknął w kierunku telefonu.

- Słucham?! Jaką marihuanę?

- A taką, jaką trzyma pani w ręku!

- To? - Uniosła zgniecioną roślinę. - To jeden z moich krzaków pomidorów na konkurs ogrodniczy. Wyhodowałam je własnoręcznie z nasion.

- Spojrzała na niego z politowaniem. - Jeśli nie odróżnia pan pomidorów od marihuany, to radzę zmienić zawód, bo w Wydziale Narkotykowym niewiele pan zwojuje.

- Pracuję w FBI - oparł z godnością.

- Szczęściarze - prychnęła. - A to się ucieszą, jak przeczytają jutrzejsze nagłówki lokalnych gazet.

- Nie dalej jak wczoraj komendant policji nakazał pani wyrwać i zniszczyć nielegalne rośliny.

- Nie zaprzeczę. Już je zresztą wyrwałam. Chodziło o mak, panie agencie specjalny FBI.

Mak, a nie marihuanę.

Zacisnął usta. Sprawiała wrażenie głęboko przekonanej o swej racji. Rozejrzał się dokoła. W kącie ogrodu leżała sterta świeżo wyrwanych roślin, które faktycznie poprzedniego dnia widział na rabatce przy ogrodzeniu. Ale jak to możliwe, żeby nie rozpoznał pomidora?!

- Odpowie pan za to w sądzie - syknęła wściekle, tuląc do piersi zieloną łodyżkę. - Moje biedne pomidory. Może się pan pożegnać z odznaką.

- Bardzo ciekawe. A czym się pani zajmuje, poza uprawą podejrzanych roślin, jeśli można wiedzieć?

- Jestem zastępcą prokuratora okręgowego w sąsiednim hrabstwie - odparła z nieskrywaną satysfakcją w głosie.

- Chyba pani żartuje!

- Chciałby pan. Przeniosłam się tu z Ashton,

gdzie pracowałam dla organizacji zajmującej się udzielaniem bezpłatnych porad prawnych ludziom, których nie stać na adwokata. Wydawało mi się, że będzie to awans nie tylko zawodowy, ale i społeczny. Teraz jednak widzę, że się myliłam, bo trafiłam do jakiejś Durnej Wólki.

- Nie jestem durniem! - oburzył się.

- Za to mordercą niewinnych pomidorów, wychodzi więc na jedno.

- To wcale nie wygląda na krzak pomidorów - szedł w zaparte.

Byli tak pochłonięci sporem, że nie zauważyli, iż z okolicznych domów powychodzili mieszkańcy i przypatrywali się im z dużym zaciekawieniem. Nie spostrzegli także zbliżającego się policyjnego samochodu.

- O nie, tylko nie to - jęknął Jack, wysiadając z auta.

- Wtargnął na mój teren, dokonał aktu

przemocy i wyrwał krzak pomidorów! - dramatycznie oskarżała Mary. - Myślał, że to marihuana. Może byście sprawdzili, skąd on wziął odznakę FBI? Założę się, że ukradł!

- Po pierwsze, to ona na mnie napadła. Po drugie, czy to nie wygląda jak krzak marihuany? - bronił się Curt.

- Żądam, żeby został aresztowany za włamanie, przemoc i wandalizm.

Jack podszedł bliżej, oglądając się raz po raz za siebie.

- Czy macie pojęcie, jak sędzia Wills zareagowałby, gdybyście przyszli do niego z taką sprawą? Mary, jak będziesz się czuła, gdy na zakończenie pierwszego kwartału pracy publicznie najesz się wstydu w sądzie?

Spuściła głowę.

- A ty, Curt, czy naprawdę chcesz tłumaczyć

sędziemu, dlaczego wrywałeś krzaki pomidorów z ogródka sąsiadki? Sędzia Wills znany jest jako wielki miłośnik pomidorów, sam je hoduje na konkurs.

Curtis skrzywił się, jak gdyby kazano mu połknąć ćwiartkę cytryny.

- Mogę napisać notatkę służbową i nadać bieg sprawie, ale radzę wam, żebyście potraktowali to wydarzenie jako ważną lekcję życiową. Wróćcie do domów i weźcie długą, relaksującą kąpiel.

Przyjrzeni się sobie nawzajem. Byli umazani błotem, jako że poprzedniego wieczoru padał deszcz.

- Wydaje mi się, że możemy całą sprawę rozstrzygnąć polubownie. Agent specjalny Russell z pewnością odkupi ci zniszczoną roślinę, prawda? - Jack zerknął wymownie na kolegę.

- Tak - zgodził się niechętnie Curt.

- Wyhodowałam ją z nasionka - przypomniała Mary Ryan.

- W takim razie ja też wyhoduję ją z nasionka. Mogę nawet ją wysiadywać niczym bezcenne jajo, jeśli ma pani takie życzenie.

Posłała mu mordercze spojrzenie.

- Centrum ogrodnicze przy zjeździe z autostrady ma duży wybór sadzonek - podsunął Jack. - Od tradycyjnych, przez różne odmiany, aż po te doskonale rutgersy, które hodujemy z żoną.

- Nie będę chytrusem, kupię pani dwa rutgersy - zgodził się szarmancko Curtis. - Mogę je nawet własnoręcznie posadzić.

- Dziękuję bardzo, wolę nie. Sądząc po pańskiej głębokiej wiedzy na temat ogrodnictwa, posadzi je pan korzeniem do góry.

- Hola, hola. - Komendant uniósł ręce, by ich uciszyć. - Jeśli tak dalej pójdzie, będę zmuszony aresztować was oboje za zakłócanie spokoju. Nie poczekam, aż się przebierzecie, a musicie wiedzieć, że co rano na posterunek przychodzi fotoreporter z lokalnego dziennika. Z pewnością ucieszy się z tak wdzięcznej pary modeli.

Spojrzeni po sobie.

- Dwa rutgersy. Dzisiaj - powiedziała twardo.

- Dwa - zgodził się.

- W takim razie wycofuję zgłoszenie. - Tuląc przywiedniętą roślinkę, wróciła do domu, dla własnej satysfakcji trzaskając na do widzenia drzwiami.

Curt odwrócił się na pięcie, przeszedł przez ulicę, minął oniemiałą z wrażenia matkę i bez słowa zniknął w domu, Jack zaś wsiadł do radiowozu i odjechał, zastanawiając się, czy do momentu wyjazdu Curta Russella czeka go choć

jeden nudny dyżur.

Po zakupieniu i dostarczeniu dwóch sadzonek pomidorów odmiany rutgers do ogrodu Mary, Curtis wziął prysznic i przebrał się w dzinsy, sportową bawełnianą koszulę oraz brązowe zamshowe mokasyny. Zamierzał usiąść sobie wygodnie w saloniku, by trochę odpocząć, jednak pechowo natknął się tam na matkę, więc nie było mu to dane.

- Może się wreszcie dowiem, o co w tym wszystkim chodziło? - zaczęła spokojnie.

- Wyrwałem z jej grządki krzak pomidorów, a ona mnie zaatakowała - wyjaśnił bez owijania w bawełnę.

- Dlaczego wyrwałeś ten nieszczęsny krzak?

- Bo myślałem, że to marihuana.

- Pomyliłeś pomidor z marihuaną?

- Nie miałem z sobą zdjęcia, żeby je

porównać - tłumaczył się bez większego przekonania. - Zresztą byłem tam wczoraj z Jackiem, który kazał jej usunąć nielegalne rośliny, a ona się zgodziła. Skąd miałem wiedzieć, że mówili o makach?

- O makach? A to dopiero! Przyznać trzeba, że to przepiękne kwiaty. Niestety figurują na liście zakazanych roślin. W przeciwieństwie do pomidorów.

- Proszę cię, nie pastw się nade mną.

- Dobrze, dobrze. Co było dalej?

- Musiałem pojechać do sklepu ogrodniczego i kupić jej dwie sadzonki rudgersów. Przed chwilą je posadziłem. Dzięki temu wycofała oskarżenie o nielegalne najście, przemoc i wandalizm, a ja obiecałem, że nie pozwę jej za napaść.

- Napaść?!

- Tak jest, napadła na mnie z użyciem krzaka

pomidorów.

Matilda tylko cudem nie ryknęła śmiechem.

- Mam niedługo zebranie komitetu - poinformowała, gdy udało jej się odzyskać względną powagę. - Zjesz lunch na mieście?

- Jasne. Zresztą i tak miałem taki zamiar. Muszę zajrzeć do okręgowego biura FBI.

- W takim razie do zobaczenia na kolacji. Miłego dnia, synku - dodała, spoglądając na niego z rozbawieniem.

Gdy kwadrans później wychodził z domu, starannie unikał zerkania na drugą stronę ulicy, na wypadek gdyby szalona ogrodniczka obserwowała go ze swych okopów. Wycofał auto z podjazdu i włączył się do ruchu. Dokładnie w tym samym momencie z tyłu dobiegło go głośne trąbienie. Zajrzał w lusterko wsteczne. Mary Ryan siedziała w swym groszkowym volks-

wagienie, wygrażając mu pięścią. Jak się okazało, wycofując, niemalże uderzył w jej przedni zderzak, brakowało zaledwie paru centymetrów. Uśmiechnął się do niej w lusterku, machając przy tym wesoło, na co ona znów zatrąbiła. Ruszył powoli, bez pośpiechu, choć miał ochotę wystartować z piskiem opon, by w swej jeżdżącej zabaweczce mogła powąchać dym z jego rury wydechowej. Ku swej irytacji wkrótce przekonał się, że zabaweczka ta potrafi całkiem szybko jeździć, bo gdy tylko znaleźli się na stanowej autostradzie, zielone autko śmignęło mu z lewej strony. Znajdowali się około trzydziestu kilometrów od miasta, w którym mieściła się siedziba zarówno sądu okręgowego, jak i biura FBI. Curt miał nieprzyjemne przeczucie, że obie instytucje, należące przecież do jednego resortu, mieszczą się pod tym samym dachem.

Jak wkrótce się przekonał, jego podejrzenia nie były bezpodstawne. Aby dostać się do środka, musiał przejść przez bramkę wykrywającą metale, a także wyłożyć na tackę zawartość wszystkich kieszeni. Nie pomogła nawet legitymacja FBI. Tym bardziej więc upokorzył go fakt, że chwilę po jego wejściu w budynek zjawiała się miłośniczka pomidorów, ubrana w modny jasnoszary kostium i grafitowe szpilki, a uśmiechnąwszy się słodko do strażnika, przeszła obok bez zbędnych ceregieli.

Gdy wreszcie udało mu się dostać do środka, przeszedł się powoli korytarzem prowadzącym do biura FBI. Sekretarka kazała mu usiąść w recepcji, bo agent, z którym miał się spotkać, rozmawiał właśnie przez telefon z kimś niesłychanie ważnym. Na szczęście długo nie musiał czekać, bo dwie minuty później sekretarka z uśmiechem poinformowała go, iż

może już wejść.

Uśmiech, z jakim powitał go ów agent, sprawił, że zmiękły mu nogi. Nawet nie musiał pytać, czy informacje o pomidorowej bójce zdążyły już pokonać trzydziestoparokilometrową odległość od jego rodzinnego miasteczka ...

ROZDZIAŁ DRUGI

Hardy Vicks, agent specjalny o sympatycznej twarzy, wskazał mu krzesło. Po urlopie to właśnie Hardy miał być jego bezpośrednim przełożonym, teraz zaś chciał przedstawić mu szczegóły pewnego śledztwa.

- To naprawdę uciążliwa sprawa - stwierdził, nie kryjąc irytacji. - Ten człowiek - rzucił na biurko parę zdjęć - to Abe Hunt, świadek koronny w śledztwie prowadzonym przez nasze biuro w Atlancie. Dzięki niemu skazano właściciela klubu erotycznego, który okazał się ważną figurą w siatce handlarzy narkotyków. W dodatku wyszło na jaw, że miał powiązania z mafią z Miami.

- Jak rozumiem, są jakieś kłopoty? - zapytał Curt, przypatrując się postawnemu mężczyźnie o ciemnych oczach, kręconych kruczoczarnych włosach i szerokiej, dość nawet sympatycznej twarzy.

- Nie możemy go odnaleźć. Żyje w ukryciu, bo nie wierzy, że jesteśmy mu w stanie zapewnić bezpieczeństwo. W szczególności obawia się niejakiego Danielsa, mafijnego snajpera. Zresztą trudno mu się dziwić, bo Daniels jest wyjątkowo

skutecznym zabójcą. W każdym razie Hunt jest dla nas cennym źródłem informacji, więc gotowi jesteśmy zapewnić mu nietykalność, nawet nową tożsamość, jeśli tylko zgodzi się znów zeznawać. Trzymaliśmy go już w specjalnej kryjówce w Doraville, ale niestety agenci, którzy mieli go pilnować, oglądali w telewizji nowy teleturniej i kiedy wykrzykiwali odpowiedzi, Hunt po prostu wyszedł z domu i zniknął. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jesteś na wakacjach, ale byłibyśmy wdzięczni, gdybyś miał uszy i oczy otwarte. Wiem, że jego dwaj kuzyni mieszkają niedaleko ciebie, jeden z nich dwa domy od twojej matki.

- Naprzeciwko nas mieszka pani Ryan, zastępca prokuratora okręgowego, czemu nie poprosicie jej o pomoc?

- Już to zrobiliśmy. Od razu się zgodziła, a potem zapytała, czy jesteś uzbrojony.

- Słucham? - Curt zmarszczył gniewnie brwi.

- Była ciekawa, czy twój dzienny przydział to więcej niż jedna kulka. - Vicks starał się zachować kamienny wyraz twarzy.

- To najgorsza zołza, jaką znam.

- Naprawdę? To należysz do jednoosobowej mniejszości, bo wszyscy mężczyźni w promieniu trzydziestu kilometrów są odmiennego zdania. A już dla nas jest nadzwyczaj miła. – Wskazał leżącą na biurku papierową torebkę pełną kruchych ciasteczek. - Upiekła je własnoręcznie i obdarowała oba biura. Jak na zołzę, ma wyjątkowy talent kucharski.

- Czy coś jeszcze? - Curt postanowił pominąć tę uwagę pełnym wyższości milczeniem.

- Nie, póki jesteś na urlopie. - Vicks wstał, by uścisnąć mu rękę na pożegnanie. - A, mam dla ciebie wiadomość z Wydziału Narkotykowego.

Gdybyś stracił u nas pracę, nie wysyłaj do nich podania. Podobno nie są zainteresowani krzakami pomidorów. Hej, dokąd się tak spieszysz?! Russell!

Ale Curt był już na schodach. W rękę ścisnął fotografię Hunta z taką siłą, że była już niemal całkiem zgnieciona. Aż się gotował ze złości. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem zdarzył mu się tak fatalny dzień.

Gdy wrócił przed dom matki, okazało się, że to jeszcze nie koniec kłopotów. Na samym środku podjazdu siedział wielki, wychudzony, rudy kundel. Curt zatrąbił, ale zwierzę się tym nie przejęło. Zirytowany, zatrąbił ponownie, tym razem przytrzymując dłużej klakson. Po chwili przed dom wybiegła matka, gestem wskazując, by był cicho.

- Nie hałasuj! - poprosiła, gdy opuścił szybę.

- Sąsiad zza płotu pracuje w nocy, więc teraz pewnie śpi.

- Nie mogę zaparkować, ten kundel mi przeszkadza.

- Jaki kundel? - zdziwiła się. - Przecież ja nie mam psa.

Curtis wskazał ruchem głowy zwierzę, które właśnie układało się wygodnie na podjeździe.

- O, piesek. Skąd on się tu wziął?

- Nie wiem. Może go zapytasz? - zaproponował, nie kryjąc irytacji.

Matka posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie i poszła przekonać psa, by łaskawie przeniósł się w inne miejsce. Gdy jej się to nie udało, pośpieszyła z powrotem do domu, by za moment powrócić z kawałkiem surowego mięsa. Pies powąchał kasek, a potem podniósł się i poszedł za Matildą, dzięki czemu Curt mógł wreszcie zaparkować pod wiatą. Kiedy dotarł do wejścia,

psisko siedziało już na werandzie, oblizując się z widoczną satysfakcją. Nic nie wskazywało na to, żeby wybierało się dokądkolwiek.

- Nie możesz hodować ogara w mieście - oświadczył matce.

- To nie ogar, tylko seter irlandzki. Nie widzisz, jakie ma długie uszy? Ciekawe, skąd się tu wziął.

- Może spadł z nieba?

- Nie żartuj sobie. W okolicy jest zbieg, świadek koronny - poinformowała szeptem. - Jego kuzyn mieszka w tym białym domu nieopodal.

- A skąd ty to wiesz?! - zdumiał się. - Dopiero przed chwilą dowiedziałem się o tym od szefa tutejszego biura FBI, gdzie po urlopie zamierzam pracować.

- Jestem doświadczoną dziennikarką. - Wzięła się pod boki. - Mam swoje sposoby.

- Ale przecież od dawna jesteś na emeryturze.

- Spotkałam dziś żonę tego kuzyna w sklepie spożywczym. Mówiła, że nie cierpi tego typu, ale jej mąż jest w niego wpatrzony jak w obrazek, bo przyjaźnił się z nim jacyś znani sportowcy. - Pokręciła głową z dezaprobatą. - Nie cierpię sportu.

- Ja też. A ta sąsiadka nie wie przypadkiem, gdzie jest teraz Abe Hunt?

- Nie, ale obiecała, że mnie powiadomi, jak tylko cokolwiek usłyszy. Niestety wyjeżdżają na wakacje, nie powiedziała mi dokąd.

- Może powinniśmy kogoś powiadomić? - Zerknął na czworonożnego przybłędę. - Jest tu w okolicy jakieś schronisko?

- Tak, nawet niedaleko stąd ... Ale właśnie je remontują. Zresztą on ma obrozę, więc może znajdziemy jego adres. - Przykucnęła, żeby zdjąć psu obrozę, ten zaś nadstawił głowę do

pieszczot. - A może to pies więzienny? Swoją drogą, ciekawe, jak się tu dostał? Przypilnuj go, a ja pójde zadzwonić, może się czegoś dowiem.

Chcąc nie chcąc, Curt usiadł na schodach obok bestii.

- Widzisz to? - Odsunął połą kurtki i wskazał na pistolet, który tkwił w kaburze. - Jeśli tylko spróbujesz się wymknąć, zastrzelę cię w mgnieniu oka.

W odpowiedzi zwierzę polizało go po policzku.

Kilka minut później matka powróciła na werandę. Wyglądała na zaniepokojoną.

- W więzieniu nic nie wiedzą o zbiegłym psie. Zatelefonowałam też do szeryfa, ale nie mają zgłoszenia o zaginionym seterze. Zdaje się, że nikt nie ma pojęcia, skąd się wziął.

- A może należy to któregoś z sąsiadów?

- Tak sądzisz? - Matilda zadumała się.

Zerknął na drugą stronę ulicy, marszcząc czoło z dezaprobatą.

- Może sprawiła go sobie twoja sąsiadka Marihuanowa Mary?

- Mary? Nie, na pewno nie ma psa, choć miałyby gdzie go trzymać. - Ruchem głowy wskazała starą szopę, znajdującą się na terenie jej działki.

- A może to pies naszego zbiega? Może zainstalował się w szopie, a kundla podesłał tu, żeby odwrócić naszą uwagę?

- Interesujący pomysł. - Roześmiała się. - Najlepiej będzie, jak zadzwonię do lokalnej stacji radiowej, żeby nadali ogłoszenie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że usłyszy je właściciel i zgłosi się po swego pupila.

- A zanim się to stanie ... ?

- Możemy go tu przechować. Chodź, piesku!

Otworzyła drzwi frontowe.

- Nie możesz trzymać w domu takiego wielkiego zwierzaka. Założę się, że ma pchły, kleszcze i wszystkie możliwe choroby. A co, jeśli wskoczy na kanapę?

Przyjrzała mu się ze zdziwieniem.

- A kiedyś tak bardzo chciałeś mieć zwierzę. Nigdy nie mogliśmy mieć psa ani kota, bo tata cierpiał na alergię, więc potraktuj to jako rekompensatę.

- Jestem już na to za stary.

- Wątpię. - Odwróciła się w kierunku drzwi kuchennych, jako że znajdą już się tam skradała.

- Każdy chłopiec powinien mieć psa.

- Tak? W takim razie kupię sobie owczarka niemieckiego.

- Za duży, kochanie.

- A ten rudy potwór jest mniejszy?

Matka nic nie odpowiedziała, tylko zamknęła drzwi, więc niechętnie udał się do swojej

sypialni, by przebrać się w wygodniejszy strój. Z kieszeni kurtki wyjął zdjęcie zbiega, przyjrzał mu się uważnie i ustawił na biurku.

Nim przyszła pora kolacji, pies został wykąpany, wyczesany i ochrzczone imieniem Rudy. Lokalna rozgłośnia poinformowała już o jego znalezieniu, niestety żaden stęskniony właściciel się nie zgłosił. Wieczorem zwierzę wskoczyło na kanapę, ułożyło się obok zdeglustowanego Curta i wpatrzyło się w ekran telewizora, jakby faktycznie było zainteresowane programem informacyjnym, w którym roztrząsano najnowszy polityczny skandal.

- Tak cię to ciekawi? - zagadnął Curtis, spoglądając na jego pysk, spoczywający na skrzyżowanych przednich łapach. - Pewnie nie macie psich afer, dlatego ludzkie wydają się wam takie zajmujące.

Rudy podniósł na niego spojrzenie, zamachał ogonem i znów wpatrzył się w ekran.

- Jaki on mądry - stwierdziła Matilda.

- Hm, mądry?

- Nie biega jak opętany po całym domu, nie szczeka ani nie próbuje nic zniszczyć, tylko leży sobie spokojnie i ogląda telewizję.

W tym momencie prezenter zapowiedział zmianę tematu, a na ekranie pojawił się mężczyzna, którego fotografia stała na biurku w sypialni Curta. Na widok Hunta pies zastrzygł uszami i szczeknął głośno.

- Cicho! - mruknął Curtis, pochylając się w kierunku odbiornika, by nie uronić ani jednego słowa.

Reportaż był krótki i nie wnosił nic nowego. Abe Hunt najpierw oświadczył, że niczego nie wie i nie zamierza zeznawać, a dwa dni po nagraniu zniknął i nie wiadomo, gdzie się ukrył.

- Pewnie leży na dnie jeziora Lanier -
zawyrokował Curt.

- Jeśli tak, to prędko go nie znajdą - skomen-
towała Matilda, nie przerywając haftowania. -
Woda jest jeszcze zimna i nawet wiosenne
słońce nieprędko ogrzeje ją tak mocno, by
zwłoki wypłynęły na powierzchnię.

- Zawsze masz na podorędziu jakieś cieka-
wostki o trupach. Skąd ty tyle wiesz?

- Kiedyś spotykałam się z koronerem.
Pokręcił głową i wrócił do oglądania wiadomoś-
ci. Ni z tego, ni z owego pies podniósł głowę i
zawył.

- Przestań! –ofuknął go.- Co się z tobą dzieje?
Zwierzę spojrzało na niego, machając inten-
sywnie ogonem.

- Pewnie jest głodny - zawyrokowała matka. -
Nakarmię go makaronem z obiadu. Chodź,

Rudy.

Zwierzak natychmiast powędrował za nią, reagując na nowe imię, jakby nosił je od dawna. Curt odprowadził go ponurym wzrokiem. Zapowiadały się beznadziejne wakacje. Najpierw krwi napsuła mu Marihuanowa Mary, teraz zaś kundel z piekła rodem wprowadził się do jego matki.

Gdy już się położyli spać, pies powędrował do salonu, usiadł przy oknie i zawył tak rozdzierająco, że pewnie zbudził wszystkich w promieniu kilkunastu kilometrów. Jak się można było spodziewać, za moment rozległ się dzwonek do drzwi. Curt zwłókł się niechętnie z łóżka. Jakimś cudem matka wciąż spała, bo mijając jej sypialnię, słyszał spokojne, miarowe pochrapywanie. Zanim otworzył drzwi, wrzasnął jeszcze na psa, który nie przestawał wyć. Na

ganku stała Marihuanowa Mary, ubrana w długą, granatową bawełnianą koszulkę i puchate różowe kapcie. Najwyraźniej zdążyła już zasnąć, bo każdy jej włos sterczał w inną stronę.

- Czy mógłby pan zakneblować swojego kundla, bo są tu tacy, którzy pracują i chcą się choć trochę zdrzemnąć - wycedziła z nie skrywaną wściekłością.

- Ja też pracuję - odparował.

- O ile mi wiadomo, jest pan na wakacjach.

Trzymała ręce na biodrach, przez co nieświadomie uwydatniała swój kształtny biust. Curt bezwiednie utkwiał w nim spojrzenie, na co ona zareagowała znaczącym chrząknięciem. Gdy zjrzał jej w oczy, zarumieniła się gwałtownie.

- A skąd w ogóle ten pies tu się wziął?

Wczoraj go tu jeszcze nie było.

- Matka go nakarmiła i nie chciał odejść. W dodatku oglądał z nią wiadomości, a że to jej

ulubiony program, nadała mu imię i pozwoliła zostać. A pani czemu włóczy się po okolicy w nocnej koszuli?

- To nie jest koszula nocna! - zaprotestowała, a jej wzrok padł na jego nagi tors. Widać było, że chce odwrócić oczy, jednak nie jest w stanie się do tego zmusić.

- Proszę się tak na mnie nie gapić! Napastowanie seksualne to ciężkie przestępstwo. Mogłbym panią aresztować.

Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale z oburzenia nie mogła wydobyć z siebie głosu, bo tylko poruszała bezdźwięcznie wargami.

- Może i lepiej, że nic pani nie mówi, bo za wyzwiska też można posiedzieć - zauważył, świetnie się przy tym bawiąc.

- Ten pies ... - wykrztusiła, wskazując na zwierzę, które znów zaczęło wyć. - Ten pies narusza ciszę nocną. Mogłbym pana aresztować

za to, że pan do tego dopuścił. Jestem przedstawicielką wymiaru sprawiedliwości.

Wsparł dłoń na biodrze i spojrzał na nią z całkiem nowym zainteresowaniem. Była naprawdę bardzo ładna, a jej porywczy temperament mógł imponować, zwłaszcza komuś tak żywiołowemu jak on. Od dawna nie spotkał równie interesującej kobiety. Chętnie poznałby ją bliżej.

- Nie mógłby pan jakoś go uciszyć? - poprosiła, zmieniając taktykę.

- Mógłbym, gdybym wiedział, dlaczego tak wyje. Może pani wejdzie, omówimy problem przy filiżance kawy - zaproponował łagodnym tonem i otworzył szerzej drzwi.

Pies zachował się, jakby od dawna na to czekał.

Wybiegł do korytarza i jak strzała przemknął między nogami Curta, szczekając jak opętany.

- Wracaj tu! - krzyknął za nim, pełen obaw, co rano powie matka, gdy odkryje, że zgubił jej pupila. - Do diabła, muszę go dorwać.

Nie zważając na swój strój, popędził za czworożnym zbiegiem. Mary przez chwilę stała na werandzie, potem bezradnie rozłożyła ręce, obróciła się na pięcie i pobiegła w ślad za Curtisem. Skoro już i tak nie było jej dane zasnąć, mogła równie dobrze wesprzeć go w pogoni.

Światła w okolicznych domach zapalały się, a mieszkańcy spoglądali przez okna na skąpo ubraną parę, która pędziła za ujadającym wściekle wielkim, rudym psem. Nagle Curt skręcił do niewielkiego lasu za domem Mary, więc poszła w jego ślady. Zaraz jednak wpadł na leżący na ziemi pęd dzikiej róży, zawył z bólu i zaczął podskakiwać na jednej nodze, próbując w słabym świetle ulicznych latarni usunąć kolce.

Nie było to proste zadanie, bo lampy mrugały każda w swoim tempie. Wzywani wiele razy pracownicy elektrowni twierdzili jak jeden mąż, że to normalna sytuacja, choć na innych ulicach nic podobnego się nie działo. Chcąc nie chcąc, mieszkańcy nauczyli się już z tym żyć, jednak Curta to nie dotyczyło. Przeklinał głośno, chwając się na zdrowej nodze.

Coraz więcej drzwi się otwierało, pies na przemian szczekał i wył coraz głośniej, Mary zaś krzyczała, żeby się uciszył. Taką to właśnie sytuację zastał patrol policyjny. Radiowóz zatrzymał się z piskiem opon, a następnie dwaj młodzi funkcjonariusze wyskoczyli na chodnik, celując do wygrażającego latarniom i psu Curtisa.

- Ręce do góry! - krzyknął jeden z policjantów.
- Nie mogę, mam kolce w stopie i muszę ją

podtrzymywać. Zresztą jestem agentem FBI.

- A ja Królową Śnieżką. No już, ręce do góry! Bo będę strzelał!

- Strzelaj sobie, proszę bardzo. Wszystko mi jedno. Tylko rozwal najpierw tę latarnię, bo dłużej tego nie zniosę.

W tym momencie jak na komendę światło zgasło, a cała okolica pogrążyła się w ciemności. Po krótkiej naradzie policjanci włączyli reflektor na dachu radiowozu. Snop światła objął nie tylko Curta, ale również Mary i nieszczęsnego psa, którzy jakimś sposobem znaleźli się u jego boku.

- Co tam się dzieje, do diabła?! - krzyknął z irytacją jakiś sąsiad.

Curt spojrział na Mary, po czym oboje popatrzeli na psa. Czekala ich długa noc ...

Jak się można było spodziewać, zostali zatrzymani i doprowadzeni na posterunek. Rzecz

jasna, nie mieli przy sobie dokumentów, więc najpierw należało sprowadzić kogoś, kto mógłby ich zidentyfikować. Nie było sensu dzwonić do Matildy Russell, która słyneła z twardego snu, więc Curt zmuszony był poprosić oficera dyżurnego, by zatelefonował do swego szefa, Jacka Mallory'ego, by przyjechał na posterunek i potwierdził tożsamość kolegi.

Na szczęście policjanci byli na tyle uprzejmi, że dali Mary koc, by mogła przykryć gołe nogi.

- Śmierdzi tu, jakby ktoś zwymiotował - stwierdziła, spoglądając z wyrzutem na Curta.

- Nic dziwnego, to przecież policyjna izba wytrzeźwień.

- Ale ja nie jestem pijana!

- Ani ja, ale z jakiego innego powodu mielibyśmy ganiać nocą po okolicy w pizamach?

- Z powodu twojego psa!

- O, wypraszam sobie, to nie mój pies, tylko

mojej matki.

- W takim razie niech ona się tłumaczy przed policją.

- Nie ma mowy, śpi jak kamień i nie budzi się przed dziewiątą. A jak wstanie, będzie się zastanawiać, czemu nie ma mnie w domu.

- Może ta bestia stanie przy jej łóżku i zawyje prosto do ucha?

- Wątpię, chyba że umie otwierać drzwi. - Westchnął. - Nie będzie to ciekawie wyglądać w moich papierach.

- Oj, nie - zgodziła się z podstępny uśmiechem. - Może powiem im, że szukałeś latającego talerza? Że gonłeś za kosmitą?

- Ani mi się waź!

- A czemu niby nie? Najpierw oskarżasz mnie o uprawę marihuany, potem niemal rozbijasz mi samochód, cofając bezmyślnie, a w końcu napuszczasz na mnie to koszmarnie hałaśliwe

stworzenie, żebym nie mogła zmrużyć oka przed najważniejszą rozprawą mojego życia. O nie! - jęknęła, zakrywając usta dłonią. - Muszę być w sądzie o dziewiątej, żeby przedstawić zarzuty handlarzowi narkotyków. Jeśli się nie zjawię, sędzia może potraktować go łagodnie. Czas leci, a ja tu siedzę z tobą - dodała z nie skrywaną niechęcią.

- Przecież to oczywiste nieporozumienie. Gdy tylko zjawi się Jack, będziemy mogli wrócić do domu.

- A jeśli się nie zjawি?

- Cierpliwości. Na pewno jest już w drodze.

Faktycznie, Jack przybył kilka minut później, uśmiechnięty radośnie, w towarzystwie miejscowego fotoreportera, znanego z wyjątkowo ciętego poczucia humoru. Jak się okazało, pracował do późna w ciemni w siedzibie gazety, więc Jack zabrał go po drodze na posterunek. Zanim podej-

rzani zdołali otworzyć usta, zostali sfotografowani w swych niekompletnych strojach.

- Świetnie. Jak by tu zatytułować tak doskonałe ujęcia? Jeden z najbardziej obiecujących agentów FBI oraz młoda pani prokurator figlują po północy na obrzeżach miasteczka z wielkim rudym psem?

- Możesz jeszcze dodać, że był to jakiś pogański rytuał - odpowiedział komendant. - Kto wie, może należą do sekty ...

- Zabierz mnie stąd! - przerwał mu Curt.

- I mnie! - Mary stanęła u jego boku z rozwianymi włosami i furią w oczach. - O dziewiątej mam rozprawę w sądzie okręgowym w Lanier. Ważną rozprawę - dodała z naciskiem.

Jack przypatrywał się z nieskrywanym rozbawieniem jej gołym nogom i stopom w puchatych różowych kapciach.

- Nie wątpię, że zrobisz na sędzim Willsie

piorunujące wrażenie.

- Zaoferuję mu koszyk najdojrzałych pomidorów z mojego ogródka.

- Szkoda, że jeszcze ich nie ma, bo gdybyś przyniosła mu je w takim stroju, miałby czym w ciebie rzucać - zachichotał Jack. - No dobrze, Harry, już wystarczy tej zabawy, możemy im pokazać aparat.

Fotoreporter otworzył pokrywę. Pojemnik na kliszę był pusty. Mary i Curt zmierzylili go pełnym wyrzutu spojrzeniem. W tym momencie zjawił się oficer dyżurny, by otworzyć celę.

- Następnym razem, zanim zaczniecie się ganiać po nocy, zastanówcie się dwa razy, dobrze? - poprosił komendant. - Naprawdę nie lubię, kiedy się mnie wyciąga z łóżka dwie godziny po tym, jak się do niego położyłem.

- Naprawdę bardzo mi przykro - wymamrotał Curt. - Pies był jak opętany, więc pani Ryan

rzekomo przyszła, by go uciszyć, ale tak naprawdę chodziło jej tylko o to, żeby mnie epatować niekompletnym strojem. Kiedy się na nią gapiłem, pies uciekł, więc musieliśmy za nim gonić i. ...

Jack uniósł rękę.

- Nic nowego, takie historie słyszałem już wiele razy. Mary, jak możesz napastować bogu ducha winnego agenta specjalnego FBI?

Nie miała najmniejszego zamiaru odpowiadać na takie pomówienie, kopnęła tylko Curta z całej siły w łydkę, odwróciła się gwałtownie i przeszła przez poczekalnię, w której kilku funkcjonariuszy popijało kawę.

- Co się gagicie?! - wrzasnęła, gdy utkwili w niej zdumiony wzrok. - To przecież zwykła bawełniana koszulka.

Wzruszyli ramionami, co ani trochę jej nie uspokoiło. Gdy tylko znalazła się za drzwiami

posterunku, zdała sobie sprawę, iż czeka ją długi spacer do domu. W tym stroju miała marne szanse, by dotrzeć tam nie niepokojona. Nie wiedziała nawet, że w tym samym momencie to samo przeszło przez myśl Curtowi, który właśnie mijał tych samych oficerów, co ona parę chwil wcześniej. W przeciwieństwie do niej, obdarzył ich pełnym wyższości uśmiechem. Miał idealne ciało i był tego w pełni świadomy. Niektórzy z dyżurujących policjantów byli od dawna żonaci i dzieciaci, więc wyhodowali spore brzuszki. Z dumnie podniesioną głową przemaszerował przez środek komisariatu i wyszedł na zewnątrz.

- Dokądś się wybierasz? - zapytał Mary.

- Do domu, jak mi się uda znaleźć środek lokomocji. - Posłała mu druzgocące spojrzenie. - Mnie przynajmniej dali koc.

- Nie był mi potrzebny. - Wyprostował się dumnie. - Szkoda chować to, co się ma

najlepsze.

Uniosła stopę, ale był szybszy. Wycofał się w porę, by uniknąć bolesnego kopniaka, który z pewnością nie pomógłby jego obolałej od różnych kolców nodze. Musiał jednocześnie przyznać, że drażnienie Mary Ryan sprawiało mu szczególną przyjemność.

- Nie ciesz się nadmiernie, jeszcze czeka się polowanie na psa - przypomniała.

- Jak znam życie, od dawna sterczy pod domem.

- Hej, nocni kowboje! - zawołał ze swego auta Jack. - Jeśli chcecie, żebym was podwiózł, to się pośpieszcie, bo spać mi się chce.

Z niezadowoleniem odkryli, że z przodu siedzi już fotoreporter. Na szczęście przez całą drogę do domu nie odezwał się ani słowem, aparat również trzymał schowany w torbie.

- Proszę bardzo. - Komendant zatrzymał się

na ich ulicy. - Od tej pory proszę nie opuszczać domu po północy. Moi ludzie mają ważniejsze sprawy na głowie niż zabawa w berka z golasami. A kiedyś to było takie spokojne miasteczko - westchnął i zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, zamknął okno.

Przez chwilę obserwowali oddalający się pojazd. Na horyzoncie powoli się rozwidniało. Spędzili na posterunku znacznie więcej czasu, niż im się zdawało.

- Chyba nie ma sensu się już kłaść - stwierdziła z rozpaczą w głosie Mary. - Dzięki tobie pewnie usnę w czasie wniosków końcowych.

- Jeśli uda ci się zamknąć taką sprawę w jeden dzień, kaktus mi tu wyrośnie.

- Fakt, pewnie potrwa to ze trzy albo cztery dni. - Przyjrzała mu się z rozbawieniem. - Rzeczywiście musieliśmy dziwnie wyglądać,

ganiając po ulicy.

- Pogańskie rytuały. - Uśmiechnął się. - Muszę to zapamiętać, żebym miał o czym opowiadać kolegom w pracy.

- Nie ma takiej potrzeby. Jestem pewna, że Hardy Vicks poinformuje każdego, kogo uda mu się dopaść. - Zmarszczyła brwi. - Ale tak naprawdę, to po co ci pies? Matilda wspominała, że nigdy nie mieliście zwierzęcia. Nie jesteś przypadkiem uczulony na sierść?

- Nie, to mój ojciec był uczulony. A pies jest mi zupełnie zbędny, to matka go przygarnęła. - Ciekawe, skąd się wziął...

- Nie mam pojęcia.

Spojrzał w kierunku domu. Na parterze wszystkie okna były oświetlone. Czegoś takiego się nie spodziewał. Nie zdążył nawet tego skomentować, gdy drzwi frontowe otworzyły się i stanęła w nich matka, obok niej zaś

czworonożna przyczyna jego nocnych kłopotów.

- No, jesteś wreszcie! Co robisz na ulicy nocą i w piżamie? - Spojrzała na Mary. - A ty, czemu stoisz na chodniku w kocu?

Mary odwróciła się bez słowa i pobiegła do domu, zastanawiając się, czy ktoś nie skorzystał z okazji, że zapomniała go zamknąć. Curt westchnął ciężko i ruszył do wejścia. Ciekaw był, w jaki sposób wyjaśni matce, co się wydarzyło. Pies zaś nie odrywał od niego oczu, machając entuzjastycznie ogonem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego popołudnia Curt odczekał, aż Mary odpocznie po powrocie z pracy, zostawił matkę w towarzystwie nieodłącznego psa i przeszedł na drugą stronę ulicy. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła mu od razu, ale wyglądała na zaniepokojoną.

- Coś nie tak? - spytał pospiesznie.

- Wejdz, proszę. - Poprowadziła go do kuchni i podała filiżankę kawy. - Wiem od Matildy, że lubisz czarną, bez cukru. Kiedy wróciłam nad ranem do domu, okazało się, że ktoś przetrząsnął kuchnię i zabrał bochenek chleba oraz wędlinę.

- Nie zamknęłaś drzwi na klucz? - Gdy posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie, uniósł rękę w pojednawczym geście.

- Nie chciałam znów mieć do czynienia z policją, więc tylko przeszukałam dom, starannie zamknęłam drzwi i położyłam się spać. Kiedy przyszedłeś, miałam właśnie rozejrzeć się po

ogrodzie.

- Pomogę ci. W służbach specjalnych współpracowałem z agentem, który pochodził z plemienia Lakota. Nauczyłem się od niego wielu pożytecznych rzeczy, na przykład wyszukiwania i odczytywania śladów.

- Twoja matka wspominała, że macie trochę indiańskiej krwi.

- To prawda. Mój dziadek figurował w spisie Indian plemienia Czirokezów z Karoliny Północnej. A twoja rodzina skąd pochodzi?

- Z Danii i Szkocji.

- To by wyjaśniało blond włosy.

- Powinieneś zobaczyć mojego tatę. - Roześmiała się. - Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, blond włosy i niebieskie oczy. - Urwała na chwilę, przypatrując mu się z wahaniem. - Kiedy zmarł twój ojciec?

- Dawno, miałem wtedy sześć lat. Mama

obudziła się pewnego ranka, a on martwy leżał obok niej. Niezbyt dobrze go pamiętam.

- Na pewno nie było jej łatwo samej cię wychować.

- Nie, ale doskonale dała sobie radę. - W jego głosie pobrzmiwała duma. - Pracowała jako dziennikarka, wiedziała wszystko o wszystkich. Zawsze kręciła się wokół niej masa kuratorów, policjantów, sędziów, prokuratorów. Pewnie dlatego wybrałem taki zawód.

- Tak, jest niesamowita - przyznała Mary, odstawiając na stół pustą filiżankę. - To jak, idziemy się przekonać, ile naprawdę jest w tobie indiańskiej krwi?

Podniósł się z uśmiechem. Mary wcale nie kryła, że wątpi w jego tropicielskie talenty, zamierzał więc jej udowodnić, jak bardzo się myli. Gdy znaleźli się na tyłach domku, zatrzymał się i w skupieniu ogarnął wzrokiem najbliższą okoli-

cę. Kilka ścieżek prowadziło od kuchennych drzwi w głąb ogrodu.

Curt odtworzył w pamięci marihuanową aferę, przypomniał sobie, którędy chodził Jack i on, gdzie była Mary, dokąd musiała przejść, by odłożyć wyrwane maki.

- Zauważyłam nowe krzaki pomidorów - odezwała się, przerywając jego skupienie - Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co - mruknął. - Nie ruszaj się, dobrze?

Wszedł w głąb ogrodu, co jakiś czas przyklękając, by z bliska przyjrzeć się ziemi i roślinom. Nagle zatrzymał się, potem skręcił w stronę ulicy.

- Ktoś tędy szedł! - zawołał. - Od szopy do ulicy.

Dołączyła do niego i razem zaczęli się przyglądać śladom na trawie wzdłuż chodnika. Curt

kazał Mary przykucnąć i wskazał coś na ziemi. -
Przecież to zwykła mrówka. - Spojrzała na niego
podejrzliwie. - Czyżbyś rozumiał mowę
owadów?

- Mów ciszej. Kiwaj od czasu do czasu
głową, jakbyś się ze mną zgadzała. Zdaje się, że
ktoś nas obserwuje.

Skinęła głową.

- Ktoś od kilku dni przebywa w twojej szopie
- oznajmił półgłosem. - Ślady nie kłamią, zresztą
są tak wyraźne, że każdy mógłby się
zorientować. - To by tłumaczyło przeszukanie
mojej kuchni. Musimy zadzwonić na policję.

- Po co? Przecież jestem policjantem. W pew-
nym sensie.

- Owszem, ale to nie twój rejon.

- Od niedawna już tak. Jak sądzisz, czemu
odwiedziłem nasze biuro okręgowe w Lanier? Po
wakacjach zaczynam tam pracę.

- Co za degradacja! Przeniesienie z Austin w Teksasie do takiej zapadłej dziury. Przyznaj się, komu nadepnąłeś na odcisk?

- Nikomu - mruknął urażony. - Muszę się zobaczyć z Jackiem. Lepiej chodź ze mną.

Podejrzewał, że w szopie chowa się zbiegły świadek koronny, który wprawdzie nie stanowił specjalnego zagrożenia, jednak Curt uznał, że na wszelki wypadek lepiej usunąć Mary ze strefy zero.

- Nie mam czasu, muszę się przygotować do jutrzejszej rozprawy.

- Nie zamierzam cię tu zostawić samej, skoro w okolicy kręci się zbieg - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie.

Nie wiedziała, czy wszcząć awanturę i wykrzyknąć, że sama świetnie sobie poradzi, czy może jednak przyznać, że zbiegły przestępca to

jak na nią zbyt wiele.

- Mary, gdybym był na twoim miejscu, po prostu bym ustąpił. Prawnicy wprowadzie wymierzają sprawiedliwość, ale słowem, nie bronią.

- Poddaję się. Ale muszę wrócić do domu po teczkę i komputer.

- W takim razie chodźmy razem.

- A nie lepiej byłoby najpierw przeszukać szopę?

- Nie. Jeśli akurat tam jest, to tylko go wypłoszymy, bo nie mam jeszcze uprawnień, żeby go zatrzymać. Zresztą ślady wskazują na to, że wyszedł. Sprowadźmy policję, niech oni się tym zajmą.

Mary szybko spakowała się i przebrała w eleganckie szare spodnie oraz biały dzianinowy golf bez rękawów.

- A co, jeśli jednak ucieknie i nie wróci? -

zaniepokoiła się. - Wyjdzie na to, że go wypłoszyliśmy i solidnie oberwiemy.

- Mam przeczucie, że nas obserwował. Weźmie nas za głupców, pod naszą nieobecność wróci i zatrze ślady, odczeka, aż policja przeszuka szopę i znów się w niej zainstaluje, bo poczuje się całkowicie bezpieczny.

- obyś miał rację ...

- obym - zgodził się z uśmiechem.

Ze zdumieniem odkryła, że na widok jego uśmiechu zrobiło jej się dziwnie przyjemnie.

- Ile masz lat? - zainteresował się.

- Dwadzieścia siedem. Byłeś kiedyś żonaty? - wyrwało jej się.

- Nie, nie miałem na to czasu. A ty?

- Tak. Wyszłam za mąż jako osiemnastolatka. Rodzice nie mogli przemówić mi do rozsądku, więc zgodzili się, żeby nie stracić ze mną kontaktu. Też miał osiemnaście lat, ale jak na

swój wiek był bardzo dojrzały, ja natomiast byłam rozpuszczoną, upartą nastolatką, która nie potrafiła zdobyć się na żaden kompromis. Nasze małżeństwo nie trwało nawet pół roku, ale wciąż się przyjaźnimy. Ożenił się ponownie, ma miłą żonę i kochane dzieci.

- A czym się zajmuje? - zapytał, czując całkowicie nieuzasadniony przypływ zazdrości.

- Jest trenerem piłki nożnej w szkole średniej.

- Nie cierpię piłki nożnej.

- Ja też. To był jeden z naszych problemów, bo z kolei dla niego piłka to najważniejsza rzecz na świecie.

- A lubisz jakieś zimowe sporty?

- Łyżwiarstwo i narty.

- Świetnie, bo dla mnie istnieją tylko zimowe sporty.

Uśmiechnęła się do niego. Na początek dobre

choć tyle.

Poinformowali Jacka o odkryciu, jakiego dokonali w ogrodzie Mary.

- Masz jakiś pomysł, kto to może być? - spytał komendant.

- Hm, niech pomyślę ... Wiemy, że w okolicy ukrywa się zbiegły świadek koronny. Jego kuzyn mieszka dwa domy od Mary, a ktoś koczuje w jej szopie. Słowo daję, nie mam pojęcia, kto to mógłby być - zakończył kpiącym głosem.

Jack przewrócił oczyma.

- Musisz mu wybaczyć, jest tylko agentem FBI. - Mary porozumiewawczo mrugnęła do Jacka.

- Problem w tym, że nie chciałem go spłoszyć, więc nic nie zrobiłem. Wątpię, czy jest uzbrojony, ale skoro pochodzi z szemranego środowiska, wolałem nie ryzykować. Zresztą

Mary była ze mną

- Bardzo słusznie, nie wolno narażać cywilów na niebezpieczeństwo.

- Nie jestem cywilem - stwierdziła z pretensją w głosie.

- Z mojego punktu widzenia jesteś. A może chcesz trochę popracować na swoim laptopie?

- Jasne.

- Hej, Ben! - zawołał Jack w kierunku drzwi.

Policjant zajrzał do środka. -

Tak jest, szefie?

- Zabierz pannę Ryan do gabinetu Dona i uprzątnij biurko, żeby mogła pracować.

- Tak jest. Proszę za mną, panno Ryan. Curt miał ochotę zapytać, czy Ryan to jej nazwisko panińskie, czy po mężu, ale uznał, że lepiej będzie poczekać na bardziej sprzyjające okoliczności.

- Facet nazywa się Abe Hunt - zaczął, gdy

zostali sami. - Widziałem jego akta, ma na koncie kilkanaście spraw różnego kalibru. Mary jest naprawdę odważna, ale jak by co do czego przyszło, nie dałaby sobie rady. Jest bardzo postawny, jak to zapaśnik, kiedyś brał udział w profesjonalnych walkach. Musimy go jakoś wywabić z tej szopy.

- Jak już to zrobimy, to dokąd pójdzie? Chyba nie do kuzyna, aż taki głupi nie jest, prawda?

- Nie, zresztą kuzyn i tak już się zmył z miasta. Hunt głupi nie jest, ale całkiem zdesperowany. Nie chce, żebyśmy go złapali, ale chyba jeszcze bardziej nie chciałby, żeby odnaleźli go dawni kumple. Założę się, że będzie się z nami bawił w kotka i myszkę.

- Jak chcesz, mogę wystąpić o posiłki z okolicznych hrabstw.

- To całkiem niezły pomysł. Mógłbym poprosić o agentów FBI, ale za bardzo by się

rzucali w oczy. Ja przynajmniej mam oczywisty powód, żeby tu być, więc nie wzbudzę podejrzeń, nawet jeśli będę więcej przebywał u Mary niż u matki.

- W takim razie wezmę ludzi i od razu pojedę przeszukać szopę. Hunt pomyśli, że skoro nic nie znaleźliśmy, damy sobie spokój, i poczuje się bezpiecznie.

- Też mi to przyszło do głowy. Dzięki, Jack.

- Nie ma za co, wykonuję tylko swoje obowiązki. Ale co zrobisz, jak go złapiemy? Przecież nie można go zmusić do składania zeznań.

- Zmusić nie, ale jak się ma perspektywę dożywocia za współudział w zabójstwie, nagle nabiera się ochoty do gadania. Nie wiem, czy ci o tym wspominałem, ale drugi potencjalny świadek został znaleziony w nurtach Chattahoochee z kulą w tyle głowy.

- Tak, to zmienia postać rzeczy.

- Dziwię się Huntowi, że tak ucieka przed nami. Jeśli mafia dopadnie go pierwsza, będzie już po nim. - Prawie mi go szkoda.

- Mnie też ... prawie - zaśmiał się Curt.

- Postaram się obrócić jak najszybciej. W ekspresie znajdziecie kawę, poczęstujcie się.

- Dzięki, Mary napoiła mnie już kofeiną.

- No, no, bratamy się z nieprzyjacielem? - Jack obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Czego by nie powiedzieć, to całkiem ładny nieprzyjaciel.

- Co prawda, to prawda. Do zobaczenia.

Curt zajął miejsce po drugiej stronie biurka i przyglądał się Mary przy pracy. Po paru minutach zerknęła na niego znad laptopa.

- Jakiś ty cichy - zauważyła cierpko.

- Nie chcę przeszkadzać.

- Przeglądam notatki, muszę je posegregować

na jutrzejszą rozprawę.

- Jakie stawiasz zarzuty?

- Facet przesmuglował spory snopek marihuany między snopkami zwykłego siana. Miał siatkę dilerów w kilku szkołach średnich.

- Dzieciaki z liceum handlują narkotykami, strzelają do swych rówieśników... Na jakim świecie my żyjemy?!

- Dzieciaki zbyt dużo czasu spędzają bez nadzoru, nie mają kontaktu z rodzicami, za mało sportu, za dużo gier komputerowych, gdzie zabija się bez opamiętania. I tak dalej, i tak dalej. Przyczyny znają wszyscy, tylko nikt nie ma na to recepty.

- Recepta jest prosta. - Wzruszył ramionami.

- Wiedzieć, co twoje dziecko robi w każdej minucie doby. Być w domu, gdy wraca ze szkoły. Znać jego kolegów i przyjaciół.

- Doprawdy? - prychnęła. - Ile dzieci

wychowałeś?

- To recepta mojej matki. - Uśmiechnął się.

- Jak widać, skuteczna.

- Nie do końca. Miałem swoje sposoby, by wymknąć się spod jej kontroli. Zawsze spała kamiennym snem, więc zwiewałem przez okno, a ona o niczym nie wiedziała. Aż do chwili, gdy zostałem aresztowany. Nie zrobiłem nic złego, tylko byłem w nieodpowiednim momencie w złym towarzystwie. Z dzieciakami, które ćpały. Ale samo aresztowanie to nic w porównaniu z tym strasznym rozczarowaniem, które zobaczyłem w oczach matki, gdy przyszła mnie odebrać za kaucję. Bolesnie ją zawiodłem. Był to dla mnie taki szok, że od tamtego czasu staram się być czysty jak łąza - dodał niby żartobliwie.

- Cóż, twoja matka jest mądra i miła, ale gdybyś miał szczególne skłonności do łamania prawa, nawet ona nie powstrzymałaby cię przed

degrengoladą. Co do mnie, to raz zostałam za-
trzymana za przekroczenie prędkości.

- Zgroza, prawdziwa zgroza. - Zaśmiał się.

- Ojciec dał mi szlaban na dwa miesiące,
ominał mnie bal maturalny i randka, o której
marzyłam od paru miesięcy. Ale i tak, jak widzę
przed sobą pustą szosę, kusi mnie, by ostro
przycisnąć pedał gazu.

- Dotąd nie wspomniałaś o matce - zauważył
z wahaniem.

- Nie mam z nią kontaktu. - Zesztywniała.

- Dlaczego?

- Rzuciła tatę dla instruktora aerobiku. W
dodatku kompletnego czubka, który nie jadł nor-
malnego jedzenia i spędzał każdą wolną chwilę
na ćwiczeniach ciała. Szybko doprowadził ją do
szalu, bo po dwóch miesiącach próbowała
wrócić do taty, ale nie wpuścił jej do domu.
Zresztą uważam, że bardzo słusznie.

Przeprowadziła się do Kalifornii, z tego, co wiem, obecnie mieszka z nauczycielem walk wschodnich.

- Przykro mi.

- Nigdy nie byłam z nią blisko. To tata zabierał mnie na przyjęcia, szkolne bale i inne imprezy. Ona nigdy nie miała dla mnie czasu, pochłaniały ją ważniejsze sprawy, takie jak brydż, gimnastyka czy podróże.

- Nie pracowała?

- Nie musiała, rodzice zostawili jej niezły majątek. Z kolei tatę nigdy nie interesowały jej pieniądze, zawsze ciężko pracował, bez względu na wysokość wynagrodzenia - dodała z nieskrywaną dumą.

- Jesteś do niego podobna?

- Z rysów twarzy, koloru włosów, ale wzrostu mi nie przekazał.

- Skończył studia?

- Tak, siedem lat temu. Byłam z niego naprawdę dumna.
- Nie wątpię. - Uśmiechnął się.
- Matka nawet nie ma matury. Nie czuła takiej potrzeby, żadnych ambicji. - W jej głosie słychać było cień pogardy.
- Niektórzy ludzie po prostu nie czują potrzeby, by zdobywać wiedzę.
- Ale ty czułeś.
- Owszem, pewnie też dzięki temu, że moja matka ciężko pracowała na moją edukację i normalny, zasobny dom, do którego bez wstydu mogłem zapraszać kolegów. Kiedy poszedłem na studia, nadal mnie wspierała, choć sam zarabiałem na chesne. Dzięki temu nigdy nie zawałem żadnego przedmiotu, bo o pieniądze na poprawkę nie byłoby łatwo.
- U mnie było podobnie. Tata oczywiście mi pomagał, ale większość wydatków pokrywałem

ze stypendium i z pensji kierownika nocnej zmiany w barze z hamburgerami.

- Ciężko pracowałaś.

- Owszem, ale mimo to udało mi się ukończyć studia z siódmą lokatą. Tata pękał z dumy, matka nawet nie pofatygowała się na uroczyste rozdanie dyplomów.

- A w ogóle ją zaprosiłaś?

- Szczerze mówiąc, nie. - Odwróciła wzrok. - Wiedziałam, że i tak nie przyjdzie.

- A twój były?

- Aż tak bliskich kontaktów nie mamy. Zresztą nie sędzę, żeby to się podobało jego żonie, choć jest naprawdę bardzo miła.

- Szczęściarz z niego.

- Hej, ja też jestem miła. Potrafię gotować, trochę też szyję.

- Czyżbyś ogłaszała przetarg?

- Całkiem nieźle wyglądasz bez koszuli. -

Śmiało spojrziała mu w oczy. - I nie jesteś taki sztywny i nieprzystępny, jak mi się na początku zdawało. Myślę, że będą z ciebie jeszcze ludzie.

- W jakim sensie?

- Tego jeszcze nie wiem. - Pochyliła się nad laptopem.

Agent FBI Curtis Russell skrzyżował ręce na piersi. Poczul się zagrożony, ale, ku swemu zdumieniu, całkiem mu się to spodobało.

Jack wrócił po godzinie. Mina, z jaką stanął w drzwiach gabinetu, nie napawała zbytnim optymizmem.

- W szopie nie ma żadnych śladów, by ktokolwiek tam przebywał. Jesteś pewien, że ktoś tam faktycznie się ukrywał?

Curt skinął z przekonaniem głową.

- Moi ludzie przeczesali każdy centymetr

kwadratowy, ale niczego nie znaleźli. Nie mogę w tej sytuacji założyć całodobowej obserwacji. - Rozłożył bezradnie ręce.

- Jasne, że nie. Trudno, wyciągnę z szafy mój komandoski kombinezon i przesiedzę całą noc w lesie, może coś wypatrzę.

- Zastanów się, czy jednak się nie pomyliłeś.

- Nie tym razem.

Przyzwyczał się już, że często kwestionowano jego opinie. Był tym zmęczony, ale nie protestował, gdyż wiedział, że niczego w ten sposób nie osiągnie. Wystarczyło popełnić jeden drobny błąd, a konsekwencje ciągnęły się latami, jeśli nie do samego grobu.

- OK, Russell - westchnął z rezygnacją Jack. - Zrobię, co zechcesz, skoro tak twardo obstajesz przy swoim.

- Będę miał komórkę, jak tylko zadzwonię, przyjeżdżaj natychmiast. O nic więcej nie

proszę. No, może jeszcze poza tym, żeby twoi chłopcy nie skuli mnie w kajdanki, gdyby któryś z sąsiadów mnie zobaczył i wpadł w panikę.

- Masz to jak w banku - roześmiał się Jack.

Nie padało wprawdzie już od jakiegoś czasu, ale mimo to w lesie było wilgotno, więc leżenie na posłaniu z liści nie należało do przyjemności. Noc była zaskakująco cicha i spokojna, słychać było tylko cykanie świerszczy, nawet Rudy nie szczekał ani nie wył. Co ciekawe, od poprzedniego wieczoru był dziwnie cichy.

Po powrocie nad ranem z posterunku Curt błagał matkę, by zadzwoniła do schroniska i dowiedziała się, dokąd można przekazać psa, ale była już do niego tak przywiązana, że nawet nie chciała o tym słyszeć. Co więcej, ostentacyjnie wybrała się do sklepu zoologicznego i kupiła bestii duży worek najdroższej karmy. Widząc, że sytuacja staje się z każdą minutą coraz bardziej

beznadziejna, Curt obdzwonił wszystkie okoliczne gabinety weterynaryjne, ale, jak się okazało, nikt nie zgłosił zaginięcia rudego setera. Być może poprzedni właściciel tak się ucieszył, że wreszcie może odespać bezsenne noce, iż nie wychodził z łóżka i nie zawracał sobie głowy poszukiwaniami rudego potwora.

Gdy przyszedł wieczór, Curt wstał z kanapy, na której od paru godzin walczył z włochatym rywalem o godziwą przestrzeń do odpoczynku. Przebrał się w czarny kombinezon, pomazał twarz i wyszedł z domu tylnymi drzwiami, by okreśną drogą dotrzeć do lasu za domem Mary.

Obserwacja szopy przyniosła mu jak dotąd rozczarowanie, ponieważ budynek wciąż pozostawał pusty. Był przekonany, że ktoś się tam wcześniej krył, ale nie potrafił tego udowodnić, zwłaszcza po wizycie patrolu policyjnego. Wreszcie zaczęły go ogarniać wątpliwości.

Może to wcale nie był Abe Hunt? Czy człowiek urodzony i wychowany w Miami, nie znający zasad przetrwania w polowych warunkach, był w stanie odnaleźć i zatrzeć własne ślady?

Było coś jeszcze, co go nurtowało. Kuzyn Hunta, który mieszkał przy tej samej ulicy, spakował żonę, dzieci oraz niezbędne manatki i wyjechał z miasta. Curt specjalnie minął po drodze jego dom, żeby upewnić się, czy nie został on opuszczony tylko po to, by Abe mógł się w nim ukryć. Nie znalazł nic, co mogłoby wskazywać, że ktokolwiek kręcił się wokół budynku w czasie nieobecności gospodarzy.

Nie działo się absolutnie nic. Rudy przybłęda spał jak zabity, nikt nie zbliżał się do szopy, nikt nie przeszedł nawet ulicą. Curt westchnął głęboko i oparł się plecami o drzewo, wpatrując się w ciemność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Około ósmej rano Curt wszedł zmęczonym krokiem przez tylne drzwi. Powitał go zapach świeżo usmażonych naleśników oraz radosne szczenięcie Rudego.

- Czyż on nie jest słodki? - rozpromieniła się matka, która podrzucała właśnie na patelni kolejny naleśnik. - Chodź, skarbie, zjedz coś. Musisz być śmiertelnie zmęczony.

- Jestem zmęczony, a w dodatku cały wysiłek na nic - oznajmił zniechęconym głosem, chusteczką ścierając z twarzy farbę kamuflażową. - Nic się nie działo, absolutnie nic.

- Domyślam się, bo Rudy nawet nie pisnął.

- Myślisz, że to ma jakiś związek?

- Chyba tak, skoro poprzedniej nocy był jak opętany, a mówisz, że ktoś ukradł Mary jedzenie

z kuchni. Nawet zdołał mnie obudzić, gdy policja odwoziła was na posterunek.

- Do tej pory nie wiem, jak mu się to udało.

- Hałasował pod oknem mojej sypialni.

- Właśnie, to dziwne, że wył akurat tam, prawda?

- Umyj ręce, proszę.

Podszedł do zlewozmywaka, zastanawiając się przy tym na głos:

- Pod twoją sypialnią znajduje się piwnica. Może nasz zbieg próbował się tam ukryć, podczas gdy my szukaliśmy go gdzie indziej.

- Cóż, nie zamykam wejścia do piwnicy.

- Dzisiaj kupię porządną kłódkę. - Usiadł przy stole. - Jeśli nawet próbował się tu schować, więcej nie będzie miał ku temu okazji.

- Nie wydaje ci się dziwne, że uciekinier chciałby się ukryć pod bokiem agenta FBI?

- Owszem, zwłaszcza że jego kuzyn mieszka

dwa domy dalej. - Nałożył sobie solidną porcję naleśników.

Po śniadaniu przejechał się do sklepu z artykułami metalowymi, a następnie udał się do okręgowego biura FBI w Lanier, by porozmawiać z agentem Vicksem.

- Mam pewien pomysł - oznajmił już od progu przełożonemu.

- A mianowicie?

- Nie chciałbym zdradzać szczegółów, póki nie będę miał absolutnej pewności. - Usiadł wygodnie na wskazanym krześle. - Czy mógłbyś oddelegować dwóch ludzi do całodobowej obserwacji pewnego obiektu?

Odpowiedź, jaką otrzymał, była tak głośna, że aż sekretarka zajrzała przez uchylone drzwi, by sprawdzić, z jakiego powodu jej szef wprost pęka ze śmiechu.

- Nie ma sprawy - obruszył się Curt. - Poproszę miejscową policję albo szeryfa. Oczywiście jeśli złapiemy tego, kogo zamierzam złapać, cała zasługa przypadnie im, ale trudno ...

- Russell, tobie zawsze się wydaje, że wiesz, o co chodzi, a potem wychodzi na to, że nie miałeś bladego pojęcia. Obsesyjnie uganiałeś się za tą blondynką w San Antonio, kiedy odwożono do aresztu żonę gubernatora z zarzutem morderstwa - przypomniał nie bez satysfakcji.

- Była ważnym świadkiem. Wytropiłem ją w końcu, a nawet doprowadziłem do jej ekstradycji z Ameryki Południowej, żeby mogła zeznawać.

- Tak, to prawda. Zgoda, zobaczą, co się da zrobić. W razie czego gdzie mam wysłać ludzi?

- Do mojej piwnicy.

- *Co?!* To już nie możesz sam posprzątać?

- To zagospodarowana piwnica - oznajmił urażonym tonem. - Mamy nawet stół do bilarda,

mogą sobie zagrać, jeśli lubią.

- W takim razie być może sam się zgłoszę na ochotnika. Bardzo lubię grać w bilard. *Odezwę* się, jak coś będę wiedział, ale może mi to zająć parę dni.

- Trudno, mam nadzieję, że do tego czasu nikt nie przepłoszy Hunta.

- Cóż, o to już możesz się sam zatroszczyć, za to ci w końcu płacimy.

Wychodził na ulicę, gdy dogoniła go Mary Ryan. Ubrana była w szary kostium składający się z żakietu i spodni, do tego biała bluzka, przez co wyglądała bardzo poważnie i profesjonalnie.

- Słysząc coś nowego?

- Tak, dowiedziałem się właśnie, że mój przełożony lubi grać w bilard.

- Mój również. - Zachichotała.

- Niestety, zorganizowanie całodobowej

obserwacji może zająć nawet kilka dni, a mam poważne podejrzenia, że do tej pory nasz zbieg dawno się ulotni. Jak się okazało, kiedy policja odwoziła nas na posterunek, pies wył pod oknem sypialni mojej matki, a tak się składa, że znajdują się tam też drzwi do piwnicy.

- Myślisz, że tam się schował?

- Pewnie tak. Nie było wprawdzie oczywistych śladów, ale zauważyłem, że kilka książek na półkach zmieniło kolejność. Poza tym kule bilardowe były ułożone na stole, a ja je zawsze zostawiam w luzach.

- Dziwnie się zachowuje jak na kogoś, kto się ukrywa.

- Właśnie. - Pokiwał głową w zamyśleniu.

- A jeśli wcale się przed nami nie chowa?

Jemu też od jakiegoś czasu chodziło to po głowie.

- Otóż to. Może wręcz przeciwnie, chce

kontakcie, ale nie wie, jak to zrobić, by nie wysłedziła go mafia. Z tego, co wiem, szuka go pewien snajper o nazwisku Daniels.

- No to super... Na pewno będę spać spokojnie ze świadomością, że w twojej piwnicy albo mojej szopie czai się strzelec wyborowy.

- Jeśli cię to pocieszy, też nie jestem tym zachwycony. Nie zapomnij, że moja matka również jest na linii ognia.

- Przynajmniej masz psa.

- Kolejny nie pasujący element układanki. Skąd się wziął? Czemu przyplątał się akurat do mojej matki? Do kogo tak naprawdę należy?

- Może przylgnął do Matildy, bo po prostu lubi zwierzęta?

- Może, ale przyznasz, że zjawił się w dziwnym momencie.

- To prawda. Idę na lunch, masz ochotę na sałatkę?

- Czemu nie. Podejrzewam, że zanim dotrę do domu, moja zupa będzie już w żołądku tego rudego przybłądy.

- Twoja mama jest zupełnie niesamowita. -
Zaśmiała się.

- Oj tak. Kiedy byłem dzieckiem, nigdy nie wiedziałem, skąd tym razem zadzwoni, by oznajmić, że znów się spóźni. Raz było to zza kordonu radiowozów, bo czekała, aż zdejmą z dachu jakiegoś snajpera. Innym razem pędziła na miejsce wybuchu bomby, podłożonej w związku z jakąś aferą narkotykową.

- Prowadziła bardzo ekscytujący tryb życia. Co skłoniło ją do rezygnacji? - zainteresowała się Mary, gdy wchodzili do kafejki.

- Ja - przyznał ze wstydem. - Jako nastolatek zacząłem jej się dawać we znaki, więc zrezygnowała z dobrze płatnej pracy w dziale miejskim

i zaczęła pisać felietony, aby w każdej chwili być do mojej dyspozycji. Jestem jej za to wdzięczny, myślę, że wyratowała mnie z nie lada kłopotów. Niestety, wydaje mi się, że mimo wszystko na pewnym etapie życia chłopak potrzebuje ojca, choćby nie wiem jak dobrą miał matkę. Wiem, że to bardzo niepoprawna politycznie opinia ...

- Ja nie wyobrażam sobie życia bez ojca ...

- Chciałbym kiedyś go poznać - wyrwało mu się niespodziewanie.

- Naprawdę? - Jej oczy załśniły.

Była śliczna, gdy się tak ożywiła. Uśmiechnął się do niej, ona zaś zareagowała lekkim rumieńcem. Szybko odwróciła wzrok i zajęła się nalewaniem wody do szklanki, nie była jednak w stanie ukryć delikatnego drżenia rąk. Widok ten sprawił mu niesłychaną przyjemność.

Gdy usadowili się przy stole, wrócili do tematu zbiega, pojadając przy tym frytki ze

wspólnego talerza.

- Jeśli w okolicy kręci się snajper, Hunt musi o tym wiedzieć. W takim razie co on tu jeszcze robi?

- Sam sobie zadaję to pytanie. Nie miałem odwagi powiedzieć tego wszystkiego przełożonemu. W czasie ostatniego śledztwa wpadłem w niezłe kłopoty i odkąd przeszedłem do FBI, koledzy nie pozwalają mi o tym zapomnieć.

- W naszym biurze się mówi, że ktoś ci pomógł w tym przejściu.

- Marc Brannon. Współpracowałem z nim przez dwa lata w Teksasie. Szczerze mówiąc, jest spokrewniony z wiceprezydentem i prokuratorem generalnym Georgii.

- Miałeś niezłe plecy.

- Cóż, gdybym się nie wkręcił do FBI, poszedłbym siedzieć. Na szczęście ktoś wpadł na

pomysł, że ukarze mnie, zsyłając na północ Georgii, z dala od ekscytujących wydarzeń.

- Jeśli nasze podejrzenia się sprawdzą, twoi przełożeni będą musieli zmienić zdanie. Czy wspominałam ci, czym zajmuje się mój tata?

- Nie.

- Jest policjantem.

- A to dopiero! - Zaśmiał się. - Czemu się do tej pory nie domyśliłem?

- Odkąd skończył studia, pracuje w administracji, ale przez wiele lat był detektywem. Dużo się nauczyłam, obserwując go i słuchając.

- Słusznie, to najskuteczniejsza metoda.

- Co zamierzasz dalej?

- Chcę założyć podsłuch w piwnicy.

- Naprawdę? To może zajmiesz się też moją szopą?

- Jasne. Jeśli naprawdę chcemy go złapać,

niestety musimy liczyć tylko na siebie, bo moi przełożeni są sceptycznie nastawieni do całej sprawy, czy też raczej do mnie.

Sięgnęła przez stół, by w pokrzepiającym geście położyć mu dłoń na rękę.

- Jeszcze im pokażesz!

- Dzięki. - Spuścił wzrok, aby nie dać po sobie pokazać, jak ucieszyło go jej zaufanie.

- Czasem wystarczy, gdy ktoś w człowieka uwierzy. - Uśmiechnęła się. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Zanim jednak dotarł z powrotem do domu, brak postępów w śledztwie pozbawił go dobrego samopoczucia. Matka siedziała na kanapie z laptopem na kolanach, pies spał smacznie, leżąc na środku salonu łapami do góry. Curta przywitał leniwym uniesieniem jednej powieki.

- Ale z ciebie stróż - mruknął, siadając na

fotelu.

- Gdzie byłeś?

- Próbowałem przekonać niektórych, że nie jestem idiotą.

- Przecież to oczywiste, że nim nie jesteś, kochanie. Mogę ci jakoś pomóc?

- Właściwie czemu nie? Masz przecież imponujące doświadczenie w sprawach kryminalnych. Jak sądzisz, kto się ukrywa w szopie na tyłach domu Mary?

- Abe Hunt, twój świadek koronny, który nie chce zeznawać. O tym właśnie próbujesz przekonać swoich szefów?

W milczeniu ponuro skinął głową.

- Ich problem. - Wzruszyła ramionami. - Złap go, skarbie, a oni niech się martwią, jak usprawiedliwić swoje niedopatrzienia.

- Jesteś bardzo pewna siebie.

- Zawsze wpajałam ci, że powinienes

wszystko wykonywać najlepiej, jak potrafisz. Jak dotąd się nie zawiodłam, więc jestem spokojna. Czemu jeszcze tu siedzisz z założonymi rękoma?

- Idę już, idę - roześmiał się, podnosząc z fotela. - Będę w piwnicy. Zamierzam z drutu, baterii i żarówek wyczarować system alarmowy. Jak to dobrze, że znam się trochę na elektronice.

- No widzisz, a tak nie chciałeś iść do tego technikum elektronicznego - przypomniła z wyrzutem.

- I tak zrezygnowałem po pierwszej klasie. Rok wystarczył, żeby się przekonać, że naprawa odbiorników telewizyjnych nie jest moim przeznaczeniem. Ale, chwalić Boga, nauczyłem się, jak zakładać podsłuch. - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Tak, to akurat mogłeś sobie darować. Naprawdę, jaki trzeba mieć tupet, żeby założyć podsłuch w gabinecie szefa policji.

Wciąż kręciła głową z dezaprobatą, gdy wyszedł na korytarz.

Nigdy nie przyznał się matce, iż najwięcej nauczył się od pewnego starszego kolegi, prawdziwego pasjonata wszelkich urządzeń służących do inwigilacji. W przeciwieństwie do większości kolegów, Curtis już na tym wczesnym etapie miał gotowy pomysł na życie. Wymarzył sobie bowiem, że zostanie agentem federalnym.

Całe popołudnie pracował nad skonstruowaniem maty z odpowiednią ilością czujników, reagujących na nacisk osoby ważącej minimum dwadzieścia kilogramów. Planował zainstalować urządzenie dopiero po zmroku, aby nie budzić sensacji, choć zdawał sobie sprawę, że jeśli snajper lub Abe Hunt faktycznie ukrywa się w okolicy, niewątpliwie obserwuje każdy jego krok. Z drugiej strony obydwaj potrzebowali kiedyś odpocząć, a jeśli świadek przemieszczał się

nocą, jego prześladowca musiał również odsypiać w ciągu dnia.

Oczywiście jeśli jego podejrzenia miały cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Jeśli Abe Hunt faktycznie ukrywał się z jakiegoś powodu w okolicy. Jeśli nie, Curt mógł spokojnie pakować manatki, bo po wszystkich dotychczasowych wpadkach nie mógł sobie pozwolić na kolejną, choćby najmniejszą.

Przypomniawszy sobie słowa i wyraz twarzy Mary Ryan. Skoro już dwie osoby okazały mu tak wielkie zaufanie, nie mógł być aż takim nieudacznikiem. Wystarczyło tylko udowodnić to reszcie świata ...

Gdy pod wieczór Mary wróciła do domu, poszedł do niej na naradę. Przeszli do kuchni, ale zanim zaczęli rozmowę, nakazał jej gestem milczenie, sam zaś obszedł pomieszczenie z wykonanym własnoręcznie wykrywaczem

urządzeń podsłuchowych.

- To tak na wszelki wypadek - wyjaśnił, chowając pudełeczko do kieszeni. - Uważaj, jak będziesz spacerować w ogrodzie. Rozłożyłem tam siatkę wykrywającą ruch i nacisk.

- Co zrobiłeś?! - Ujęła się pod boki.

- Rozłożyłem kable, połączyłem nimi czujniki ruchu i nacisku, od ulicy do samej szopy.

- W moich pomidorach?!

- Nie w pomidorach. W chwastach. Tych z żółtymi kwiatkami.

- W moich nagietkach?! - Złapała się za głowę. - Przecież to ekologiczne środki owadobójcze.

- Czy mogłabyś mnie wreszcie dopuścić do głosu? Nie pora rozpaczać nad kilkoma roślinkami, skoro te urządzenia mogą ci ocalić życie.

Nabrała głęboko powietrza w płuca. Nie mogła go winić za zniszczenie wszystkich

kwiatów, skoro część podeptali policjanci, szukając śladów zbiega.

- OK - wycodziła przez zaciśnięte zęby.

- Jak już będzie po wszystkim, pojedziemy do sklepu ogrodniczego i kupimy ci dziesięć skrzynek sadzonek.

- Ale ja je wyhodowałam z nasion ...

- Tylko nie zaczynaj od nowa!

- Zdaje się, że nie masz bladego pojęcia, czym jest ogród, prawda?

W nagłym porywie podszedł do niej, chwycił w pól i pocałował z wściekłością. Na początku trochę się opierała, potem zamarła w bezruchu, aż wreszcie wtuliła się w niego i zaczęła odpowiadać na pieszczoty. Najpierw jej dłonie spoczywały spokojnie na jego pasku, a potem rozpoczęły wędrówkę w górę i w dół pleców.

Od dawna już nie czuł się tak wspaniale, całując kobietę. Oszołomiony, uniósł lekko

głowę i spojrzał na Mary.

- Bardzo dobrze ci to wychodzi - pochwaliła, spoglądając na niego zamglonym wzrokiem.

- Dzięki, tobie też.

Przez moment patrzyli sobie głęboko w oczy, próbując wyrazić to, na co nie znajdowali słów.

- Dla ciebie ogród jest substytutem dzieci - stwierdził wreszcie. - Masz silnie rozwinięty instynkt opiekuńczy, ale że jesteś zapracowana, pielęgnujesz pomidory i sałatę zamiast potomstwa. - Znów ją pocałował, tym razem nieco mniej gwałtownie. - Mogłabyś spróbować zaopiekować się mną. Moja matka ma już dosyć brudnych skarpetek i mokrych ręczników, walających się w łazience.

- Myślisz, że mam ochotę je oglądać w mojej?

- Czemu nie? Mamy podobne zawody, oboje jesteśmy miłymi ludźmi. Moglibyśmy wspólnie

hodować kapustę, a może kiedyś znajdziemy w niej coś ciekawego ...

- Pomyślę o tym - obiecała, rumieniąc się.

- Świetnie. - Odsunął ją na odległość wyciągniętego ramienia. - Tymczasem zajmijmy się najpilniejszymi sprawami. Jak już wiesz, okablowałem twoją szopę, ogród i piwnicę mojej matki. Mysz się przecisnę, kot też, ale już większy pies może uruchomić alarm. Mam przeczucie, że dziś kogoś złapię, nawet gdyby miał to być zwykły podglądacz.

Jednak choć siedział w piwnicy do świtu, ani jedno światełko na wyświetlaczu się nie zapaliło. W okolicy nie działo się kompletnie nic, nawet pies spał jak zabity pod łóżkiem Matildy. Zniechęcony i wyczerpany Curt rzucił się na łóżko i spał jak zabity aż do wczesnych godzin popołudniowych.

Gdy otworzył oczy, na rękawie miał mokrą

plamę, której sprawca, kudłaty rudy czworonóg, siedział na podłodze przy łóżku i tłukł ogonem w podłogę.

- Fuj! - mruknął na widok zaślinionej koszulki. - Co ci się stało?

Zwierzę wciąż sapało i wyglądało, jak gdyby próbowało się uśmiechnąć. Bezwiednie wyciągnął rękę, by pogłaskać go po łbie.

- Hej, wiesz co? Nie jesteś taki najgorszy. O, a to co?

Na obroży wyczuł zgrubienie, którego do tej pory nie zauważył. Całkiem rozbudzony usiadł na łóżku i rozpiął sprzączkę. Pomiędzy dwiema warstwami obroży, zabezpieczony czarną taśmą klejącą, tkwił niewielki plastikowy pojemnik.

- A niech to! - zawołał, wyjmując zwitek papieru.

- Curt, jedzenie gotowe! - poinformowała z kuchni matka. - Nie śpisz już?

- Nie śpię!

Rozwinął karteczkę i przyjrzał jej się, pękając wręcz z ciekawości. Zapisano na niej szereg liter i cyfr. Wyglądało to na jakiś szyfr.

Wyskoczył czym prędzej z łóżka, zapiął psu obrozę i pospieszył do kuchni.

- Zobacz, co znalazłem - oznajmił podekscytowanym głosem, podając Matildzie kawałek papieru.

- To chyba jakiś kod - stwierdziła po dłuższym namyśle. - Skąd to masz?

- Z obroży twojego pupila. Zdaje się, że chodził z tym już od kilku dni. - Zmarszczył brwi. - A co, jeśli Hunt od kilku dni próbował się ze mną skontaktować, przysłał tego rudego posłańca, a ja się niczego nie domyśliłem?

- Mój drogi, nikomu nie przysłoby do głowy szukać czegokolwiek na psie. Usiądź, zjedz, a potem się zastanowimy, co to może być. Działo

się coś podejrzanego w nocy?

- Nie, cisza jak makiem zasiał. - Powoli wypił łyk gorącej kawy. - Ani widu, ani słychu. Wiem, że ktoś buszował w szopie Mary, jestem niemal pewny, że mieliśmy nieproszonego gościa w piwnicy, ale wszyscy jakby się rozplnęli, wliczając w to kuzyna Hunta.

- On akurat wrócił.

- Naprawdę?!

- Tak, widziałam ich dzisiaj z okna. Wrócili całą rodziną.

- Może wywieźli go niepostrzeżenie? To wyjaśniałoby, dlaczego od paru dni nic się nie dzieje.

- Rzeczywiście. A jak myślisz, co ma znaczyć ten szyfr?

- Nie mam pojęcia. Na pewno nie jest to żaden kod do schowka czy czegoś takiego.

- Współrzędne? - podsunęła.

- Nie, za długie.

- Przeczytaj mi to na głos.

- LPST23LBSDB129. Widzisz? Nie ma w tym żadnej logiki.

- A czy w pojemniku było coś jeszcze?

- Kawałek brązowego papieru, w który okręcona była ta karteczka ... Czekaj, czekaj!

Podbiegł do psa, który właśnie chleptał wodę.

- Przepraszam cię, kolego - mruknął, zdejmując po raz kolejny obrożę. - Eureka! - zakrzyknął, gdy udało mu się wyjąć brązowy kartonik.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W kilku słowach objaśnił matce wagę swego znaleziska, błyskawicznie przebrał się i z niedozwoloną prędkością pomknął do sądu w Lanier. Na szczęście w chwili, gdy wkroczył na salę rozpraw, ogłaszano wyrok, więc nie musiał długo czekać.

- Potrzebuję cię. - Złapał Mary za ramię i pociągnął na korytarz.

- Muszę przekazać papiery woźnemu sądowemu! - zaprotestowała, gdy znaleźli się na zewnątrz. - Zadzwoń do asystentki i poproś, żeby cię jakoś usprawiedliwiła. Mamy przełom w sprawie.

Wepchnął ją do auta, wsiadł za kierownicę, a ruszając z miejsca, podał Mary zwitek brązowego papieru.

- To kwitek z przechowalni! - zawołała pod-

ekscytowana.

- Mam coś jeszcze. - Pogrzebał w kieszeni i podał jej karteczkę z ciągiem cyfr i liter. - Czy dałabyś radę to odszyfrować?

Sam już wreszcie domyślił się, co to znaczy, ale chciał sprawdzić, czy jej myślenie pójdzie tym samym tropem.

- Chyba tak. Czekaaj, niech się zastanowię ...

Na pewno chodzi o przechowalnię w Lanier, stąd literki LPS. LBSDB129 oznaczałoby numer skrytki w banku miejskim. Jak sądzisz?

- Bystra dziewczyna!

- Ciekawe, co jest w tej skrytce.

- Nie mam pojęcia, ale podejrzewam, że może to być jakiś dowód na to, że jeden z byłych kompanów Hunta popełnił morderstwo, aby uniemożliwić dalsze śledztwo.

Popędzili do przechowalni i zgodnie z przewidywaniami odebrali tam klucz do skrytki depo-

zytowej. Pospiesznie udali się do banku, gdzie przedstawili dokumenty tożsamości, ale mimo to musieli otwierać skrytkę w obecności prezesa banku. Jednak gdy włożyli kluczyk do skrytki, okazało się, iż czeka ich przykra niespodzianka.

- Jak to możliwe?! - wybuchnął Curt. - Przecież mamy właściwy numer i właściwy klucz. Dlaczego nie możemy otworzyć skrytki?

Prezes rozłożył bezradnie ręce, nie rozumiejąc, co jest nie w porządku. Tymczasem młoda urzędniczka, stojąca do tej pory za nim w milczeniu, odezwała się drżącym głosem.

- To nie moja wina ... Oni też mieli odpowiednie dokumenty. Powiedzieli, że są z Prokuratury Generalnej. Wzięli skrzynkę, przewiercili zamek i kazali wstawić nowy ...

Prezes poczerwieniał jak burak.

- Nic mi pani o tym nie wspomniała, panno Davis!

- Poinformowałam przełożonego. Pana wtedy akurat nie było. To się działo trzy dni temu.

Curt zacisnął zęby ze złości. Ktoś mu sprzątnął sprzed nosa jedyny dowód na słuszność jego przypuszczeń.

- Możemy jeszcze raz rozwiercić zamek - zaproponował prezes, wyraźnie poruszony.

- Dziękuję, próżny trud. To, co istotne, na pewno już dawno zniknęło. Przechytrzyli nas. Mimo wszystko dziękuję za pomoc.

- A niech to diabli! - warknął, gdy wsiedli do auta, by wrócić do sądu. - Dlaczego wcześniej nie obejrzałem tego psa ...

- Kto mógł przypuszczać, że rudy przybłąda będzie miał wiadomość ukrytą w obroży. Nie jesteś przecież jasnowidzem - pocieszała go Mary. - Nie do wiary. Świadek zniknął. Dowód zbrodni skradziono. A ja znów mam kłopoty.

- Przynajmniej się starałeś, a inni agenci? Jakoś nie było ich specjalnie widać.

- I co z tego? Straciłem dwie noce, a nic nie osiągnąłem. No, poza zniszczeniem grządki nagietków. - Uśmiechnął się gorzko.

- Tym się akurat nie przejmuj, kilka się ucho-
wało. Jak chcesz, mogę cię zaprosić na dobrą kolację, a potem zagramy u ciebie w bilard.

- Naprawdę? Lubisz bilard?

- Uwielbiam. Razem z koleżanką z akademika byłyśmy postrachem naszych kolegów.

- Byłoby to miłe zakończenie paskudnego dnia. Dzięki.

- Nie ma za co. Od czego w końcu ma się przyjaciół?

Ostatecznie to pani Russell przygotowała kolację dla całej trójki. Pojadając sałatkę z

szynki oraz ziemniaków oraz zagryzając ją chlebem domowego wypieku, dyskutowali na temat systemu sprawiedliwości oraz dziwnej mody na lokalne całodobowe stacje radiowe o profilu informacyjnym, do znudzenia powtarzające te same wiadomości co pół godziny.

Po kolacji matka została na górze z psem, natomiast Curt i Mary zeszli do piwnicy na bilard.

- Nawet nie zapytałem, jak ci poszła sprawa - zreflektowałem się, ustawiając bile. - Wygrałaś?

- Nie tę. Walczyłam jak lwica, ale ława przysięgłych nie dała się przekonać, że ten biedny starszy człowiek upił sąsiada i ukradł mu pieniądze. Ale wygrałam tę dotyczącą handlu narkotykami - pochwaliła się. - Cóż, raz na wozie, raz pod wozem, już się do tego przyzwyczaiłam.

Jako dżentelmen pozwolił jej na wykonanie pierwszego zagrania, czego natychmiast pożałował, bo w rezultacie samodzielnie oczyściła stół.

- Świetnie się bawiłam - stwierdziła po kilkunastu partiach. - Ale mam jutro spotkanie o dziewiątej, więc ... Curt?

- Tak? - mruknął, ustawiając bile ponownie na środku stołu.

- Co oznaczają te wszystkie światełka? Odwrócił się, nie do końca świadomy jej słów, i dopiero gdy jego wzrok padł na migającą jak choinka tablicę, połączoną z systemem czujek w ogrodzie Mary, zrozumiał, co się dzieje.

- Ktoś jest znów w twojej szopie! Niesamowicie. Mamy go!

- Chcesz iść tam sam? Nie czekając na policję?

Bez słowa podszedł do wieszaka, na którym czekała w kaburze automatyczna czterdziestka

piątka.

- Idź na górę i zadzwoń po Jacka. Niech się natychmiast skontaktuje z Hardym Vicksem. Nie obchodzi mnie, że będzie musiał wyjść z ciepłego łóżka, potrzebuję wsparcia.

- Tata nauczył mnie strzelać.

Uśmiechnął się lekko i pocałował ją.

- Nie naraziłbym cię na takie ryzyko, gdybym nawet miał za to dostać wszystkie sztabki złota z Rezerwy Federalnej.

- Tylko nie daj się postrzelić!

- Ani mi to w głowie. Pędź.

Szybko pobiegła na górę, on zaś ubrał się i wyłączył światło. Kryjąc się za krzakami, rosnącymi wzdłuż domu matki i sąsiada, przedostał się do drogi. Tam schował się za żywopłotem i odczekał, aż hałas przejeżdżającej ciężarówki zagłuszy odgłos jego kroków na chodniku. Przekradł się do ściany szopy, wyjął

pistolet, odbezpieczył i zaczął nasłuchiwać. Zdawało mu się, że ktoś z westchnieniem oparł się plecami o ścianę wewnątrz budynku. Serce zabiło mu mocniej. Zamknął oczy, by skoncentrować się tylko na tym, co działo się wewnątrz. Znów szelest, tym razem głośniejszy.

W najgorszym momencie przypomniało mu się, jak bardzo cierpiał, gdy został jedyny raz postrzelony w czasie akcji przeciwko dilerom narkotyków w Nowym Jorku. Przywołał się do porządku i skupił myśli na matce i Mary. Wziął dwa głębokie oddechy. Z dala dobiegł go hałas kolejnej ciężarówki. Albo teraz, albo nigdy. Zacisnął usta. Gdy odgłos silnika stał się głośny, skorzystał z okazji i sforsował drzwi szopy.

W środku znajdował się wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o falujących czarnych włosach, który natychmiast podniósł ręce.

- Nie strzelaj! - zawołał z przerażeniem. Curt

wciąż miał pistolet wycelowany w jego brzuch.

- Jestem agentem specjalnym FBI. Kim jesteś?

- Abe. Abe Hunt. Czy możesz odłożyć pistolet?

- Ty głupcze! Co ty tu robisz? Przecież mogłem cię zastrzelić.

- Uciekam przed Danielsem. Człowieku, gdzieś ty był tyle czasu? Nie dostałeś mojej wiadomości? Posłałem psa ...

- A ty gdzie byłeś? - przerwał mu Curt. - Tu na pewno nie. Ten przeklęty pies ani pisnął od paru dni. Aż do teraz - dodał, słysząc głośne wycie.

- O Boże! To on! Daniels! Redbone wyczuwa go na odległość.

W to był w stanie uwierzyć, widział bowiem psy, które potrafiły tropić ludzi jadących samochodem.

- Padnij! - krzyknął i pchnął Hunta na ziemię. Ten chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta, pouczony silnym kuksańcem. Oczy powoli przywykały do ciemności. Curt, który umiał doskonale strzelać i mógłby się równać z niejednym snajperem, wiedział, że jeśli uda mu się w porę dojrzeć Danielsa, ma duże szanse, by go wyeliminować. Pod warunkiem, że tamten nie wpadnie na genialnie prosty pomysł podpalenia szopy, która spłonęłaby jak snop suchego siana, nie dając im czasu na ucieczkę.

Curt wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z ogrodu. Jak na złość w oddali znów rozległ się hałas ciężarówki, maskujący wszystkie inne dźwięki.

Choć Daniels sprytnie wydobył dowód zbrodni z pozornie bezpiecznej kryjówki, nie oznaczało to końca pościgu za Huntem, który wciąż stanowił największe zagrożenie dla mafii.

Dlatego można było założyć, iż snajper uczyni wszystko, co w jego mocy, aby uciszyć niewygodnego świadka, Curt zatem musiał zrobić jeszcze więcej, by go ochronić. Leżał więc w ciemności, wsłuchując się w ciszę, przerywaną wyciem psa. Każda komórka jego ciała działała na najwyższych obrotach, wszystkie zmysły wyciągał do granic możliwości. Gdy wreszcie nastąpił atak, nadszedł z zupełnie nieoczekiwanej strony, a zapowiedziało go jedynie ciche skrzypnięcie. Na szczęście wystarczyło, by Curt błyskawicznie odwrócił się na plecy i wystrzelił w górę, w kierunku dachu.

- Ty idioto, gdzie strzelasz ... - krzyknął Hunt.

- Uważaj!

Curt w porę się zorientował i od turlał na bok. Ciemna postać na dachu, ledwie widoczna przez szpary między deskami, wystrzeliła całą serię z automatycznej broni maszynowej. Curt poczuł

piekący ból w ramieniu, ale nie przestawał strzelać. Chwilę później rozległ się głośny jęk, postać zgięła się wpół, przewróciła na dach i wpadła do środka. Niemal jednocześnie rozległy się syreny policyjne.

- Żyjesz? - Curt spytał Hunta, który podnosił się powoli.

- Tak. A ty? Cały jesteś?

Curt nie był pewien, ale nie miał czasu na zastanawianie się, musiał bowiem jak najszybciej sprawdzić, w jakim stanie jest Daniels. Podszedł do niego, obrócił na plecy i wyjął z zaciśniętych dłoni broń. Na jego piersi widniała spora plama z krwi.

- Dzięki, uratowałeś mi życie! - zawołał Hunt. - Hej, ty krwawisz!

Dopiero wtedy Curt poczuł, że jedno ramię ma dziwnie ciężkie, a w dodatku lepkie. Zdał sobie też sprawę z bólu w boku.

- Russell! Russell! Jesteś tu? - rozległ się znajomy głos.

- Jack! - Chciał krzyknąć, ale udało mu się jedynie wyszeptać imię przyjaciela.

- Jest ranny! Chodźcie tu, jesteśmy tutaj! - wzywał Hunt, jednocześnie podtrzymując Curta, by nie upadł na twarz.

Usłyszeli tupot, a także szczęk broni.

- Curt! - zawołała Mary.

- Mary! Mary, stój! Nie wolno ... ! - próbował ją zatrzymać Jack.

Bezskutecznie, bo chwilę później uknęła przy Curtisie, drżącymi dłońmi sprawdzając rozmiar obrażeń.

- Jest ranny. Postrzelony dwa razy - poinformowała. - Gdzie są sanitariusze?

- Już biegną - uspokoił ją jeden z komandosów, którzy właśnie stanęli w drzwiach szopy.
- Pospieszcie się, chłopaki! - zawołał do dwóch

mężczyzn, biegnących z noszami.

- To jest Erskine Daniels - wyjaśnił Hunt, wskazując na leżącego obok nieprzytomnego mężczyznę. - Nazywam się Abe Hunt, jestem świadkiem koronnym w sprawie mafii narkotykowej w Atlancie. Widziałem, jak główny boss pozbył się innego świadka. Zastrzelili go i wrzucili do Chattahoochee. Zabierzcie mnie w bezpieczne miejsce, a wszystko wam wyśpiewam. Tylko najpierw zajmijcie się nim, dobrze? - Ruchem głowy wskazał Curta. - Uratował mi życie.

- Zajmiemy się - obiecał jeden z sanitariuszy.
- Dostał dwa strzały, jeden w ramię, drugi w bok.
Ale wyjdzie z tego.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Mary.

Gdzieś w pobliżu pies zawył dwa razy, a następnie do szopy weszła Matilda.

- Wolnego! To jest miejsce zbrodni, nie moż-

na tak po prostu tu wchodzić! - zaprotestował komendant policji, ale Matilda tylko się do niego uśmiechnęła.

- Moje biedactwo! - Uklęła przy synu. - Wszystko będzie dobrze. Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytała, kompletnie ignorując sanitariuszy i mamroczącego coś pod nosem Jacka.

Na szczęście w tym momencie Curtowi zrobiło się słabo i na chwilę stracił przytomność. Wielki rudy pies podbiegł, by polizać go po twarzy.

- Redbone, ty niewdzięczniku! - zawołał ze śmiechem Abe Hunt. - Wysłałem cię z ważną informacją, a ty co? Znalazłeś sobie nowy dom i zupełnie o mnie zapomniałeś.

- To pański pies? - spytała Matilda.

- Tak. A raczej to był mój pies, bo pewnie nie będę mógł go z sobą zabrać, prawda? - zwrócił się do mężczyzny, który w tym momencie

pojawił się w szopie.

- Prawda - potwierdził Hardy Vicks. - Do diabła, to przecież Russell! Żyje?

- Oczywiście, że żyje! - oburzyła się Matilda.
- To mój syn, prawdziwy Russell z krwi i kości, łatwo się nie poddaje. To na pewno tylko powierzchowne rany.

- A pani się na tym akurat zna - mruknął z przekąsem agent.

- Oczywiście, że się znam. Przez wiele lat relacjonowałam dla prasy aktualne wydarzenia, raz nawet zostałam postrzelona w czasie zamieszek w Atlancie - pochwaliła się. - Dwie kule przeszły mi przez udo, minęły kość zaledwie o pół centymetra.

Vicks aż cmoknął z podziwu.

- A więc pani jest jego matką?

- Owszem.

- Nie jest taki najgorszy - mruknął, zerkając na Curta, którego sanitariusze wywozili właśnie na noszach. - Muszę nawet przyznać, że jestem pod wrażeniem. Z tego, co mi powiedzieli policjanci, zdjął snajpera i ochronił świadka koronnego.

- To prawda - potwierdziła Matilda, przypatrując się z zainteresowaniem mężczyźnie. Był niemal łysy, a że zawsze lubiła łysiny, wydał jej się całkiem atrakcyjny. - Miałby pan może wolne miejsce w aucie, żeby podwieźć starszą panią do szpitala? Mary pewnie pojedzie z nim w karetce, więc dla mnie nie będzie miejsca.

- Z przyjemnością, tylko że nie widzę w okolicy żadnej starszej pani. - Uśmiechnął się szarmancko. - Jestem rozwiedziony. A pani nie jest zamężna?

- Owdowiałam wiele lat temu.

- Ja też kiedyś zostałem postrzelony -

oznajmił z dumą w głosie.

Uśmiechnęła się, ale jej spojrzenie powędrowało w kierunku oddalających się noszy.

- Powinnam jak najszybciej jechać do szpitala, muszę jeszcze tylko coś zrobić z psem ...

- Proszę go zatrzymać - zaproponował Abe Hunt. - Będzie mi lżej ze świadomością, że jest bezpieczny i zadbany.

- Dziękuję panu, panie ...

- Hunt. Abe Hunt. A gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę mi przekazać wiadomość przez niego. - Ruchem głowy wskazał agenta Vicksa. - Nie chcę się chwalić, ale mam bardzo szerokie znajomości.

Oczywiście wyobraźni ujrzała legion mężczyzn z kijami bejsbolowymi w dłoniach, oferujących jej pomoc w każdej trudnej sprawie.

- Jeszcze raz dziękuję, panie Hunt.
Zaopiekuję się pańskim psem.

- Jest trochę tępy, ale ma dobre serce -
zapewnił, klepiąc zwierzę po grzbiecie.

Po chwili podeszło do niego dwóch agentów,
ujęło pod ręce i wyprowadziło z szopy.

- Chodź, Rudy. - Matilda zmierzwiła psu
sierść i pociągnęła lekko smycz.

- Pomogę pani - zaofiarował się agent Vicks. -
Taki duży zwierzak to zbyt wiele jak dla drobnej
kobietki. Słyszałem, że ma pani w piwnicy stół
do bilardu?

Curt ocknął się kilka godzin później, ledwie
przytomny z bólu. Gdy otworzył oczy, spo-
strzegł, że obok łóżka siedzą matka i Mary,
całkowicie pochłonięte rozmową.

- Ma nawet rodzinę w Cordele, gdzie
mieszka też mój wuj - opowiadała z przejęciem

Matilda. - Niesamowite, prawda? W dodatku uwielbia grę w bilard. Zaprosiłam go na kolację w piątek, Curt do tego czasu powinien wyjść ze szpitala. Może ty też przyjdiesz, moja droga? Upiekę taki chleb i bułeczki, jak ostatnim razem ...

- Z przyjemnością. - Mary uśmiechnęła się.

- Kto ma ... rodzinę ... w Cordele? - wtrącił się Curt ledwie słyszalnym szeptem.

- Twój przełożony, kochanie. Agent specjalny Hardy Vicks. Zrobił na mnie doskonale wrażenie. Poza tym pochwalił cię i twoje zaangażowanie w sprawę.

- Mamo, on to zrobił z premedytacją. Jest miłośnikiem bilardu. - Spróbował się uśmiechnąć. - Boli ...

- Ta pompa podaje ci środek znieczulający - poinformowała tonem znawczyni matka, wskazując na urządzenie podłączone przezroczystą

ruką do jego nadgarstka. - Zaraz powinno zacząć działać.

Westchnął głęboko. Ramię ciągle wydawało mu się jakby cudze, a ból w boku zdawał się przekraczać jego wytrzymałość.

- Nie szarp tej rurki - poprosiła Mary, kładąc mu dłoń na zdrowym ramieniu. - Nie kręć się za bardzo, spróbuj wytrzymać. Zanim się zorientujesz, będziesz z powrotem w domu.

- Dałem się postrzelić. - Uśmiechnął się przepraszająco.

- Trudno, nikt nie jest doskonały. - Uśmiechnęła się krzepiąco. - Za to ocaliłeś Hunta. Ten snajper miał na koncie co najmniej pięć zabójstw, a gdyby nie twój doskonały słuch, powiększyłby je o dwa kolejne. Siedział przyczajony na dachu szopy i czekał na powrót Hunta, bo wiedział, że ten najbardziej na świecie kocha swoich kuzynów i psa. Hunt powiedział

nam, że nie był w stanie ich zostawić, a zarazem bał się o ich bezpieczeństwo. Na to właśnie liczył Daniels. - Zacisnęła na moment powieki. - Był gotów zabić was obu.

- Jak widać, nie przyszedł na mnie jeszcze czas. - Ujął jej delikatną, drobną dłoń.

- Bardzo się cieszę. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Mary przyjdzie do nas na kolację w piątek - poinformowała Matilda, nie kryjąc zachwyty z powodu ich zażyłości. - Będzie też agent Vicks. - Zagramy w bilard - dorzuciła Mary.

- Raczej wy zagrać, a ja sobie popatrzę. Będę ci podpowiadał. Chcę, żebyś mu dołożyła w moim imieniu. Uważa mnie za głupca.

- Ależ skąd! - zaprzeczyła matka. - Wręcz przeciwnie, napisał pochlebny raport i zgłosił cię do awansu.

- To prawda, wspominał coś o znacznie lepszym stanowisku w dużym mieście.

Był ledwie przytomny, ale nie mógł nie usłyszeć tonu rozczarowania w jej głosie.

- Kochanie, jestem pewien, że z twoimi referencjami w każdym dużym mieście znajdziesz pracę w biurze prokuratora okręgowego.

- Tak, ale praca w Lanier w zupełności mi odpowiada. - Porozmawiamy, jak już stąd wyjd.

- Ujął ją za rękę i zamknął oczy. - Jestem taki senny ...

Znów odpłynął w nicość, ale nie wypuścił dłoni Mary. Matilda obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- Zdaję się, że zaczął już robić plany ...

- Nie mam nic przeciwko temu. -
Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Ani ja. To dobry syn, jestem pewna, że

będzie też dobrym mężem.

- Nie wiem, czy jego plany akurat to zakładają.

Matilda posłała jej pokrzepiający uśmiech.

Kilka dni później zabandażowany i obolały Curt leżał na kanapie w salonie matki, a u jego stóp wylegiwał się wielki rudy pies.

- Naprawdę, jak można zaufać psu, że dostarczy wiadomość, od której zależy czyjeś życie ... - stwierdził, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- W sumie to był niezły pomysł - odparł Vicks, popijając kawę po obfitym posiłku. - Niestety nikt się nie spodziewał, że w naszych czasach można w taki sposób wykorzystać psa. Ale przypomnij sobie, jak to było z gołębiami pocztowymi w czasie pierwszej wojny światowej.

- We Francji taki gołąb został nawet odzna-

czony medalem - poinformowała Matilda. - W porę dostarczył Amerykanom wiadomość o tym, że powinni wstrzymać się z atakiem, zanim oddziały francuskie zdołają się wycofać.

- Ma głowę pełną takich ciekawostek - drażnił się z nią syn.

- Powinnaś napisać książkę - poradził Vicks. - Tyle cennych wiadomości, a w cotygodniowych felietonach nie ma na nie miejsca.

- Książkę ... - powtórzyła w zamyśleniu.

- Jasne, któż inny nadałby się do tego lepiej - schlebiał jej. - To jak będzie z tym bilardem? - Puścił do niej oczko.

- Chodźmy, chodźmy. Ostrzegam tylko, że wiem, jak się trzyma kij, więc nie myśl, że łatwo mnie ograć.

- Doskonale, uwielbiam kobiety, które znają się na ważnych sprawach.

Wśród śmiechów i żartów zeszli do piwnicy.

Curt przyglądał się w milczeniu Mary, która siedziała sztywno w przepastnym fotelu. Dokładała wszelkich starań, żeby nie sprawiać wrażenia tak przygnębionej, jak się faktycznie czuła.

- A więc to już koniec, został tylko proces.

Zdaje się, że nie będę brała w nim udziału, bo to sprawa na poziomie federalnym. Ale z przyjemnością będę go obserwować z sektora dla publiczności ...

- Mary!

Przerwała, spoglądając na niego spod uniesionych brwi.

- Chodź tu, proszę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mimo jego prośby nie ruszyła się z miejsca. Będąc nowoczesną kobietą, nie miała w zwyczaju przyjmować poleceń, zwłaszcza od mężczyzn.

- Chodź, chodź - kuśił, spoglądając na nią błyszczącymi oczyma.

Wbrew swojej woli podniosła się wreszcie i podeszła do niego.

- Nie będzie to łatwe, ale damy radę. - Przygarnął ją do siebie. - Na pewno damy radę.

Pocałował ją, a ona uśmiechnęła się pod jego

wargami. Martwiła się o niego, gdy był w szpitalu, choć starała się tego nie okazywać. Teraz zaś ogarnęła ją taka ulga, że nie czuła najmniejszego skrępowania.

Zaskoczony jej przyzwoleniem, pocałował ją głęboko i namiętnie, kładąc obok siebie na kanapie. Już dawno nie pragnął tak żadnej kobiety, niestety ból ograniczał jego ruchy. Jęknął, wodząc ustami po jej szyi.

- Nie mogę ... - wyszeptał. - Nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę, ale tak strasznie mnie boli ...

Westchnęła, przeciągając się rozkosznie.

- Nigdzie mi się nie spieszy. A tobie?

Spojrzał na nią ze wzruszeniem. Dotknął drżącymi palcami jej ust, nie odrywając wzroku od lśniących oczu.

- Nie interesują mnie przelotne związki. Matka wychowała mnie dość surowo.

- Mój tata też starał się wpoić mi pewne zasady. - Uśmiechnęła się. - A to znaczy, że nie możemy się kochać na kanapie w salonie twojej matki.

Skinął głową.

- Ale ja też mam kanapę - kusila.

- Jak sama powiedziałaś, nigdzie nam się nie spieszy. - Pochylił się i pocałował ją ponownie. - Zwłaszcza że jestem na zwolnieniu lekarskim, a potem mam do wykorzystania resztę urlopu.

- Czyżbyś chciał mi coś przez to powiedzieć?

- Owszem. Mamy wreszcie czas lepiej się poznać.

- Brzmi nieźle.

- Nawet lepiej niż nieźle. - Znowu ją pocałował, tym razem z tak ogromnym żarem, że nie zauważył lekkiego nacisku na bok, który po chwili stał się wilgotny.

- Czyżbym znowu krwawił? - zdziwił się.

Uniósł się na łokciu, by mogła sprawdzić.

Roześmiała się, kręcąc przecząco głową.

- To pies. Z sympatii aż cię zaślinił. A więc nie tylko ja cię kocham ...

Trzy miesiące później, jeszcze przed objęciem nowego stanowiska w biurze FBI w Atlancie, Curt pojął Mary Ryan za żonę podczas skromnej, wzruszającej ceremonii w Lulaville. Wśród gości znaleźli się wszyscy miejscowi policjanci, a także pracownicy sądu okręgowego i biura FBI w Lanier. Hardy Vicks siedział w rzędzie zarezerwowanym dla najbliższej rodziny, u boku Matildy Russell, która wyglądała na szczęśliwą i odprężoną. Rudy pies, przystrojony kwiatami, czekał przed kościołem, zaś po nabożeństwie został zaproszony do auta agenta Vicksa.

- Chcieli, żebyśmy zostali na uroczystym

obiedzie, ale powiedziałem, że spieszmy się na samolot - przyznał się Curt swej świeżo poślubionej żonie.

- Naprawdę?

- W pewnym sensie - odparł tajemniczo, przyciskając pedał gazu udekorowanego z tej okazji auta.

Niespełna trzy kwadranse później zatrzymali się przed jednym z najbardziej ekskluzywnych hoteli w Atlancie. W drzwiach przywitało ich dwóch portierów w uniformach. Jeden z nich wziął kluczyki, by przestawić samochód na hotelowy parking, drugi zaś zajął się bagażem.

- Mamy rezerwację na nazwisko Russell - poinformował Curt recepcjonistę, uśmiechając się na widok zdumienia na twarzy Mary.

- Tak jest - potwierdził mężczyzna. - Proszę przyjąć nasze najserdeczniejsze gratulacje.

Kiedy dotarli na koniec korytarza, gdzie znajdowały się windy, z antresoli dobiegły ich chóralne śpiewy.

- Wczoraj zawitali do nas żołnierze piechoty morskiej - wyjaśnił portier, który pchał wózek z bagażami. - Lubią śpiewać tę piosenkę, a kto się znajdzie z nimi w windzie, musi im wtórować.

- Chyba pan żartuje! - Mary prychnęła śmiechem.

W tym momencie winda podjechała, a gdy drzwi się rozsunęły, okazało się, że znajdują się w niej pani sierżant i pan w tej samej randze.

- Lubimy śpiewać - oznajmił sierżant, gdy drzwi zamknęły się za nowymi pasażerami.

- Bardzo lubimy - uściśliła pani sierżant.

- Co za doskonały zbieg okoliczności! - rozpromieniła się Mary. - Bo ja też.

Zaintonowała starą żołnierską piosenkę, którą

w dzieciństwie śpiewał jej ojciec.

- Nie, nie, to jest piosenka kawalerii, nasza jest inna - przerwał jej sierżant.

- Właśnie wyszłam za mąż, może zaśpiewamy marsz weselny?

Ledwie zdążyła to powiedzieć, winda zatrzymała się, a do środka weszła jeszcze czwórka oficerów, przez co zrobiło się nieznośnie ciasno.

- Ta pani właśnie wyszła za mąż - oznajmiła pani sierżant. – Chciałaby wspólnie zaśpiewać marsz weselny.

Cała czwórka uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Śpiewamy, żołnierze. Laa, laa, la la la ... - zakomenderował jeden z nich. - Czy ktoś w ogóle zna słowa?

- Nieważne - wtrącił szybko Curt. - Lepiej dołączymy się do waszej piosenki. Dalej, kocha-

- Apartament w najpiękniejszym hotelu w Atlancie. - Uśmiechnęła się promiennie. - Jesteś kochany!

- Wszystko dla mojej najcudowniejszej na świecie dziewczyny. - Podszedł do niej. - Byłaś najpiękniejszą panną młodą w całej Georgii. Kocham cię do szaleństwa.

- Też cię kocham. - Objęła go za szyję. - Cieszę się, że nie dałeś się zastrzelić w mojej szopie. A więc zostaliśmy wreszcie sami. Żadnych spraw sądowych, żadnych zbiegów do ujęcia. Co my zrobimy z tak pięknie rozpoczętym dniem?

Jego spragnione usta szybko udzieliły jej odpowiedzi. Jako że ich narzeczeństwo miało tradycyjny charakter, trzy miesiące postu sprawiły, że nie byli już w stanie dłużej na siebie czekać. Pocałunki z każdą chwilą stawały się coraz głębsze, coraz bardziej namiętne. Wreszcie

Curt poderwał w górę swą pannę młodą i zaniósł na wielkie, wygodne łóżko. Pomiędzy pocałunkami powoli, stopniowo pozbywał się kolejnych części jej i swojego stroju.

- Miałeś przy sobie broń podczas naszego ślubu? - zdumiała się, gdy spostrzegła lśniący pistolet, z którym się nigdy nie rozstawał.

- Tak na wszelki wypadek. - Pchnął ją lekko z powrotem na łóżko, bo z wrażenia aż usiadła. - Na jaki wszelki wypadek?!

- Na przykład gdyby ktoś upierał się przy śpiewaniu hymnu piechoty morskiej. Nie zmieniaj tematu!

Obsypał jej miękką, jedwabistą skórę pocałunkami, rozpalając jeszcze większe pragnienie zarówno w niej, jak i w sobie. Aż westchnął z rozkoszy, gdy smukłe nogi oplotły go w pasie. Chciał powoli budować napięcie, dozować przyjemność, ale żadne z nich nie było w stanie

wytrzymać ani chwili dłużej.

- Dawno nie byłam z mężczyzną ... - wyszeptała, gdy udało jej się uspokoić oddech. - Po moim pierwszym mężu ... - urwała zawstydzona.

- Co po twoim pierwszym mężu? .

- Nie miałam nikogo ...

- Ale przecież wyszłaś za męża, gdy miałaś osiemnaście lat!

- Tak, i zaraz się rozwiodłam.

- Chcesz przez to powiedzieć ... ? - Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Jak już wiesz, jestem dość staroświecka. - Zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Uwielbiam staroświeckie kobiety - wyszeptał, przygarniając ją do siebie. - Dobrze pamiętam, że on też miał wtedy osiemnaście lat?

- Tak. A ja byłam jego pierwszą dziewczyną. Żadne z nas nie wiedziało, jak to się robi i

niespecjalnie nam to wychodziło, więc kiedy się rozstaliśmy, nie miałam za czym tęsknić. Ale z tobą ... - Nabrała głęboko powietrza. - Z tobą ... Bardzo mi się podoba. - Przesunęła opuszkami palców po jego plecach. - Może powtórzymy od tego momentu, gdy tak rozkosznie westchnąłeś? - zasugerowała z szelmowskim uśmiechem. - Może powinnam rzucić pracę i zajmować się tylko tym? - rozważała głośno, gdy tylko byli znowu w nastroju do rozmowy. - Czuję, że mam w tej dziedzinie talent.

- Podpisuję się obydwoma rękami!

- Tobie też niczego nie brakuje. - Potarła łydką jego udo. - Może byśmy tak przedłużyli miesiąc miodowy do czterech albo nawet pięciu miesięcy?

- Niezły pomysł.

Przeturlała się, by położyć mu się na piersi.

- Chciałabym zatrzymać psa.

- Słucham?! - Wytrzeszczył na nią oczy, była to bowiem ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć.

- Chcę zatrzymać Rudego. Twoja mama nie ma zbyt wiele miejsca, a my moglibyśmy zamieszkać u mnie, postawić porządne ogrodzenie, miałby wtedy gdzie biegać.

- Nie, proszę, nie psa. Nie tego psa!

- Proszę ... - Obsypała jego klatkę piersiową pocałunkami. - Bardzo proszę. - Z satysfakcją spostrzegła, że jej starania znacznie przyspieszyły mu oddech. - Bardzo, bardzo, bardzo proszę.

- Zgoda, zgoda! - wykrztusił z trudem. - Zgadzam się na wszystko.

- Tak? - Uśmiechnęła się łobuzersko. - W takim razie mam jeszcze jedną prośbę.

- Słucham?

- Nigdy więcej nie śpiewaj piosenki piechoty

morskiej.

- Ale dlaczego?

Nie zdołał jednak dokończyć pytania, bo zamknęła mu usta pocałunkiem.

Ze snu wyrwał ich dźwięk telefonu. Curt przeturlał się na brzeg łóżka i sięgnął po słuchawkę.

- Mhm ... Mhm - mruczał, próbując przewyciężyć senność. - Mhm ... Co takiego?!

- Gwałtownie usiadł na łóżku. - Chyba żartujesz!

Mary otworzyła oczy i z niepokojem przypatrywała się mężowi, który był wyraźnie zszokowany wiadomościami. Odpowiadał monosylabami, wreszcie roześmiał się i życząc rozmówcy powodzenia, pożegnał się i zakończył rozmowę.

Ułożył głowę na poduszce, nie przestając uśmiechać się do siebie z rozbawieniem.

- Co się stało?

- Nie chcieli marnować takich pięknych kwiatów, a skoro pastor już i tak się pofatygował... Mieli już gości na miejscu, więc od razu się zdecydowali.

- Kto? Ale o co chodzi?

- Moja matka i agent Vicks ... Pobrali się!

- Niemożliwe!

- A jednak! Ech, trudno, zdaje się, że istnieją gorsze rzeczy niż dwóch agentów FBI w jednej rodzinie ...

Mary obrzuciła go zażenowanym spojrzeniem.

- Tak? - zaniepokoił się. - Coś chciałaś mi powiedzieć?

- Jak wiesz, tata nie mógł przyjechać na nasz ślub i dlatego przysłał nam kasetę z uroczymi życzeniami.

- Tak. I co w związku z tym?

- Tata jest w Wirginii.

- W Wirginii - powtórzył, nie rozumując, o co jej chodzi. - Ale gdzie w Wirginii?

- To się chyba nazywa Quantico.

- Nie. O nie! Nie! - zaprotestował.

- Tata stwierdził, że skoro ma zięcia w FBI, lepiej połączyć siły.

- Przeszedł do FBI?!

- Tak. Teraz to się już robi rodzinna specjalność. - Uśmiechnęła się, muskając wargami jego usta. - Wyobraź sobie, że wczoraj dostałam wszystkie dokumenty, które są potrzebne do wstąpienia do ...

- Nie chcę tego słyszeć! Proszę, ani słowa więcej.

- Ależ, kochanie ... - drażniła się z nim.

- Umówmy się w ten sposób: my będziemy ich łapać, a ty oskarżać, zgoda?

- Tylko żartowałam. Ale musisz przyznać, że to byłby numer stulecia.

- Nie bój się, jeszcze czeka nas takich wiele.

Miał rację. Dwadzieścia pięć lat później ich dwaj synowie oraz córka zostali jednego dnia zaprzysiężeni na agentów FBI, a świadkami podniosłej uroczystości byli dumni rodzice i dziadkowie.